

**OLEG DIWOW**

**WYBRAKÓWKA**

Przełożył  
Andrzej Sawicki

2005

Wybrakówka  
tyt. oryg. Wybrakowka

Copyright © 2005 Oleg Diwow  
All Rights Reserved

ISBN 83-89951-35-5

Projekt i opracowanie graficzne okładki

*Grzegorz Kmin*

Korekta *Bogdan Szyma*

Skład *Tadeusz Mieszko*

Wydanie I

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

ul. Generała Okulickiego 9/1, 10-693 Olsztyn

tel/fax. (0-89) 541-31-17

e-mail: [agencja@solaris.net.pl](mailto:agencja@solaris.net.pl)

[www.solaris.net.pl](http://www.solaris.net.pl)

# NIEZBĘDNE WYJAŚNIENIA

Sama praca nad „Wybrakówką” zajęła mi łącznie około czterech miesięcy. Ale szlifowanie koncepcji, włączając w to eksperymentowanie na wybranych grupach, trwała od dawna. Nad „Wybrakówką” pracowałem w istocie przez pięć lat. Tak ciężko nie mozoliłem się dotąd nad żadną książką.

Wiele z tego, co przeczytacie, wzięte zostało prosto z życia. Jeszcze więcej materiału obserwacyjnego trzeba było – niestety – złożyć do archiwum, żeby nie obciążać tekstu niepotrzebnymi szczegółami.

Liczne osoby, z jakimi zetkniecie się na kartach tej książki, wcale nie zostały wymyślone. Niektóre powstały w wyobraźni innych autorów. Liczne sytuacje też nie zrodziły się w mojej wyobraźni. Niektóre z nich podpatrzyłem nie ja sam, ale opowiedzieli mi o nich ludzie zasługujący na zaufanie i kompetentni w swoich dziedzinach. Dlatego chciałbym przeprowadzić wyraźne rozgraniczenie pomiędzy fantastyką i rzeczywistością, wyjaśniając, skąd się co wzięło.

Mam nadzieję, że ten zestaw praw autorskich wyda się czytelnikowi zabawny.

- Obraz miczmana Charitonowa © Aleksander Gromow.
- Imię, nazwisko, powierzchowność, mimika i automobil „Porsche 944” stażysty pełnomocnika Aleksieja Waluszka © Alęksiej Waluszek.
- Niektóre odzywki Pe Gusiewa © Pe Kraminow.
- Niektóre odzywki profesora Krumowa © Mirza Krumow.
- Przypadek posterunkowego Muraszkina © prywatny ochroniarz, były milicjant, znany także jako Ataman Zezowaty.
- Historia domu na bulwarze Gogolewskim © rozjuszeni lokatorzy, w tym autor.
- Przypadek z bezdomnym psem w metro © świadek, który wołał pozostać anonimowy.
- Wszystkie odzywki Azera w salonie wideo © Azer w salonie wideo.
- Informacja o zwyczajach na obszarze Centralnego Szpitala Klinicznego © grupa ludzi dobrej woli.
- Wywieszka „Praworządne bractwo świętego męczennika Epidifora. Skład

hurtowy” © hurtowy skład bractwa innego męczennika.

- Rozmowa ubogich na umyśle staruszek i reakcja chorego Pieti © anonimowy psychoterapeuta.
- Incydent z wariatem na ruchomych schodach © anonimowa poszkodowana.
- Epigrafy rozdziałów © „Dookoła świata” nr 12/1991, A. Słuczewski „Orle gniazdo wołoskiego księcia”.

*Jeden z trudniejszych dla mnie rozdziałów napisała Olga Diwowa, kobieta o rzadkiej urodzie i wybitnym intelekcie. Nie jest to nasz pierwszy wspólny projekt. W przypadku „Wybrakówki” moja żona nie była już tylko zaproszonym specjalistą, a redaktorem prowadzącym. Dziękuję, Oleńko.*

*Koncepcja „Wybrakówki” zrodziła się w głowie autora w 1994 roku w wyniku długich rozmów z ludźmi już niemłodymi, albo nieukrywającymi swojej starości.*

*Poświęcam tę książkę wszystkim rosyjskim staruszkom, którzy się zagubili w wichrach „epoki przemian” i mozolnie szukają wyjścia.*

*Oleg Diwow, marzec 1999 rok.*

# OD WYDAWCY

**Moskwa, sierpień 2099**

Od dnia, w którym ukazało się pierwsze wydanie tej książki upłynął bez mała wiek. W pamięci narodu wiele się zatarło i nie ma komu postawić pytań (albo – co trudniejsze, a potrzebniejsze – zarzutów). Tymczasem sprawą zajęli się historycy i archiwiści. Dzięki ich staraniom odszukano i opracowano niemało obiektywnych informacji. Emocjonalne subiektywne oceny, którymi kiedyś karmiono społeczeństwo, mocno się zatarały. Dlatego OMEKS<sup>1</sup> uznał za konieczne w miarę możliwości dokładnie skomentować publikowany aktualnie tekst. Znaleźliśmy chyba najbardziej dogodny dla czytelnika wariant. Uznaliśmy za rozsądne zrezygnować z większości narzucających się odnośników, zostawiwszy tylko najbardziej niezbędne, i realizować „pakietową” metodę podawania materiałów źródłowych, podczas gdy cała książka jest opatrzona rozwiniętym wstępem.

Komentarze, które na zlecenie OMEKS-u napisali czołowi naukowcy, potrzebne są po części i dlatego, że „Wybrakówka” wcale nie pretenduje do statusu „encyklopedii życia w Związku Słowiańskim”. Niektóre opisane w książce realia, zupełnie zrozumiałe z kontekstu dla współczesnego pierwszemu wydaniu czytelnika, mogą się wam wydać dziwne, albo po prostu niemożliwe czy nieprawdopodobne. Wybór metody korzystania z bloku źródłowego: przeczytanie książki „od deski do deski”, a dopiero potem wnikanie w szczegóły, czy systematyczne odrywanie się od tekstu literackiego i zagłębienie do odpowiednich rozdziałów zamieszczonych na końcu tomu, zostawiamy czytelnikowi.

Wydawca nie może sobie jednak odmówić przyjemności zacytowania w całości oryginalnej przedmowy Bolszakowa do pierwszego moskiewskiego wydania „Wybrakówki” z 2015 roku. Patrząc z dzisiejszego punktu widzenia esej „Oprawcy i szeryfowie” wygląda na utwór skrajny i kompletnie pozbawiony politycznej poprawności. Ale, wedle naszego skromnego rozeznania, właśnie on powinien właściwie naświetlić powieść. Podkreślić jej wartości i niedostatki, wynikające wprost z konkretnej sytuacji społeczno-politycznej, która zrodziła tak niejednoznaczną książkę. Nie od rzeczy będzie przypomnienie w tym miejscu, że

---

<sup>1</sup> - OMEKS - skrót nazwy hipotetycznego Moskiewskiego Oddziału Związku Wydawców Klasyki i Dzieł Współczesnych (przyp. tłum.)

punkt widzenia znanego dziennikarza i obrońcy praw człowieka, od dawna już nieżyjącego, był dla owych czasów niemal typowy. W owym czasie Agencja Socjalnego Bezpieczeństwa dopiero niedawno odeszła w niebyt. Rany krwawiły i popioły wciąż jeszcze gromadziły się na sercach. Nie da się wykluczyć, że do jednego szeregu z wyrazicielami opinii „Oprawców i szeryfów” wepchnęło Bolszakowa silne poczucie społecznego obowiązku i chęć wzięcia aktywnego udziału w życiu kraju. Spróbujcie postawić się na miejscu piszącego recenzję książki, której autor – być może – trzymał kiedyś recenzenta na muszce, częstując go jednocześnie cynicznymi uwagami!

Być może nic takiego w rzeczywistości nie miało miejsca. Większość czytelników pierwszego wydania interpretowała sytuację właśnie tak, bezpośrednio przypisując recenzentowi osobowość jednego z drugorzędnych bohaterów książki. Dlatego przed osiemdziesięciu pięciu laty „Wybrakówka” z przedmową Bolszakowa stała się wydarzeniem literackim sezonu. Miejmy nadzieję, że zastosowany wtedy sposób prezentacji utworu i teraz pozwoli czytelnikowi na pełniejsze docenienie wszystkich zalet i uroków oddawanej w jego ręce książki.

Oczywiście anonimowy brakarz, który Bolszakowa podejrzewał w autorze książki, był dla niego osobistym nieprzyjacielem i prawdziwym wrogiem narodu. I jeżeli abstrahować od niezbyt trafionych (a z dzisiejszego punktu widzenia zupełnie zbędnych) epitetów kierowanych pod najróżniejsze adresy, których Bolszakowowi nie udało się zresztą ukryć pod pseudonaukową terminologią, zrozumiecie, jak straszną nienawiścią kierował się ten niewątpliwie wybitny człowiek.

Sam tego nie dostrzegając, całą duszą opowiadał się za „siłą i sprawiedliwością”. Jego chęć „unicestwienia asbeckiej gadziny” nie ustępuje agresywnością pragnieniu brakarzy oczyszczenia swego kraju z wrogów narodu. Niestety, Wybrakówka z powodzeniem zatrąła humanizm swojego najbardziej zacieklego krytyka. Bolszakow nie jest co prawda gotów do rozprawy z Gusiewem za pomocą jego własnego oręża – to znaczy strzelając. Ale to już raczej skutki wychowania lub zahamowania psychiczne, niż sposób widzenia świata.

Wynika z tego, że z końcowym wywodem recenzenta można się nie zgodzić. Wybrakówka (rozumiana oczywiście jako zjawisko społeczne, a nie książka) osiągnęła swój cel. Jakkolwiek może się to komuś wydać ponure, ale właściwe wielu Rosjanom uśpione okrucieństwo przeniesiono na nowy poziom, znacznie bardziej aktywny. Pokazano (i udowodniono) ludziom, że nie tylko gotowi są zabijać, ale mogą się tym zajmować jak codzienną, nudną pracą. Wybrakówka faktycznie zastąpiła stary motyw „rosyjskiego buntu, bezmyślnego i bezlitosnego”, wykorzystując naturalną skłonność niedojrzałych osobowości do rozwiązywania problemów drogą siłową. Ludziom oficjalnie POZWOLONO na bunt „w imię wszystkiego, co dobre, i przeciwko wszystkiemu, co złe” (uporczywie wbijając im w głowy partykułę stwierdzenia „w imię”). I oni się zbuntowali, z czysto rosyjską przesadą unicestwiwszy co piętnastego z NAS. Dlatego wszelkie próby przedstawienia Wybrakówki

jako zjawiska obcego, narzuconego z zewnątrz, nieznanego rosyjskiej psychice, są niestety bezpodstawne.

Sami to wymyśliliśmy. I nie pierwszy raz.

Antyutopie dawno wyszły z mody. Ale sęk w tym, że powieść „Wybrakówka” wcale nie ma charakteru antyutopii. To tylko jeszcze jedna prawdziwa historia z naszego życia. Im bardziej weźmie sobie czytelnik do serca jej destruktywny patos, tym więcej będziemy mieli szans na to, że starszy pełnomocnik Gusiew i aspirant pełnomocnik Waluszek nie wstaną z mogił, żeby zastukać do naszych drzwi.

Za taką wolność też jednak trzeba płacić. Tak więc nawet nie śmieście marzyć o nocnych romantycznych spacerach po Moskwie.

OMEKS, redakcja książki historycznej.

Wydawnictwo wyraża podziękowanie potomkom generała-lejtnanta Łarionowa i generała-majora Pietrowa, którzy uprzejmie udostępnili pracownikom OMEKSU codzienne zapiski i inne dokumenty z rodzinnych archiwów.

Generalny sponsor – Światowa Fundacja Weteranów Służb Operacyjnych (oddział rosyjski).

Generalny sponsor informacyjny – broniąca praw człowieka gazeta „Echo Moskwy”.

Inni sponsorzy informacyjni – Fundacja Pamięci Ofiar Represji „Prawda”, grupa obrońców praworządności „Zew Trzystu”, Państwowa Komisja Praw Człowieka administracji Prezydenta Republiki Białoruskiej, Archiwum Pamięci Głównego Zarządu Obozów Karnych i Ciężkich Robót.

# OPRAWCY I SZERYFOWIE

*Moskwa, luty 2015*

Jak wiadomo, główne zadanie pisarza zostało sformułowane jeszcze przez Ernesta Hemingwaya i większość współcześnie żyjących ludzi pióra uważa takie podejście do twórczości jeżeli nie za jedyne z możliwych, to z pewnością za najbardziej produktywne. Idea bezwzględnej szczerości autora utworu w opisywaniu myśli i postępów bohaterów, koncepcja „prawdy, która wejdzie w świadomość czytelnika jak część jego własnego życiowego doświadczenia”, znalazła swoje odbicie w umysłach przedstawicieli postępowej inteligencji i zrodziła silny nurt literacki, który dziś można uznać za główny w naszym kraju, i w innych najbardziej rozwiniętych państwach naszego globu.

Niezbyt wyrobiony czytelnik mógłby sądzić, że tekst, który mam honor komentować, z powodu wielu zewnętrznych przyczyn całkowicie mieści się we współczesnym „głównym nurcie”. Naprawdę jest nieco inaczej. Niewątpliwie „Wybrakówka” jest prawdziwa w modelowaniu całego szeregu specyficznych sytuacji i emocjonalnej reakcji postaci na te sytuacje. Co więcej, wśród całej grupy utworów opisujących okres, kiedy w Związku Słowiańskim ustalano totalitarny reżim głoszący tak zwany „dwustopniowy wymiar sprawiedliwości”, książka ta jest pozycją kardynalną, ponieważ kreśli rozwój wydarzeń, jak to się mówi: „od środka”. Fantazja autora pozwala czytelnikowi znaleźć się niejako tuż za plecami działającego pracownika Agencji Społecznego Bezpieczeństwa (dalej nazywanej ASB), przyrzuć mu się z bliska, a w niektórych przypadkach zajrzeć mu w duszę.

Zechciejcie jednak się zastanowić – o co się wzbogacie, jeżeli przejdziecie tę drogę. Jaka właściwie prawda stanie się częścią waszej świadomości, jakby była waszym własnym doświadczeniem?

Jeżeli nie odczuwacie palącej potrzeby przyjrzenia się z bliska pracy kata i oprawcy, żadnej takiej prawdy nie doświadczycie i nie zyskacie żadnego pożytecznego doświadczenia. Zresztą, nazywając bohatera „Wybrakówki” katem, obrażam uczciwych przedstawicieli tego zawodu (który, godzi się stwierdzić, zaniknął w Rosji z braku zapotrzebowania i perspektyw po ustanowieniu moratorium na wykonywanie wyroków śmierci w latach 90. XX wieku, i idącej za tym rezygnacji z kary śmierci jako instrumentu społecznego systemu



penitencjarnego). Zwykle tak zwany „wykonawca”, to znaczy pracownik państwowy fizycznie realizujący wyrok śmierci, wcześniej otrzymywał do wglądu akta skazańca i dokładnie się z nimi zaznajamiał, żeby oszczędzić sobie duchowych rozterek. Bohaterowie „Wybrakówki”, odczuwający głęboką moralną satysfakcję z wykonywanej pracy, specjalnie do zabójstwa nie muszą się przygotowywać. Sami są oskarżycielami i wykonawcami wyroków, jak legendarni szeryfowie na Dzikim Zachodzie.

Należy jednak wziąć pod uwagę fakt, że w odróżnieniu od brakarza określenie „amerykański szeryf” nie było nazwą rodzaju ciężkiej choroby nerwowej, a stanowiska obieralnego przez współobywateli.

Niełatwo orzec, jakie miejsce wyznacza takim bohaterom skala wartości współczesnej beletrystyki. Ale jeżeli przypuścić, że mieli realne prototypy i zastosować do nich ogólnospołeczne miary, to wielkość owa dąży do minus nieskończoności. Jako człowiek, który nie jest specjalistą, uważam, że i opisywany w książce czas i jego „wyraziści” przedstawiciele zasługują tylko na jedno – jak najszybsze zapomnienie, jako kolejne źródło naszej hańby.

Co prawda i ci, którzy z obowiązku służbowego muszą zagłębiać się w szczegóły, znajdują w nich wiele rzeczy odrażających, ale nie bardzo zasługujących na uwagę.

Wewnętrzny świat brakarzy nie przedstawia sobą żadnej wartości dla psychoanalityka, ponieważ podobne przypadki są klasyczne i zostały szczegółowo opisane w podręcznikach.

To samo mógłby powiedzieć historyk o opisywanym w książce okresie historycznym. Wszystko to już w Rosji było – i to nie raz. Najogólniej rzecz biorąc działalność pełnomocników ASB przypomina rajzy opryczników Iwana Groźnego – tyle że wynaturzonych i mających silne poparcie społeczne dzięki informacyjnemu naciskowi na szerokie masy. Mało kto dziś wie, że pierwotnie ASB miało być ściśle utajnioną agendą służb państwowych, powstałą w celu zastraszenia „bojarów”. W momencie „puczu styczniowego” szkielet ASB był już sformowany i tylko niespodziewane przetasowania na szczytach władz doprowadziły do tego, że ASB przeznaczono zupełnie nową rolę. Co zresztą wcale nie wpłynęło na los tak zwanych „oligarchów” – ci mieli na sumieniu dostatecznie wiele udowodnionych grzechów, żeby znaleźć się na czele list wrogów narodu i zostać pierwszymi ofiarami brakarzy.

Godzi się też powiedzieć, że rozprawa z „oligarchami” jest jedynym mniej lub bardziej pozytywnym wynikiem działalności ASB. Oczywiście, słowo „rozprawa” zastosowano tu w znaczeniu gryzącej ironii.

Krótko mówiąc, sytuacja tamtych lat była na tyle przejrzysta, że właściwie nie ma o czym pisać. Najogólniej rzecz biorąc można ją opisać jako ułomność państwowotwórczej myśli, pomnożoną przez brak umiejętności i maniakalną żądzę władzy. W wyniku tego otrzymuje się totalitarną ideologię i okrucieństwo podniesione do rangi prawa, a ściślej rzecz biorąc postawione ponad prawem pod postacią ASB.

Nie dziwnego, że powieść „Wybrakówka” pozostała prawie niezauważona przez wybitniejszych specjalistów, choć wywołała burzę wśród krytyków literackich. Tym ostatnim nie czyni honoru nadmierna wrzawa, jaką podnieśli wokół banalnego „dreszczowca” z pretensjami do psychologizowania. Co – należy stwierdzić przy tej okazji – można usprawiedliwić tylko kiepskim poziomem informacji w kręgach literackich. Rzeczywistym zadaniem tego komentarza jest udzielenie profanom jak najbardziej jasnych i prostych odpowiedzi na niektóre pytania, jakie mogą się zrodzić podczas lektury tej powieści.

Mnie osobiście jako badaczowi, którego młodość przypadła na lata opisywane w książce, i który na dodatek ma stały dostęp do niektórych zachowanych dokumentów, niełatwo powstrzymać się od sarkastycznych uwag z powodu licznych niedokładności w szczegółach i błędów koncepcyjnych, jakich się dopuścił autor. Znacznie ważniejsze jednak wydaje mi się rozpatrzenie stanowiska autora, które w „Wybrakówce” zajmuje jawnie i wyraziście.

Do charakteryzacji tego stanowiska mógłbym użyć jednego tylko słowa – „tchórzliwe”. Osądźcie sami. Opisując gwałt i przemoc, autor szczegółowo przedstawia nam mechanizm jego realizacji i niszczące działanie, jakie tenże gwałt i przemoc wywierają na człowieka. Odkrywając przed nami wewnętrzny świat bohatera ze wszystkimi jego obrzydliwościami i okropnościami, autor uporczywie stara się usprawiedliwić tego człowieka i staje w jego obronie, podrzucając czytelnikowi niedwuznaczne (choć wątpliwe pod względem prawdopodobieństwa sytuacyjnego i psychologicznego) przykłady na to, że bohater nie jest tak zły, jak mogłoby się to wydawać. I wreszcie, opisując idylliczne obrazki codziennego, szczęśliwego i beztróskiego życia mieszkańców Moskwy (które ci ostatni oczywiście zawdzięczają działalności ASB), autor stwarza wrażenie, które przeciętnego czytelnika wbrew jego woli – i prawdzie! – zmusza do przyznania, że w tym okrutnym świecie „porządnym człowiek” nie miał się czego obawiać.

Pozwólcie w takim razie, że zapytam – czyjaż więc stronę zajmuje autor? Zabrawszy się do oczerniania nieludzkiego systemu, tak czy owak staje w jego obronie. Przedstawiając pozytywne (!) strony wcielanej w życie „Teorii Przemocy Nadrzędnej”, jakby mimochodem odslania przed czytelnikiem galerię odrażających typów, którzy wspomnianą teorię realizowali w praktyce. I zupełnie uczciwie pozostawia – jakoby! – czytelnikowi rozstrzygnięcie, co jest złem i co jest dobrem.

Znaczącą rolę w tym swoistym pudrowaniu mózgu odgrywają epigrafy do rozdziałów. Oczywiście są czystej wody woskiem do zalepiania uszu, ale w istocie nie można im niczego zarzucić – dlatego wosk ów jest niezwykle skuteczny.

Powstaje wrażenie, że autorowi po prostu zabrakło odwagi do ujawnienia swojej twarzy i stanowiska, które w istocie rzeczy zajmuje. Sądzę, że czytelnik bez trudu zrozumie, jakie stanowisko mam na myśli.

Czy można to nazwać inaczej, niż tchórzostwem?

Oczywiście, autor zupełnie celowo wybrał dla książki okres, w którym kraj cieszył się

względny dobrobytem. Przypomnijmy – podczas ostatnich lat władzy tak zwanego Rządu Zaufania Narodowego, Związek w istocie pomyślnie rozwijał się ekonomicznie, a przestępczość stłumiono niemal w stu procentach. Powstające wszędzie Instytuty Psychiatrii Penitencjarnej faktycznie zminimalizowały nawet przejawy odchyłek od umownej normy (o ile nie liczyć pracowników ASB, swobodnie spacerujących po ulicach i siejących postrach samym swoim wyglądem). Surowe (doprowadzone wręcz do okrucieństwa) egzekwowanie wymogów ekologicznych znacznie uzdrowiło stan powietrza wielkich miast. Dodajmy do tego istotne obniżenie podatku dochodowego, wyraźne podwyżki pensji pracowników państwowych i emerytów, a także zupełnie nieodpowiadający rzeczywistości, ale zadowalający z punktu widzenia ogłupiałych mas, zewnętrzny kurs wymiany rubla (otóż i macie źródło dzisiejszej hiperinflacji!). Wszystko to tworzyło w świadomości znacznej części społeczeństwa stan lekkiej euforii i stosunkowo przychylne nastawienie do częściowego ograniczenia praw obywatelskich. Taka polityka połączona z dokładną filtracją potoków informacyjnych nie mogła nie stworzyć w oczach ludzi iluzji, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Na świadomość ogółu szczególne wrażenie wywarło otwarcie granic i opublikowanie obiektywnej (!) statystyki dotyczącej emigracji, anormalnie niskiej jak na państwo totalitarne. Biorąc pod uwagę wyżej wymienione czynniki, nie można nie przyznać, że Rząd Zaufania Narodowego mógłby jeszcze utrzymać się przy władzy kilka lat, dopóki nie zostałyby obalony przez sprzeciw społeczny wywołany podskórnymi, coraz silniejszymi destrukcyjnymi procesami ekonomicznymi. Z drugiej strony ta ogarnięta niszczycielskim zapalem władza nie mogła powstrzymać się od zwrócenia przeciwko samej sobie.

Wybór takiego akurat czasu zdejmuje poniekąd z autora część odpowiedzialności. Nie ma on – pozornie – obowiązku opowiadania o masowych rozprawach, dokonywanych przez jego bohaterów, ponieważ w opisywanym okresie takich nie zaobserwowano. Jak zupełnie słusznie mówi w powieści główny bohater swojemu partnerowi, neoficie: „Po coś tu przyszedł, my już wszystkich pozabijaliśmy!”. Co więcej, autor przydaje swoim brakarzom lekkiego kompleksu winy, też zresztą nie pozbawionego podstaw, ponieważ najwyższy już nań czas. Zewnętrzne oznaki kompleksu też są nakreślone z wielkim prawdopodobieństwem – są dokładnie takie, jakie powinny być u osobowości patologicznych – niewyraźne i rozmyte. Brakarze po prostu nie pojmują, z jakiego powodu odczuwają wstyd. Nawet anegdotyczne przeniesienie jego przedmiotu, wyrażające się w kategorycznej niechęci do wybijania i odstrzału bezpieczeństwa psów, które „niczemu nie są winne”, podobno zdarzało się faktycznie.

Dobrze podpatrzony został też dziwaczny – z punktu widzenia niewtajemniczonego – system wyboru współpracowników ASB. W pierwszym rządzie nie liczyło się doświadczenie operacyjne i umiejętność radzenia sobie w ekstremalnych sytuacjach, ale to, czy kandydat miał osobiste porachunki z przestępcami. I bardzo umiejętnie nakreślono wyzieraające ze wszystkich szczelin, przybierające na sile szaleństwo. Szaleństwo szeryfów – opryczników i

szaleństwo całego systemu. Zostawmy sumieniu autora fakt, że żadnych śladów mitycznej „Teorii Przemocy Nadrzędnej”, otwarcie ogłaszającej państwo swojego rodzaju „Superherszem”, do tej pory nie odnaleziono. Najpewniej w ogóle takiej teorii nie było, zupełnie efektywnie zastąpiło ją „Zarządzenie nr 102”. Równie nieprawdopodobna jest i historia głównego bohatera. Przy całym swoim psychicznym nieprzystosowaniu człowiek ten, gdyby istniał w świecie rzeczywistym, nie chodziłby po Moskwie z igielnikiem i pistoletem, a siłą i na stałe wysiedlonoby go jako opiekuna gdzieś do afrykańskiego buszu, żeby pozbawić go nawet pokus. Absolutnie nieprawdziwa, choć nie pozbawiona określonego mrocznego piękna, jest autorska teoria dotycząca pojawienia się terminu „ptaszek”. W opisywanym przez autora czasie w żadnych państwowych organizacjach i strukturach – a były poobsadzone ponad potrzeby – nie pracował człowiek o nazwisku Paweł Ptaszkin. Państwo miało wtedy pecha do Ptaszkinów. Ale na przykład źródła dokumentalne potwierdzają, że Paweł Gusiew, rzeczywiście w danym okresie pracował jako starszy pełnomocnik ASB, tylko nie w Centralnym Oddziale Moskiewskim, a w Zachodnio-Północnym. W drugim roku działalności Wybrakówki został pojmany i następnie bestialsko zamordowany przez bandytów należących do znanego i dziś bractwa sołncewskiego (warto przy okazji zauważyć, że podobny incydent jest w książce opisany, choć nie bez przekłamań). Niełatwo stwierdzić, co autor wiedział o prawdziwym Gusiewie, jego pochodzeniu i związkach rodzinnych. Sądząc z wyglądu i wieku, Gusiew zabity i książkowy są różnymi ludźmi. Trzeba też dodać, że otwartym pytaniem pozostaje, kim jest Gusiew książkowy i to, do czego autor czyni uporczywe aluzje. A detektywistyczne sztuczki, przy okazji których nie sposób się zorientować, czy bohater łże, czy mówi prawdę, można uznać za kolejny dowód na to, że autor dzieli z czytelnikiem tę samą niewiedzę.

Bezwarunkowo błędnie są postulowane w książce fundamentalne zasady wzajemnych stosunków ASB i milicji. „Zarządzenie 102” bezwzględnie związało ze sobą obie struktury pod względem organizacyjnym, czynnik ludzki i tu jednak wniósł swoje korekty. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych na wszelkie sposoby uchylało się od kontaktów z brakarzami, tak na poziomie wyższego dowództwa, jak w przypadku zwykłego inspektora dzielnicowego. Owszem, nie da się zaprzeczyć, że ASB bardzo aktywnie wykorzystywało milicyjne „naprowadzanie”. Wszystkie działania operacyjno-śledcze w kraju przeprowadzali jak przedtem specjaliści MSW (w Agencji takich po prostu nie było, cokolwiek by o tym mówili niekompetentni dziennikarze, zastępujący wymysłami realną wiedzę). Dane dotyczące osobników podpadających pod „jurysdykcję” ASB przesyłano do Agencji dość sprawnie. Celowo jednak kreślone przez autora ciepłe stosunki pomiędzy brakarzami, wymyślane w zależności od potrzeby, są takim samym fałszem, jak epizod, w którym ment<sup>2</sup> z samobójczą odwagą nazywa Gusiewa herszem morderców. Owszem, ASB wzięło na siebie część milicyjnej roboty, ale robiło to po pierwsze czysto mechanicznie, a po drugie wyjątkowo

---

2 - Ment (ros) pisane przez „en” określenie milicjanta w rosyjskiej kminie

topornie. Było po prostu tak, że znaczna część przestępców, których „Zarządzenie 102” umieszczało w kategorii wrogów narodu, była zatrzymywana – choć hańbą jest nadawanie takiej nazwy tej procedurze – i rozstrzeliwana przez pracowników Agencji.

Czy należy przez to rozumieć, że milicja kryła się za plecami brakarzy i spokojnie czekała na chwilę, w której pozwoli się jej na ponownie zajęcie należnego miejsca? Czy mamy myśleć, że milicjant uśmiechał się w oczy „pełnomocnika”, a gdy ten go mijał, spluwał za nim przez lewe ramię, żeby się zaraz potem przeżegnać? Pierwsze twierdzenie jest nieprawdziwe z samej zasady. Drugie – że zapędzeni do kąta milicjanci znaleźli się w skrajnie niedogodnej sytuacji – najpewniej jest absolutnie prawdziwe. Oczywiście, musieli milcząco czekać na swoją kolej. Głupio jednak rozumowałby ten, kto myślałby, że to oczekiwanie pełne było sarkastycznej radości (wy robicie za nas brudną robotę, a my nie mamy z tym niczego wspólnego). Ludzka nienawiść znacznie częściej zresztą zwracała się ku mentom, niż ku brakarzom. Przecież odpowiedzią na wybuch słusznego gniewu i ostrych słów skierowanych przeciwko stojącemu ponad prawem pracownikowi ASB, mógłby być zabójczy wystrzał.

W książce praktycznie nie poruszono stanowiska Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, a dokładniej nic się nie mówi o wyraźnie zarysowanej linii rozpadu, dzielącego duchowieństwo. Jak wiadomo, oprócz niesławnej pamięci o Ermogena, który ogłosił ASB Wojskiem Chrystusowym, w annałach historii zapisano i świetlaną sylwetkę zmarłego na katordze o. Walentyna (Pokrowskiego). Z niepojętych przyczyn Rosyjska Cerkiew Prawosławna do dzisiaj zwleka z kanonizacją tego ostatniego.

Z nietypowym dla rosyjskiego pisarza zuchwalstwem pominięto w książce problem europejski. Można by pomyśleć, że problem ten dla autora w ogóle nie istniał. A przecież można wysnuć dostatecznie mocno poparte dowodami przypuszczenia, że w opisywanym okresie problem ten rysował się szczególnie wyraźnie i dyskryminacja mniejszości narodowych na terytorium Związku prześcignęła nawet rekordowe wskaźniki czasów jelicynowskich. Oczywiście, rozstrzelano pewną liczbę Żydów – ale działa się to wyłącznie podczas pierwszych lat Wybrakówki – zwykle za przestępstwa związane z wywozem kapitałów (czy trzeba w tym miejscu przypominać, że wedle najbardziej ostrożnych ocen blisko 70% rosyjskich pieniędzy, które podczas minionych dziesięciu lat przepłynęły za granicę, zostało wywiezione przez Żydów?). Prawdopodobnie twierdzenie to nie ma zbyt wielkiej siły dla autora. On w ogóle bardziej jest skłonny do mydlenia czytelnikowi oczu legendami, znacznie bardziej go interesuje rozwinięcie tematu „Memorandum Ptaszkina” i grzebanie się w psychologii brakarza, niż odsłanianie prawdziwych mechanizmów, które zrodziły Rząd Zaufania Narodowego i przymusiły Rosjan do niszczenia i unicestwiania na masową skalę ludzi sobie podobnych. Trzeba też wyraźnie stwierdzić, że w ASB w ogóle nie było Żydów! Nie przyjmowano ich tam ze względów zasadniczych.

Nawet na terytorium Białorusi w oddziałach ASB pracowali wyłącznie Iwanowowie,

Pietrowowie i Sidorowowie, w większej części importowani z Rosji. Braciom Słowianom nie przynosi honoru fakt, że podejrzanie lekko pogodzili się z absurdalną tezą, iż Rosjanie są od nich lepsi w szybkości reakcji i wyobraźni, potrzebnych przy pracy operacyjnej. Z tym, że szybciej kojarzący Rosjanie odwykli już od nazywania Białorusi swoim krajem. W najlepszym przypadku patrzyli na sojusznicze państwo jak na okupowane terytorium – jałowe, nikomu niepotrzebne, pozbawione surowców mineralnych i zalewające rosyjskie miasta tłumami tanich robotników sezonowych. Tych ostatnich szczególnie zaciekle ścigali moskiewscy brakarze – i po pewnym czasie natknięcie się w stolicy na „robola” z Białorusi było tak samo niemal nieprawdopodobne, jak spotkanie żywego Cygana. Można więc z całkowitą pewnością stwierdzić, że ASB jako struktura zebrała w swoich szeregach psychopatów i wykonywała niektóre społeczne zamówienia z tą samą łatwością, z jaką je tworzyła.

Co się tyczy Cyganów, to ich po prostu kopniakami przepędzono z kraju, wysiedliwszy za granice Związku – a można było ich pozabijać. Były w tym pewne rachuby strategiczne – przedstawiciele rosyjskiej cygańskiej diaspory nie wyobrażali już sobie życia bez aktywnego organizowania handlu narkotykami i Rząd Narodowego Zaufania bez najmniejszego skrępowania „dogodził sąsiadom” (zwłaszcza przekornej Ukrainie, która wybiła się na niepodległość), nasławszy na nich tłumy elementów społecznych z kieszeniami pełnymi trucizny. O tym, jak trudne okazało się wykorzenie cygańskiego elementu kryminalnego ze społeczeństwa, zaświadcza nawet Gusiew – wspomniana przezeń bezwzględna strzelanina brakarzy z mentami na rynku Kijowskim w Moskwie jest faktem. A rozpętała się z powodu Cyganów, których panoszenie miejscowi milicjanci traktowali – łagodnie mówiąc – w miarę przychylnie. ASB z właściwą sobie bezpośredniością i taktem spadła na miejsce jak szarańcza – w takiej liczbie, że milicjanci nie mieli najmniejszych szans na wygraną – i to mimo teoretycznej przewagi w jakości posiadanej broni. Pociski z milicyjnych automatów AKSU (w szczególności zaś „klin”) bez wysiłku przebijały lekkie pancerne kurtki „brakarzy”, skonstruowane dla ochrony przed kulami z pistoletów, albo zwały przeciwników z nóg. Ale za to przydziałowe „igielniki” pozwalały pełnomocnikowi ASB beztrąsko siać ogniem po tłumie, waląc winnych i niewinnych (nie zachowały się statystyki wypadków, kiedy paralizatory zabijały ofiary, ale rozmaici specjaliści oceniają liczbę „niezaplanowanych braków” w wyniku indywidualnych „pomyłek” jako nie wyższą, od pięciu, sześciu procent). Tak czy inaczej, pierwsze bardziej zdecydowane próby odpornej reakcji mentów spowodowały takie otwarcie zmasowanego ognia, że po kilku sekundach na ziemi leżeli literalnie wszyscy obecni na miejscu, w tym i kilku asbeków, skoszonych przez swoich. Z milicjantów do domu wróciło jedynie dwóch, przy czym jeden stracił rozum i ostatecznie też został wybrakowany, z drugim udało mi się porozmawiać, ale okazało się, że jest człowiekiem całkowicie i bezdyskusyjnie złamanym. Z jego relacji wynikało, że przesłuchujący go funkcjonariusze ASB odnosili się do niego z przesadną nawet

poprawnością i życzliwością. Nie pamiętał żadnych prób przesłuchań za pomocą środków psychotropowych, odniosłem jednak wrażenie, iż w charakterze „serum prawdy” wykorzystano jakiś nieznany preparat, albo przesłuchiwany został poddany wpływowi hipnotycznym.

Historia ta jest kolejnym dowodem słuszności tezy, że o żadnym szczególnym zaufaniu pomiędzy ASB i MSW nie mogło być mowy. Co więcej – dowództwo sił MSW nie bez podstaw podejrzewało Agencję o chęć zagarnięcia władzy. Gdyby nie fatalna dla asbeków „Druga Rewolucja Październikowa”, kiedy spiskowcy sprowokowali rzeź wewnątrz samej ASB, taki akurat scenariusz miałby spore szanse powodzenia. Ale rosyjski narodowy smok w porę został nakłoniony do wgryzienia się we własne podbrzusze. Wydarzenia październikowe miały daleko idące skutki – oczyszczona w dwóch trzecich Agencja przestała być siłą nieprzewidywalną i niesterowalną. A gdy Rząd Zaufania Narodowego padł rozerwany przez ostatni w jego historii konflikt wewnętrzny, nieliczni ocaleli brakarze weterani nie zdołali utrzymać przy władzy swoich władców. Mogli tylko uciec, zginąć albo złożyć broń. A ponieważ, jak zawsze, przyszli ich aresztować młodszy „koledzy”, niewielu zechciało skorzystać z ostatniej możliwości.

Jak widzicie, człowiekowi znającemu atmosferę tych dni nie tylko z opowiadań, oprócz tego zaś mającemu osobiste doświadczenia z kontaktów z brakarzami (zechciejcie sobie wyobrazić, jakiego rodzaju kontakty mógł mieć z nimi walczący o prawa człowieka reporter nielegalnej gazety), trudno nie zagłębiać się w szczegóły. „Chwytywanie pcheł” w pseudohistorycznym literackim tekście jest zajęciem dość nużącym i dostarczającym wątpliwej satysfakcji. Wydało mi się jednak ważnym określenie, na ile w strasznych wydarzeniach owych dziesięciu fatalnych lat orientuje się sam autor. Poszukiwanie „hemingwayowskiej prawdy”, na które powoływałem się w akapicie otwierającym powyższy tekst, dało konkretne rezultaty. Jakkolwiek dziwne mogłoby się to wydawać, doszedłem do prawie jednoznacznego wniosku. Wszystko wskazuje na to, że autor żył w Rosji w tamtych czasach i brał aktywny udział w wydarzeniach. A rozrzucone w tekście wyraźne znaki pozwalają postawić hipotezę – podkreślam, że to tylko hipoteza! – iż jego działalność miała zupełnie określony charakter. I być może niektóre zniekształcenia, jakich dopuszcza się autor, są tylko kamuflażem.

Jak wiadomo, pisarz jest istotą szczególną, obdarzoną umiejętnością podpatrywania i analizowania niuansów i odcieni w stosunkach międzyludzkich, które umykają wzrokowi zwykłych obywateli, do jakich zaliczam i siebie. Doświadczony pisarz, dysponujący większą ilością wstępnie opracowanej informacji, potrafi modelować sytuacje, których osobiście nigdy nie widział (nie bez powodu tak bardzo prawdopodobne bywają najbardziej wybitne powieści fantastyczne!). W danym przypadku jednak nie umiem się oprzeć wrażeniu, że niektóre sytuacje, a zwłaszcza dialogi „Wybrakówki” zostały spisane – że tak powiem – z natury. Tak właśnie było w rzeczy samej. Albo przynajmniej powinno.

Mimo wszystko nie jest to prawda. To tylko bardzo zręczna imitacja prawdy. Rzeczywista prawda moskiewskich ulic, zaułków i mieszkań była *znacznie gorsza*.

Zaryzykuję też stwierdzenie, że autor doskonale ją znał. Dlatego skrył się za rogiem, wstydliwie ukrywając przed nami swoją twarz. Lepiej byłoby, gdyby ją nam uczciwie pokazał. Brak autorskiej pozycji i komentarza, jest największą wadą tej książki, która zamierza się na problem, ale nie zadaje ciosu.

Modny niegdyś chwyt literacki – odsunąć się na bok i zostawić czytelnika sam na sam z tekstem – w tym konkretnym wypadku błędnie został wybrany przez autora i nie wytrzymuje krytyki. Czasy tak zwanej Wybrakówki są zbyt bolesnym okresem w historii naszego kraju, żeby autor mógł kryć się w cieniu. Nie zagoiły się jeszcze rany i nie wszyscy przestępcy trafili tam, gdzie ich miejsce. Odpoczywający w bananowych republikach wodzowie „styczniowego puczu” i członkowie Rządu Zaufania Narodowego wciąż jeszcze udzielają obszernych wywiadów we wrogich naszej ojczyźnie wydawnictwach i mediach. Do tej pory nie wypracowano stosunku do „młodziaków” – pełnomocników ASB z drugiego naboru, którzy zwykle nie zdążyli się jeszcze zhańbić w dostatecznym stopniu, i dlatego ich głównym zadaniem okazała się neutralizacja starszych kolegów. Czy nie wydaje się wam, że akurat w takim czasie podobne „Wybrakówce”, bezosobowe i umyślnie „obiektywne” publikacje są co najmniej nie na miejscu?

Dziesięciolecie Wybrakówki, w którym wedle niektórych źródeł bestialsko wymordowano do dziesięciu milionów Rosjan (włączając w to pozbawiane życia noworodki z wadami rozwoju i nie licząc przerywanych wbrew woli przyszłych matek cięż, których statystyki nie obejmują), boleśnie ugodziło nie tylko w naszą ojczyznę, ale przetoczyło się echem po całym świecie. Wynieśliśmy z tego koszmaru tylko jedno – świadomość, że gwałt i przemoc jako metody leczenia społeczeństwa są absolutnie nieproduktywne. Bardzo to oryginalna i nowa myśl, nieprawdaż? Chciałoby się zadać pytanie: czyżby przed oczami kremlofskich zbrodniarzy ani razu nie stanęły obrazy historycznych analogii? Okazuje się, że nie. Jediną pozytywną stroną tej książki jest potwierdzenie tezy, że Rosją – jak zawsze – kierowali maniakalni, pozbawieni wszelkich skrupułów miłośnicy władzy rekrutujący się z kompletnych nieuków i tępaków. W rzeczywistości potwierdzanie tego jest zbędne, ponieważ fakt ten jest doskonale znany każdemu myślącemu i jako tako wykształconemu człowiekowi.

W ramki doświadczeń historycznych znakomicie się wpisuje też fakt, że twórcy paranoicznego „neospartańskiego” modelu społeczeństwa w sumie skierowali własne psy łańcuchowe jedne przeciwko drugim, poprzegryzali sobie gardła i stracili władzę. Sama zaś Rosja – nieugięta, niezwyknięta i nie poddająca się jakimkolwiek nakazom rozumu (we wszystkich znaczeniach tych słów) – przetrwała. Najogólniej rzecz biorąc znów wróciliśmy do pewnego punktu w naszej historii, doskonale opisywanego przez bardzo pojemne słowo „rozruch”, od którego – chwała Bogu! – zaczyna się marsz ku lepszemu. I jeżeli ktoś potrafi się zmusić do tego, żeby zapomnieć o milionach niewinnie pomordowanych, to może mu się



wydać, że w naszym kraju nic się właściwie nie stało. Dziesięć lat przeminęło z wiatrem – to wszystko. Wybrakówka – jeżeli rozpatrywać ją w oderwaniu od krwawych realiów, jak zwykły proces historyczny – nie osiągnęła celu, nie dała żadnych pozytywnych rezultatów i nie dokonała absolutnie niczego.

Z całkowitą pewnością można to samo powiedzieć o niniejszej publikacji.

*Iwan Bolszakow*  
*Naczelny redaktor broniącego praw człowieka*  
*dziennika „Echa Moskwy”*

*Specjalnie dla OMEKS*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kroniki zaświadczają, że za jego rządów można było rzucić na ulicę złotą monetę i po tygodniu znaleźć ją nietkniętą w tym samym miejscu. Nikt nie ośmieliłby się nie tylko przywłaszczyć sobie cudzego złota, ale nawet go dotknąć. A wszystko to działo się w kraju, gdzie przed dwoma jeszcze laty złodziejów i włóczęgów było nie mniej, niż uczciwie pracujących mieszczan lub rolników! W jaki sposób dokonał takiej metamorfozy? Bardzo prosto – było to wynikiem planowego i systematycznego oczyszczania przezeń społeczeństwa z tak zwanych „elementów aspołecznych”.

Dzielnicowy Muraszkin leniwym krokiem przemierzał powierzony jego nadzorowi teren. Podwórka Drugiej Francuskiej zawsze były uważane za względnie spokojne miejsce, a teraz to już w ogóle można tu było zdechnąć z nudów. Szczególnie wtedy, kiedy do twoich obowiązków należy obrona porządku publicznego. Muraszkin grzecznie wymieniał pozdrowienia z siedzącymi na ławeczkach babuniemi i uśmiechał się do dzieci, wesoło machających mu rączkami z wnętrz jaskrawych, miniaturowych miasteczek na placykach zabaw. W pewnej chwili los spojrział nań przychylniejszym okiem – znany mu jegomość grzebał w silniku „Moskwicza” – ale okazało się, że usterka jest nieznaczna i nawet pogadać porządnie się o niej nie dało.

Pokryty zeschniętą oliwą pistolet, wiecznie milczący radiotelefon i skórzany mapnik z wyblakłymi blankietami protokołów wydawały mu się absolutnie niepotrzebnymi i mocno go irytowały. Otaczający go świat był sterylny, czysty i na pierwszy rzut oka absolutnie bezpieczny – wypucowany asfalt, równo poprzycinane klomby i spokojne twarze przechodniów. Muraszkin zajrzał do kilku sklepów, porozmawiał z ospałymi dla zwykłego okołopołudniowego braku klientów sprzedawczyniami i ostatecznie upadł na duchu. Usiadłszy na ławeczce przy skwerku zapalił papierosa i nie bez smutku stwierdził, że znów nie ma absolutnie nic do roboty.

Inny na jego miejscu cieszyłby się, ale dzielnicowy Muraszkin był, na swoje nieszczęście, człowiekiem obowiązkowym. Już w dzieciństwie doszedł do wniosku, że dobro musi mieć mocne pięści, i jeżeli opowiadasz się po stronie dobra, a przeciwko wszelkiemu złu – trzeba coś robić. Ponieważ nie posiadał żadnych szczególnych zdolności, pociąg do naprawiania

świata zrealizował w najbardziej prosty z możliwych sposobów – po odbyciu służby wojskowej wstąpił do milicji. I zaledwie poczuł się na swoim miejscu, kiedy w całym kraju nastąpiły gwałtowne zmiany. Podczas pierwszych dni okazało się, że nowa władza swoim słynnym „Zarządzeniem nr 102” wylała na ulice falę przemocy. Fala jednak szybko spłynęła porywając ze sobą niemal wszystkich tych, którzy przeszkadzali i uniemożliwiali spokojne życie pozostałym obywatelom, uczciwie płacącym podatki. A w ich liczbie i dzielnicowemu Muraszkinowi.

Trzeba tym przeklętym brakarzom oddać to, co im się należy – przeczesali miasto bardzo drobnym grzebieniem.

Z tych, których wybrakowali, nie wrócił ani jeden osobnik. Brakarze nie bez powodu nazywali swoje ciężarówki „karawanami”. Nieważne, czy cię zabrano z brudnego mieszkania komunalnego (a przecież znikły te „komunałki” w ciągu roku!), czy z rozkosznego apartamentu na szczycie luksusowego wieżowca – o, stoją tu na bulwarze – wyrodek zniknął, zwalniając miejsce dla normalnego, uczciwego, porządnego człowieka.

I jakkolwiek nieprzyjemne byłoby przyznanie, że tuż pod twoim nosem operuje siła, której nie krępuje prawo, skuwające same siebie żelaznymi okowami – Muraszkin nie wściekał się na brakarzy. Rozumiał, że są to działania przejściowe. W „Zarządzeniu 102” tak zresztą napisano, czarno na białym. Jeszcze dwa, góra trzy lata... Dlatego Muraszkinowi nigdy nie przyszło do głowy, żeby zaciągnąć się do ASB. Jego obecna bezczynność dostatecznie wyraźnie mu mówiła, czym jest wykluczenie poza nawias życia społecznego. A przecież to właśnie czeka każdego z tych, którzy teraz, zamiast Muraszkina, narażają się na bandyckie kule. Co prawda, jacy tam teraz są bandyci... Wszystkich pozabijali. A tych, których nie zabili, zesłali na dożywotnią katorgę. Zupełnie zresztą słusznie. Pohulaliście, chłopaki, na nasz rachunek, to teraz popracujcie dla wspólnego dobra...

Mimo wszystko ciekawe, czym zajmą się chłopaki z ASB, kiedy praworządność wróci na zwykłe tory i milicja ze służby profilaktycznej znów zacznie zajmować się tym, czym powinna. Dziwni ludzie są w tej Agencji. Szczególni – by nie powiedzieć za wiele. „Niektórzy zresztą wcale nie krępują się mówić” – pomyślał Muraszkin. I natychmiast sobie przypomniał, jak w zeszłym tygodniu na posterunek zaszedł brakarz. Czegoś tam potrzebował od komendanta. Muraszkin, który akurat nie miał niczego do roboty i siedział na dziedzińcu, czekając, kiedy chłopaki wrócą z obchodu i będzie można razem skoczyć na piwko, od razu zwrócił na niego uwagę. Niewysoki, około czterdziestki, szczupły i z widocznie przeredzonymi czarnymi włosami... „Skromny taki. Z pieszczotliwymi oczami zabójcy”. Jeden z oficerów, najwyraźniej znający brakarza osobiście, niemal od progu zawołał: „Ale gość... i bez kajdanek! Popatrzcie tylko, kto przyszedł! Przecież to Pe Gusiew we własnej osobie, herszt oprawców!”.

Muraszkiną aż skreśliło od środka. A ten Gusiew po prostu kiwnął oficerowi głową, jakby akurat tak należało go witać. Pokazał dyżurnemu swoją oznakę i poszedł do komendanta.

Tak, kiepsko będzie z brakarzami, kiedy ich usługi przestaną być komukolwiek potrzebne. A przecież milicjanci w zasadzie powinni im się nisko kłaniać. Muraszkin doskonale pamiętał czasy, kiedy jego samego, człowieka w szarym mundurze, ludzie unikali jak trędowatego. Teraz go lubili. Maluchy same w ręce mu się pchają, dorośli nie kręcą mordami, ale pierwsi uprzejmie pozdrawiają...

Muraszkin palił i zastanawiał się, co on właściwie tu do cholery robi. Mógłby pójść do punktu oporu i pograć sobie do woli na kompie. Mógłby wpaść do domu i sprawiając przyjemność żonie, przygotować coś na obiad... W telewizor za dnia nie ma się co gapić – pokazują radzieckie filmy albo walą po oczach propagandówkami na temat, jak dobrze się żyje w Związku. Żyje się w rzeczy samej nieźle, ale nudno. Dzielnicowy zajrzał za pazuchę w nadziei, że może przypadkiem wyłączył radio. Ale dioda zasilania płonęła czerwonym światłem, a z głośnika dochodził cichutki szum.

A może złożyć jedną czy dwie profilaktyczne wizyty? Sprawdzić na przykład, czy ta idiotka Tatiana znów nie nawaliła się jak autobus... Albo po raz setny wyjaśnić staremu złośliwcowi i nudziarzowi Dundukowowi – cholera, co za nazwisko! – żeby dał sobie spokój z pisaniem na nią anonimów, bo papierki z podpisem: „Bojownik o obyczajność” i tak natychmiast lądują w koszu...

Od niedalekiej szkoły doleciało przeraźliwe wycie, jakby tam kogoś rznął bardzo tępym nożem. Muraszkin nawet nie odwrócił głowy – wiedział, że w szkole zaczyna się długa przerwa. Ale jego myśli wędrowały już w określonym kierunku. Faktycznie trzeba zajrzeć do Tatiany. Kiedy się narąbie, przesiadują u niej rozmaite typki. Zachowują się zwykle spokojnie, nic nie dzieje się wbrew prawu, ale dwóch niezrównoważonych ludzi w jednym pomieszczeniu, to już powód do jakiegoś zajścia. A jak się jeszcze napakują po uszy? Żeby tylko nie skrzywdzili córki.

Bezdzietny Muraszkin mocno brał sobie do serca kłopoty, jakie sympatycznym dzieciom sprawiali źli, nieprzystosowani społecznie rodzice. Gdyby tylko mógł, siłą odebrałby Tatianie jasnowłosą, sześciolletnią Maszeńkę i sam by ją adoptował. Prędzej czy później jej matka schleje się i albo trafi na przymusowe leczenie, albo do łagru. Do tego czasu zdąży jednak dziecko zepsuć. Szkoda.

Więc do Tatiany, od razu. Muraszkin cisnął niedopałek do popielniczki, wstał i szybkim krokiem ruszył w głąb dzielnicy.

Już wchodząc na piętro dzielnicowy poczuł niejasny niepokój. A gdy podnosił rękę do dzwonka, usłyszał osobliwy, przytłumiony dźwięk zza drzwi. Ni to jęk, ni to płacz. Za szerokimi drzwiami działo się coś niedobrego. Muraszkin zadzwonił. Żadnej odpowiedzi. Zadzwonił ponownie. Wewnątrz ktoś poruszył się niespokojnie, ale zaraz wszystko ucichło.

– Otwierać! Dzielnicowy! – zawołał Muraszkin.

Ponownie usłyszał ten sam dźwięk. Teraz już wiedział – płakało dziecko.

Nie miał już żadnych wątpliwości – tam w środku działo się coś złego. Cofnął się pod

przeciwległą ścianę, odepchnął od niej i runął przed siebie, uderzając w drzwi ramieniem. Wpadł do mieszkania razem z nimi, przewrócił się, zerwał na nogi i skoczył przed siebie.

Gospodyni leżała w korytarzu. Niewiele brakowało, a Muraszkin by na nią wleciał razem z drzwiami. Zresztą, w pierwszej chwili dzielnicowy uznał ją za martwą. Tatiana jednak nagle otworzyła oczy, przez chwilę tępo gapiła się na Muraszkina, a potem wymamrotała:

– Jeszcze i ty? A idźże w chuj!

Po czym z głośnym stuknięciem opuściła głowę na podłogę i chyba zasnęła.

Muraszkin pchnął drzwi i skamieniał. Przed nim stał jakiś nieznajomy, podpity mężczyzna i pospiesznie wpychał koszulę w spodnie. A w kącie pokoiku skulona Maszenka zalewała się łzami, rozmazując coś białego i lepkiego na ubrudzonej gębusi.

Dzielnicowy przestał się wahać. Od tej chwili działał szybko i zdecydowanie.

I z taką zimną krwią, jak jeszcze nigdy wcześniej.

Dzwonek telefonu obudził Gusiewa w południe. Nie otwierając oczu zwiesił się z łóżka i zaczął macać ręką po podłodze. Dziwna rzecz, słuchawki znaleźć się nie udało, a pozycja okazała się bardzo niewygodna – jakiś wałek uciskał mu brzuch. Po chwili dłoń zahaczyła o coś szklanego, co natychmiast się przewróciło i gdzieś potoczyło. Zwęszywszy jakiś spisek Gusiew otworzył oczy i odkrył, że leży w poprzek swojego ulubionego fotela w saloniku, a na podłodze w malowniczym nieładzie walają się puste butelki po piwie.

Charcząc i postękując, Gusiew zsunął się na podłogę i zaczął trącać nosem butelki, hołubiąc skrytą nadzieję, że choć jedną wczoraj oszczędził. Odrobinę płynu, żeby splukać mózg. I odzyskać zdolność mowy, ponieważ telefon, sądząc po uporczywym brzęczeniu, zamierzał jednak mu dopiec i wezwać do odpowiedzi.

Okazało się, że butelki są puste. Gusiew nie bez trudu podniósł się na nogi i powłókł do kuchni. Przechodząc przez drzwi zdjął słuchawkę bezprzewodowego telefonu i obiema rękoma przycisnął ją do piersi, starając się choć tak stłumić sygnał.

Słuchawka chrząkała z uporem godnym lepszej sprawy. Albo pomylił numer właściciel jakiegoś faksu z modemem, albo dzwonił człowiek znający zwyczaje oraz bałaganiarstwo Gusiewa i absolutnie pewien, że zastał abonenta w domu. Gusiew wolałby pierwszą z możliwości, ale w cuda nie wierzył. Z zasady. Uporczywe dzwonki najpewniej wieszczyły kolejną nowiutką, prosto z pieca, nieprzyjemność.

Telefon umilkł na progu kuchni i to tak nieoczekiwanie, że Gusiew aż się zatrzymał i podejrzliwie łypnął okiem na słuchawkę. A potem, oprzytomniawszy chwilowo, wetknął ją gdzieś (okazało się, że był to zapchany brudnymi naczyniami zlewozmywak) i skoczył ku lodówce.

Na półeczce znalazł skarb ukryty na czarną godzinę – dwie butelki „Bałtiki” nr 3. Gusiew rozejrzał się, szukając wzrokiem otwieracza, doszedł do wniosku, że przyrząd po wczorajszym pijaństwie z pewnością jest w pokoju, i nie namyślając się długo, wcisnął kapsel

w brzeg zlewozmywaka. Trzasnął lekko z góry otwartą dłonią (kapsel w dźwięcznym cmoknięciem spadł mu pod nogi) i łapczywie przypiął się do butelki.

Po kilku sekundach butelka opróżniła się do połowy, a w oczach Gusiewa pojawił się błysk, który przy odrobinie dobrej woli można by uznać za rozumny. Brakarz ciężko westchnął, usiadł przy kuchennym stoliku i w myślach skłął od ostatnich bydlaka, który obudził go przed czasem. Gusiew nie odczuwał dolegliwości kaca, ani nie był rozbity fizycznie. Był po prostu jeszcze solidnie pijany. Powinien dopić piwo, rozebrać się i walnąć do łóżka. Choć na trzy, cztery godzinki. Instruktaż przed nocką o siedemnastej. Choć co to za nocka – tylko zajść i wpisać się do grafika... Nie ma już trójki Gusiewa. I diabli wiedzą, kiedy mu dadzą choć jednego stażystę. A samego brakarza nikt na robotę nie puści. Różne rzeczy mogą mu do łba strzelić.

Instrukcja bardzo dokładnie wyjaśniała, czemu trzeba chodzić trójkami. I jak się zachowywać w tych wyjątkowych sytuacjach, kiedy można iść we dwójkę. Gusiew jednak uważał, że wszystkie te chytre odstępstwa i odległości, obliczone specjalnie dla każdej trójki na podstawie balistycznych charakterystyk broni i indywidualnej odporności psychologicznej bojówkarzy, wprowadzono tylko po to, żeby zamącić ludziom w głowach. On sam doskonale wiedział, dlaczego agenci ASB powinni chodzić grupami. Gdyby to od niego zależało, swoich kolegów nie tylko na patrole, ale do sklepu po chleb samych by nie wysłał.

A siebie, oczywiście, przede wszystkim.

Samotny brakarz, zastraszony, podejrzliwy, niezbyt pewny siebie, wlokący po asfalcie długi ogon licznych kompleksów, jest dla spokojnych obywateli znacznie większym niebezpieczeństwem, niż cała grupa przestępców. A ponieważ szajki, bandy i rodziny mafijne na obszarze Związku zostały przez brakarzy skutecznie wytępione...

Właśnie na tym zdaniu wczoraj Gusiewowi przerwano. Naczelnik Wydziału Centralnego uprzejmie go poprosił, żeby zamknął pysk. Gusiew zamknął pysk i usiadł na miejscu, czując wbite w swój kark nieprzyjemne spojrzenia kolegów. Jak zwykle nie został zrozumiany. W ogóle nikt go nigdy nie rozumiał. Nikt. Przez całe życie.

Co prawda, tym razem aluzja była może zbyt subtelna. Ale jak przekazać kolegom swoje obawy o ich bezpieczeństwo? Jak wyjaśnić, że dosłownie całym ciałem Gusiew przeczuwał nieszczęście? A przecież jest w ASB od sześciu lat – niemal od samego początku służby – i któż jeżeli nie on, miałby wziąć na siebie niewdzięczną rolę wyroczni i zwiastuna? Gdy prawda dotrze do pozostałych, będzie już za późno. Jeden jedyny rozkaz z góry i znudzeni przedłużającą się beczynnością chłopcy z OMON-u i SORB-u wytluką brakarzy jak ślepe kocięta. I zrobią to z dziką rozkoszą. Takich jak Gusiew, wypalonych weteranów, wyłowią po kolei i każdy na miejscu zostanie „powieszony podczas próby ucieczki”. A drobnicę wytluką hurtem i żaden się nawet nie zająknie.

„Jest nas w Moskwie niewielu ponad tysiąc chłopaków. I może z dziesięć tysięcy w całym kraju. Jesteśmy niczym... Jesteśmy żałosnymi insektami, które bez trudu strąca

rękawem ze stołu. A potem nakryją stół od nowa”.

Oddając się niewesołym rozmyślaniom Gusiew dokończył piwo i w zadumie zerknął na lodówkę. Nie inaczej – dopić drugą i lulu. Jeżeli oczywiście ten bydlak...

Uderz w stół, a nożyce się odezwą. Spośród talerzy i kubków rozległ się pełen urazy brzęk.

Gusiew wstał, dwoma palcami chwycił słuchawkę za ogryzek anteny i wyciągnął ją z muszli. Wziął ręcznik i starannie wytarł aparat. Nacisnął guzik odbioru i ponurym głosem, starając się, żeby ten absolutnie nie zdradził przepełniających go uczuć, rzucił do mikrofonu:

– Czemu mnie obudziliście?

Na drugim końcu linii rozległo się pełne ulgi westchnienie.

– Pasza, jak to dobrze, że cię złapałem! Ratuj, chłopie! Oprócz ciebie...

– A, towarzysz podpułkownik... No no...

Słysząc było, jak podpułkownik Łarionow, komendant leżącej nieopodal jednostki milicji, walczy z wyrzutami sumienia. Ilustracją tego było posapywanie i chrząknięcia.

– Pasza...

– Nie wiadomo czemu, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie to mnie przed dwoma dniami nazwano oprawcą... – rozmyślał głośno Gusiew.

– Ależ co ty! – zdumienie w głosie Łarionowa było równie prawdziwe, jak trójkątny kwadrat.

– A wiesz ty, towarzyszu podpułkowniku, że ja nie cierpię, kiedy mi ot tak, prosto w oczy, rzną prawdę mateńkę...

– Pasza, no dobra, wystarczy...

– Prawda mnie w oczy kole, rozumiesz?

– Dobra, powiem im...

– Bardzo słusznie, powiedz im.

– I powiem! Tak powiem, że przez tydzień żaden nie usiądzie!

– No to od razu idź, i powiedz. Temu... jak go tam... No, ten taki cwaniaczek mordziasty. Z wąsami.

– Pasza, może najpierw dokończymy rozmowę, a dopiero potem pójde i mu powiem?

Gusiew uśmiechnął się do słuchawki.

– Oni się mnie boją – oznajmił scenicznym szeptem. – Wszyscy się mnie boją. Posłuchaj, podpułkowniku, a ty się mnie boisz?

– Wybacz, ale nie za bardzo.

– A to czemu?

– Śmiały człowiek ze mnie. Taki się już urodziłem, odważny. Posłuchaj, Paszka, mamy tu spory pasztet. Pomóż nam jeszcze raz. No, bardzo cię proszę.

– Twoi psychopaci znów zabili jakiegoś aresztowanego?

– Jakby on był aresztowany, to ja bym do ciebie nie dzwonił.

– No to kogo?

– Wiesz... taka sprawa... Muraszkin z piątego komisariatu, wspaniały chłop, wziął i zastrzelił jednego zbrojnego. W afekcie go zastrzelił.

– Niczego nie rozumiem – zdziwił się Gusiew. – Wasze chłopaki przynajmniej raz dziennie muszą kogoś zastrzelić w afekcie. I w obronie własnej. Narąbie się jeden z drugim do stanu silnego afektu, a tu naprzeciwko człapie porządny obywatel, też w stanie afektu, i zaczyna się obrona własna na cały gwizdek i z czego tam kto ma... Dziwne, żeście jeszcze sami siebie nie pozastrelowali. Przecież wy wszyscy od rana do wieczora jesteście w stanie silnego afektu...

Mógłby tak jeszcze długo, ale Larionow mu przerwał.

– Pasza – powiedział – słucham cię i dyszę zachwytem. Mógłbym tak przez całe życie. Wezwij jakiegoś smarka z „Moskiewskiego Komsomolca”, podzielicie się potem honorarium. Ale ja rzeczywiście potrzebuję twojej pomocy.

– Znaczy, ten wspaniały chłop, dzielnicowy Gówniaszkin, nie umie pisać i nie potrafi podciągnąć przypadku pod obronę własną...

– Przecież leży w szpitalu! – warknął Łarionow.

– Czemu? W jakim?

– W Aleksiejewskim, bałwanie!!!

Gusiew się zamyślił.

– No, nieźle... – mruknął. – Wariatkowo, znaczy... No dobra, szefie, uważaj, że ci darowałem. Melduj, co i jak.

– Melduję – zgodził się Larionow. – Mamy dwa trupy...

– Ale mówiłeś...

– Nie, on jeszcze stuknął jedną babę.

– Aaa... napad zazdrości...

– Gusiew, zamknij się. Ja ci mówię, co i jak. Są wybite drzwi, za nimi dwa trupy, mężczyzny i kobiety. Kobieta jest właścicielką mieszkania, a mężczyzna żył razem z nią. Jest jeszcze pięcioletnia dziewczynka, córka właścicielki, żywa, ale w głębokim szoku... sądząc ze wszystkiego, zgwałcona...

Gusiew chciał już rzucić w słuchawkę: „No, nieźle sobie pohulał dzielnicowy Gówniaszkin”, ale ugryzł się w język. Domyślał się już, o co chodzi. Wypadek był w zasadzie typowy.

Przez coś takiego przechodził kiedyś chyba każdy brakarz – na twoich oczach ktoś odrażający popełnia jakiś wyjątkowo obrzydliwy czyn. I w tejże chwili po raz pierwszy w życiu naprawdę cię „ponosi”. Oto dlaczego pełnomocnicy ASB nie noszą ze sobą prawdziwej broni. Mają tylko niezbyt poręczny pneumatyczny igielnik – pistolet strzelający igłami o natychmiastowym działaniu paraliżującym. Co prawda, ubocznym efektem tego paraliżu jest piekielny ból. Chemicy trochę przesadzili – albo któryś z nich miał osobiste porachunki z



wrogami narodu.

– Fakt, że gwałciiciel jest kochankiem właścicielki mieszkania nie budzi wątpliwości – wyjaśniał tymczasem Łarionow. – Muraszkina znaleźli w stanie kompletnego szoku i długo jeszcze nie będzie mógł niczego opowiedzieć. Co tu zresztą opowiadać – i tak wszystko jasne. Zajrzał, żeby przeprowadzić rozmowę profilaktyczną, coś usłyszał, zadzwonił, tamci nie otworzyli, wybił drzwi... I tak dalej. Nerwy mu puściły. Przysięgam, że bardzo dobrze go rozumiem. No, nic... podleczy się i jeszcze posłuży...

Gusiew chrząknął, ale wstrzymał się od komentowania. Widać było, że Łarionow będzie bronił podwładnego, tym bardziej, że uznał go za niewinnego człowieka, który przypadkowo wdepnął w nieszczęście. Ale ponownie dać takiemu w ręce broń i władzę... „Gusiew, przestań się nadymać! Sam nie jesteś lepszy”.

– Krótko mówiąc, był telefon o strzelaninie – ciągnął Łarionow. – Sąsiedzi zadzwonili do oficera operacyjnego Komendy Głównej. Przyjechała grupa, i owszem, wszystko formalnie zarejestrowano i wciągnięto na ewidencję. Chwała Bogu, chłopaki mieli dość oleju we łbach, żeby na miejscu się zorientować, co i jak. Chwilowo nie nadali sprawie dalszego biegu. Gusiew, brachu, weź to na siebie, co? Wyobraź sobie, jak paskudny „głuszec”<sup>3</sup> z tego wszystkiego wyjdzie! W zasadzie nie ma komu przypiąć tych dwóch trupów!

– Oprócz mnie – stwierdził sucho Gusiew. – Żaden normalny złodziej nie weźmie na siebie gwałtu nieletniej i podwójnej mokrej. Zresztą, nie masz teraz u siebie żywego złodzieja. Z pewnością zapomniawsz nawet, jak oni wyglądają. A Gusiew, porządny chłop z jajami, podpisze się pod wszystkim, co będzie potrzebne, prawda?

– Co ma do tego gwałt? Sprawa gwałtu jest zamknięta, wiadomo, kto zrobił. Pasza, przecież to twoja działka! Wystawię ci zamówienie ze wsteczną datą. Świadców też będziesz miał takich, jak należy.

– Wiesz, podpułkowniku... – odezwał się Gusiew niezbyt głośno. – Ja nie mam zbyt wysokiego zdania ani o sobie, ani o tobie, ale akurat w takich chwilach nie mogę się powstrzymać od zapytania samego siebie: dlaczego nam obu jeszcze skrzydełka nie powyrastały? Nad twoją głową co, aureola przypadkiem jeszcze się nie pojawiła? Boooooze! Wśród jakich potworów i zбочeńców żyć nam przyszło! To po prostu nie do pomyślenia!

– No to jak, bierzesz? – zapytał Łarionow ze źle skrywaną nadzieją w głosie.

– Oprócz twoich ludzi nikt tego Muraszkina nie widział? – zainteresował się rzeczowo Gusiew.

– A skądże, jak opróżnił magazynek, to z miejsca się nie ruszył. Miotał się z kąta w kąt i coś tam mamrotał do siebie. Grupa podjechała dosłownie po trzech minutach. Wyprowadzili go po cichutku... Nawet jeżeli ktoś na podwórku zauważył, że grupa zwiększyła liczebność o jednego człowieka, to sam wiesz, menty są jak Chińczycy – wszyscy do siebie podobni. A w szpitalu mam zblatowanych ludzi, tam wszystko załatwiono legalnie.

---

3 - „Głuszec” - w gwarze rosyjskich milicjantów nierozwiązana, otwarta i drażliwa sprawa, którą przełożeni podtykają pod nos podwładnym, gdy chcą go im utrzeć.

– Do teścia, co? – przypomniał sobie Gusiew.

– No.

– Dobra – westchnął brakarz. – Zajdę za pół godziny. Szykuj zamówienie i eskortę. Jak dasz tego wąsatego lejtnanta, będę ci osobiście zobowiązany. No i stawiasz butelkę.

– Choćby skrzynkę! – radośnie ryknął Łarionow.

– Znaczy, w łapę jednak bierzesz! – ucieszył się Gusiew.

– Skąd takie przypuszczenie?

– Ha! A ty skąd masz forsę na skrzynkę wody, podpułkowniku?

– Powinieneś wiedzieć, że w zeszłym miesiącu była kolejna regulacja uposażeń i dostaliśmy podwyżkę. A zresztą ja dla porządnego człowieka – stwierdził stanowczo Łarionow – ostatnią koszulę z grzbietu zdejmę!

– Czyli ja jestem ten porządny? – zdumiał się Gusiew.

– Oczywiście – przytaknął Łarionow. – A jak się zjawisz za dwadzieścia minut, to cię jeszcze wycaluję.

– Obejdzie się. Znaczy, za pół godziny.

– No, Paszka... pomogłeś! Dziękuję!

– Na razie jeszcze nie ma za co – odpowiedział Gusiew i przerwał połączenie.

Przez jakiś czas jeszcze stał pośrodku kuchni, przekładając słuchawkę z ręki do ręki i zastanawiając się, jak narzuconą mu przez Łarionowa sfingowaną wybrakówkę przeprowadzić przez dokumentację Centralnego Oddziału ASB. Z formalnego punktu widzenia starszy pełnomocnik Agencji Społecznego Bezpieczeństwa Paweł Gusiew istniał tylko *de iure*. *De facto* powinien był regularnie meldować się na instruktazu, a potem iść na cztery wiatry, zamiast zajmować się robotą. Przewodnik, który w ciągu miesiąca stracił dwóch ze swojej trójki. I jednocześnie stracił resztki zaufania w wydziale... Ze wszystkich stron otaczały go wyłącznie wrogość i strach. Co prawda nic z tego nie było mu pierwszozną. Jak do tej pory zawsze towarzyszyły mu dwa uczucia. On się bał i jego się bano. On nienawidził i jego nienawidzono. Obydwie strony zwykle umiejętnie te uczucia ukrywały. Gusiew się kontrolował – bo wiedział, że może zabić. Wszyscy pozostali uważali – bo wiedzieli: w istocie, może.

Gusiew był normalnym człowiekiem tylko w obrębie trójki, która odeszła już w niebyt. Miał szczęście do pomocników. Atmosfery, jaka zrodziła się w drużynie, nie można było raczej nazywać wzajemnym zrozumieniem. Ale zaufanie, gotowość do osłony pleców towarzysza, a niekiedy do zasłonięcia go własną pierśią – te uczucia ożywiały trójkę nie raz i nie dwa. Wychodząca na miasto trójka Gusiewa przekształcała się w jeden organizm.

Był to zespół nie do pokonania. I przetrwałby bardzo długo, gdyby dwaj spośród trzech jego członków sami nie zostali wybrakowani.

## ROZDZIAŁ DRUGI

W tym krył się sekret niesłuchanej i nie mającej w historii świata odpowiednika uczciwości ludności Wołoszczyzny w połowie XV wieku. Po tym, jak tysiące złodziejów skonały na palach albo spłonęły w ogniach stosów na miejskich placach, nie znaleźli się nowi amatorzy cudzej własności, którzy chcieliby wypróbować swoje szczęście.

Tego roku wrzesień był suchy i chłodny. Najlepsza pogoda dla brakarzy na służbę chętnie wdziwiających odzież z grubszej tkaniny i luźnego, nawet nieco workowatego kroju, która nie zdradzała zewnątrz ich profesji. Latem Gusiewa bardzo drażniła konieczność mazania twarzy specjalnymi kremami i wdziwiania higroskopijnej, przeciwpotnej bielizny. Gdyby nie to, po prostu skonałby, zakuty w zbawczy, ale absolutnie nieprzenikliwy pancerz. A teraz czuł się po prostu wspaniale. Lekka, ale mocna skórzana kurtka z połami do połowy bioder z powodzeniem maskowała całe pół puda<sup>4</sup> żelastwa i masy plastycznej, które na sobie dźwigał.

Ale i tak został rozpoznany na stacji metra. Przystanął, żeby kupić papierosy i obok zatrzymał się „Sobol” z emblematem Służby Dostawczej na drzwiach.

– Kolego, nie potrzebujecie pomocy? – zapytał chłopak w białej kurtce opuściwszy szybę.

Gusiew rzucił mu mroczne spojrzenie przez ramię i ponownie zwrócił się do okienka kiosku z papierosami. Już wyciągnął papierosy, ale w tej chwili tylne drzwi kiosku otworzyły się i wewnątrz mignął ktoś, kogo Gusiew, sądząc z wyrazu jego twarzy, uznał za właściciela kiosku. Przyjrzał mu się, westchnął, wymamrotał: „zechciej wybaczyć, nie kupuję od obcych” i ciężko podreptał do sąsiedniej budki. Mimo zupełnie przyzwoitego nastroju, chodzić dziś było mu jakoś ciężko.

„Sobol” jednak nie odjeżdżał. Wziąwszy papierosy, Gusiew podszedł do furgonetki.

– Coście tam mówili o pomocy? – zapytał ponuro. – O co chodzi?

– Pomoc Narkologiczna, oczywiście. Chcesz maleńki zastrzyk? Będiesz jak nowo narodzony. Od razu widać, że czujesz jakiś... eee... dyskomfort psychiczny.

– Ależ macie oko! – stwierdził z zachwytem Gusiew.

– Taka praca, kolego. No, dalejże, włącz.

---

<sup>4</sup> - Pud - rosyjska tradycyjna miara wagi - 16,38 kg

– Nieee... dziękuję – wymamrotał Gusiew. Narkolog mu się nawet spodobał – chłopak miał miłą, szczerą twarz i zaraźliwy uśmiech. Ale sympatia to za mało, żeby asbek pozwolił mu się kłuć igiełkami.

– Idziesz na obchód, prawda? No to pozwólcie, że poprawimy wam zdrowie. Jeżeli was wypuszczę z rąk, popełnię grzech przeciwko etyce zawodowej.

– Po czym mnie poznałeś? – zapytał Gusiew, bez powodzenia usiłując znaleźć w swoim wyglądzie jakiś charakterystyczny, krzyżący szczegół.

– Po prostu masz bardzo specyficzną motorykę. Teraz oczywiście jest przytłumiona – następstwo intoksykacji. Ale mimo wszystko – jak się wie, czego szukać, to widać.

– Studiujesz psychiatrię? – domyślił się Gusiew.

– Odgadłeś. Przecież nie będę przez całe życie pijaczków po domach rozwoził. Dostawa – to tak, dla pieniędzy. Więc zapraszam na nasze gościnne łono.

– Nieee...

– Dlaczego?!

– Strach człowieka bierze.

– Tfu! Zechciej zrozumieć, za pięć minut wam ulży. A po kwadransiku, będziesz jak nowy.

– Ale ja na kacu zawsze mam stracha – przyznał się Gusiew. – Boję się samochodów, nisko latających gołębi i lekarzy morderców.

Z kabiny doleciał zdławiony chichot – kierowca podsłuchiwał. Narkolog zmierzył Gusiewa spojrzeniem, które lekarze rezerwują dla nieposłusznych dzieci.

– Można by was wziąć za temat pracy doktorskiej – stwierdził. – Szczególnie, gdy mowa o tych nisko latających gołębiach... Nie chcesz zastrzyku, zmieszam ci miksturkę. Ale na efekt trzeba będzie poczekać nieco dłużej. Posłuchaj, może chociaż zmierzę ci ciśnienie?

– A co, aż tak ze mną źle?

– No, jakoś tam przeżyjecie...

Gusiew poddał się i wlażł do furgonetki, mrużąc gniewnie: „Ależ wy, medycy, natrętni jesteście...”. Wewnątrz znalazł jeszcze jednego klienta SD – na dwóch krzesłach leżał rozwalony jakiś młody człowiek w galowym mundurze chorążego marynarki. Czapkę miał marynarz zsuniętą na nos, z boku wysunęły się spod niej niesforne jasne kędziory.

– Flota, bacność! – rzucił mu Gusiew. Marynarz nie zareagował.

Gusiew ciśnienie miał znacznie obniżone.

– No to weź choć walokordin – zaproponował lekarz.

– A co, nie masz nic lepszego do roboty?

– W tym sęk, kolego. Nuda, aż strach. Trzecią godzinę już jeździmy, żeby choć kto pod koła wleciał... We wrześniu w ogóle niewielu pijanych się trafia, ludzie w zasadzie pracują, odtwarzając naderwaną podczas urlopów równowagę finansową.

– A ten? – Gusiew wskazał kciukiem przez ramię. – Czemu go do domu nie odwiezicie?

– Towarzyszu kapitanie pierwszej rangi, miczman Charitonow! – dość niespodziewanie oznajmił otaczającej go przestrzeni wilk morski. Po czym głośno chlipnął i znów się wyłączył.

– To miczman Charitonow – wyjaśnił lekarz, odliczając krople.

– Sam widzę, że nie admirał Nachimow...

– Proszę, pij. Nie można biedaka odwieźć do domu, jest na służbie. Nie awansuje do Sztabu Generalnego. No nic, sam osobiście taki koktajl mu w żyłę strzeliłem...

Gusiew przełknął lekarstwo.

– Dziękuję – kiwnął głową zwracając szklanekę. – Doktorze? Mogę zadać pytanie nie na temat?

– Zależy, jak bardzo nie na temat – uśmiechnął się doktor. Gusiew przez chwilę zwlekał – nie pamiętał, żeby ktokolwiek tak rozmawiał z przedstawicielem brakarzy – ale zaraz zrozumiał, w czym rzecz: Medyk absolutnie nie bał się ASB. I było to szczere – z pewnością miał idealnie czyste sumienie. „Więcej nam takich...”

– Wy co, wszystkich pacjentów traktujecie jednakowo?

– Jasna sprawa. Tak przysięgałem.

– Przysięga to piękna rzecz. Ale tak zwyczajnie, po ludzku? W każdym przypadku ludzie są różni, i jeden na przykład okazuje się sympatyczny, a drugi przeciwnie, paskudny, aż rzygać się chce. Jak sobie z tym dajecie radę?

– Z początku starałem się abstrahować – to znaczy, rozpatrywałem przypadek z punktu widzenia lekarskiego obowiązku. A potem... chyba przywykłem. Zresztą, nad chorym łatwo się ulitować, jakim by nie był bydlakiem. Wszyscy cierpią jednakowo.

– Ulitować się... – Gusiew kiwnął głową. – Ulitować się...

– Chyba zaczynam rozumieć – stwierdził lekarz. – Macie jakiś skomplikowany problem? Brakarz się zmieszał.

– Jakby tu rzecz... – wymamrotał. – Chyba nie. Medyk czasami musi potraktować pacjenta surowo, nawet sprawić mu ból, żeby chory wyzdrowiał. A ja... A my musimy sprawić czasami ból jednemu człowiekowi, żeby innym było dobrze.

– Nie widzę zbyt wielkiej różnicy – powiedział stanowczo lekarz.

– A jest pewnie w tym, że nas szkoła, żebyśmy specjalnie się nie litowali nad swoimi klientami. Nawet czasami prowokujemy z nimi bójkę, żeby nie było wstyd. I wydaje mi się...

– No, tego by jeszcze brakowało, żebyście ich żalowali! – przerwał mu lekarz. – Tak to zwariujecie, i niedługo będziecie musieli czekać.

„No proszę, oto przyszło nowe pokolenie – mignęło brakarzowi w głowie. – Doigraliśmy się. Powiedzieć to mojemu staruszkowi – ze szczęścia umrze. Nie, chyba się pomyliłem – takich i za darmo lepiej nie brać”.

– Jesteś młody. Ile masz lat, jeżeli wolno zapytać?

– Dwadzieścia dwa.

– No, no... – uśmiechnął się Gusiew. – Wszystko bym oddał, byle tylko znów mieć dwadzieścia dwa lata.

– A ty masz gdzieś tak pod czterdziestkę? Tak czy owak, kolego, nie czuję do was żadnego obrzydzenia. No to odpowiedziałem na wasze pytanie, czy nie tak?

Gusiew kiwnął głową, w milczeniu wysiadł z furgonetki i zatrzymał się na chwilę, przytrzymując dłonią drzwi.

– Jesteś znacznie bardziej przenikliwy, niż mi się z początku wydało – stwierdził. – W rzeczy samej chciałem się przekonać, czy nie czujecie do mnie odrazy. Dziękuję za pomoc i uwagę. I jeszcze jedno. Chcesz dobrej rady? Przyda się w życiu. Nigdy, dobrze to zapamiętaj, nigdy i w żadnych okolicznościach nie nazywaj brakarza kolegą. Obaj pracujemy dla społeczeństwa, ale zajmujemy się całkowicie różnymi sprawami.

– Wcale nie. Obaj leczymy – sprzeciwił się lekarz.

– Młodzińcze, z takimi poglądami powinieneś pracować w ASB, a nie zbierać z ulic chorych – prychnął Gusiew.

– Ależ ja będę pracował w ASB. Już za rok. Biorą mnie jako stażystę do pionu medycznego. Możliwe, iż jeszcze się zobaczymy.

– Aaa... No tak. Oczywiście. Rozumiem – Gusiew zamknął drzwi i ruszył w swoją stronę.

Wychodząc na ulicę i zanurzając się w ludzkim oceanie Gusiew zwykle podświadomie przechodził w stan lekkiej czujności i gotów błyskawicznie zareagować na każdy sygnał alarmowy przenikał jakby otaczającą go przestrzeń, badając wszystkimi zmysłami, czy ktoś kogoś nie krzywdzi, albo czy nie dzieją się jakieś nieporządki. Ale po rozmowie z nadgorliwym narkologiem Gusiew pograżył się w sobie.

Obok budki dyżurnego stało kilku ludzi, patrzących gdzieś w dół, na gaśienicę prawego, w tej chwili nieruchomego eskalatora. Samego dyżurnego gdzieś wcięło<sup>5</sup>. Gusiew ominął budkę i rozepchnął ludzi ramieniem. Na miejscu, w którym schody stykały się z posadzką siedział w niewygodnej pozycji i z błagalnym wyrazem pyska jakiś niezbyt wielki, bury pies podwórzowy.

Gusiew nigdy wcześniej nie widział takiego wypadku, ale natychmiast zrozumiał, co się stało. Kilka kosmyków ze zmierzwionego ogona jakimś sposobem uwięzło pomiędzy stalowymi żebrami „gaśienicy” i obudową eskalatora. Psina miała niezwykle szczęście – bo ogon w zasadzie jej jeszcze został. Ktoś pewnie w porę zatrzymał eskalator. Gusiew znał z opowiadań wypadki, w których człowiek posadzony albo przewrócony na „gaśienicę” tracił połowę pośladka, albo i życie.

– Gdzie dyżurna? – zapytał Gusiew.

– Szuka nożyczek – odpowiedziano mu zza pleców. – Co chwila kogoś na tamten świat

---

5 - Z powodu tego epizodu kierownictwo przedsiębiorstwa państwowego „Moskiewski Metropolitan” zgłosiło stanowczy protest jeszcze w roku 2015, po wyjściu pierwszego wydania książki. Dyżurny eskalatora nie opuszcza swojego posterunku nigdy i w żadnych okolicznościach. Opis tak rażącego zaniedbania obowiązków służbowych przez pracownika Metropolitan zamieszczono na odpowiedzialność autora.

wyprawia, a teraz proszę, psiny jej się żal zrobiło.

– Noooo... – Gusiew przykucnął i ostrożnie, żeby niepotrzebnie nie przysporzyć psu bólu, obmacał ogon zwierzęcia, starając się określić, które kosmyki uwięzły, a które są wolne. Psina – jak się okazało, suczka – przyjęła badanie z głębokim zrozumieniem i niemal przestała oddychać.

Gapiów za plecami wyraźnie przybywało. Zawsze miło jest wziąć udział w zbożnej sprawie, zwłaszcza gdy zajął się już nią kto inny.

– Ostrożnie, młody człowieku! Ugryźć może...

– A co ona, przecież nie zgłupiała do reszty – sprzeciwił się ktoś inny.

Suczka wykręciła się jakoś i polizała Gusiewa w policzek.

– Spokojnie, mała, spokojnie – wymamrotał Gusiew. – No tak, poważnych uszkodzeń nie widzę.

– A wy co, towarzyszu, jesteście weterynarzem? – zapytał ktoś z dość licznego już teraz tłumu gapiów.

– Tak jakby – odpowiedział Gusiew wyjmując z kieszeni szwajcarski scyzoryk i otwierając małe nożyczki. – No, droga pani, niechże się pani pożegna z urodą! – i zaczął strzyżenie.

„Pani” nieustannie usiłowała lizać ręce dobroczyńcy, co mocno utrudniało operację.

– Młody człowieku! – odezwał się ktoś władcym głosem.

– Co tam? – Gusiew podniósł wzrok znad psiego ogona.

– Co wy tam robicie? – Nad Gosiewem stanęła dorodna niczym kremlowska wieża dyżurna eskalatora z przerażająco wyglądającymi nożycami do cięcia metalu w dłoniach.

– Macie nieodpowiedni instrument! – Gusiew wrócił do swego poprzedniego zajęcia.

– Co to za samowola! – zawrzała gniewem dyżurna. – Na chwilę odejść nie można!

– Ale on jest weterynarzem! – wyjaśniono jej.

– Młody człowieku, jesteście weterynarzem?

Do wycięcia zostało już tylko kilka kosmyczków. Pies, wyczuwając zbliżające się uwolnienie, zaczął się miotać radośnie i Gusiew musiał przycisnąć nasadę ogona do ziemi, żeby niemądre zwierzę nie zrobiło sobie krzywdy.

– Z przykrością muszę stwierdzić – stęknął Gusiew – że nie jestem już młodym człowiekiem. I nie jestem, niestety, żadnym weterynarzem.

– Diabli wiedzą, co to się wyrabia! – uniosła się gniewem dyżurna. – No dobra, tnijcie sobie.

– Piękne dzięki. A pies co, tutejszy?

– Niby tak... Jeździ czasami.

– A bilet kupuje? – zachichotano w tłumie. – Może ma legitymację emeryta?

– Teraz i tak będzie miała ulgę ze względu na kalectwo – oznajmiła pojednawczo dyżurna, czym wywołała przyjazne śmiechki w tłumie. – Mądra psina. Zawsze wiedziała, jak

się zachować na ruchomych schodach, nie to co niektórzy, a dziś – bach! – utknęła. Dobrze, że zwykle na nią uważam. Ledwo zdążyłam zatrzymać taśmę. Uczcie się, obywatele.

– Przy zejściu z eskalatora podnoście ogon!

– Uważać na ogony, który tam ma! Teczki wyżej trzymać! A szczególnie długie poły płaszców!

Gusiew słuchał, uśmiechał się i pracowicie strzygł nożyczkami. W końcu wyciął ostatni zaplątany kosmyk, ostrożnie przesunął ogon z boku na bok, i stwierdziwszy, że wszystko poszło dobrze, wstał. Niewiele brakło, a zostałby przy tym oblizany od stóp po czubek głowy.

Tłum na czele z dyżurną sypnął oklaskami. Pies skakał wokół i szczekał radośnie. Przepelniony uczuciem sympatii do wszystkich świadków swego wyczynu i mocno zmieszany przejawami aprobaty tłumu Gusiew kiwnął głową, schował scyzoryk i wypiął pierś. Ruch ten rozsunał nieco poły kurtki i spod klapy zdradziecko błysnęła oznaka. Dręczony niedawnym kacem Gusiew musiał ją chyba niezbyt starannie przypiąć. Spod klapy wysunął się sam jej rożek, ale to wystarczyło.

Połowę tłumu jakby diabeł jęzorem zliżał.

Dyżurna poczerwieniała nagle i omal nie wypuściła nożyc z dłoni.

– Proszę się uspokoić, nic się nie stało – pospiesznie zapewnił ją Gusiew.

– Nie miałam zastępstwa – wymamrotała dyżurna. – Ale na instruktażach o zasadach bezpieczeństwa pracy...

– No właśnie, bezpieczeństwo pracy... – podsunął któryś z żądnych krwi gapiów.

– Kto się tam odezwał? – zapytał Gusiew. – Nazwisko proszę?

Tłum, jak na komendę, zaczął się pospiesznie rozchodzić. Gusiew uśmiechnął się krzywo, popatrzył w ślad za zbiegami i stwierdził, że ku eskalatorom idzie jeszcze jedna kobieta w uniformie pracownika „Metropolitan”.

– A oto i zmienniczka! – ucieszył się Gusiew. – Teraz spokojnie może mi pani wskazać miejsce, gdzie można umyć ręce.

– Obowiązkowo – wydusiła z siebie dyżurna.

– Panie i panowie, zechciejcie się rozejść – poprosił łagodnie Gusiew ostatnich gapiów, którzy się jeszcze nie rozeszli. Ludzie posłuchali niezbyt chętnie, i wszyscy odchodząc, oglądali się przez ramię. Tylko jakiś krzepki staruch o oficerskiej postawie podszedł bliżej do Gusiewa i spojrzał mu w twarz.

– W czym mogę pomóc? – zapytał Gusiew z szacunkiem.

– Jesteście szlachetnym człowiekiem – niespiesznie odezwał się staruch mocnym, zdecydowanym głosem byłego dowódcy. Sądząc po intonacji, nawet dość wysoko postawionego niegdyś dowódcy.

– Nie będę się spierał – przyznał Gusiew. – Proszę tylko nie myśleć, że jestem wyjątkiem. Wcale nie.

– Mam do was pytanie. Powiedzcie mi, czy to prawda, że ASB niedługo ma zostać



rozformowana?

– Nie wiem, jak szybko to nastąpi. Ale według mojej opinii, decyzja została już podjęta. Społeczeństwa nie można terroryzować bez końca.

– Terroryzować? – zdziwił się staruch. – Kto wam coś takiego powiedział? Połowa Rosji dosłownie się za was modli! Wykonujecie niezwykle potrzebną robotę.

– Już zrobiliśmy. Niewiele zostało.

– Dziwnie jest coś takiego usłyszeć od pełnomocnika ASB. Ale... pozwolicie, że się pożegnám. – Dziadyga wyprostował się, skłonił głowę jakby pozdrawiał towarzysza broni i odszedł.

Gusiew gryzł wargi i patrzył w szerokie plecy starca. Kusilo go, żeby dogonić dziadygę i zapytać, czy dosłużył się generalskiego stopnia. Dyżurna i jej zmienniczka szeptały coś do siebie za plecami brakarza.

– Więc pokażecie mi, gdzie mogę umyć ręce? – zwrócił się Gusiew do dorodnej pracowniczki metra.

– Ależ tak, chodźmy.

Pies ruszył w ślad za nimi i Gusiew pomyślał, że pojawił się nowy problem – jak możliwie łagodnie uwolnić się od towarzystwa dyszącego wdzięcznością stworzenia. U boku brakarza kroczyła ponuro dyżurna, która dręczyła samą siebie rozważaniami o swojej niewesołej, z powodu opuszczenia stanowiska pracy, przyszłości. Kilkanaście kroków przeszli w milczeniu i Gusiew poczuł, że pies zaraz się sam odczepi, ale dojadło mu towarzystwo trzęsącej się ze strachu kobiety.

– Wybaczcie, że was przestraszyłem – odezwał się. – Uwierzcie mi, nie stawiam wam żadnych zarzutów.

– Naprawdę mnie pan nie ukarze? – zdumiała się kobieta.

– Za co? – zdziwił się Gusiew. – Za to, że naruszyła pani obowiązki służbowe i opuściła posterunek w strefie podwyższonego ryzyka, bo nie mogła pani patrzeć na cierpienia żywego stworzenia? Bez przesady. Po prostu zrobiło się pani żal tego psa. Jeżeli nawet kobiety przestaną się u nas poddawać impulsom miłosierdzia, to cały naród może się powiesić. Ot, poddaliście się chwilowej słabości... Bywa.

– Przyjechał naczelnik i zrobił nam dodatkowy instruktaż – usprawiedliwiała się dyżurna.

– Wezwałam pomoc, patrzę, a tu nikt się nie zgłasza. Pies, wiadomo, nie człowiek – może pocierpieć. Zresztą pasażerów niewielu, pracują tylko dwie taśmy... Czekam pięć minut, dziesięć... No, w końcu skoczyłam i biegiem... Gdyby nie to, nigdy bym...

– A czemu zrobił instruktaż w czasie pracy? Myślałem, że w metro muszą przestrzegać regulaminu.

– Jedni muszą, a drudzy nie...

Gusiew spojrzął na zegarek.

– Szkoda, że spóźniám się do pracy. A może chcielibyście, żebym trochę się tu zatrzymał

i zbadał sprawę jego wykroczenia? Ale nie... Pani pierwsza miałaby nieprzyjemności.

– Jasne! – uśmiechnęła się kobieta. – Zjedliby mnie żywcem!

– Sama pani widzi – stwierdził Gusiew. – Ja też muszę dokonywać wyboru pomiędzy obowiązkiem, a uczuciem litości. Nieustannie. Każdego dnia.

Po stacji kręcili się beczynn timer dwaj milicjanci. Gusiew przypomniał sobie dzielnicowego Muraszki timer i pomyślał, że ten z pewnością wyczułby uwięzionego w eskalatorze psa z odległości kilometra. „Najlepsi obrońcy i ratownicy to ludzie nieco stuknięci. Dopóki mają kogo ratować i bronić, będzie porządek... Ale jak już obronią i uratują wszystkich co do jednego? Co wtedy?”

Historyczne analogie podsuwały Gusiewowi myśl, że w takich chwilach bohaterscy obrońcy sami stają się źródłem piekielnego zamieszania. Bo muszą mieć kogo bronić.

No, chyba że w porę pojawią się nowi, lepsi bohaterowie, którzy obronią społeczeństwo, tępiąc tych pierwszych.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Stwierdzić stanowczo można tylko jedno: ludzkie języki i upływ czasu nie dodały niczego do świadectw jego okrucieństw. Czasami dokonywał czynów bohaterskich, ale nie był bohaterem, tylko psychopata.

Oddział Centralny zajmował dwie bramy w idącym wkrótce do rozbiórki monumentalnym gmachu wzniesionym w roku 1903. Przed stu laty domek był z pewnością niczego sobie, ale potem przyszli bolszewicy. Kierowani swoim historycznym zadaniem wpakowania jak największej liczby hołoty do pańskich apartamentów, wykopali pod domem głębokie piwnice i dodali dwa piętra z góry. Budynek trzymał się, trzymał, a potem przestał się trzymać i zaczął pękać w szwach. Gdyby chodziło o dom położony w jakimś innym, oddalonym od centrum rejonie, władze gwizdałyby na to koncertowo, aż w końcu przez szczeliny w ścianach zaczęłyby przedostawać się do środka łażące bezpiecznie psy i koty. Ale ten stał w odległości pół kilometra od Kremla, więc szybciotko poprzewiercano ściany, a przez otwory przepuszczono grube liny ściągające, na których mieszkańcy porozpinali sznury do suszenia bielizny. Gusiew zjawił się tu z pierwszą falą pracowników ASB, którzy tworzyli biura Centralnego i osobiście zrywał te natłuszczone liny, na które jakoś nieswojo było patrzeć. Mimo woli w głowie pojawiał się obraz: stalker z workiem pełnym rozmaitych znalezisk pełźnie przez blocko, a nad jego głową cichutko się kołyszą takie same brodate sznury.

„Tak, ze sztucznym rozbawieniem i chichotami kruszyliśmy ścianki działowe i taszczyliśmy meble, a wszyscy patrzyli na chłopaków i myśleli: wypisz, wymaluj, stalkerzy. Pchają się gdzieś z maniackim uporem, zdobywają nie wiadomo co i giną też nie wiadomo dla jakiej idei. Czyżbym był taki jak oni? Nie, ja z pewnością nie. A wewnętrzny głosik pokpiwał: otwórz oczy, gołąbeczku! Oczywiście, że ty też. Nikt cię przecież nie prosił na linię ognia – sam polazłeś. Jak to, nikt nie prosił? Sam prosiłem. Prawie na kolanach błagałem, żeby mnie wzięli. I argumenty im przytaczałem. Żądałem kategorycznie”.

Gusiew chwycił za klamkę drzwi wejściowych i pociągnął nie bez wysiłku. Drzwi skrzypnęły ponuro, otworzyły się na jakieś trzydzieści centymetrów, utknęły, ale mimo wszystko ustąpiły i jeszcze się trochę rozwarły. Gusiew z trudem przelazł na drugą stronę i od

razu nadzieją na idącą po schodach w dół dzienną zmianę. Wyraz twarzy „dzienników” wcale mu się nie spodobał.

Pozdrawiano go dość obojętnie, ktoś nawet podał mu rękę, ale przeważnie wszyscy chrząkali na powitanie i odwracali wzrok. Nikt już nie miał spraw do Pe Gusiewa, agenta specjalnego z licencją na zabijanie. „A może sam się nakręcam? – pomyślał Gusiew. – Zmęczyli się ludzie. I z pewnością znów kogoś z naszych stuknęli”.

Na półpiętrze trzeciej kondygnacji palili, gestykulowali gwałtownie i kunsztownie kleli członkowie grupy patrolowej Daniłowa. Cztery trójki całkowicie zamykały przejście i Gusiew chcąc nie chcąc musiał torować sobie drogę. I od razu poprawił mu się nastrój – niezależnie od ogólnego podniecenia i nerwowości, wszyscy go zauważyli, i zaczęli klepać po ramieniu i podawać ręce. Albo Gusiew jeszcze się ostatecznie nie skończył, albo nie wszyscy podzielali to mniemanie – a może istotnie sam siebie nakręcał.

Daniłow akurat wykrzykiwał ku drzwiom biura długą serię wyrażenń powszechnie uznawanych za bardzo obraźliwe, kiedy Gusiew ujął go za łokieć.

– Pe! – ryknął Daniłow wprost do ucha Gusiewa. – Chociaż ty coś powiedz tym draniom! Dlaczego znowu my?! W zeszłym miesiącu Daniło, w poprzednim też Daniło, a w tym dla odmiany, no popatrz kto?! Daniło! Co ja, do cholery, biegam tu za głównego zoofila?! Przejdę do rezerwy! Sam się zdegraduję do szeregowego! Nie będą wciąż ze mnie robili tego... jak mu tam...

– Naczelnika oczyszczania – podsunęto mu ze schodów. – Nie przejmujcie się aż tak bardzo...

Brakarze ryknęli śmiechem. Co mieli robić? Mogli tylko śmiać się sami z siebie. Gusiew ostatecznie odzyskał dobry humor. Wiadomo, skąd te ponure gęby. „Dzienników” znów posłali do odstrzału bezpańskich psów i kotów. I jak zawsze na dowódcę akcji wyznaczono Daniłowa. Brr... Jak to się mówi: lubisz rozstrzeliwać, to polub i kopanie grobów.

„Dokładnie tak – polub kopanie grobów. Bo i tak wokół roboty oprawcy nagromadziło się za wiele romantyki. Ale bezpańskie psy, to oczywiście przesada. Pies – to nie podpity bandzior z automatem. Dobrze jeszcze, jak psisko z daleka wyczuje twoje emocje i stara się uciec. A czasami po prostu stoi i patrzy ci w oczy... Nie, kończy się Wybrakówka. Ze trzy lata temu posłalibyśmy tych od psów do diabła, albo jeszcze dalej. Pomyśleć tylko – polecenie moskiewskiej Rady Miejskiej... A ja sam przynajmniej połowę członków tej rady wziąłbym pod ramię i odprowadził do „karawanu”. Co, mało teraz kandydatów do wybrakowania? Nic bardziej prostego. Na przykład łapownicy. Ale przed rokiem w całym Związku odwołano kwartalne kontrole urzędników na detektorze kłamstw. Za ostre, patrzcie ich. To poniżające. Dobrze, możemy i bez detektora, wystarczy nam drobna wskazówka. Nie trzeba nawet zapisu wideo – mikrofonik, kasety i za kark drani! Witajcie, panowie skorumpowani urzędnicy, pozwólcie, że się przedstawię, starszy pełnomocnik Agencji Społecznego Bezpieczeństwa, Pe Gusiew. Macie prawo do stawiania oporu. Macie prawo do odmowy podania nazwiska. Macie

prawo do nieodpowiadania na pytania. Pozwólcie, obywatelu, na przesłuchanie psychotropowe. A tam sami nam wszystko powiecie. Taaak... Tyle że operacyjnych danych dotyczących członków Moskiewskiej Rady Miejskiej nam nie dadzą. Koniec, zamknęli nam drzwi przed nosem”.

– Pe! – grzmiał Daniłow potrząsając ramieniem Gusiewa. – Ocknij się! No, powiedz szefowi, ty to możesz, wiem...

– Nic już nie mogę – burknął Gusiew. – Co najwyżej mogę ci zaproponować, żebyśmy się zamienili miejscami, ale ty przecież nie zechcesz...

Na półpiętrze zapadła cisza.

– I to też jest już poza naszym zasięgiem – dokończył Gusiew.

Daniłow wypuścił ramię kolegi i stracił zapal.

– No, chyba że... – Gusiew potoczył spojrzeniem po zebranych na schodach. – Chcesz, to jutro pójde z wami?

– To ty, Pe? – zapytał szef z biura. – Nigdzie z nimi nie pójdziesz. Chodź tutaj!

Skruszony Daniłow splunął przez próg, tknął Gusiewa pięścią w brzuch, jakby chciał dodać mu otuchy i z ponurym wyrazem twarzy ruszył schodami w dół, pociągając za sobą resztę drużyny. Niektórzy z jego ludzi oglądali się z ciekawością na Gusiewa. Wszyscy doskonale wiedzieli, że już ponad miesiąc pęta się w rezerwie. Czyżby mu mimo wszystko znaleziono nowych? Przy dzisiejszych brakach kadrowych?

To mniej więcej myślał sobie Gusiew wkraczając do biura i rozcierając butem ślad splunięcia Daniłowa.

– No nic, panowie! – dudnił Daniłow na schodach, tym razem dodając ducha swoim ludziom. – Nic to, różnie bywa...

Szef stał w korytarzyku, wsunawszy dłonie w kieszenie i kiwając się miarowo przestępował z palców na pięty.

– Jesteś? – zapytał nie wiadomo po co. – No to chodźże bliżej.

Gusiew podszedł do szefa, nabrał tchu w płuca i mocno chuchnął mu w twarz.

– Faj, faj... – szef odwrócił głowę. – Ile ty palisz, Pe? Dwie paczki dziennie, trzy?

– Powiedzmy, że dwie. A co za różnica? I tak umrę.

– Śmierć może różnie wyglądać. A ja wolałbym już połknąć kulę, niż płuca wypluć!

– A co, próbowaliście? – zapytał Gusiew z wyrazem absolutnie niewinnej ciekawości na twarzy.

Szef skwitował pytanie ciężkim westchnieniem.

– Za mną, potworze – polecił.

Potwór westchnął jeszcze głębiej i bardzo żałośnie, ale poszedł za przełożonym.

– Co tam dziś było u ciebie? – rzucił szef przez ramię. – Od kiedy to należysz do młodych przyjaciół milicji?

– Nietypowa sprawa, szefie...

– I?

– Nasza sprawa. Po prostu milicjant zrobił to, co powinniśmy byli zrobić my.

– I przy tym mu odbiło – dokończył szef znikając za rogiem. Gusiew uznał, że lepiej będzie milczeć.

– Trzeci nietypowy przypadek na naszym terytorium – oznajmił szef otwierając drzwi sali wykładowej taktyki. – Co stoisz na progu... włącz.

– Dzisiaj? – zdumiał się i przestraszył Gusiew.

– No nie, w ciągu ostatniego tygodnia. Ale mimo wszystko, to bardzo dużo.

Gusiew wszedł do sali i usiadł na krawędzi stolika.

– Zabijają przestępców na miejscu? – zapytał. – Tak?

– Nie wszystkich, oczywiście. Głównie tych, którzy w zasadzie podpadają pod nasze kompetencje. I złapanych na gorącym uczynku. W poniedziałek zdjęli gwałciciela z jakiejś dziewczyny i od razu go na miejscu... wybrakowali. Ale nie potrafią tego robić, jak należy, nie są nauczeni. Tak wystraszyli biedaczkę, że teraz nieprędko ze szpitala wyjdzie.

– To mogę sobie wyobrazić – kiwnął głową Gusiew. – Ludowi mściciele... Zatlukli go kopniakami. Bili długo, pocąc się z wysiłku i radośnie pochrząkując.

– Cynik jesteś, Gusiew.

– Szefie, jestem brakarzem. Skąd mam brać emocje? Wszystkie mam cholernie stłumione. Biorę grzecznie za uszko, odprowadzam za róg i wsadzam do wozu. Był zboczeniec, nie ma zboczeńca. A najważniejsze, że ofiara nie dławi się poczuciem winy wywołanym przez świadomość, iż przez nią zboczeniec trafił do brakarzy. To teraz bardzo ważne – uchronić ofiarę przed kompleksem winy.

– Słusznie – kiwnął głową szef. – Bardzo dobrze to wymyśliłeś.

– Owszem – odpowiedział Gusiew równym głosem, starając się, żeby broń Boże nie zabrzmiało w nim wyzwanie. – Tak właśnie wymyśliłem.

– Nikt się z tobą nie spiera – uśmiechnął się szef pojednawczo. – Mam nadzieję, że pamiętasz jeszcze, jak się przekazuje swoje doświadczenia młodzieży?

Gusiew krótko targnął głową.

– No... – szef wyraźnie chciał mu dodać ducha.

– A ja już myślałem... – Gusiew się zgarbił i ukrył twarz w dłoniach.

– Na razie dam ci jednego. Nie spodziewaj się poważnych zleceń, ot drobiazg, zwykła robota patrolowa. Ale mimo wszystko wracasz do pracy operacyjnej w pełnym wymiarze.

– Choćby i na patrolu! – poderwał się Gusiew. Oczy mu błyszczały podejrzenie – stary brakarz z trudem wstrzymywał łzy.

– Jeszcze trochę wytrzymaj, Pe – odezwał się szef łagodnym głosem. – Jeżeli wierzyć słuchom, ogłosili nabór stażystów. Myślałem już, że o nas zupełnie zapomniano. Tak zupełnie między nami, Pe – do miasta wraca rozmaite draństwo, które do tej pory siedziało na peryferiach. Po cichutku zaczynają węszyć, czy nie da się wrócić do interesów.

– Wyczuli naszą słabość? Uwierzyli w rozmaite ploteczki?

– Bardzo możliwe. Ale weźmiemy ich wcześniej, niż zdążą się rozkręcić. Myszkina na dniach zaczyna operację specjalną, jest zamówienie i dla Daniły. Myślę, że akurat po to nabierają młodych. Więc niedługo będziesz miał i trójkę, i całą grupę. Myślisz, że już całkiem tępy jestem? Nie, przyjacielu, słuchałem cię całkiem uważnie. Przez cały czas, kiedy ty plotłeś bzdury, udawałeś głupka i przepowiadałeś ponurą przyszłość. Ale wygląda na to, że się pomyliłeś.

– Czy... czy powinienem z tego wyciągnąć określone wnioski? – zapytał Gusiew ostrożnie.

– Na razie tylko jeden. Przestań gadać. Przestań się narażać. Nie próbuj się wyrywać przed szyk, Pe.

– Jeżeli rzeczywiście się pomyliłem i naszej Agencji nie zamkną...

– Trzymaj nos niżej, ale koniecznie pod wiatr – szef postanowił się popisać wieloznacznością. – Może zobaczysz coś takiego, czego ja nie zauważę. A na razie zajmij się wyszkoleniem tych, których dostaniesz. Dobrze ich przygotuj. Jeżeli przyjdzie nowe pokolenie, będą to dla nas zupełnie nowi ludzie. Przecież oni prawdziwej roboty nie widzieli i miejmy nadzieję, że nigdy nie zobaczą. Na przykład twój przyszły prowadzony. Dobry chłopak, ale on nie ma zbyt wielkiego pojęcia, co go zanosło do ASB. I bardzo dobrze. Bo ci – szef kiwnął dłonią ku schodom – dobrze wiedzieli, po co do nas przyszli.

– I dlatego każe im się odstrzeliwać bezpańskie psy, żeby zrozumieli, ile są warci? – wtrącił Gusiew. Szef podrapał się po karku.

– Cholera wie – stwierdził. – O tym jakoś nie pomyślałem. Wiesz – psy, to nawet nieźle. W końcu nasi mądrale dawno już powinni nieco przycichnąć. Zmniejszyć obroty. Niech choć raz w życiu poczują odrazę sami do siebie. W przeciwnym razie nie da się ich sprowadzić na drogę prawdy.

Gusiew rzucił szefowi krótkie spojrzenie spode łba.

– Szlachetni rozbójnicy tępią bezpańskie psy – wymamrotał. – To głupota. Wy ich tylko nastawiacie przeciwko Agencji. I przeciwko sobie osobiście.

– A co? Ja wymyśliłem ten odstrzał psów? – zdenerwował się szef. – Ja tylko mówię, że wszystkim Daniłowom i Myszkynom może się przydać taka nauczka.

– Wątpię. A co do odrazy żywionej do siebie – to już w ogóle jakieś brednie. Brakarza, który pracuje ponad pięć lat, powinno się też wybrakować. Taka jest moja diagnoza.

– No to idź i się zastrzel – nadął się szef.

– Ja jestem przypadkiem nietypowym, szefie. A przy okazji, czemu akurat mnie podsunęliście podpułkownikowi Łarionowowi? Zastanawiam się, czemu on mnie tak łaskawie traktuje...

Szef się zmieszał:

– Nikogo innego akurat nie miałem pod ręką. Przepraszam cię, Pe.

– Nie trzeba było mnie napuszczać, młody przyjaciel milicji i tak dalej... No dobrze, nawet na tym butelkę zarobiłem. I trochę się odegrałem na jednym wásatym mencie. Wiecie, jak on mnie nazwał? Herszt oprawców!

– A ty co?

– A ja poprosiłem Łarionowa, żeby mi go dał jako wprowadzającego. I ten wásacz przez całą godzinę chodził wokół mnie na paluszkach po mieszkaniu, w którym wszystko się zdarzyło i czekał, aż mu powiem coś paskudnego. A ja – nie powiedziałem. Niewiele brakowało, a biedaczek przekreśliłby się z nerwów. Z pewnością nikt jeszcze w życiu nie okazał mu takiej pogardy.

– Uff... – szef pokręcił głową, myśląc o czymś intensywnie. – Nie wybaczą nam tego. Czuję, że nie wybaczą.

– Zazdrościcie Żelaznemu Feliksowi? – przyciął mu Gusiew.

– A czego miałbym zazdrościć? – nastroszył się szef.

– Tego, że umarł w samą porę. Postanowił nie czekać na chwilę, w której zjawi się u niego uzbrojona po zęby delegacja i zaciekle zabierze się do niewybaczenia.

– Zaczynam mieć cię dość – oznajmił szef. – Jakby człowiek cię słuchał i wierzył, to doszedłby do wniosku, że i tę chwilę swej przyszłości przewidziałeś.

– Oczywiście. Bardzo starannie studiowałem historię organów ścigania i karania przestępców. I nie tylko naszych. Taka chwila nieuchronnie następuje. Wcześniej czy później rewolucyjny terror zaczyna się wyczerpywać. A ponieważ dowolny terror gromadzi całe góry niewinnych ofiar, jest i piękny powód do tego, żeby się rozprawić z tymi, którzy wprowadzali ów terror w życie. I udowodnić swoją czystość, rozstrzelując terrorystów. To po prostu rotacja symboli władzy. Prawo przyrody. Wcale nie muszę sam do siebie strzelać. Nie mam po co. Mam znakomitą szansę zginąć w otwartej walce. A jak po nas przyjdą... to się zabawimy, prawda?

Szef spojrział na Gusiewa i przez chwilę patrzył nań z uwagą.

– Pięknie się to składa – przyznał. – Ale mimo wszystko, łzesz. Wymyśliłeś to przez chwilę.

– Aha – przyznał Gusiew z miną niewiniątka.

– Nabijasz się ze mnie?! – ryknął szef.

– Oczywiście.

Szef wyjął chusteczkę i otarł czoło. Niewysoki, łysy, z wyraźnie zaznaczającym się brzuszkiem wyglądał jak przeciwieństwo szybkiego w ruchach, nieźle się jeszcze trzymającego i powściągliwego Gusiewa. A już wewnętrznie zupełnie się od siebie różnili. Czasami Gusiew nie mógł uwierzyć, że ten człowiek – zupełnie normalny – jest szefem jego oddziału. I takim samym weteranem, jak on.

Sprawa prawdopodobnie polegała na tym, że szef zajmował się robotą kancelaryjną i – jak utrzymywali uparcie jego podwładni – nigdy w życiu nie wyszedł na zwyczajny patrol.



Od czasu, kiedy został – on, emerytowany oficer śledczy – wodzem katów i oprawców, najbardziej surowe i ostre czasy przesiedział w gabinecie. I Gusiew, kiedy jeszcze był na fali, nieustannie mu to wytykał. – „Co z tego, że jesteś szefem, mnie za to kolba sama do ręki wskakuje... I ty, drogi szefie, doskonale o tym wiesz”.

– A, cholera z tobą – westchnął szef. – Pogubiliśmy się, rozluźniliśmy... Wymiękamy, jak to się mówi. Straciliśmy serce, taka jego owaka. Posiedź tu i poczekaj, przyprowadzę ci partnera.

– A ja z nim mam jak... nie za bardzo? – zapytał Gusiew. – W świetle, że tak powiem, nowych prądów i powiewów...

– Czemu nie za bardzo? Jak zwykle. Ucz go tego, co trzeba. To ty masz z nim chodzić na robotę, nie ja.

– A igielki już próbował?

– Nie. To już twoja sprawa. Tylko weź pod uwagę, że z jego charakterystyki wynika, iż to ostry chłopak. Prawdziwy rewolwerowiec.

– Daliby w jego dokumenty zajrzeć.

– Niedoczekanie – uśmiechnął się szef z mściwą satysfakcją.

Gusiew podniósł oczy ku sufitowi.

– No, no... – mruknął. – Ciekawe, gdzie tego waszego... eee... chłopaczka z pistoletem zaznajamiali. W jakimś specnazie, czy co?

– Nie, w specnazie z automatem biegał i to niezbyt długo. Myślę, że sam się wyszkolił. Kocha się w broni. Przed wojskiem ćwiczył biathlon. A teraz jest członkiem moskiewskiej reprezentacji paintballu. Szykował się na mistrza. Ale chyba doszedł do wniosku, że na mistrza jest za krótki i przyszedł do nas.

Gusiew pogładził się po ciemieniu.

– To co, potrzeba? – kiwnął głową szef ze zrozumieniem.

Gusiew zrobił nieokreślony ruch podbródkiem. Współczesny paintball, w którym walki przeprowadza się niemal z przyłożenia, w sztucznie przygotowanych dekoracjach i bez wszelkiego kamuflażu – był rzeczywiście tym, czego trzeba. A z markerem paintballu trzeba się było obchodzić bardzo podobnie, jak ze standardową bronią brakarzy. „Chłopaczek” rzeczywiście mógł mieć nawyki, które ułatwią mu przyswojenie sobie profesji. Z jednym maleńkim wyjątkiem.

– Niezłe. Z jednym maleńkim wyjątkiem. Mój przyszły partner jest najpewniej narkomanem adrenalinowym.

– Według ciebie to gorsze, niż ukryty alkoholizm? – zapytał łagodnie szef.

Gusiew lekko wypiął pierś, uniósł nos i wbił w szefa zimne spojrzenie.

– Dobra, dobra – szef podjął próbę pojednawczego poklepania Gusiewa po ramieniu, ale Pe się uchylił. – Przygotuj się, ja go tu zaraz...

– Po co sportowiec się pcha do Wybrakówki? – zapytał Gusiew, zwracając pytanie do

pleców szefa. – W dzieciństwie mu bandyci skarbonkę ukradli?

– No przecież jest adrenalinowym narkomanem! – bez cienia sarkazmu odciął się szef i zamknął za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nieustanna i natychmiastowa gotowość do samoobrony była w tamtych czasach głównym i niezbędnym warunkiem utrzymania się przy życiu. Ten, kto usiłował uchylić się ód walki, ginął na miejscu.

Przyszły partner okazał się wyższy od Gusiewa o głowę i znacznie szerszy w barach. Na twarzy neofity zastygł uprzejmy uśmieszek. Wszystko wskazywało na to, że jest zdenerwowany. Ale, jak natychmiast spostrzegł Gusiew swoim wprawnym okiem, znacznie mniej, niż powinien. Albo rzeczywiście bardzo chciał zostać brakarzem i czerpać z tej pracy maksymalne zadowolenie, albo – przeciwnie – w wolnych od strzelania chwilach wszystko inne było mu obojętne. Ani jedno, ani drugie w zasadzie Gusiewa nie urządzało, ale twarz młodzika mu się spodobała.

– Więc tak – zaczął szef. – Oto stażysta pełnomocnik Aleksiej Waluszek. A to starszy pełnomocnik Paweł Gusiew. Kochać się nie musicie, ale szanować – bezwarunkowo.

– Locha – przedstawił się Waluszek wyciągając rękę.

– Gusiew – rzucił leniwie Pe, niedbale ściskając długie, mocne palce. Rękę „chłopaczek” miał, że daj Boże każdemu. Z taką ręką od razu do wyrębu tajgi można się zgłosić. – Pe Gusiew, agent specjalny z licencją na zabijanie.

– Widzę – stwierdził krótko Waluszek.

Gusiew obrzucił go taksującym spojrzeniem i musiał przyznać w duchu, że chłopak ma zadatki jak się patrzy. Waluszek zupełnie nie przypominał brakarza. Ot, w miarę modnie ubrany i wykształcony, dobrze wychowany dwudziestopięcioletni młody człowiek. Wszystko miał w miarę długie – nos, podbródek, ręce i nogi. Długie, odrzucone niedbale w tył włosy i krótką, bardzo dobrze harmonizującą z uczesaniem szczecinę na brodzie. Przypominał muszkietera – najbardziej chyba Aramis. Podobieństwo wzmagają przebiegłe spojrzenie i uśmiech. Nieco niedbale ruchy uzupełniały wizerunek, którego istotę można było określić jednym zdaniem: „Nie jestem niebezpieczny – a raczej przeciwnie”. Wspaniale, może to nieraz uchronić chłopaka od okaleczeń, i nie będzie odstraszało odeń przyszłych ofiar. Tych, których brakarze określali pojemnym słowem „klienci”.

– No, przejdź się – polecił Gusiew. – O, tam.

Waluszek prawdopodobnie spodziewał się jakiegoś podstępu. Odwrócił głowę w stronę szefa, jakby chciał zapytać go spojrzeniem, czy wykonać polecenie, ale po chwili ruszył tam, gdzie mu kazano. Nieco sztywnym krokiem i trochę się garbiąc. „Zaskoczyło go to – pomyślał Gusiew. – No tak. Za bardzo pewny siebie i dobrze wysportowany”.

Szef bezgłośnie ruszył ku drzwiom, odsuwając się z przypuszczalnej linii strzałów.

– W tył zwrot! – niegłośnie rzucił Gusiew, kiedy Waluszek dotarłszy do ściany dotknął jej nosem. – Stój!

Waluszek zawrócił w miejscu i zatrzymał się – ponownie się uśmiechając. Nie chciał być poważny. Nie wyczuwał doniosłości chwili.

Gusiew wyciągnął papierosa, zapalił, wypuścił dym i nie odwracając się rzucił szefowi:

– W rzeczy samej... niczego sobie.

– Przecież mówię – zgodził się szef.

– Waluszek – oznajmił Gusiew – to taki kołdun.

Szef zdusił chrząknięcie, a Waluszek zmrużył oczy. Nie było to zmrużenie zapowiadające agresję, ale raczej zaciekawione, typu: „No i co dalej”.

– Nawet nie kołdun porządny – rozwijał temat Gusiew. – Pierożek. Czy ich nie turlają w tartej bułce?

– Nie mam pojęcia – odparł szef.

– Zresztą nieważne. W sumie Waluszek to taki pierożek, który już zlepiony i obtoczony czeka w kolejce do rondla. Sympatyczny taki, nie ugotowany jeszcze pierożek. Ej, Waluszek! Broń ci wydali?

– Aha – odezwał się Waluszek, kompletnie już na pozór zbity z tropu i onieśmielony.

– Masz przy sobie?

Waluszek odsunął połę kurtki, spod której wyrzała charakterystyczna kabura z igielnikiem. Pistolet wisiał wygodnie, choć Gusiew umieściłby go nieco inaczej.

– Kombidres włożyłeś?

Waluszek stuknął się w pierś, a ta odpowiedziała głuchym stuknięciem. Stażysta najwyraźniej postanowił unikać otwierania ust, żeby nie naciąć się na kolejną kpinę.

– Nie ciśnie? Leży wygodnie?

– Przyzwyczaję się...

Gusiew kiwnął głową ze zrozumieniem. Waluszek powinien był do dzisiejszego dnia ukończyć miesięczny kurs treningu ze standardową amunicją. Ale oczywiście lekki pancerny komplet (w żargonie pracowników ASB – kombidres) nie stał się jeszcze jego drugą skórą. Prawdziwy brakarz nawet do cukierni nie pójdzie bez pancerza. Moskiewska ulica to nie poligon paintballu. Nigdy nie wiadomo, kiedy i gdzie uczciwemu człowiekowi może się przydać pancerna osłona korpusu...

– A jak on strzela? – zwrócił się Gusiew do szefa.

– Już mówiłem, gunfighter – wyjaśnił szef, przesuwał się jeszcze nieco ku drzwiom.

„Ostrzega go – pomyślał Gusiew. – Daje mu sygnał, że zaraz zapachnie prochem. Zrozumiał już, że chłopak mi się spodobał i chce mu teraz podrzucić dodatkową szansę na zrobienie dobrego wrażenia”.

– Hm... – Waluszek, a wiesz ty, kto to taki – gunfighter?

– Strzelec – odpowiedział Waluszek jak najbardziej wymijająco. Nie przeoczył sygnału szefa i w tej chwili otoczył się niewidzialnymi igłami, niczym szykujący się do walki jeź. Co prawda, nie położył dłoni na kolbie igielnika, ani nawet nie wsparł się nią w bok – co Gusiew zapisał mu na plus.

„Dziesięć kroków – doskonały dystans. Przeciwnik najczęściej zwraca na nas uwagę z tej właśnie odległości. No cóż, zobaczymy, jak dobry jest nasz rewolwerowiec Waluszek. Tak, chłopcze, widać jak na dłoni, że czekasz na rozrywkę i chcesz mieć ubaw. Ale nie myślę się też co do dobroduszości – jakoś to w tobie jedno z drugim się godzi. No cóż, dobrze. Gwarantuję ci rozrywkę. Zapamiętasz na całe życie. Jeszcze nie rozumiałeś, jakie to będzie poniżające i bolesne. A mógłbyś się domyślić, masz w lufie taką samą igielkę, jak ja. Dlatego nie jesteś jeszcze żadnym rewolwerowcem, a tylko „pistoletem”, jednym z mnóstwa zwykłych chłopaków lubiących bawić się bronią. No cóż, przystąpmy do nauki”.

– Zuch – pochwalił Gusiew. – Terminy znasz. Znaczy tak, strzelec. Ja ci teraz wygłoszę pouczenie. Nie wiesz, co to takiego, więc ci wyjaśnię. Pouczenie to mówka o nieco kpiącym charakterze, nie poparta dowodami. Poucza starszy młodszego, albo – jak w naszym przypadku – przełożony podwładnego. A ponieważ starszy, w naszym wypadku przewodnik, jest przekonany o niezniszczalności i nieskazitelności swojego autorytetu, zamiast części dowodowej pojawiają się gołe emocje. „Masz robić tak i tak, tępaku” – powiada starszy. I nic więcej. Dlatego pouczenie zwykle jest mało skuteczne i produktywne. Niemniej jednak często kierują je starsi do młodszych. Rozumiemy się?

Waluszek lekko się uśmiechnął, jakby mówiąc: „A co tu jest do rozumienia? Wszystko jasne”.

– Jeżeli się zgramy – ciągnął Gusiew – to w najbliższym czasie usłyszysz ode mnie mnóstwo pouczeń. Będę się dzielił z tobą swoim doświadczeniem, nie popierając tego praktyką. Cóż... gwarantuję w każdym razie, że nie będziemy się sami pchali w ogień. Dlatego, że bardzo chciałbym, żeby twoja praktyka różniła się od tego, czego w swoim czasie ja doświadczyłem na własnej skórze. Ale zdarzy się taki dzień, w którym jakies z moich pouczeń ci się przyda... Aha. Widzę, że rozumiałeś. Mądrała z ciebie. Słusznie, nie będziesz miał czasu na przypominanie. Trzeba ci będzie natychmiast zareagować. Dlatego bądź uprzejmy wszystkie moje pouczenia nieustannie przegrywać w swojej głowie. Przedstawiaj sobie wzrokowo, jak to było. Próbuj sobie wyobrażać sytuację i siebie w tej sytuacji. Uwierz mi na słowo – od tego, jak starannie będziesz wnikał w sens każdego z moich pouczeń, będzie zależeć, czy przeżyjesz, czy nie. I jeżeli powiem: „Tak nie wolno, nie stawaj tutaj, nie pchaj się tam” – masz nie marudzić, tylko natychmiast mi się podporządkować. Zrozumiałeś?

Waluszek znów kiwnął głową.

– Doskonale. A teraz wysłuchaj pouczenia numer jeden twojego przewodnika Pe Gusiewa. Dobry brakarz, to żywy brakarz. A najlepszy brakarz to ten, co żyje jak najdłużej. Żeby osiągnąć długowieczność, powinieneś dawać baczenie na wszystko i wszystkich. Nie bać się, ale dawać baczenie. Nieustannie się spodziewać, że pierwszy lepszy idący ku tobie człowiek zechce ci zrobić krzywdę. I zawczasu go za to nienawidzić. Obawa o swoje życie i nienawiść do otaczającego świata – to dwie siły kierujące brakarzem. Każdy złodziej, zabójca, gwałcieciel czy bandzior, jakich spotkasz na moskiewskiej ulicy, to oczywiście wróg narodu. Ale przede wszystkim jest twoim osobistym wrogiem. Zechce zdeptać właśnie twoje wartości. Zechce ci sprawić ból. A wiesz, jaki ból ci może sprawić? Ot, taki...

Po takim przeciągającym się wstępie Waluszek powinien był obowiązkowo skoczyć i skryć się za ławką. Co też uczynił, jednocześnie wrywając z kabury pistolet. Ale Gusiew go przechytrzył. Wygłaszając całe „pouczenie” miarowo gestykułował lewą ręką z trzymanym w niej papierosem. I Waluszek się na to nabrał. Oczywiście nie na prymitywną hipnozę, ale na sam fakt hipnotycznego działania. Zaczął się zastanawiać, jak właściwie zechcą uspić jego czujność. Niepotrzebnie – bo przeciwnikowi właśnie o to chodziło.

Pozycja siedzącego na stole Gusiewa nie była najdogodniejsza, ale gdy Waluszek padł i wyciągał przed siebie rękę z pistoletem, stary wyga od biodra ciął go krótką serią po nogach. Waluszek runął na podłogę z takim łoskotem, jakby zamierzał zwalić się przed strop do pokoju leżącego pod nimi. Po łomocie jego upadku stuk wypuszczanego przezeń z ręki igielnika zabrzmiał prawie melodyjnie.

– Mam nadzieję, że nie rozbił sobie głowy – stwierdził szef. – A widziałeś, jak on...

– Nie trzeba było go podpuszczać – mruknął swarliwie Gusiew, wkładając na miejsce swój igielnik.

– Kto go podpuszczał? – zdenerwował się szef. – Sam go podpuściłeś! On po prostu zdążył się rozluźnić akurat wtedy, gdy ty wreszcie postanowiłeś mu pokazać klasę Clint Eastwooda!

– Najpierw się naładował, a potem rozładował – stwierdził Gusiew, zeskakując ze stołu i wyciągając futerał z apteczką.

– Słuchaj, Pe – zamyślił się szef. – A podczas pracy klientom też lekcje wygłaszasz?

– Interesujące pytanie. A czymże według was jest „ptaszek”? Przecież trzeba go recytować trzydzieści sekund! Jedyny sposób – igielnik już tkwi w uchu klienta. Zazwyczaj...

Przeszli przez klasę i zatrzymali się nad leżącym w kącie nieruchomym ciałem. Waluszek głowy sobie nie rozbił, ale wyglądał nie najlepiej. Paralizator nie przeszkadzał mu w oddychaniu; ofiara mogła też nieznacznie poruszać oczami. W tych oczach malował się taki ból, że szef pospiesznie się cofnął.

Gusiew przykucnął, odszukał na biodrze Waluszka żółty punkcik nici stabilizatora, pociągnął i ostrożnie wyjął igłę z futerału.

– Jedna z trzech – powiedział. – Trzeba było brać niżej. Przeszkodziła ci ta głupia ławka. No nic, Loszka, pocierp. Tak trzeba, sam rozumiesz.

Waluszek chlipnął boleśnie. Podczas miesiąca treningów opowiadano mu o Wybrakówce wszystko, co tylko można było sobie wyobrazić. Ale firmowa sztuczka Gusiewa nie wchodziła w zestaw standardowy. Co więcej, nikt o niej nie wiedział, oprócz szefa i tych, co z Gusiewem pracowali. Gdyby Gusiew albo któryś z jego partnerów się wygadał, pozostali agenci ogłosiliby bojkot ekscentrycznego weterana. Inni przewodnicy i dowódcy grup nie bez podstaw uznaliby najpewniej Gusiewa za ostatniego drania. Nie mówiąc już o tym, że „lekcja” nie zawierała żadnych elementów pedagogiki, a na milę śmierdziała psychopatią. Uczyć życia prowadzonego strzelając do niego, znaczyło na zawsze wszcześcić mu tę bojaźń zmieszaną z nienawiścią, o których Gusiew przed chwilą mówił. Co prawda, te emocje nie były skierowane przeciwko otaczającemu światu, a ku przewodnikowi.

Gusiew miał jednak inne zdanie.

– Teraz – ciągnął wyjmując strzykawkę z antidotum – wiesz już, partnerze, co będziesz ludziom robił. Będziesz tak postępował ze wszelkimi społecznymi mętami, zboczeńcami, wrogami społeczeństwa i twoimi osobistymi. Będziesz na prawo i lewo zadawać ból. Okropny ból. Ból nie do wytrzymania.

Wstrzyknął lekarstwo i uśmiechnął się szeroko.

– Zaraz odpuści – obiecał. – I jeżeli się nie rozmyśliłeś, szczerze zapraszamy do naszej skromnej Agencji Społecznego Bezpieczeństwa. Wiesz, jak mnie niedawno nazwał jeden z milicjantów? Hersztem oprawców. A ja głupi przez cały czas myślałem, że jestem ostatnim Mohikaninem.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Stoker rzeczywiście zgrzeszył przeciwko prawdzie: Vlad nie żywił się krwią swoich poddanych, wolał mniej egzotyczne potrawy. Ale na swoje przewisko zapracował aż nadto.

Patrol, który im przydzielono był zawsze najbardziej „urodzajny” – od osiemnastej do drugiej w nocy. Gusiew poprosił o niego nie bez celu. Waluszek zjawił się na instruktazu o wyznaczonej porze, był cichy, skromny i nie rozglądał się na boki. A było na co popatrzeć – dziś w centrum miasta operowała grupa Myszkiń i cztery inne trójki – jedna bardziej egzotyczna od drugiej. Każdy z siedzących w klasie co chwila rzucał badawcze spojrzenie na nowicjusza. Bez głośnych komentarzy, ale z autentyczną troską. Wygląd i manieri świeżo upieczonego brakarza były dla weteranów bezspornym świadectwem na to, że ASB karleje i się wyradza. Dziś w klasie zebrały się stare wilki, swego rodzaju szeryfowie bez lęku i skazy, przywykli do myśli, że każdy z nich jest uosobieniem Prawa. Ludzie z absolutną pewnością przekonani o tym, że gdyby nie ich pragnienie służenia społeczeństwu do krwi ostatniej, świat byłby zgubiony.

Waluszek, wedle ich pojęć, nie nadałby się nawet na pomocnika szeryfa. Brakowało mu w oczach bezwarunkowej gotowości rzucenia się na pierwszy zew z pomocą porządnym obywatelom. Choćbyś pękł – brakowało. Oto jeszcze jeden młody bałwan, który doszedł do wniosku, że w pracy będzie mógł się wyżyć. I oczywiście czuć się bardziej zabezpieczonym przed wszelkimi niespodziankami w normalnym życiu.

Gusiew, który doskonale wyczuwał tę wiszącą w powietrzu łagodną wrogość, na wszelki wypadek pochwycił spojrzenie siedzącego nieopodal Myszkiń i mrugnął doń niepostrzeżenie. Myszkiń jednak tylko w nieokreślony sposób poruszył gigantyczną zuchwą i odwrócił wzrok.

„Tym lepiej – pomyślał Gusiew. – Chłopak będzie miał mniej okazji do zaprzyjaźnienia się z naszymi dziarskimi paladynami i podłapania od nich głupot. Na przykład Myszkiń niedawno pieprzył jakieś androny na temat rasy panującej i przeznaczonej jej wielkiej roli w historii. Z pewnością tak podziałało na niego hasło: „Kupujemy tylko u Rosjan”. Ten Myszkiń w ogóle łatwo poddaje się różnym wpływom. Przeczyta napisaną przez jakiegoś



psychologa książkę i natychmiast zostaje apostołem nowej wiary. Najpierw był zajadłym wielbicielem jogi, potem równie zajadłym antysemitą, w zeszłym roku nie wyłaził z cerkwi, a teraz podejrzewam, że ciągnie go do nazistów. A przecież ma pod sobą bez mała trzydziestu ludzi i wszystkim im nieustannie robi wodę z mózgow... Może mu podrzucić coś na temat poznania pozazmysłowego? Niech odkryje w sobie cudowny dar i niech komunikuje się z kosmosem. Choć nie, to też niebezpieczne – a nuż mu prosto z jądra wszechświata jakiś kretynizm podeślą...”

– ...i są zobowiązani do natychmiastowego stawienia się na wskazanym punkcie – bębnił jak zwykle szef. – Proszę też zwrócić uwagę na szczególną poprawność w stosunkach z pracownikami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nie dalej jak wczoraj jeden z bojowców grupy... nieważne, której i czyjej, pozwolił sobie na nietaktowne, żeby nie rzec chamskie zachowanie. Trzeba z tym skończyć. Choć ustawowo ASB istnieje na takich samych warunkach, jak MSW, tym niemniej jednym z naszych podstawowych zadań jest bezpośrednio i pośrednio wsparcie...

– To niech sami prowadzą odstrzał bezpańskich psów – zadudnił Myszkina. – O ile to prawda z tymi warunkami. Bo, szczerze mówiąc, zupełnie się rozzuchwalili i zaczęli rozpuszczać jęzory. Mnie Daniło wszystko opowiedział, możecie mi wierzyć.

Szef niemal spopielił Myszkina spojrzeniem.

– Żeby mi to było ostatni raz! – wycedził.

– Więcej nie będę – obiecał Myszkina wyzywającym tonem. W klasie rozległy się aprobujące śmiechki.

– A ty co, też w milicjantów kamieniami rzucasz? – zdziwił się szef. – Jeszcze obiecujesz wybrakowanie?

– Aaaa... absolutnie nie, towarzyszu naczelniku. Ja w sprawie, jakby to rzec, głosów z sali. Ale jeżeli jakiegoś mentp trzeba wybrakować – to z największą przyjemnością. Jak to się mówi, wobec prawa wszyscy są równi.

– Niektórzy są równiejsi – wtrącił Gusiew niezbyt głośno.

Wszystkie głowy jak jedna skierowały się w jego stronę.

– Robicie jakieś aluzje, Gusiew? – syknął naczelnik oddziału.

– Szefie, nie robię żadnych aluzji. Po prostu zwracam wszystkim uwagę na fakt, że ASB stoi w zasadzie ponad prawem. Ale z tego absolutnie nie wynika, że powinniśmy strzelać do bezpańskich psów. Tym się powinny zajmować organy sanitarno-epidemiologiczne. Co to, mają święto? W mieście już nie ma ani jednej dwunogiej świni? Wychodzi na to, że pozabijaliśmy już wszystkich łajdaków. To może ja pójdę do domu?

– Gusiew – odezwał się szef zwodniczo spokojnym głosem, co zwiastowało skory wybuch wściekłości. – Ty masz nie język, a wiatraczne śmigło. Ale to wcale nie znaczy, że jesteś najmądrzejszy. Może zajmiesz moje miejsce? Aaa, nie chcesz...

– Na miejsce każdego zabitego przez nas bezpańskiego psa ściągną do Moskwy trzy do

pięciu psów spoza granic miasta – powiedział Gusiew. – Dzwoniłem wczoraj do mojego przyjaciela zoologa i wszystko mi bardzo dobrze wyjaśnił. Myślę, że i na górze o tym wiedzą. A w Komendzie Głównej wiedzą, że brakarze nie są przygotowani do strzelania do niewinnych zwierząt – to dla nich szok. A szczególnie – kiedy obok przechodzą nasi kochani, czyściutcy, nieskazitelni gliniarze i rzucają złośliwe komentarze.

– Milczeć! – warknął szef. – A po instruktażu – u mnie w gabinecie! Obaj! I ty, Kalinin, też!

– Ja tylko ziewnąłem! – zachnął się Kalinin.

– Milczeć! To rozkaz. Od tego dnia. Kto podniesie rękę na milicjanta – po wiek wieków do patrolowania. Do końca życia! Żadnych więcej operacji specjalnych i żadnych premii! Wszyscy. Rrozejść się! Myszkin i Gusiew – do mnie!

– A ja? – zainteresował się Kalinin, ziewając demonstracyjnie.

– A ty marsz na trasę!

– Yes, sir!

– Co?!

– Wedle rozkazu, Wasza Dostojność!

– Won stąd! – ryknął szef. – Wszyscy precz! Biegiem! Łajdaki! Nieroby jedno! Wszystkich na przemiał! Do kopalni z bandziorami! Na Syberię las rąbać!

Brakarze całą grupą zerwali się z miejsc i kopnęli do drzwi.

– Nie wychodź! – szepnął Gusiew do Waluszka. – Posiedź w kącie i poczekaj na mnie. Zaraz wracam.

Waluszek kiwnął głową i znikł w chichoczącej przy drzwiach grupie. Wrzeszczącego szefa nikt się tu nie bał. Tu bano się przełożonych spokojnych i flegmatycznych, gotowych cię wybrakować.

W gabinecie szef przez kilka chwil sypał przekleństwami i tupał nogami, aż wreszcie zmęczony padł na krzesło, wytarł łysinę brudną chusteczką i nieoczekiwanie spokojnym głosem zapytał:

– Gusiew, co to znaczy?

– Co? – nie zrozumiał Gusiew.

– O psach.

– A... oczywiście. Miasto jest w stanie wyżywić tylko określoną liczbę psów. A nawet gdyby wyłożyć całe żarcie na śmietniki, to każde stado ma swój określony rejon. Znaczący, strefę mieszkalną. Dlatego liczba bezpańskich psów w Moskwie jest mniej więcej stała. Od czasu do czasu zdarza się, że stada robią się bardziej natarczywe i zbyt często pchają się ludziom w oczy. Zaczyna się wtedy odłów, żeby zwierzaki nie psuły wizerunku miasta. Ale wystarczy, że zastrzeli się jednego psa, a zaraz się uwalnia nisza ekologiczna, o zajęciu której marzy każdy z kilku osobników, czyhających poza granicami miasta. Osłabione utratą

wojownika stado nie zdoła im się skutecznie przeciwstawić i w niszę wciska się co najmniej dwóch osobników... I tak dalej. Krótko mówiąc o wiele prościej jest wyłowić wszystkie suki i powstawić im spirale. Na jakieś pięć lat pozbywamy się problemu.

– Spirale?!

– No, nie wiem, jak to się robi z psami, ja tylko tak dla przykładu.

Szef w zadumie podrapał się po łysinie

– Miasto ma teraz mnóstwo funduszy – podtrzymał Gusiewa Myszkin. – Można powiedzieć, że nie ma co z forsą robić. Dawno już mogliby uruchomić taki program. A poza tym Pe ma absolutną rację – co robią chłopaki z inspekcji sanitarno-epidemiologicznej?

– Wszystko zrobicie, żeby tylko się nie przemęczyć – stwierdził zjadliwie szef. – Nawet psimi ginekologami wolicie zostać!

Myszkin i Gusiew spojrzeli jeden na drugiego. Żadnemu wcześniej nie przyszła do głowy myśl, żeby wyłapywać suki i zająć się ich sterylizacją.

– Niechby i tak – stwierdził Myszkin. – Lepsze to, niż zabijanie.

Szef rzucił mu krzywe spojrzenie, ale zmilczał.

– Napiszcie zapytanie – zaproponował Gusiew. – Do komitetu Ekologicznego przy Radzie Najwyższej. Znaczy, nie wy, osobiście, ale szef oddziału moskiewskiego niech napisze.

Szef siąknął nosem i się poddał.

– Spróbuję – mruknął niechętnie.

– Można by rzec, że to celowe działanie – oznajmił Myszkin, zniżywszy swój bas do szeptu. – Krótko mówiąc, dziś psy, a jutro co? Każdemu miotłę do łapy?

– Miotel nie dadzą – stwierdził autorytatywnie Gusiew. – Zapomniałeś już, że w mieście jest po czterech dozorców na bramę? Niedługo trotuary będą mydłem myć, jak w jakiejś, cholera, Antwerpii. Kiedy ty ostatnio widziałeś niedopałek pod nogami?

Myszkin zamyślił się głęboko. Szef posapując otworzył szufladę biurka i wyjął z niej papierosy. Podziałała uwaga o niedopałkach.

– A tak przy okazji... – rzucił Gusiew. – Właśnie mnie olśniło. Domyślam się chyba, czemu nadzór sanitarny tak rozpuścił psy, że trzeba im teraz pokazać ich miejsce.

– Ja też – prychnął szef. – No dobra, jesteście wolni. Ale uważać! Żadnych numerów! Jasne?

– Taaaest! – jednym głosem warknęli brakarze.

– I nie przerywać przełożonym!

– Taaaest!

– Na służbę!

– Można odejść?

– Marsz!

Za drzwiami Myszkin klepnął Gusiewa w ramię, niemal wbijając go tą piśszczotą po

kolana w posadzkę.

– Zuch jesteś, Pe! – powiedział. – Dziękuję za poparcie. Widzę, żeś nie zardzewiał. Bo... tego... różnie mówili... Tak! Krótko mówiąc, co z tymi z Sanepidu?

– No, przecież wybrakowaliśmy wszystkich stukniętych – pocierając niemal wybite ze stawu ramię, stwierdził Gusiew. – I to bardzo ostro. A ty sobie wyobraź, jakie typy pracowały u hyclów! Wszyscy teraz ziemię gryzą albo w klinikach długie rękawy rozplątują. A tych, co się podlecza, już do rakarni nie ciągnie.

– Wychodzi na to, że sami sobie ten problem na tyłek ściągnęliśmy?

– No nie. Może to ty masz rację i robi się to celowo, żeby Agencję rozwalić od środka...

– We władzach bardzo wielu jest nie-Rosjan – mruknął ponuro Myszkin. – Na kogo spojrzysz, to albo prawie Żyd, albo prawdziwy Żyd, albo – jak to się mówi – Żydzisko parszywe. Samych by ich hyclom podesłać! A jeszcze lepiej – wybrakować!

– ...albo popadliśmy w częściowe zapomnienie – zakończył myśl Gusiew. – Zapomniano, kim jesteśmy. Nie wiedzą, gdzie nas wetknąć. Agencja kraj oczyściła, że daj Boże. Pracy już prawie nie mamy, a i klienci jakoś skarleli. Nawet jak któryś teraz łeb podniesie, to kropla w morzu. Menty i bez nas dadzą sobie radę. I pojawi się interesujące pytanie – co z nami robić?

Nie zabrał się do wyjaśnień, jak dalece wielostronne jest jego spojrzenie na problem i jak w tę koncepcję wpisują się coraz częstsze przypadki milicyjnej samowoli i wiele innych rzeczy. Z Myszkinem trzeba było rozmawiać krótko i wyraziście, w przeciwnym razie pogromca przestępców przestawał słuchać i zamykał się w sobie.

– Krótko mówiąc, rozpędzą nas na cztery wiatry – westchnął Myszkin. – Albo... co tak patrzysz?

– Po prostu nas wybrakują – rzekł Gusiew.

– Udław się! A po chuj Agencja robi zaciągi młodych?

– Bo właśnie oni nami się zajmą! – rąbnął Gusiew i sam się zająknął od ogarniającej go z nagłą trwogi. „Cholera! To się nazywa – olśnienie!”

– Jak cię palnę w kark... – ostrzegł Myszkin.

– Nie trzeba. Na razie nie ma za co.

– Tfu! – Myszkin potrząsnął łapą nad karkiem Gusiewa. – Krótko mówiąc, nigdy już mnie tak nie strasz. Teraz przez tydzień nie zasną. Ja... jakby ci tu powiedzieć... wpływowy bardzo jestem. Choler-ra! No, dobra. Nie masz dziś konkretnego przydziału?

– Owszem, wolny strzelec! Muszę prowadzonego oswoić z terenem.

– Ale tak z grubsza?

– Po trójkącie wokół firmy. Nowy Arbat, Smoleńska, Arbat... i może zahaczmy o Bulwary.

– Znaczy, jak to się mówi, z buta. No, dobra. Pe... Krótko, godzina zero zero, czekam na ciebie na parkingu obok pomnika Majakowskiego. Ale przyjedź samochodem, dobrze?

– No popatrz... – mruknął Gusiew. – A czemuż to zawdzięczam zaszczyt?

– Potrzebny będziesz – odparł zwięźle Myszkin.

– A co zrobię z prowadzonym?

– Weź go ze sobą. Może być. Zaznajomi się i jednocześnie... He-he...

– Dobra – odparł Gusiew z namysłem w głosie. – Powiedzmy, że jesteśmy umówieni. Chociaż, szczerze mówiąc, nie spodziewałem się. Myślałem, że ze mną już koniec, żeście mnie zaliczyli do emerytów.

– Nie zapomniano o tobie – stwierdził twardo Myszkin. – No to na razie. Żyj!

– Żyj! – pożegnał Gusiew kolegę starym, prawie zapomnianym zawołaniem brakarzy idących na robotę.

– A, jeszcze jedno! – Myszkin przypomniał coś sobie i się odwrócił. – Wiesz, ci młodzi, wypytywali mnie tutaj, czemu naszą formułę nazywamy „ptaszkiem”. Nic im nie powiedziałem. Po co im wiedzieć... Dobrze?

– Dobrze – stwierdził Gusiew. – Wygląda na to, że naprawdę o niczym nie zapomniałeś.

Myszkin mrugnął porozumiewawczo, machnął ręką i poszedł ku wyjściu, skąd dudniły już głosy jego podkomendnych. Gusiew skręcił do klasy wykładów taktycznych.

Waluszek siedział w kącie założywszy nogę na nogę i przeglądał jakąś broszurę.

– Co ty tam przeżuwasz? – zapytał Gusiew. – Regulamin służby wewnętrznej?

– Nie, skąd... – Waluszek szybko schował broszurę do kieszeni wewnętrznej i wstał. – Pamiątka.

– Daj spokój – uśmiechnął się Gusiew. – Dziś trafi ci się pamiątka... sam zobaczysz. Idziemy, agencie Locha Waluszek. Witam was na pierwszym patrolu.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Trzeba oddać Władowi Tepesowi sprawiedliwość – w swoim katowskim zapale nie pobrażał nikomu, niezależnie od narodowości czy pozycji społecznej.

– Co, nie mamy samochodu? – zdziwił się Waluszek, kiedy Gusiew, wyszedłszy z bramy wsadził dłoń w kieszenie i kopcąc dymem z cygara ruszył ku placowi Arbatu.

– Pomyśl – rzucił Gusiew przez ramię, nie zatrzymując się.

Waluszek dogonił przewodnika i ruszył obok. Dalszych pytań już nie zadawał – albo postanowił udać mądrzejszego niż jest, albo po prostu bał się narazić, co zresztą samo w sobie świadczyło o śladowej obecności intelektu.

Gusiew skończył palenie, niedbale rzucił niedopałek do kosza, który akurat się napatoczył, chybił i posapując z irytacji podniósł niedopałek, a potem starannie wrzucił go tam, gdzie powinien.

– Tu wszędzie jest blisko – zniżył się łaskawie do wyjaśnień. – A samochodem zaraz się wpakujesz w korek. No nic, pod wieczór trochę sobie pojeździmy.

Na parkingu przy ścianie tunelu, który zagłębiał się pod Nowy Arbat, dwóch śmieciarzy ze swoją „wycieraczką” zaciekle pucowało asfalt, a jakiś ponury i nieogolony typ o sinej gębie grzebał w parkingowym liczniku. Gusiew gwizdnął i został zignorowany. Brakarz przeszedł przez drogę i lekko tknął nieogolonego palcem w bok.

Nieogolony odwrócił się z takim trudem, iż Gusiew gotów byłby przysiąc, że usłyszał zgrzyt stawów. Przy okazji brakarz ujrzał jego oznakę mundurową i wyraz kompletnej obojętności na młodej, obrzękniętej od wódki twarzy.

– Cześć – rzucił Gusiew. – Wszystko w porządku?

– Aaa... – wymamrotał nieogolony. – Nie najgorzej. Jaki, kurwa, porządek... Kicha. Strzelić sobie klina nie można, bo wygonią. A ja wczoraj imieniny miałem. Nieźle się naje... I tak, jak zacząłem, tak skończyłem. A co mam robić, jak nie umiem się powstrzymać? Na całe szczęście nie jestem stuknięty.

– No, no... – rzekł Gusiew z uznaniem. – Ciekawe, co się z tobą wyrabia na urodzinach?

– Na urodziny przychodzi ciotka i trochę mnie hamuje.

– Znaczy, żona też lubi sobie dać w rurę?

– Wpadła moja żona – westchnął nieogolony. – Będzie ze dwa lata. Za narkotyki.

– Hm... współczuję – stwierdził Gusiew bez cienia współczucia w głosie. – To po co się z nią żeniłeś? Wiedziałaś, czym się to skończy.

– Myślałem, że jakoś damy sobie radę.

– Z tym sobie nie poradzisz, to trzeba leczyć. Ale mało komu pomaga. Dobra. Widzę, że nie masz ochoty na to, żeby mi powiedzieć coś ciekawego...

– Od pewnego czasu u nas, cholera, spokojnie. Pełen komunizm, nie ma na kogo donieść.

– Ale mimo wszystko dawaj baczenie.

– Z pewnością, szefie, Jak tylko co, zaraz powiadomię.

– Dowiedzieć się, co z twoją żoną? Może jeszcze wróci?

Nieogolony uśmiechnął się krzywo.

– Nie rozśmieszaj mnie, chłopie – powiedział. – Co to ja, życia nie znam?

– Właśnie, że nie znasz. Różnie bywa.

– Nawet gdyby, to niech ją cholera...

– No, ty wiesz lepiej. To na razie.

– Bywaj.

Obok z cichym warkotem silnika przejechała „wycieraczka”. Jeden ze śmieciarzy operował dźwigniami, drugi siedł z tyłu i oceniał rezultaty. Po przejściu maszyny asfalt zmieniał barwę, jakby go wczoraj położono. Widać było, że śmieciarze nie oszczędzają na środkach czyszczących.

– A wy co się tak staracie? – zapytał Gusiew. – Inspekcja będzie?

– Skądże – odezwał się pieszy. – Po prostu chcemy, żeby było pięknie.

– Niedługo smarknąć na ulicy nie będzie można – mruknął Gusiew do siebie. – Od razu przybiegnie dwóch z łopatami i jeden z wiadrem. Skąd ich biorą, tych maniaków?

– A mnie się to podoba – odezwał się Waluszek.

– Mnie też – przyznał Gusiew. – Tylko się boję, że mnie kiedyś zabiorą za to, że gumę do żucia obok kosza wypluję.

Znów przeszli na drugą stronę ulicy.

– Posłuchaj... – przypomniał sobie nagle Waluszek. – Coś ty mówił o tym, że narkomanów się leczy? Przecież u nas ich nie leczą. A może jednak...

– Doświadczony psychoterapeuta może narkomana wyleczyć. Oczywiście, nie każdego. Kuracja jest zresztą kłopotliwa i długa. Ale w pewnych przypadkach narkomania poddaje się leczeniu. I najważniejsze wcale nie są leki. Z tego, co wiem, szybka detoksykacja zajmuje dziesięć, do dwunastu godzin. Ale zostaje uzależnienie psychiczne. Trzeba ustalić przyczyny, dla których narkoman chce uciec od rzeczywistości. Igłę bierze tylko ten, kto ma do tego skłonności. Komu jest ona potrzebna.

– A ten, któremu nie jest potrzebna? – zapytał natychmiast Waluszek.

– Ten jej nie tyka.

– A jak komuś jest potrzebna, ale nie za bardzo? – nie poddawał się Waluszek.

– To go po zdiagnozowaniu zostawiają przy życiu i wysyłają do obozu pracy. Dlatego powiedziałem, że niektórzy w zasadzie mogą wrócić. Obóz – nie katorga, da się przeżyć. Wracają nieszczęsne stworzenia o osowiałych już na zawsze oczach, ale wracają. I niczego już im nie trzeba – narkotyków też. Rozluźnij się, Loszka. Na narkotyki jest tylko jeden pewny środek, który pomaga każdemu – kula w łeb.

Przy kiosku z wyrobami tytoniowymi Gusiew zwolnił i zajrzał w okienko.

– Jak tam sprawy? – zapytał.

– Dzięki waszym staraniom, nieźle – padła odpowiedź.

– Później się nie zjawiali?

Waluszek nie usłyszał odpowiedzi. Gusiew chrząknął z satysfakcją.

– Jakby co, dzwoni od razu – stwierdził zwracając się do sprzedawcy. – I nie na milicję, tylko od razu do nas. Daj mi „Captain Black”. Nie, nie te. Ja palę ciemne, aromatyzowane.

Na ladzie spoczęły papierosy. Jedną stronę paczki całkowicie pokrywała biała naklejka z wyraźnym napisem wielkimi literami: „Tytoń zabija”.

– Oho – mruknął Gusiew. – Zaczęło się. Jak ty tu wysiedzisz, biedaku, skoro wszystkie wystawione paczki masz odwrócone napisem do środka kiosku.

– Okropność – zgodził się sprzedawca. – Aż dreszcz człowieka bierze. Właśnie rzucam palenie. Dobrze jeszcze, że nie wpadli na pomysł, żeby na wódce jakieś świństwa wypisywać.

Gusiew kiwnął mu głową ze współczuciem, zapłacił, wsunął papierosy w kieszeń i odwrócił się do Waluszka. Wyraz twarzy starego wygi świadczył o jego poirytowaniu.

– Nie rozglądaj się tak na wszystkie strony, ty niedorobiony desperado – syknął. – Szkło witryny nie jest gorsze od lustra, wszystko doskonale widać.

– Przepraszam – wymamrotał Waluszek.

– Zapamiętaj na przyszłość. Przez to ruszanie głową wokół mogą cię wziąć za mojego ochroniarza, chociaż zupełnie nie przypominasz typowego goryla. A po co nam to? Ja zamierzam jeszcze trochę pożyć, i tobie życzę tego samego. Nie przepatruj okolicy okiem pana i władcy, tylko się w nią wżyj. Jeżeli tak bardzo masz ochotę się porozglądać, to rób to niedbale i beztrosko. My nie patrolujemy dzielnicy – po prostu idziemy przez nią za swoimi sprawami.

– Rozumiem.

– Zuch. No to jazda dalej.

Czyściutko wysprzątane stopnie wiodły na drugą stronę Nowego Arbatu. Pod ziemią, przy szklanych drzwiach przejścia, ustawiono niewielki stolik, pokryty bułeczkami i napojami. Obok stolika stali dwaj milicjanci, uśmiechający się dobrodusznie i grzebiący w towarze. Sprzedawca też uśmiechał się szeroko.

Pod przeciwległą ścianą stał kosz na śmieci. Gusiew zatrzymał się i zaczął otwierać paczkę papierosów. Paczka była oporna i folia wpadła w śmieci dopiero wtedy, gdy



obladowani towarem milicjanci odeszli od stolika. Gusiew dogonił ich już na schodach.

– Wydaje mi się, sierzancie, że ten sprzedawca was wrobił – szepnął uprzejmie do ucha jednemu z milicjantów.

Sierzant obejrzał się, podskoczył i upuścił pod nogi drożdżówkę. Jego partner też zmienił się na twarzy. Gusiew akurat rozsunał lekko poły kurtki i na jego piersi wszystkimi barwami tęczy rozbłysł znaczek ASB.

– A o co chodzi? – zapytał sierżant.

– A o to chodzi, synku, że ten typ doskonale zna moją twarz. Widział, że stoję obok. A jednak pozwolił wam odejść, nie uściwszy zapłaty.

– Ależ zapłaciłem! – zachnął się sierżant, upychając po kieszeniach pojemniki z wodą. – Mam świadka. Co jest, cholera jasna! Za kogo mnie bierzesz?

– Biorę cię za smarkacza, który chodzi tu nie dłużej, niż tydzień. W przeciwnym razie bym cię zapamiętał. A przy okazji, domorośli wymuszacze, pokażcie mi swoje dokumenty. Loszka, sprzedawca chce uciec. Zatrzymaj go.

Waluszek zbiegł po stopniach w dół i chwycił znikającego w bocznym pomieszczeniu sprzedawcę za kołnierz. Czerwoni jak ćwikła milicjanci wyjęli służbowe legitymacje.

– Ta-ak... Sierżant Loginów. Młodszy sierżant Kozyriew. – Gusiew zdjął z pasa transiver<sup>6</sup> – Centralny? Tu Gusiew! Sprawdźcie mi dwóch młodych stróżów prawa i porządku publicznego... – podyktował nazwiska, stopnie i numery legitymacji. – Czekam. Ta-ak... No, mają szczęście. – Schował aparat, oddał milicjantom dokumenty, wyjął notes i coś w nim zapisał. – Więc tak, młodzieży, darować wam ten pierwszy raz, czy nadal będziecie łamać prawo?

Sierzant rzucił zaszczute spojrzenie na straganiarza, którego Waluszek odwrócił głęą ku milicjantom. Sprzedawca bezczelnie się uśmiechał.

Partner sierżanta przesunął się i zasłonił Gusiewa przed wzrokiem przechodniów. Gusiew z nieukrywana ciekawością rozejrzał się na boki. Waluszek przeciwnie – nastroszył się i wsunął dłoń za pazuchę.

– Głupia sytuacja – stwierdził milicjant. – Ludzie patrzą.

– A brać i nie płacić – to co, nie głupia sytuacja?

– Nie mieliśmy pieniędzy – wydusił z siebie sierżant. – Chcieliśmy zapłacić później.

– Więc tak, młodzi ludzie. Albo płacicie, albo zwracacie towar. Za to – Gusiew trącił czubkiem buta leżącą pod nogami drożdżówkę – zapłacicie także. I weźcie pod uwagę, że jesteście już w kartotece. Oficjalne ostrzeżenie w sprawie próby wymuszenia korzyści pieniężnej.

Sierzant ponownie popatrzył na sprzedawcę. Ten skromnie spuścił oczy.

– Jak wam nie wstyd, chłopcy? – zapytał Gusiew. – Od takiego haniebnego epizodu służbę zaczynacie? A ci dobrzy, prości ludzie, przed którymi wam teraz głupio, przecież oni

---

6 - Transiver - przenośny wielozakresowy radiowy aparat nadawczo-odbiorczy. Pełny opis - patrz „Komentarze”. (przypis autora).

na was liczą. Myślą, że ich obronicie, a w razie czego im pomóżecie... A wy, zamiast tego pozbawiacie ich uczciwego zarobku.

– Przecież on sam nam to wetknął w ręce! – wymamrotał sierżant. – Chciał się zaprzyjaźnić, postanowił nas obdarować na początek znajomości...

– Tej wersji w ogóle nie słyszałem – uciął Gusiew. – Dlatego, że jest dla was dużo gorsza.

– Ależ spytaj go!

– Nie ma sprawy! – Gusiew zszedł nieco niżej, ku sprzedawcy. Milicjanci poszli za nim; w ich oczach malowała się chęć dania brakarzowi w łeb i spisania potem meldunku o samoobronie. Byli naprawdę młodzi i niedoświadczeni – przed popełnieniem głupstwa powstrzymał ich tylko widok wsuniętej za pazuchę dłoni Waluszka i jego taksujące, uważne spojrzenie.

– Cześć, prowokatorze – zwrócił się Gusiew do straganiarza.

– Heil, gestapo! – odparł wesoło sprzedawca.

– Opowiedz, jak to było.

– Jak zawsze. Podeszli, żeby zawrzeć znajomość. Tego, owego... a potem mówią – weźmiemy? No to mówię – bierzcie. I tyle.

– Bydłę! – jęknął sierżant ogarnięty bezsilną wściekłością. – Ja cię... Łże, gnojek jeden! Mam świadka!

– Loszka, puść człowieka – polecił Gusiew. – Niech wraca do handlu. Więc tak, chłopaki. Albo zrobicie, jak powiedziałem i zostaniecie w służbie z pierwszym, oficjalnym ostrzeżeniem. Z centrum miasta wyślą was gdzieś do jakiegoś Jebichowa, gdzie będziecie bruki szlifować. Ale to i tak lepiej, niż w kopalni z bandziorami ziemię ryć. Albo zechcecie mi coś udowodnić. W takim przypadku od razu wyrecytuję wam „ptaszka”, wzywam „karawan”, i już wkrótce nie będziecie rozmawiać z pocziwym brakarzem, tylko z bardzo złym śledczym. Pięć minut przesłuchania na psychotropach i wszystko będzie wiadomo. No to jak?

Od strony wyjścia na ulicę rozległo się ciężkie, słoniowate stąpanie i pomiędzy Gusiewa a przygnębionych młodzików wcisnął się jeszcze jeden milicjant, starszy, wąsaty i tęgi.

– A-aaa! – ucieszył się Gusiew. – Więc to twoje szpaczki? Tęgi jednym rzutem oka ocenił sytuację i postawił diagnozę.

– Kurwa wasza w dupę jebana mać! – sarknął. – Na minutę zostawić was nie można! Wysrać człowiekowi się nie dacie! Od razu w gówno się wpakować musicie!

– Bezwarunkowo! – poparł go Gusiew. – Bałwany, jakich ze świecą szukać! Mamy do czynienia z jednym z dwojga. Albo łapówka, albo wymuszenie. Ja, oczywiście, stawiam na wymuszenie. Ostrzegłem ich i wpiszę do akt. A oni się łamią i chcą na przesłuchanie!

– Kurwa! – stwierdził tęszy z młodszych.

– Więc tak, zabierz ich i wlej im trochę rozumu do łbów. A ja pójdę swoją drogą. Zgoda?

– Ja im nogi z dup powyrywam! – warknął półgłosem wąsacz. – Wy mnie, gnojki jedne,

jeszcze popamiętacie!

Sądząc z wyglądu wąsacza, był mocno wytrącony z równowagi. Nie rozsierdzony, ale właśnie wytrącony z równowagi. W istocie idiotyczna sytuacja – zostawił podwładnych tylko na chwilę, a oni go tymczasem wpakowali po uszy w gówno.

– Głupstwo, ty się jakoś wykręcisz! – pocieszył go Gusiew.

– Akurat! – machnął ręką wąsaty. – Teraz to...

– No to my pójdziemy – stwierdził Gusiew. – Wszystkiego najlepszego.

Waluszek się nie pożegnał, tylko wyjął dłoń z za pazuchy.

Straganiarzowi Gusiew podsunął pięść pod nos.

– A co ja złego powiedziałem? – obruszył się straganiarz.

– To tylko uprzedzenie. Ja nie słyszałem, o czym ty z nimi rozmawiałeś. Może ich podpuściłeś?

Straganiarz uniósł ku niebu oczy, ręce i wypuścił długą, barwną wiązanę, niczym nieustępującą mistrzostwu wypowiedzi wąsatego sierżanta. Z jego tyrady wynikało, że jeszcze nie zwariował i prędzej zgodziłby się na niebezpieczny dla życia, nietradycyjny seks z samcem hipopotama, niżby dał łapówkę oficjalnemu przedstawicielowi władzy, zarówno podczas wykonywania przez tego ostatniego obowiązków służbowych, jak i w każdych innych okolicznościach.

– Pomimo tego uważaj i bądź ostrożny – skwitował jego wypowiedź Gusiew i ruszył w głąb przejścia.

Straganiarz pożegnał go nieprzyzwoitym gestem.

Milicjanci gdzieś się zwinęli, nie zapłaciwszy za wzięty towar. Zamiast nich na stopniach pojawiła się dorodna, niezbyt urodziwa sprzątaczką w pomarańczowej kurtce. Podniosła porzuconą przez młodego menta drożdżówkę i zaczęła ją oglądać w zadumie.

– Rzuć to! – zawołał do niej straganiarz. – Chodź tu, dam ci naleśnik! Niech będzie z mięsem!

– A czemu wymuszenie nie jest tak groźne, jak łapówka? – zapytał Waluszek, kiedy z Gusiewem przeszli podziemnym przejściem na drugą stronę Nowego Arbatu i niespiesznym krokiem ruszyli wzdłuż lustrzanych ścian urzędu pocztowego.

– Łapownictwo zakłada znowę obu stron. I jeżeli jedna ze stron natychmiast nie zamelduje na milicję albo do ASB, sprawę można potem mocno rozdmuchać. Dziś podjadali sobie jego smakołyki, jutro on ich poprosi, żeby postraszyli jego szefa. I tak dalej. A jak podchodzą do ciebie, zabierają towar i nie płacą, to jednostronne naruszenie prawa – i teoretycznie bez perspektyw rozwojowych. No nic, Loszka, z czasem się otrząskasz. Nam specjalnie zostawili kilka takich „widełek”, na pierwszy rzut oka bzdurnych. Żeby można było skuteczniej nad ludźmi popracować. Waluszek kiwnął głową.

– Jakoś to po dziecinnemu, całkiem głupio rozegrali.

– Bo głupole. Co, myślisz, że ten stary ment wyga ich nie pouczył? Jeszcze jak ich pouczył. Pierwszego dnia im objaśnił – Boże broń, chłopaki, choć jeden cukierek od kogoś wziąć. Przez całe życie się potem nie oczyścicie z podejrzeń. Chłopcy oczywiście przyjęli to do wiadomości. A potem, jak tylko zostali bez nadzoru, postanowili spróbować, czy ta chałwa w istocie jest tak słodka, jak to opisują. Ci smarkacze okropnie potrzebują okazji do potwierdzenia własnej ważności, muszą się poczuć dorosłymi i groźnymi. A potwierdzić swoją ważność można na różne sposoby. Większości ludzi wystarczy darmowe ciastko. Przy okazji, nie zjadłbyś czegoś?

– Przecież oni nawet nie podjęli prób usprawiedliwienia się – nie rezygnował Waluszek. – Nie stawiali nawet psychicznego oporu. Tylko raz, za twoimi plecami, jak się odwróciłeś...

– Owszem, powiedział mi to twój wzrok. Przez chwilę chłopcy mieli ochotę trzasnąć mnie pałąk w ciemność. A ty bardzo prawidłowo zareagowałeś. To ci się chwali. A co do usprawiedliwień... Hipnoza sytuacyjna. Słyszałeś o czymś takim?

– Aha.

– A sam nie doświadczyłeś? Na sobie? Niektórzy z nas doświadczyli i klęli potem, na czym świat stoi. Przecież tych dwóch my na gorącym uczynku przyłapaliśmy, z dowodami w rękach. Trzeba być skończonym draniem, żeby się błyskawicznie przestawić. Zawodowi oszuści to potrafią. Potrafią w ułamku sekundy się przeorientować. Miałem kiedyś taki przypadek...

Gusiew zapalił. Mimo woli zrobił ponury grymas – wypadek też był pewnie niewesoły. Waluszek z ciekawością czekał na ciąg dalszy.

– Było tak. Braliśmy na „żywca” dwóch łajdaków. Wypracowali sobie, dranie, sprytną metodę. Jeden idzie i niby niechcący upuszcza człowiekowi pod nogi paczkę banknotów na wabia. Oczywiście, wszystko jest przygotowane. Jeżeli człowiek forsę nie podniesie, tuż obok pojawia się drugi, podnosi, patrzy frajerowi w oczy i pyta szeptem: „Co robimy?” Ofiara nie ma wyjścia. Nawet jeżeli zawoła: „Ej, człowieku, zgubiłeś pieniądze, a ten tu podniósł!”, to nic biedakowi nie pomoże. Mieli opracowane dziesiątki wariantów, jak rzucić na człowieka podejrzenie i poddać rewizji. W razie czego podbiegali inni – też umówieni członkowie szajki – stawali wokół i krzyczeli, że są świadkami i widzieli, jak ofiara brała pieniądze. Sam rozumiesz, podrzucali paczkę człowiekowi wyglądającemu na takiego, co ma w kieszeniach nieliczną gotówkę. Namierzali ofiarę w kantorach wymiany walut, dopóki te jeszcze funkcjonowały, a potem zaczęli po sklepach portfelom się przyglądać. I wyobraź sobie, zapasowe warianty banda wykorzystywała nadzwyczaj rzadko. Dwóch na trzech z przechodniów godziło się na podział zdobyczy wespół z prowokatorem. Cóż, chciwi jesteśmy wszyscy, aż strach. Nasz człowiek, który robił za „żywca”, mówił potem – niczego się chłopaki nie bójcie, tylko niech was ręka boska broni od tego, żebyście na cudzych pieniążkach wzbogacić się zechcieli. Przecież, kiedy drań zagląda ci w oczy z propozycją, że podzieli się z tobą zdobyczą i odpowiedzialnością, nie stajesz się draniem takim jak on.

Uznajesz po prostu, że masz fart. Czy nie może człowiekowi choć raz się w życiu poszczęścić? Uważa się, że może. Albo powinno.

Gusiew umilkł.

– I co było dalej? – ponaglił go Waluszek.

– Wszystko leciało według planu. Jeżeli ofiara wyciągała swoje pieniądze, natychmiast je przeliczano i oddawano z przeprosinami. Oczywiście, niepostrzeżenie zmniejszywszy zawartość portfela przynajmniej o połowę. Mogliby też po prostu zabrać wszystko i dać w mordę. Ale sam rozumiesz, rozbój i oszustwo, to dwa różne paragrafy, a poszkodowany musiałby jeszcze udowodnić, że miał przy sobie odpowiednią kwotę w momencie, kiedy – jakoby! – został „zrobiony”. Zwykłe prawo jest tu bezsilne, tylko ASB daje sobie z tym radę. No i menty dały sygnał do Centralnego. Więc kiedy capnęliśmy tych gnojków, urządzili nam całe przedstawienie... Moskiewski to może nie, ale każdy z prowincjonalnych dramatycznych teatrów dałby sporo za takich aktorów. A ja patrzę na tego, co pieniądze z portfela wyjmował, żeby „policzyć” i myślę sobie – do diabła! Przecież z ciebie byłby znakomity iluzjonista. Gdybyś na scenie występował, to ludzie by cię kwiatami obrzucali! A ty – tutaj... Przykro, aż niedobrze się robi. Taka mnie wtedy wściekłość ogarnęła na rodzaj ludzki... A ci dwaj krzyczą, rękoma wywijają, świętą niewinność udają. I zauważ, że oni już się zorientowali, iż zostali złapani na „żywca” i z dowodami w ręku. Ale tak czy owak, nie rezygnują. Tego, co ich nam nadał pokazują mi i do oczu stawiają, potem jeszcze dwóch, którzy za świadków byli – a tamci nie, krzyczą, nigdy w życiu ich nie widzieliśmy, a w ogóle to za pół godziny mamy samolot, bo my nie z Moskwy jesteśmy. Chłopak, co frajera, „żywca” znaczy odgrywał, oczy wytrzeszcza... zaraz się tu nam chłopak rozplącze, myślę sobie. Potem zresztą nie wytrzymał. Inna rzecz zeznania składać, a inna – kiedy człowiekowi w oczy plujesz, a on niewinnego zgrywa. Trudno wytrzymać. Najobrzydliwsze w naszej robocie jest to, że twarzą w twarz z ludzką podłością się stykasz. Tak to, brachu, jest.

– I jak się to zakończyło? – zapytał Waluszek.

– Zastrzeliłem obu od ręki – Gusiew machnął niedbale dłonią.

Waluszek zachichotał, ale zaraz potem zagryzł wargi.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to było obrzydliwe – wyjaśnił Gusiew. – Po prostu niczego innego nie mogłem zrobić i miałem wrażenie, że lada moment utonę w tym oceanie łgarstw. A najważniejsze, żal mi było „żywca”, przecież to był mój partner. No to wzięłem i obu zastrzeliłem na miejscu. Okazało się, że dobrze trafiłem, chłopaki zaczęli mi brawo bić.

Waluszek sieknął nosem i sięgnął po papierosy.

– Ale ten, co nas naprowadził na cel, strasznie się zdenerwował. Aż w gacie biedaczek narobił. Ale od razu przyznał się do wszystkiego. A jeden z bandy zemdłał. Oni tak zawsze, jak się robi gorąco, to w sentymenty uciekają. I za to szczególnie złodziejów nienawidzę. Loszka, nie pal na razie. Zajrzymy do tego magazynu. Albo jak chcesz, poczekaj na zewnątrz. Nic szczególnego, po prostu chcę sprawdzić, czy nie mają jakiegoś porządnego filmu wideo.

– Ja też zobaczę – odparł Waluszek i otworzył przed Gusiewem drzwi.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pal okazał się niezwykle efektywnym regulatorem działalności ekonomicznej: kiedy kilku siedmiogrodzkich kupców, oskarżonych o handel z Turkami, oddało ducha na miejskim rynku, nastąpił koniec współpracy z wrogami wiary chrystusowej.

W sklepie dźwięczała muzyka, piękna, ale trochę niesamowita. Pod akompaniament gitary ktoś ponurym głosem ryczał coś, nie sposób było zrozumieć. Gusiew posłuchawszy przez chwilę stwierdził, że to Kinczew. Nie znał tej pieśni, i nie za bardzo mu się podobała. Wprost wywracała duszę na nice.

Oszkloną ladę gniótł grubym brzuchem klient – maleńki Azer w drogim garniturze sportowego kroju. Przedstawiciel skazanego na wymarcie gatunku – niedawno rzucone w masy hasło „Kupujemy tylko u Rosjan” spodobało się ludziom i siła diaspor Kaukazjatów topniała w oczach. Na razie jeszcze się trzymali, jak ten tu, na przykład. Nawet z za jego pleców się wyczuwało – oto prawdziwy pan życia, z tych, co to mają moskiewskie zameldowanie i trzydzieści trzy zęby z dwudziestoczworokaratowego złota.

– Więc jak, kurwa, załatwione? – pytał sprzedawcę, młodego chłopaka, który rzucił na Gusiewa podejrzliwe spojrzenie.

– Już mówiłem, zrobię na przyszły tydzień.

– Ale ty, chuju jebany, wszystko, kurwa, zrozumiałeś?

Akcent Azera zazgrzytał Gusiewowi w uszach jeszcze bardziej dosadnie, niż nieprzerwane wycie z głośników. Na domiar wszystkiego, pan życia nie zwrócił uwagi na ważny element nowej sytuacji: sprzedawca ponownie zerknął z ukosa na Gusiewa. Pan życia gwizdał koncertowo na tych, którzy weszli przed chwilą do sklepu. Co Gusiewa ostatecznie zirytowało.

Waluszek wetknął nos w stojącą pod ścianą, pełną kompaktowych dysków gablotę. Gusiew zatrzymał się obok Azera, przyjrzał mu się, zrozumiał, że nie ma w nim nic interesującego, wysłuchał jeszcze całej serii „ten” i „znaczy”, nieco przytłumionych wokalnymi wyczynami Kinczewa i poczuł, że też ma ogromną ochotę sobie poryczeć.

– Więc, kurwa zrozumiałeś, że przyjdę. A co to za chujostwo tak wyje?

– „Alicja” – wyjaśniła siedząca przy kasie dziewczyna.

– Jaka, kurwa, Alicja? Dziewczynka?

– Grupa wokalna – uśmiechnęła się kasjerka. – Kinczew.

– Nigdy nie słyszałem. Ale chujoz! – zirytował się Azer. – Nawet ja, kurwa, lepiej bym zaśpiewał. No, dobra, to na razie.

Odwrócił się, cudem tylko nie potraćwszy Gusiewa brzuchem i wyszedł. Kinczew zaś nagle umilkł, jak na zamówienie. Sprzedawca i kasjerka spojrzeli na siebie, nieznacznie i znacząco się uśmiechając.

– No, co u was nowego? – zapytał Gusiew.

– A co was interesuje? – sprzedawca był teraz lekko stropiony.

– Coś nowego.

– A ten widzieliście? Milicyjny film akcji<sup>7</sup>.

Rozwinęła się ożywiona wymiana zdań i opinii – dokładniej mówiąc ożywił się sprzedawca, a Gusiew tylko krytycznie chrząkał i kiwał głową. Stopniowo na ladzie wyrósł stos pięciu, sześciu kaset. Zaciekawiony gustem partnera Waluszek podszedł bliżej, popatrzył i doszedł do wniosku, że Gusiew jest kompletnie pozbawiony gustu. Niektóre z kaset były tak bezwstydne, że Waluszek nie chciałby ich oglądać nawet, gdyby mu za to zapłacono. Gdyby teraz Gusiew zapłacił i wyszedł z tymi filmami, jego opinia w oczach podwładnego padłaby na pysk. Ale Gusiew wcale nie zamierzał płacić. Zamiast tego podparł się w boki, rozsuwając poły kurtki tak, że ujawnił znaczek na piersi i kaburę na pasie.

Waluszek mógłby przysiąc, że usłyszał stuk walącej o podłogę szczęki sprzedawcy.

– Loszka, zamknij drzwi – polecił uprzejmie Gusiew.

Waluszek podszedł do drzwi, opuścił roletę i odwrócił na zewnątrz tabliczkę z napisem „Otwarte/Zamknięte”. Nie wstydził się już za Gusiewa, choć kompletnie nie rozumiał jego zachowania.

– Czyli tak, młodzieży – odezwał się Gusiew jeszcze bardziej uprzejmie, niż przed chwilą. – W waszym sklepie zjawia się coś takiego jak to przed chwilą, klnie gorzej od więziennego dozorca, zachowuje się po chamsku i czegoś tam się domaga. Zamawia z pewnością jakiegoś pornola. Mnie to akurat nie interesuje, pornografia jest u nas zdaje się zabroniona, ale w rzeczy samej nieszkodliwa, więc kciuk jej w bok. Ale wszystko pozostałe...

Sprzedawca stał z kamiennym wyrazem twarzy i tylko mrugał powiekami. Kasjerka drżała – pewnie wolałaby schować się pod kasą, ale nie pozwoliły jej na to gabaryty własne.

– Moi znajomi Azerowie takich jak ten kupczyków uważają za hańbę swojego narodu i doskonale ich rozumiem – Gusiew nie podniósł głosu, a przeciwnie, jeszcze go stłumił, i dodał smutku do przepełniających go uczuć. Co prawda, teraz już przemawiał siedzący w nim cynik. – Ale przez takich jak ty – Gusiew wytknął go palcem i sprzedawca też zaczął się trząść – wszelkiego rodzaju zbrodniecy w naszym mieście czują się swobodnie. Klient zawsze ma rację, ale to nie był klient, tylko cham pierwszej wody. Dlatego posłuchaj, co ci powiem.

---

<sup>7</sup> - Na filmy i książki, w których akcji i strzelanin jest znacznie więcej niż dialogów, Rosjanie mają wspaniałe określenie - „bojewik”.



Jeżeli ten cham zjawi się tu jeszcze raz, popędź mu kota i wyrzuć za drzwi. A jeżeli nie masz dość odwagi na to, żeby go wygonić, to zachowuj się choć godnie i nie trzęś tyłkiem. A żebyś sobie, synku, dobrze to zapamiętał...

– On jest znajomym szefa – wydusił z siebie sprzedawca.

– Czyli odrobina wychowania nie zaszkodzi i twojemu szefowi. Dobrze mnie zrozumieliście, dzieciaki? Czy może coś wam umknęło. Myśleliście pewnie, że skoro jest Wybrakówka, to już nie trzeba tych wygłupów z obywatelską postawą – źli, żądni krwi wujaszkanie zrobią wszystko za was? Wystrzelają wszystkich drani i zacznie się złoty wiek? A figę z makiem! Każdy powinien zapłacić za wolność i osobiste bezpieczeństwo, rozumiecie, każdy! Nie wystarczy przestać śmiecić na ulicy, trzeba jeszcze ludzkie śmieci wyrzucić tam, gdzie ich miejsce. A jak szef zapyta, co tu się stało, to mu wszystko przekażcie. Powiedzcie, że wpadł tu brakarz. Starszy pełnomocnik Centralnego Oddziału Agencji Bezpieczeństwa Socjalnego, Paweł Gusiew. Bardzo zły brakarz i bardzo poirytowany tym, że przytakiwaliście chamowi. A to, drodzy mieszkańcy Moskwy, zostawię wam na pamiątkę.

Gusiew poruszył się nieznacznie i Waluszek zdębiał. W ręce jego starszego kolegi nie wiedzieć skąd i kiedy pojawiła się broń. Ale wcale nie pneumatyczny igielnik, a bardzo efektownie wyglądająca broń palna, w której nawet ostatni burak rozpoznałby charakterystyczną włoską „berette”.

Sprzedawca i kasjerka wydali z siebie dziki wrzask, nieustępujący wyciu Kinczewa, skoczyli w kąt i tam zamarli w bezruchu. A Gusiew starannie wyrównał leżącą na szklanym blacie lady stertę kaset, wparł w nią lufę pionowo w dół i nacisnął spust.

Pistolet stęknął głucho, kasety osiadły z chrzęstem, wewnątrz gąbłoty coś rozprysnęło się z głośnym trzaskiem... i powoli, jak na zwolnionym filmie, zaczęło pękać i walić się szkło. Wierzchnia szyba zastanawiała się tylko bardzo króciutką chwilę i też poddała się losowi z głośnym trzaskiem.

– Kiepskie szkło – głos Gusiewa przerwał grobową ciszę. Otrzeprawszy się z odłamków, brakarz schował broń za pazuchę. – Myślałem, że wyjdzie nieco ładniej. Ale tak jest bardziej pouczająco. Wszystkiego najlepszego, droga młodzieży. Pomyślcie o tym, co powiedziałem. Wybrakówka wiele spraw ustawiła we właściwych proporcjach, ale na naszych garbach do raję nie wejdzicie. Zechciejcie się choć troszeczkę sami potrudzić. No to na razie!

Na ulicy Gusiew sięgnął po papierosy. Miał minę zadowolonego z dobrze wykonanej pracy człowieka. Waluszek podał mu zapalniczkę.

– Dziękuję – machnął dłonią Gusiew. – Wiatr. Lepiej zapalę sam. Tak właśnie wygłaszamy pouczenia, agencie Waluszek.

„Ostro wygłaszacie – pomyślał Waluszek. – Ostro, ani słowa”.

Nie odczuwał jednak szczególnego protestu wewnętrznego. Wydało mu się nawet, że rozumie, co brakarz Gusiew chce wbić ludziom do głów. Może trochę przesadzał. Ale stwierdzić, że jego postawa jest błędna, albo że różni się od tego, co zwykliśmy nazywać

ogólnie przyjętą moralnością, Waluszek nie mógłby.

Powiedziałby nawet, że przeciwnie – Gusiew żąda od ludzi zbyt wiele.

„Ciekawe – mignęło w głowie Waluszkowi – czy sam Gusiew dawno stał się takim niezwykle człowiekiem? I dlaczego, w jaki sposób?”

Na to pytanie zresztą już wkrótce spodziewał się znaleźć odpowiedź.

Nieopodal Domu Książki zwiąły się właśnie wozy Awaryjnego Moskiewskiego Pogotowia Wodno-Kanalizacyjnego. Zmęczeni ludzie w kaskach ciągnęli jakieś węże i z trzaskiem zamykali włazy do kanałów. Wokół zebrało się już całe stado mruczących miarowo „wycieraczek”. Jeden z agregatów niemal przejechał Waluszka, który akurat się zagapił.

– Ej ty, Schumacher, uważaj! – warknął odskakując na bok.

– Zamknij ryło – poradzono mu ponurym głosem. – Dla ciebie się staramy, nierobie jeden!

– Posłuchaj, a czemu oni wszyscy tacy wkurzeni? – zapytał Waluszek Gusiewa niespokojnie oglądając się na brygadę śmieciarzy, którzy zaciekle polerowali bruk.

– Reakcja jak najbardziej naturalna. My brudzimy, oni sprzątają. Za co mieliby nas lubić?

Obok budki sprzedawcy hotdogów, posilała się cała kompania – trzech brakarze z grupy Myszki i wielkie rude psisko.

– Kompleks winy? – zapytał Gusiew starszego grupy, wskazując psa.

– A idźże ty... – odciął się przewodnik. – Przylazł, usiadł, poprosił – tośmy go poczęstowali. Jeszcze by tego brakowało, żebym się przed psami usprawiedliwiał. Prościej się zarznąć. Dziś go ugoszczę, jutro zastrzelę – według ciebie to kompleks winy? Chociaż... Wiesz, nas już od miesiąca na psy nie posyłają. A ja zresztą ich nie cierpię... Posłuchaj, Gusiew, idź do diabła albo jeszcze dalej! Mam już dość tych twoich złośliwości!

Przewodnik rzucił psu niedojedzonego hotdoga i nie bez zazdrości patrzył, jak psisko zajada, aż mu się uszy trzęsą.

– A ja już tak nie mogę – poskarżył się. – Apetyt straciłem do cna. Żuję, bo tak trzeba. Piję, jak mi naleją. Pierdole wyłącznie z przyzwyczajenia. Gusiew, ty mądry jesteś, powiedz – kiedy to się wszystko skończy?

– Zastrzel się – poradził Gusiew.

Przewodnik parsknął pogardliwie.

– Sto razy próbowałem. Odwodzę kurek, gapię się w lufę i rozumiem – nic mnie nie wstrzymuje. Mogę nacisnąć, rozumiesz? Nic bardziej prostszego. I taki smętek mnie ogarnia... A potem sobie przypominam: jutro rano do roboty. Może zdarzy się coś ciekawego. I tak sobie żyję dalej.

– A spróbuj z iglaka w nogę. Połóżysz z godzinkę pod narkozą – życie miodem ci się wyda.

– No nie! – wybałuszył oczy przewodnik drużyny.

Stojący za Gusiewem Waluszek wyraziście siąknął nosem.

– Dobrze mówię – od razu obudzi się w tobie ciekawość życia.

– Ty stuknięty jesteś – pokręcił głową przewodnik. – Ej, orły! Najedliście się? No to dalej, w trasę!

– Możesz jeszcze do tych śmieciarzy postrzelać – nie ustępował Gusiew. – Od serca i bez powodu. Sam popatrz, ilu ich się tu zlało? Weź coś dużego, szybkostrzelnego – i dalej, seriami... Gwarantuję, że od razu nastrój ci się poprawi.

Przewodnik ziewnął, kiwnął na swoich podkomendnych i odszedł nie komentując dobrej rady. Jeden z prowadzonych pokazał Gusiewowi odstawiony ku górze kciuk. Najwyraźniej podwładni też mieli już dość narzekań przewodnika.

– Wielu takich jest w Agencji? – zapytał Waluszek, kiwając głową w stronę oddalającej się trójki.

– Cała fura – wymamrotał niewyraźnie Gusiew, zaciekle pracując szczękami nad hotdogiem. – Ale ten jest najwyraźniej kandydatem do wybrakowania.

– Znaczy?

– Rotacja kadr. Samooczyszczanie. Wybierasz się kiedyś na robotę, a do twoich drzwi stukają twoi podkomendni. I mówią: „Wybacz, stary. Masz prawo do stawiania oporu. Masz prawo do zachowania w tajemnicy swojego nazwiska. Masz prawo do nieodpowiadania na pytania...” I tak dalej.

Waluszek pokręcił głową i rzucił psu resztkę chleba. Gusiew swoją porcję zjadł do końca.

– A z tobą tak było? – zapytał Waluszek.

– Nie, po mnie jeszcze nie przychodzili.

– No, to widać – stwierdził Waluszek. – Nie, ja pytam...

– Co widać? – zapytał z nieoczekiwanym gniewem Gusiew.

– No, wszystko... wybacz.

– Loszka – Gusiew nagle zmienił ton. – Dziś po raz pierwszy wyszedłeś do roboty. Pocierp troszeczkę, choćby z miesiąc. Zapewniam cię – wszystko zrozumiesz. Wybrakówka ma swoje uboczne efekty, których nijak nie da się opisać słowami; trzeba je poczuć.

– Wybacz – powtórzył Waluszek. – Mam pó prostu zbyt wiele pytań. Na kursie przygotowawczym nie wiadomo dlaczego nie mówiono nam nic o stosunkach wewnątrz Agencji. Rzeczywiście – dlaczego?

– No popatrz, jeszcze jedno pytanie. Nie wiem, Loszka. Nie mam pojęcia, jak teraz idą werbunek i szkolenie. A przy okazji, ilu was było?

– Ze dwustu ludzi.

– Ilu? – nie uwierzył Gusiew.

– Na moim kursie dwustu ludzi.

– Na kursie, powiadasz... no, no...

– No tak, były trzy równoległe kursy. Co, za dużo?

Gusiew mocno chwycił partnera za klapę kurtki.

– Nikomu. Nigdy. Tutaj. O Tym. Nie mów. Więcej – rzekł, robiąc przerwy pomiędzy słowami. – Zrozumiałeś?!

– Aha. A dlaczego?

– Życ chcesz? Długo i szczęśliwie? – zapytał Gusiew. – Chociaż nie, szczęśliwie już się nie uda. Ale choćby długo?

– Nic nie rozumiem – odparł Waluszek powoli.

– I bardzo dobrze. Nikomu w Wydziale Centralnym, nie mów, ilu was było. A przy okazji – gdzie podziła się reszta?

– Diabli wiedzą. Mnie po promocji skierowali prosto tutaj i...

– Dobra, poczekamy z wyjaśnieniami – Gusiew puścił prowadzonego i wyjął papierosa. – Niedługo wszystko się wyjaśni. Akurat w ciągu miesiączka. A ty tymczasem dorośniesz i będę gotów już co nieco wyjaśnić. Umowa stoi?

– Zgoda. – Waluszek też zapalił. – Można jeszcze jedno pytanie? Nie denerwuj się, na inny temat.

W tej chwili Gusiewowi pod kurtką zapiszczał transiver. Zatrzymał pytanie Waluszka gestem dłoni, wyjął niewielki, czarny aparacik i nacisnął guzik odbioru. Trzymał transiver przy samym uchu, jak przenośny telefon.

– Gusiew, odbiór – rzucił do mikrofonu.

– Operacyjny. Gdzie teraz jesteście?

– Pod Domem Książki, róg przy centrum.

– Proszę czekać.

Gusiew skrzywił się z urazą.

– Zaraz nam coś dadzą – oznajmił szeptem Waluszkowi.

Operacyjny nie dał na siebie długo czekać.

– Wezwanie na Powarską...

– Dojdziemy pieszo...

– Wszystko rozumiem. Będziecie na miejscu za pięć minut. Furgonetka już wyjechała. Przygotujcie się na możliwe przeciwdziałanie służby ochrony...

– Ta-aaak, to ten wielki biurowiec?

– Nie, drugi...

Gusiew wrzucił niedopitą plastikową butelkę z wodą do kosza i machnąwszy ręką na Waluszka, natychmiast ruszył we wskazanym kierunku. Szybkim krokiem wszedł między budynki. Idąc słuchał jeszcze wskazówek udzielanych mu przez operacyjnego, a jego twarz stopniowo przybierała coraz bardziej znudzony i zniechęcony wyraz.

– To wszystko, zrozumiałem, czekajcie na meldunek – powiedział wreszcie, po czym schował transiver i wyjął kolejnego papierosa.

– Trudny przypadek? – zapytał Waluszek zawczasu się prostując oraz prężąc i bez tego

szerokie bary.

– A skąd... – Gusiew zapalił i przyspieszył kroku. – Nieskomplikowany, ale nieprzyjemny. Idziemy zdjąć prezesa niezależnego funduszu emerytalnego. Miał już dwa uprzedzenia o molestowanie seksualne. A teraz rozbił głowę sekretarce przy próbie gwałtu. Maniak jakiś, czy co? No nic, w kamieniołomach będzie miał gdzie popisywać się krzepą.

– Ale...

– Nie przerywaj. Wyjaśnię teraz, co w tym nieprzyjemnego i niebezpiecznego dla nas. Klienta mamy wziąć z miejsca pracy, szybko i po cichu. Dokumenty nie są jeszcze przygotowane, milicyjnej osłony nie mamy, bo na razie dostaliśmy tylko ustne zgłoszenie poszkodowanej. Jest teraz w biurze i on jej zagroził, że jak choć piśnie, to ją w ogóle wykończy. Dziewczyna jest przestraszona i ja ją rozumiem. A najważniejsze, że ten typ nie panuje nad sobą i lada moment może mu naprawdę odbić. Nasze zadanie polega na tym, żeby wejść do biura, zorientować się w sytuacji i działać w zależności od tego, co tam zastaniemy. Nieźle, jak na pierwszy dzień, prawda, agencie specjalny Waluszek?

Agent specjalny Waluszek mruknął coś niezrozumiałego i spał się jeszcze bardziej.

– Oczywiście możemy od wejścia się ujawnić, unikając w ten sposób dalszych komplikacji – stwierdził Gusiew. – Ale zanim dotrzemy do gabinetu, szefa z dołu mogą uprzedzić, że idzie po niego ASB. Bywały już takie przypadki. Jeżeli ten cap wypchnie dziewczynę przez okno, żeby za dużo nie powiedziała, obu nam się dostanie po łbach.

– Poważnie mówisz? – zdumiał się Waluszek. – Tak po prostu weźmie i wyrzuci dziewczynę przez okno?

– Oczywiście. To ostatnio zdarza się coraz częściej. A zostawić cię samego, żebyś przypilnował ochroniarzy, nie mam prawa. No i taki nam dali pasztet, psiakrew. Rozumiesz teraz, czemu brakarze chodzą trójkami?

Waluszek kiwnął głową na znak, że zrozumiał.

– W najgorszym wypadku wszystkich pozabijamy – pocieszył go Gusiew.

Na Powarskiej brakarzy wyprzedziła karetka pogotowia ratunkowego, przejechała ze sto metrów i zręcznie podjechała do trotuaru.

– A oto nasz „karawan” – Gusiew skinieniem dłoni wskazał karetkę. – Wszystko gra, jak w zegarku. Waluszek, podczas akcji ściśle trzymać się schematu numer dwa. A dokładniej?

– Nie ujawniać przynależności do ASB, nie pchać się przed gospodarza, osłaniać ci plecy – wybębnił Waluszek.

– Na wszelkie sposoby strzec przewodnika, aktywnie kręcąc głową i tocząc wokół złowieszczym spojrzeniem – zakończył Gusiew z uśmiechem. – No dobra, zdejmujemy znaczki i chowamy je w kieszeń. I zapnij się. Nie, poczekaj. W tył zwrot!

Gusiew uważnie obejrzał Waluszka, patrząc, czy partnerowi nie wystaje spod kurtki broń. Poklepał samego siebie po bokach. Nie, tu potrzebne byłoby wyjątkowo doświadczone oko. Jak to dobrze, że kombidres jest elastyczny i nie krępuje ruchów... A jeszcze lepiej, że

Waluszka, jako praktykanta, nie objuczono ciężkim oprządzeniem, które powinien dźwigać prowadzony: superpłaskim notebookiem, przenośnym retlanslatorem, skanerem odcisków palców i pozostałymi cudaczkami nowoczesnej techniki śledczej.

„Wygląda na to, że się przebijemy”.

– Idziemy! – polecił Gusiew.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Proces sądowy w jego czasach był prosty i szybki: włóczęgę czy złodzieja, niezależnie od tego, co ukradł, czekał stos lub szafot. Taki sam los zgotowano wszystkim Cyganom, jako osławionym koniokrądom, i w ogóle próżniakom, ludziom niepewnego pochodzenia oraz profesji.

Karetka ustawiła się za niewielką ciężarówką i nie trafiła w pole widzenia ochroniarzy budynku. Gusiew i kierowca „karawanu” wymienili znaczące spojrzenia. Waluszek poczuł ogarniającą go zazdrość. Brakarze rozpoznawali się na ulicy, posługując się skomplikowanym systemem umówionych znaków. Gusiew jednak nie potrzebował takiego systemu identyfikacji – wyglądało na to, że wszyscy znają go z widzenia. „Ciekawe, czy bandyci też go znają? – pomyślał Waluszek. – Chyba nie. Ci, co go widzieli, niedługo już pozostawali na wolności, a na katordze opisowy portret nikomu się nie przyda, zresztą, stamtąd i tak nikt nie wraca... Zdziwiający

– jakkolwiekbym się starał, nie umiem sobie wyobrazić siebie na katordze. Ja tam po prostu nie trafię. I to, do stu diabłów, bardzo dobrze. Czyżbym był takim dobrym człowiekiem? Wygląda na to, że tak. A Gusiew? A ci brakarze, którym sam czytał „ptaszka”? Z pewnością początkowo też byli świetnymi chłopakami, ale potem robota ich złamała. No nic, ja się nie złamię. Za dobrze wiem, co to takiego zło, a co dobro”.

Pod drzwiami biura Gusiew zatrzymał się na sekundę, jakby sobie coś przypominał albo wyobrażał, a potem stanowczo nacisnął guzik dzwonka.

- Tak? – odezwał się wbudowany w ścianę głośnik.
- Interesanci do pana Jurina – oznajmił Gusiew.
- Jesteście umówieni?
- Rozumie się! – rzucił nieco urażony Gusiew.

W drzwiach coś szczyknęło i weszli.

Ochroniarzy w recepcji było niewielu – trzech, ale każdy sam mógłby obu brakarzy skrócić w precel. Gusiew natychmiast zwrócił uwagę na najslabiej umięśnionego i najstarszego z nich – był to pewnie naczelnik zmiany. Jegomość miał chyba nawet drobniejszą budowę od Gusiewa, na dodatek rozparł się za stolikiem, ale wyczuwało się w

nim człowieka doświadczonego, prawdopodobnie byłego komandosa, który zwykł brać wroga sposobem i szybkością reakcji. „Oj, ten nas zaraz rozgryzie – mignęło w głowie brakarzowi. – Nie widzę tu detektora metalu, ale mimo wszystko ryzykujemy. Może jednak się przedstawić?”

Rozmieszczenie stanowisk było na dyżurce dość przypadkowe, ale na inne nie pozwalała konfiguracja hallu. Było tu wąsko i ciasno. Stanowisko komputera i monitoringu kamer ustawili w jedynym możliwym miejscu. Skupienie ochroniarzy dawało Gusiewowi przewagę przy ataku z zaskoczenia, ale nie wiedzieć czemu myśl o tym wcale nie syciła go otuchą. Gusiew nie cierpiał uczciwej walki z równymi szansami. Na pasach ochroniarzy wisiały solidne gazowe rewolwery, ale pod biurkiem, za którym siedział dowódca zmiany z pewnością znajdowała się jakaś broń o większym kalibrze i przynajmniej półautomatyczna. „Uwzględniając ciasnotę miejsca i możliwość zahaczenia swoich – obrzyn i niewykłuczone, że z nabojem w komorze. Ale czemu tak się denerwuję? Dawno nie byłem w akcji i stąd to wszystko”.

– My do pana Jurina – powtórzył Gusiew. – Kupczenko i Bunin.

– Dokumenty proszę.

Brakarze wyjęli dokumenty osobiste. Zgodnie z nimi Gusiew był niejakim Kupczenką, wiceprezesem do spraw ogólnych towarzystwa handlowego o niewyraźnej i niełatwej do zapamiętania nazwie. Waluszek z powodu młodego wieku i wyglądu musiał się zadowolić dość pojemnym określeniem „menedżer do spraw marketingu”.

Naczelnik ochrony rzucił okiem na monitor, kiwnął głową i oddał gościom dokumenty.

– Piąte piętro. Winda jest tam, w rogu.

– Dziękujemy.

Korytarz miał długość około trzydziestu metrów. Czując na plecach nieprzyjemne, taksujące spojrzenia, Gusiew ruszył we wskazanym kierunku. Z tyłu dudniły kroki Waluszka.

– Kto załatwił spotkanie? – zapytał Waluszek, gdy znaleźli się w windzie.

– Poszkodowana. Zwykle tak właśnie się dzieje. Ludzie nam bardzo chętnie pomagają. Co prawda ich motywy... – Gusiew skrzywił się i niewiele brakło, a splunąłby pod nogi, ale się rozmyślił.

– Ten Jurin sam się załatwił.

– No, dziewczyna też niezłe ziółko. Mogła mu zwyczajnie dać w pysk i byłoby po zawodach. Niewykłuczone, że nabrałby do niej szacunku.

– Bardzo wielu ludzi nie potrafi po prostu odpłacić krzywdzicielowi pięknym za nadobne. Według mnie to dość naturalne – stwierdził Waluszek.

– Dzięki za pouczenie. Jakbym nie wiedział. Sam taki jestem.

Waluszek przechylił głowę w bok i zmierzył Gusiewa pełnym powątpiewania spojrzeniem.

– Właśnie dla takich pracujemy – zakończył Gusiew wychodząc z windy. – Tylko dziwna



rzecz... biedne owieczki z dnia na dzień robią się coraz bardziej świniowate. Brr... Tak. No, ale zobaczmy, dokądże to nas zanosło.

Drzwi windy otwierały się na niewielką salkę z kilkoma drzwiami. Pośrodku sali stało stanowisko robocze przynajmniej trzech sekretarek. Zza oparcia fotela widać było tylko czubek starannie ułożonej damskiej fryzury. I słychać było suchy trzask klawiszów.

– Witajcie – zaczął Gusiew obchodząc biurko.

– Dzień dobry – odparła młodzianka dziewczyna, podnosząc wzrok znad klawiatury. Miała czujne spojrzenie, a gdzieś na dnie jej oczu czał się jeszcze strach. – Czym mogę służyć?

„Pan Jurin lubi świeże mięsko – uśmiechnął się do siebie Gusiew. – I sądząc po tej awanturze ma niezły apetyt. Pisać na kompie dziewczyna najwyraźniej nie potrafi, ledwo ukończyła szkołę, zgodzi się na każdą pensję... i na co jeszcze gotowa się jesteś zgodzić, biedna dziewczyno? I ile takich jeszcze błąka się po świecie, głupiutkich i potrzebujących obrony? Co z wami będzie, jak mnie skoszą?”

– Panowie do kogo? – zapytała dziewczyna, przywracając Gusiewa rzeczywistości.

– Pan Jurin jest u siebie?

– A panowie jesteście umówieni?

Gusiew wyjął z kieszeni znaczek, błysnął nim i przyczepił w odpowiednie miejsce – na klapie kurtki. Przestrasz z oczu dziewczyny wypełził na jej twarz.

– Wiesz, po co tu jesteśmy? – zapytał Gusiew łagodnie i półgłosem. – Widzę, że tak.

Dziewczyna nieznacznie kiwnęła głową.

– Prezes jest u siebie. Sam – wyszeptła, wskazując wzrokiem kierunek. Gusiew zerknął na drzwi, za którymi rezydował nie podejrzewający niczego pan Jurin.

– A Marina gdzie?

– Tam, w sali odpoczynku.

– Dziękuję. Panie Bunin, zechce pan tu poczekać i zabawić panią rozmową. Przy okazji niech pan dopilnuje, żeby klient nigdzie nam się nie zmył. Ja potrzebuję trzech, czterech minut.

– Wedle rozkazu, panie Kupczenko – Waluszek nie mógł sobie odmówić przyjemności zakpienia z przełożonego.

Pokrzywdzona siedziała na kanapie podwinawszy pod siebie nogi i cicho popłakiwała, przyciskając do policzka pakiet z lodem. Nawet teraz, zagubiona i przestraszona, targana całkiem przeciwstawnymi uczuciami, wyglądała na stuprocentową dziwkę. Z tych, które trzeba bez żadnych gier wstępnych chwycić i walić na łóżko, a z braku łóżka rznąć wprost na meblach biurowych. Fatalna kombinacja – bijący od niej wulgarny zew płci i dość pospolita, choć efektowna powierzchowność. „Nie poszczęściło ci się, Marino”.

– Wzywaliście seksopatologa? – zapytał Gusiew, siadając naprzeciwko i pokazując znaczek. – To już wszystko, biedaczko, uspokój się, od tej chwili jesteś pod ochroną ASB.

No, pokaż policzek...

Marina cisnęła Gusiewowi gniewne, choć jakby jednookie spojrzenie i na sekundę odjęła łód od policzka. Gusiew cmoknął – uderzenie nie obeszło się tylko siniakiem i obrzękiem – Jurin efektownie rozciął dziewczynie policzek. Gdyby nie nabyte (albo wrodzone) kurestwo charakteru, Marina siedziałaby już na urazówce. Ale zapragnęła się zemścić – co Gusiew doskonale mógł zrozumieć.

– Dziękuję za załatwienie przepustek – stwierdził. – I dziękuję, że poczekałaś. Dobrze, że zobaczyłem to na własne oczy. Lżej będzie w razie czego przestrzelić twojemu szefowi pałę. Możesz uznać, że podpisałaś mu wyrok śmierci.

Tu Gusiew zełgał – jeżeli Jurin nie będzie się za bardzo szarpał przy zatrzymaniu, to jeszcze pożyje. Gusiewa jednak interesowała reakcja dziewczyny.

– On tu wyrabia takie rzeczy... – chlipnęła Marina. – Zabić drania, to mało. Zapytajcie inne nasze dziewczyny. Wszystkie się go boją.

– Zapytamy obowiązkowo. Na dole stoi karetka pogotowia. To nasza. Oni cię odwiozą. Od razu założą szew, potem zrobią plastykę twarzy, będziesz miała morderkę piękniejszą, niż przedtem. Nie bój się, wszystkie operacje na koszt ASB. Kapnie ci też okrągła sumka za straty moralne i fizyczne. Teraz posłuchaj mnie bardzo uważnie. Jestem starszym pełnomocnikiem Wydziału Centralnego Agencji Społecznego Bezpieczeństwa. Nazywam się Paweł Gusiew. Oskarżasz prezesa funduszu, pana Jurina o molestowanie seksualne i znęcanie się fizyczne. Masz teraz możliwość rezygnacji z oskarżenia. Pomyśl i powiedz – oskarżasz go, czy nie?

– A co mu zrobicie? – zapytała Marina. Najwyraźniej uwaga brakarza dotycząca przestrzelenia łba jej nie przekonała.

– Jurin jest zatwardziałym wrogiem społeczeństwa. Dwa razy był już uprzedzany o niestosownym zachowaniu. Teraz zostanie wybrakowany. Zniknie. Na zawsze.

– Zabijecie go? – zapytała Marina z nadzieją w głosie.

– Mam rzec prawdę? Chyba nie. Najpierw będzie musiał zapłacić bólem za ból. I odkupić swoją winę na katordze. Któregoś pięknego dnia on tam umrze. Trzeba dodać, że ucieczka z katorgi jest nierealna. Wiem, co mówię. Więc jak, oskarżasz go?

– Tak! – westchnęła Marina. – Oskarżam.

– No to wszystko jasne. Na razie zostań tutaj – polecił Gusiew. – Za pięć minut twoja koleżanka zastuka do drzwi. Zaraz potem wyjdź z biura i wsiadaj do karetki. Zrozumiałaś? No to powtórz.

– Jak Masza zastuka... on przecież i ją niemal zgwałcił, potwór jeden!

– Co masz zrobić, jak Masza zastuka?

– Wyjdę na ulicę i wsiadę do karetki... buuuuu!

– Mądra dziewczynka! – pochwalił Gusiew i wyszedł za drzwi.

Waluszek rozmawiał o czymś z Maszą.

– Ależ tu są warunki pracy – oznajmił Gusiewowi. – Co drugiego należałoby od razu na miejscu rozwalić.

– Śledczy wszystko wyciągnie – machnął ręką Gusiew. – Wszystko w porządku?

– Do Jurina zgłosił się jakiś typ, ale wołałem go nie zatrzymywać.

– Cholera! – zdenerwował się Gusiew. – I jak zareagował na twoją obecność?

– Masza go spławiła.

– Powiedziałam, że pański kolega jest kurierem – uśmiechnęła się Masza. – A do szefa chciał zajrzeć wiceprzewodniczący. Ale on tylko na chwilę, zaraz ma wyjazd.

Jakby wywołany uwagą, z gabinetu Jurina wyszedł kosztownie odziany mężczyzna. Na brakarzy nawet nie spojrzął, tylko odszedł, wetknąwszy głowę w jakieś dokumenty.

Gusiew odsunął ramieniem Waluszka i spojrzął Maszy w oczy.

– Jesteś wspaniała – stwierdził. – Medalu nie obiecuję, ale dyplom uznania masz jak w banku. A teraz proszę, blokuj łączność. Nie chcę, żeby nam ktoś przeszkodził. Jeżeli przybłąka się jakaś drobnica – Jurin ma ważnych gości. Jeżeli przyczłapie jakaś szycha, czort z nim, puszczaj. Może zabierzemy go ze sobą. Rozumiesz sama, mamy swoje normy. W tym tygodniu musimy zastrzelić dziesięciu prezesów i dwudziestu wicków. Mamy też uratować co najmniej sto zaklętych księżniczek, podobnych do ciebie.

Połechna pochlebstwem Masza aż pokraśniała z ochoty zostania zaklętą i natychmiast uratowaną księżniczką.

– Nie jesteście tacy straszni, jak mówią, panowie tajni agenci – szepnęła uciekając wzrokiem w bok.

– Miło słyszeć – uśmiechnął się Gusiew. – Kiedy z Jurinem wejdziemy do windy, zastukaj do drzwi, za którymi siedzi Marina i niech też zjedzie na dół. Jasne? Z góry dziękuję. Loszka, za mną.

Do gabinetu weszli bez pukania. Klient zabawiał się jakąś grą komputerową. Okazał się przekarmionym wujaszkiem lat około pięćdziesięciu, o przyciętych na jeża włosach i maleńkich oczkach. „Oho, pomęczą się nasi przesłuchujący – pomyślał Gusiew. Dziesięć do jednego, że ten „prezes” jest wiceprzewodniczącym Rady Nadzorczej i generałem w stanie spoczynku. Z nudów podszczypuje sekretarki, żeby choć czymś zająć... ręce. Pytanie – po co komu tutaj taki jest potrzebny? Tak czy owak – krecha dla funduszu”.

– Co tam? – burknął, nie odwracając głowy zajęty grą Jurin.

– Pan Jurin? – uprzejmie zapytał Gusiew.

Jurin raczył wreszcie spojrzeć na brakarzy.

– Tak, o co chodzi? – zapytał leniwie. – Proszę, siadajcie panowie, siadajcie...

– Dziękujemy. Jestem Paweł Gusiew, starszy pełnomocnik Wydziału Centralnego Agencji Społecznego Bezpieczeństwa...

Jurin zostawił w spokoju „mysz” i spojrzął na gości już bardziej uważnie.

– A to jest pełnomocnik Waluszek – ciągnął Gusiew. – Panie Jurin, jest pan oskarżony o

molestowanie seksualne i stosowanie przemocy fizycznej, które doprowadziły...

– A kurrrrrwa! – ryknął Jurin i tak wałnął pięścią w klawiaturę, że ta niemal się rozpadła, a komputer zapiszczał głosem pełnym urazy i protestu. Gusiew wyćwiczonym gestem odsunął połą kurtki. Jurin zobaczył rękojeść igielnika i na chwilę znieruchomiał. Potem powoli zaczął wstawać, a Gusiew zrozumiał, że sytuacja jest pochyła. Klient kompletnie nie umiał panować nad sobą, a widać było, że popada w furję.

– Ma pan prawo do stawiania oporu! – głos Gusiewa zadzwonił ostrzegawczo. – Ma pan prawo do zachowania w tajemnicy swojego nazwiska! Ma pan prawo do nieodpowiadania na pytania. Zgodnie z Kodeksem Praw o Bezpieczeństwie Społecznym od tego momentu podpada pan pod nasze rozporządzenia. W razie niepodporządkowania się poleceniom zostanie pan obezwładniony lub zabity. Upprzedzam, że każdy twój ruch może zostać potraktowany jako agresja. Rozkazuję pozostać na miejscu. Ręce na stół!

Jurin opanował się z widocznym trudem i znieruchomiał. Udało mu się oderwać wreszcie spojrzenie od rękojeści igielnika Gusiewa i przeniósł wzrok na znaczek ASB.

– Obszukaj go – polecił Gusiew Waluszkowi.

Waluszek powoli, żeby nie spłoszyć klienta, podszedł do Jurina i sprawnie go obszukał.

– Czysty – zameldował przełożonemu.

– Rozumiem. Jurin, słyszy mnie pan? Przyznaje się pan do winy?

– Nie... – wystękał Jurin. – Nie! Ależ nie!

– Dobrze. Jurin, wyjdzie pan teraz z nami z biura na ulicę. Wychodzimy spokojnie, bez gwałtownych ruchów. Chce pan żyć – to proszę wykonywać polecenia. Najmniejsza próba stawiania oporu – i strzelam. Idzie pan przodem, my za panem. Jasne?

– Chłopaki... – jęknął błagalnie Jurin. – Przecież ten kurwiszon... cholera jedna... ona mnie szantażowała...

– To już wyjaśni się w śledztwie – obiecał Gusiew. – Jeżeli faktycznie was wystawiono, wszystko będzie dobrze. Otrzyma pan nawet rekompensatę za straty moralne. Niewykluczone, że nawet wycofamy ostrzeżenie. Osoby winne zmowy zostaną surowo ukarane. A na razie – proszę robić to, co każemy. No, jazda.

Jurin lekko skinął głową. Widać było, że się zastanawia – rzucić się na napastników z pięściami, czy wybuchnąć płaczem.

– Proszę wykonać polecenie – odezwał się Gusiew. – No dalej, Jurin. Idziemy.

Każdy normalny człowiek na miejscu Gusiewa poradziłby Jurinowi, żeby nie próbował szukać ratunku u ochroniarzy – zatrzymanym różne rzeczy do głów przychodzą, więc lepiej uprzedzić. Gusiew jednak świadomie milczał. Po pierwsze, uznał Jurina za osobnika skłonnego do nadużywania przemocy i ryzykanta, który może sprowokować incydent przy wyjściu z czystej ciekawości – przecież i tak miał niewiele do stracenia. Po drugie, Gusiew nie bez powodu użył określenia „osoby winne zmowy” w liczbie mnogiej. Jeżeli Jurin jest winien, to aluzja, że oskarżenie nie padło tylko z ust „tego kurwiszona”, powinna klienta

ostatecznie wytrącić z równowagi. I nie ma mu po co przypominać, że może napuścić na brakarzy pracowników ochrony, a samemu prysnąć gdzieś w zamieszaniu. I tak zresztą się domyśli, jeżeli ruszy głową. Gusiew przyłapał się na myśli, że właściwie to chce starcia. Zapraǳnął go ujrzawszy okaleczoną dziewczynę. Wrócił do pracy i chyba odzyskał dawne przyzwyczajenia i upodobania.

„Strzelać do złych ludzi... czyżbym akurat tego pragnał przez całe życie? Czyżbym nie nadawał się do innej pracy? Owszem, mogę robić i inne rzeczy. Ale kto ma strzelać, skoro ja będę taki wrażliwy i wybredny? Zajmie się tym ktoś inny, kogo nie zdołam kontrolować. Nie ma znaczenia, że ten ktoś któregoś dnia może zapukać i do moich drzwi. Skoro wzięłeś na siebie prawo decydowania o tym, kto jest zły, a kto dobry, bądź gotów i na to, że kiedyś wybrakują ciebie. Czyli samemu trzeba zostać brakarzem. Jest to wybór najrozumniejszy z możliwych”.

Jurin wyszedł z gabinetu ciężkim krokiem skazańca i od razu skierował się ku windzie. Gusiew skinął głową Maszy, a sam odnotował w pamięci, że z otworzonej kabury niemal wysuwa mu się igielnik. Walki na dole w holu nie da się uniknąć. Było to oczywiste, ponieważ Gusiew przeoczył bardzo istotny moment – nie wyjaśnił, czy ochronę uprzedzono o tym, że prezes wychodzi. Przecież powinni mu podstawić samochód! „Niewybaczalny błąd, ale teraz już nie można nic z tym zrobić... i cofnąć też już się nie da. Nie chcę, żeby ten zboczeniec wbijał ponure spojrzenie w Maszę, gdy ta będzie dzwoniła na dół i dawała fałszywe polecenia. Będzie potem musiała żyć z tym spojrzeniem. Bardzo dobrze wiem, jak to jest – spojrzy na ciebie taki tylko raz, a potem przez pięć lat budzisz się oblany zimnym potem. No nic, jakoś sobie poradzimy. Dobrze, że klienta nie skuliśmy – musiałby przybrać dość niewygodną i widoczną pozę... A może jednak? Ale czemu ja się właściwie tak denerwuję? Na dole pokażę ochroniarzom znaczek – i wszystko pójdzie jak po masie”.

Ponownie złapał się na tym, że niemal podświadomie pragnie walki, chce kogoś postrzelić. „Ostatecznie wariuję, czy co?”

W windzie słychać było tylko głośne sapanie Jurina.

Jak się tego należało spodziewać, ochrona spostrzegła szefa z daleka, od samej windy i wszyscy zareagowali powstaniem z miejsc i zdwojeniem czujności. Jurin idąc środkiem korytarza na razie zachowywał się rozsądnie. Gusiew i Waluszek szli za nim – Gusiew z prawej, Waluszek z prawej i nieco z tyłu. Jurin częściowo zasłaniał sobą Gusiewa, a najbezpieczniejsze miejsce trafiło się Waluszkowi. Brakarze często ustawiają się pozornie głupio, zasłaniając się wzajemnie własnymi ciałami. Zmniejsza się pole widzenia i zwęża sektor ostrzału. Ale po pierwsze, takie ustawienie kompletnie zbija przeciwnika z tropu, bo bierze cię za idiotę – i popełnia błąd. Po drugie, agenci ASB wszystko już niejednokrotnie przećwiczyli, i przywykli do tego, że strzelają, a nie ostrzeliwiają się. Po trzecie, w razie gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli, ktoś powinien zostać cały i nietknięty, żeby rozstrzygnąć wymianę ognia na korzyść ASB.

Teraz też obeszloby się bez incydentów, tylko że stary doświadczony wyga miał w ręce to, czego Gusiew się obawiał – karabin „sajga”. Na razie trzymał go lufą w dół. Stary wyjadacz wyczuł pismo nosem, bał się jednak wszczynania alarmu bez potrzeby i dostania po uszach za nadgorliwość. Najwyraźniej płacili tu nieźle i dowódca zmiany nie chciał stracić miejsca.

„Połamię mi wszystkie zebra – pomyślał Gusiew. – Albo przejdzie na wylot. A figę, chłopaki, nie ze mną te numery. Czas wyprzedzić Jurina i pokazać znaczek”.

Przyspieszył kroku, ale się spóźnił. Na dziesięć kroków przed posterunkiem Jurinowi puściły nerwy.

Wrzasnąwszy dziko: „Załatwić ich!” klient rzucił się w pierwsze z prawej uchylone nieco drzwi.

Dokładniej rzecz biorąc, podjął taką właśnie próbę.

Mniej więcej przy pierwszej literze „i”, kiedy swoim tułowiem Jurin całkowicie zakrył Waluszka przed wzrokiem ochroniarzy, Gusiew już trzymał w dłoni igielnik i naciskał na spust. Skoczył przy tym w lewo, starym sposobem odciągając uwagę ochroniarzy od swego towarzysza.

Pistolet zatrzeszczał i na ciemnym mundurze dowódcy posterunku wykwitł rząd przynajmniej sześciu żółtych igiełek stabilizatorów. Trafiony zdążył tylko odwrócić się do Gusiewa i poderwać karabin. Huknął wystrzał – i pocisk utkwiał w suficie.

Pozostałym dwóm ochroniarzom prawie udało się wyrwać rewolwery z kabur, ale Gusiew zdążył skosić obu jedną długą serią. Sprawnym i wytrenowanym ruchem wyrzucił pusty magazynek i przeładował broń.

Jurin zakończył upadek i z hukiem zwałił się na czworaki w drzwiach.

Ochroniarze malowniczo zsuwali się na podłogę.

Waluszek, który nawet nie zdążył wystrzelić, westchnął głośno, wsunął pistolet do kabury i z rozmachem kopnął Jurina centralnie w zadek. Ponaglony tym Jurin zanurkował do środka pokoju, poderwał się na nogi i zatrzasnął za sobą drzwi. Zaraz potem szczęknął klucz w zamku.

– Ratuuuuunkuuuu! – rozległo się zza drzwi. – Morduuuuują!

– Czemu go wypuściłeś? – wytknął Gusiew partnerowi. Potem się pochylił i podniósł pusty magazynek.

Waluszek pokręcił głową i rozłożył ręce.

– Zgłupiałem – powiedział. – Przepraszam.

– Na pomoooc! – darł się Jurin za drzwiami. – Straaaaaż!

Gusiew nacisnął klamkę i stwierdził, że drzwi są zamknięte od środka.

– Ej, zatrzymany! – zagrzmiął tak, że przekrzyczał wrzaski Jurina. – Macie dwie sekundy na otwarcie drzwi!

Odpowiedź Jurina nie nadawała się do zacytowania.

– Skocz na ulicę i wezwij naszych – zwrócił się Gusiew do Waluszka. – Niech koniecznie wezmą nosze.

Waluszek przeskoczył nad leżącymi ochroniarzami i zniknął za drzwiami. Gusiew podrapał się po ciemieniu i wyjął oba pistolety.

– No dobra, sam się prosiłeś! – rzucił w stronę drzwi. – Teraz będzie egzekucja. No, ja cię zaraz...

Nie rozwijając tematu trzykrotnie strzelił z „beretty” w zamek. Drzwi otworzyły się tak, że nie trzeba ich było nawet popychać nogą – same odleciały pod ścianę. Gusiew wszedł do pomieszczenia, które okazało się jakimś podręcznym magazynkiem nabitym papierzyskami, natknął się na oszołomionego Jurina i nie bez satysfakcji przywalił mu ręką „beretty” pomiędzy oczy. Jurin stęknął i usiadł na ziemi. Gusiew dał mu kilka sekund na zorientowanie się w sytuacji, żeby klient dobrze poczuł, jak dobrze mu się dostało, a potem prawie nie mierząc wpakował mu igielkę w udo. Winowajca zacharczał głucho i padł na plecy.

– O właśnie – stwierdził Gusiew. Zabezpieczywszy pistolety wetknął je w kabury, zapalił i zaciągnął się z rozkoszą.

Przez drzwi wpadli do magazynku członkowie załogi „karawanu”, trzech morderczych byczków, przebranych za sanitariuszy pogotowia. Za ich plecami stanął Waluszek.

Z drugiej strony holu rozległ się dzwonek zjeżdżającej windy. Gusiew pomyślał, że to pewnie Marina. Nie pozazdrościłby nikomu będącemu na jej miejscu, ale dziewczyna dziś i tak się napatrzyła na różne paskudztwa. Nie należało się więc spodziewać, że przestraszy ją widok bałaganu w holu.

– Gdzie klient? – zapytali rzeczowo Gusiewa „sanitariusze”.

– Tam. – Gusiew skinieniem dłoni wskazał cel i podszedłszy do stanowiska dowódcy zmiany siadł w fotelu, zakładając nogę na nogę. – A poszkodowana zaraz się zjawi.

– To niech się pospieszy.

– Loszka, bądź człowiekiem, skocz i przywieź ją. A-a... oto i ona.

Gusiew wyjął transiver i wezwał Centralny.

– Gusiew – zgłosił się. – Klient usiłował uciec, obezwładniłem drania, a teraz ładujemy go do karetki.

– Nie „ładujemy go” a „ładują go” – poprawili „sanitariusze”. Dwaj z nich, posapując przepychali nosze z Jurinem przez wąski korytarz, trzeci ze stetoskopem udawał „lekarza”.

– Ochrona została sprowokowana przez klienta i stawiała opór. Mamy trzy niezaplanowane unieruchomienia. Natychmiast przyślijcie tu grupę wsparcia, osłonę milicyjną i obowiązkowo przesłuchującego – im szybciej, tym lepiej. Będzie miał zajęcie. Zostanę na miejscu i poczekam na wszystkich. Tylko się pospieszcie, dobrze? To wszystko, bez odbioru.

U drzwi wyjściowych pojawiła się poszkodowana, przyciskająca do policzka chusteczkę.

– Ostro było – stwierdziła Marina, spojrzawszy na leżących ochroniarzy.

– No, dziewczyno, co z wami? – podskoczył do niej „lekarz”. – Ta-ak, zobaczmy, co my tu mamy... No, nic straszego. Chodźmy, chodźmy...

– Powodzenia – rzucił Gusiew za Mariną.

– Na razie – westchnęła. – Dziękuję.

Waluszek podszedł do leżącego bez ruchu szefa zmiany, pochylił się i ostrożnie przesunął bezpiecznik spoczywającego na podłodze karabinu.

– Sprawnie ich załatwiłeś – przyznał. – Tylko następnym razem nie chroń mnie tak, dobrze?

– Klient cię zasłonił – burknął Gusiew.

Waluszek spojrzał na dziurkę w suficie i już się nie odezwał.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Śmierć Wlada stała się powodem do ożywionej dyskusji wśród jego współczesnych – dokąd też trafiła jego dusza: do nieba, czy wprost do piekła? Zwolennicy obu poglądów przytaczali swoje argumenty, ale z czasem wypracowano trzeci wariant, który legł u podstaw legendy.

„Grupa wsparcia” pojawiła się po kwadransie – niemal dziesięciu brakarzy z oficerem dochodzeniowym ASB. Ten wyglądał jak maniakalny morderca – coś pośredniego pomiędzy zombie, a wampirem z taniego dreszczowca. Przydzielony do grupy milicjant coś mu opowiadał, a zombie śmiał się zaraźliwie i klaskał w dłonie.

– Pe, słyszałeś ten kawał? – zapytał wstającego na powitanie Gusiewa. – Pytają chłopaka: „Czemu masz zakrwawione ucho?”. „Chciałem popełnić samobójstwo – powiada zagadnięty – i ucho sobie rozwaliłem. Chybiłem, znaczy”. „Jak to możliwe? – pytają dalej. – Sam sobie w głowę strzelałeś i chybiłeś?” „A spróbujcie no trafić w takich warunkach! – odpowiada niedoszły samobójca. – Strasznie mi się ręce trzęsły ze zdenerwowania!”.

Gusiew parsknął z aprobatą:

– Już chyba gdzieś to słyszałem. Witajcie, panowie.

– Ależ tu narozrabiałeś! – stwierdził kapitan milicjant, oglądając pole walki.

– A co, zazdrość bierze? – spytał Gusiew mrużąc przebiegłe oczy.

– Myślałby kto! Trzej z kopytami, a ty strzelałeś pierwszy, rozumie się...

– No to popatrz tam. – Gusiew wskazał palcem w górę.

Milicjant podniósł wzrok, zobaczył otwór po kuli i popadł w głębokie zamyślenie.

Leżący na ziemi pierwszy z ochroniarzy zaczął straszliwie jęczeć – wstrzyknęli mu antidotum. Waluszek odwrócił wzrok – niedawno sam poczuł na własnej skórze, jak straszliwie skręca człowieka, któremu sztucznie przerywa się działanie preparatu obezwładniającego.

– Odsuńmy się – poradził dochodzeniowy, zerknąwszy na cierpiącego. – Różnie bywa – potem butów doczyścić nie można, przez tydzień będą śmierdziały. No, Pe, melduj jak było. Słuchamy.

Gusiew rozpoczął opowiadanie – mówił zwięźle, ale niczego nie pominął. Waluszek

odnotował w pamięci, że jego przewodnik przede wszystkim wyjaśnił, że członkowie ochrony niczemu nie są winni, ponieważ nie wiedzieli, z kim mają honor. W tym dziwnym człowieku było coś ze średniowiecznego rycerza. Być może pojmował sprawiedliwość i porządek w nieco uproszczony sposób, ale nie można mu było odmówić elementarnej uczciwości.

Tymczasem grupa wsparcia się rozdzieliła – dwaj brakarze zostali przy drzwiach, dwaj inni zablokowali wiodące na górę schody, a pięciu wpakowało się do windy i pojechali w górę, jak stwierdził jeden z nich, „zamknąć piętra”. Milicjant i dochodzeniowy notowali coś zawzięcie. Wracający do przytomności dowódca ochroniarzy odczołgał się pod swoje biurko, skąd zaraz doleciały odgłosy gwałtownych torsji. Pozostali dwaj leżeli martwym bykiem i tylko charczeli. Nimi akurat nikt się nie przejmował – nie było sposobu, żeby pomóc biedakom, ale też absolutnie nie przedstawiali sobą żadnej groźby.

„Dobrze, że mnie się na torsje nie zebrało – pomyślał Waluszek. – Nie, Gusiew, ja ci tego numeru ze strzelaniem we mnie nie daruję. Ale teraz chyba rozumiem, w jakim celu to zrobiłeś. Przede wszystkim chciałeś, żebym się w przyszłości nie znęcał nad ludźmi, siejąc igielkami w lewo i w prawo. Ciekawe, czy każdemu nowicjuszowi w Agencji urządzają taki chrzest bojowy?”

Na pulpicie coś brzęknęło.

– Ej, młody! – zawołali pilnujący drzwi. – Zobacz no, kogo tam diabli nadali?

Waluszek nie wszedł za pulpit – wołał nie ryzykować wdepnięcia w wymiociny, albo potknięcia się o drgające kurczowo ciało szefa zmiany. Oparł się o biurko z boku. System był standardowy, lekcje na kursie przygotowawczym jeszcze pamiętał, więc zaraz spostrzegł odpowiednie guziki i jednocześnie przyjrzał się interesantowi.

– Nic szczególnego – stwierdził. – Facet jakich tysięcy.

– A rurę? A której ręce trzyma rurę? – zapytał z przestachem jeden z brakarzy, wsuwając dłoń za pazuchę. Zagrane to było tak naturalnie, że Waluszek dopiero po chwili się zorientował, iż koledzy drą sobie z niego łacha.

– Na prawym ramieniu ma miotacz rakiet – odciął się i nacisnął guzik. – Uważajcie!

– Co, pospalicie się tam?! – warknęło z głośnika. – Otwierać mi tu zaraz!

Dochodzeniowy z radosnym uśmiechem odwrócił się i dał znak Waluszkowi, żeby otworzyć. Stojący przy drzwiach też machnęli rękoma. Waluszek posłusznie odblokował zamek. Gość zatrzymał się na progu, obrzucił wszystko okiem gospodarza – i zbladł jak chusta.

– Witajcie! – odezwali się radośnie chłopcy spod drzwi. – Agencja Społecznego Bezpieczeństwa. Bądźcie uprzejmi okazać dokumenty tożsamości.

– Jestem przewodniczącym rady akcjonariuszy – przedstawił się niechętnie przybyły.

– Wspaniale! – ucieszył się dochodzeniowy. – Gdzieście się podziewali? Prosimy do nas! Przybyły przestał bieleć na twarzy – przeciwnie, jego oblicze zaczął zalewać rumieniec.

– To może my pójdziemy pisać raport? – zapytał Gusiew dochodzeniowego.

- Bardzo proszę. Ej, młodzieńcze! Przeszliście chrzest bojowy!
- Dziękuję – wymamrotał Waluszek.
- Żyj! – w odpowiedzi padło tradycyjne pozdrowienie brakarzy.

Szybko wrócili do biura, przy czym Gusiew przez całą drogę milczał. Zapytany przez Waluszkę o to, czy nie jest przypadkiem tak, że raporty należy pisać po zakończeniu służby, udzielił dość zagadkowej odpowiedzi i ponownie popadł w milczenie.

– Następną przygodę wyznaczono nam na północ – stwierdził. – A na razie wystarczy. Co za dużo, to niezdrowo, a ja jestem już przetrenowany, jasne?

W biurze Centralnego weszli na piętro i przeszli do pokoju „roboczego”, który Waluszek przedtem widział tylko przelotnie – była to obszerna sala zastawiona biurkami dowódców grup i przewodników. Na stołach piętrzyły się stosy papierów i dokumentów, stały zestawy kancelaryjnych przyborów i rozmaite gadzety. Waluszkę osobliwie poraziła potężna szklanka z napisem „To ja zabiłem Johna Lennona”.

– To wygłupy Daniłowa – rzucił przez ramię Gusiew zobaczywszy, że zdumiony Waluszek gapi się na to arcydzieło kiczu. – Daniła wszystkim wokół opowiada, że Beatlesi to mięczaki i pedały. On uważa, że tylko heavy metal jest coś wart. A ty, co o tym sądzisz?

– No, w zasadzie Beatlesi to rzeczywiście nie Metallica – przyznał Waluszek. – Ale tak daleko bym się nie posuwał...

– Iak daleko, to nie.

Stół Gusiewa był absolutnie pusty i pokryty grubą warstwą kurzu. Wokół stały trzy krzesła, wyraźnie pamiętające lepsze czasy.

– Fotele podwędzono, ma się rozumieć – westchnął Gusiew. – Nawet mój. Chłopcy całkiem się rozzuchwalili. No dobra, siadaj. Albo wiesz co, usiądź przy kompie obok. Właściciel jest na urlopie, nie obrazi się.

Waluszek posłusznie usiadł, włączył kompa i wywołał na ekran standardowy formularz raportu.

– Co mam pisać? – zapytał.

– Wszystko, co ci przyjdzie do głowy. Pisz, jak było. Łatwo ci pójdzie.

– A tobie?

– Ja teraz muszę wypocić cały traktat. O tym, że na przyszłość nie zamierzam ratować podejrzanych przed nie istniejącym zagrożeniem. Albo niech dadzą trzeciego, żeby bronił naszych tyłków. Jeszcze się dowiem, po jaką cholere na takie zadanie posiali dwóch ludzi. On jeszcze, skurwiel jeden, mnie przeproszał! Wybaczcie, mówił, wszystko rozumiem, ale nie mam pod ręką nikogo innego...

Gusiew otworzył szufladę, pogrzebał w niej, wyjął szmatkę i zaczął ścierać kurz ze swojego stołu.

– Kto przeproszał?

– Dowódca zmiany, a któżby inny? Przecież nie operacyjny, ten tylko w swoje lampki się gapi...

– A kto jest dziś dowódcą zmiany?

Gusiew odwrócił się i bardzo uważnie spojrzał na Waluszka, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

– Przymknij się – poradził mu. – Nikt nas nie chciał wystawić. A dowódcą zmiany jest Korniejew.

– Po prostu też chciałbym zaznaczyć...

– Powiedziałem – zamknij się. Za chudy w uszach jesteś. Znasz takie powiedzenie: „Za mało służby masz za sobą?”

– I tu fala obowiązuje – westchnął Waluszek, zaczynając stukać palcami w klawisze.

– I tu fala obowiązuje. Za każdym razem zmieniając pracę będziesz musiał przejść falę od „kota” do „wygi”. Wszędzie, gdzie zbierze się choć dwóch ludzi obowiązuje taka albo inna fala. A nam, Armii Chrystusowej – sam Bóg przykazał. Co prawda niektórzy uważają, że ASB to Armia Ciemności. Ale tych pozabijaliśmy. I po coś tu przylazł, Waluszek?

– Zapragnąłem zostać archaniołem – odciął się stażysta. – A przy okazji, za co ty sam uważasz ASB.

– Za konieczne zło – natychmiast odpowiedział Gusiew.

Tę odpowiedź najwyraźniej dawno miał przygotowaną.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Walczył o wyzwolenie swojej ojczyzny, pozostając tyranem i ludobójcą.

Kiedy obaj ukończyli pisaninę, Gusiew wysłał dokumenty do archiwum, a swoją notatkę nie tylko gdzieś wysłał, ale jeszcze wpisał ją do rejestru dokumentów. Potem burknął Waluszkowi „Siedź tu, pal i używaj życia”, a potem zebrał papiery i gdzieś poszedł. Waluszek przesiadł się za biurko Gusiewa i z ogromną ciekawością zbadał zawartość komputera swojego przewodnika. Już na pierwszy rzut oka stwierdził, że blaszak szefa jest znacznie szybszy od tego, na którym sam pracował przed chwilą i znacznie bardziej rozbudowany, niż tego wymagało zwykle stanowisko biurowe. Przypomniał sobie niezbyt skomplikowane polecenia Waluszek zaznajomił się z konfiguracją i aż świsnął przez zęby. Był tu potężny akcelerator wideo i ogromna ilość pamięci operacyjnej. Zaintrygowany Waluszek zajrzał pod stół i stwierdził, że plomba na obudowie została zerwana. Gusiew prawdopodobnie łamał wszelkie zasady. I wyglądało na to, że spędza w pracy znacznie więcej czasu, niż wymagał tego regulamin. „No to teraz się pobawimy!” – ucieszył się Waluszek, nie bez podstawy założywszy, że utworzony przez Gusiewa na dysku folder z grami pełen jest dobrych, trójwymiarowych „strzelanek” – krew, bieganina i palba. Ale i w tym względzie Gusiew zdołał zaskoczyć swojego prowadzonego. Gier rzeczywiście był cały worek, wszystkie jednak należały do strategicznych albo rolplejów z angielskimi, bardzo rozwiniętymi dialogami i tekstami – żadna nie była lokalizowana. Waluszek w pierwszej chwili zaklął sążnięcie, ale potem znalazł jakąś samochodową ścigalkę i rozpoczął jazdę.

Nieobecność Gusiewa trwała niemal godzinę. W sali panowała prawie absolutna cisza. Tylko Waluszek od czasu do czasu skrzypiał fotelem na zakrętach. Pracownicy Centralnego patrolowali ulice i sądząc z braku sygnałów alarmowych, nikogo na razie nie zabito. Porozwieszane tu i tam wielkie monitory też były martwe, a głośniki powiadomiania zachowywały ciszę. Nic nie przypominało codziennej zawieruchy i zgiełku, jaki panował tu w minionych latach i o którym z nostalgicznymi westchnieniami opowiadali instruktorzy na kursie przygotowawczym. Wyglądało na to, że miasto wyczerpało swoje przestępcze możliwości. Jak i pozostała część kraju. Drakońskie metody i niezwykle surowe egzekwowanie prawa zbiły temperaturę prawie do zera – przestępstwa dotyczyły głównie

spraw socjalnych – i wyglądało na to, że pracownicy ASB niedługo rozpląną się w tłumie milicjantów i agentów agencji antynarkotykowych. Instruktorzy i o tym ich uprzedzali – powojujecie, mówili, troszeczkę, a potem upodobnicie się do innych stróżów prawa. Stracie niezwykle przywileje socjalne, wysokie zarobki z jeszcze wyższymi premiami, a najważniejsze, że odbiorą wam prawa, które wy, smutne łosie, nazywacie „Licencją na zabijanie”.

I przespacerowawszy się po ulicach, łatwo było w to uwierzyć. Waluszek doskonale pamiętał jeszcze nieprzyjemne wrażenie, gdy w moskiewskim powietrzu niczym ciężki, dławiący inne uczucia smog, wisiała nienawiść. Długo wisiała, przez całą jego młodość – dziesięć lat – a potem nagle znikła.

Przyczyną było niewątpliwie to, że kiedyś na jednego brakarza przypadało stu bandytów, a teraz, nawet przy zmniejszonym stanie osobowym ASB, dziesięciu pełnomocników z trudem znajdzie dla siebie jednego klienta. A przy okazji – ostatnio znowu wszczęto nabór. Ciekawe po co?

„Faktycznie – pomyślał Waluszek – na cholere komu potrzebnych jest tylu rekrutów? Ależ się Gusiew zdziwił, kiedy mu powiedziałem o tym, ilu nas było na kursie. Aż oczy wytrzeszczył...”

Wybrakówka od dawna już nie pracowała na cały gwizdek. Kiedyś Centralny codziennie przeprowadzał specjalne operacje, ale od tamtej pory bandyci, którzy uniknęli pogromu, gdzie się poukrywali, przestępczość uliczna zmalowała niemal do zera, a uwolnieni z miejsc odosobnienia przestępcy wrócili do dawnych, „cywilnych” zawodów i bali się nawet westchnąć bez przyczyny. Po uchwaleniu słynnego „Zarządzenia 102”, wedle którego każde trzecie przestępstwo automatycznie pociągało za sobą zsyłkę na katorgę do końca życia, w ciągu sześciu lat wszystko w kraju jakby samo wróciło do normalności. Uproszczona procedura dochodzeń i sądów doprowadziła do tego, że prawo zaczęło działać niemal natychmiastowo, a kara stała się nieunikniona. I Agencja Społecznego Bezpieczeństwa – organizacja, którą można byłoby porównać do leninowskiej Czecha, tylko nastawionej na walkę przeciwko przestępstwom wymierzonym w zwykłego obywatela – po cichutku zaczęła wędnać, jako pozostałość ciężkich i skomplikowanych czasów. Dzięki niewolniczej pracy wielomilionowej armii niedawnych gwałcicieli, wszelkiej maści bandziorów, oszustów i morderców, bez rozgłosu i hałasów wykuwano miejscowy cud ekonomiczny, a sternicy państwowej nawy powoli przymierzali ekonomikę państwa do przejścia na bardziej cywilizowane tory, dlatego że szeregi katorżników systematycznie topniały, a nowych wrogów narodu po prostu nie było skąd brać. „Jakże rozumnie dobrany termin «wróg narodu» – myślał Waluszek, wyprowadzając swój wirtualny samochód na prostą i dodając gazu. – W istocie rzeczy, ten kto narusza prawo własności, czy prawa osobiste – to wróg narodu, całego narodu. Nieważne, czy to kradzież czy grabież, w każdym przypadku przemoc, naruszenie prywatności i wewnętrznego terytorium człowieka. A ten, kto decyduje się na popełnienie

przestępstwa... Oczywiście ktoś go nauczył, że tak można. Jakiś zboczeniec i łajdak. Drań. Bardzo słusznie podjęto tę decyzję – tępić plugawców, tępić, żeby nie mogli się rozmnażać i płodzić takich jak oni. Ciekawe, kto wymyślił owo „Zarządzenie 102”. Uważa się, że „Sto drugi” i „Sto szósty” są dziełem kolektywnym, ale przecież musiał być ktoś, kto pierwszy podsunął ideę... Chciałbym zobaczyć tego człowieka. Nawet dureń pojmie, że musiał mieć bardzo chory umysł. Ale ideę podsunął wspomniała”.

– Ocknij się, mistrzu kierownicy – ofuknął go Gusiew. – Bo nie pozwolę ci nigdy usiąść za prawdziwą kierownicą. Może pójdziemy coś zjeść?

W stołówce nakarmili ich jak zwykle smacznie i bezpłatnie. Waluszek spodziewał się, że teraz wróca na trasę, Gusiew jednak znów skierował się do sali roboczej. Wyjąwszy z szuflady jakieś szmatki, buteleczki i przyrządy, łaskawym skinieniem głowy wskazał Waluszkowi kompa, a sam usiadł obok i zabrał się do czyszczenia „beretty”. Czynił to szybkimi i pewnymi ruchami, jak człowiek, który robi to codziennie od wielu lat. Waluszek zdumiał się szczególnie wtedy, gdy na stole pojawił się specjalny przyrząd, w którym Gusiew podkalibrował wszystkie naboje, nawet te znajdujące się w zapasowym magazynku.

„Tego tylko jeszcze brakuje, żeby je w piaskarce wypolerował” – pomyślał Waluszek.

Gusiew wziął jeden nabój i podniósł go do oczu.

– Do piaskareczki by cię, brudasku – wymamrotał prawie pieszczotliwie.

Zaskoczony trafnością swojego domysłu Waluszek niemal się zakrztusił. Gusiew rzucił mu krótkie spojrzenie, nic nie powiedział i zajął się ładowaniem naboju do magazynków.

– A mnie kiedyś dadzą coś takiego? – zapytał Waluszek, wskazawszy berette.

– Nie dadzą – uciął Gusiew akcentując słowo „dadzą” i Waluszek stracił nagle ochotę na zadawanie pytań.

Na parterze Gusiew bez słowa wsunął rękę w okienko dyżurki.

– O co chodzi? – zapytał siedzący za pulpitem pomocnik dyżurnego, młody chłopak w wieku Waluszka.

– Zgaduj do trzech razy – zaproponował Gusiew.

Młodziak już się nadał, ale nagle zasłonił go starszy brakarz, który położył na otwartej dłoni Gusiewa jakiś klucz.

– Zapisz – zwrócił się do młodzika – Gusiew wziął „piętnastkę”.

Wbrew oczekiwaniom Gusiew nie cofnął dłoni.

– Bierz, co ci dają – padło polecenie z drugiej strony.

– A rano miałem czkawkę i nie mogłem znaleźć kogoś, kto by mnie przestraszył... – skrzywił się Gusiew.

– Zostały już tylko same straszaki.

– Nawet dla mnie?

– Szczególnie dla ciebie. Pe, nie irytuj się, przecież jesteś w rezerwie.

– W jakiej, do kurwy nędzy, rezerwie?!

– A co, nie?

– O co właściwie chodzi? – wtrącił młodzik.

– Na Powarską ty wysyłałeś grupę wsparcia?

– No, ja...

– A wiesz ty, kto stamtąd prosił o wsparcie? Wiesz ty, kto tam omal kuli nie zarobił, na tej zasranej ulicy Powarskiej?

– Stop, stop, stop. Time out. – Dyżurny odsunął pomocnika, zasłaniając go przed wybuchem jak najbardziej usprawiedliwionego gniewu Gusiewa i zaczął przeglądać nieco już sterany dziennik służb leżący na pulpicie. – Spokojnie, Pe. Nie ma cię w spisie. W każdym razie nas nie uprzedzono.

– WAS NIE POWIADOMIONO! – warknął Gusiew. – Słusznie – zgodził się dyżurny. – Prawidłowo się mówi „Nas nie powiadomiono”. Hej, a to co? Czemuś ty, bałwanie jeden, zlecenia nie uzgodnił? O, tu masz dodatkowy spis!

– Ależ ja... zaczął pomocnik, ale nie zdążył już niczego powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, bo Gusiew bardzo celnie i boleśnie cisnął mu klucze w oko. Pomocnik jęknął i chwycił się za twarz.

– To pierwsze wewnętrzne ostrzeżenie – oznajmił Gusiew. – Zwracam się z oficjalną prośbą do dyżurnego, żeby zanotował to w dzienniku służb.

– Za co?! – wrzasnął pomocnik, zrywając się na równe nogi.

– Zaraz, bratku, zarobisz drugie – uprzedził go Gusiew.

Dyżurny chwycił pomocnika za kołnierz i jednym silnym pchnięciem rzucił go ponownie w fotel.

– Wybacz, Pe – zwrócił się do Gusiewa. – Nie dopatrzyłem...

– Przez takie niedopatrzenie ludzie przechodzą obok sekcji finansowej! – prychnął Gusiew.

– No coś ty! Chcesz, to sprawdzę osobiście! – zamachał rękami dyżurny.

– Powiedzmy, że chcę.

– Obowiązkowo. Słowo honoru. Weź kluczyki, Pasza. Od „dwudziestej siódmej”.

– Hm...

– Spod serca sobie wyrywam.

Gusiew trochę się krzywił, ale kluczyki wziął.

– Nie zapomnij temu bałwanowi wpisać ostrzeżenie – rzucił na odchodnym.

Dyżurny skwitował to westchnieniem.

Na dziedzińcu Gusiew obrzucił uważnym spojrzeniem rząd samochodów i pewnym krokiem skierował się ku „dwudziestej siódmej”, którą znalazł kierując się jakimś szóstym zmysłem.

– Mógłbyś jeszcze tego biedaka walnąć mordą o pulpit – mruknął Waluszek, kierując tę



uwagę do pleców swojego przewodnika.

Gusiew zatrzymał się tylko na ułamek sekundy. Po to – jak się okazało – żeby z całej siły kopnąć prowadzonego w brzuch. I nawet się przy tym nie obejrzał, trafił kierując się słuchem.

Uderzenie było tak niespodziewane, że Waluszka zgięło wóół i rzuciło na ziemię.

– Zglupiałeś? – wystękał, leżąc na asfalcie i patrząc w zmierzchające już niebo.

Gusiew nie odpowiedział. Gdzieś przed Waluszkiem trzasnęły drzwi. Stażysta ciężko stęknął i wstał. Machinalnie otrzepał kurtkę, która została czysta nawet w tym miejscu, gdzie wgniótł ją nieco but Gusiewa. Podziękowawszy w duchu śmieciarzom za utrzymanie porządku, a projektantom kombinezonu bojowego za to, że nic mu się nie stało, poszedł za swoim prowadzącym.

– Nasza służba jest trudna i niebezpieczna – mruknął cicho sam do siebie. – A będzie jeszcze... ojoj...

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nigdy się już nie dowiemy, jakim był nasz groźny bohater w życiu codziennym. Czy choć raz zażartował, i czy choć raz twarz tego potwora patrioty rozjaśnił ciepły uśmiech?

Samochód „dwudziesty siódmy” wyglądał jak zwykle „żiguli”, prymitywny stary grat – tani automobil codziennego użytku. Inni kierowcy starali się trzymać od takich maszyn jak najdalej. Ale nawet jako pasażer Waluszek od razu odkrył, że z „dwudziestką siódmką” coś jest nie tak. Samochód miał sportowe twarde zawieszenie i znacznie potężniejszy od zwykłego silnik. Strzałka szybkościomierza ledwo drgnęła, a połowę długości bulwaru mieli już za sobą.

– W łożysku coś stuka – stwierdził Gusiew. – A może to nie łożysko? Loszka, posłuchaj. Waluszek demonstracyjnie odwrócił głowę.

– Nie, to nie łożysko – podsumował Gusiew. – Posłuchaj, Aleksieju. Ja oczywiście niepotrzebnie cię potrąciłem. Ale i ty mnie spróbuj zrozumieć...

– Jeżeli nazywasz to potrąceniem...

– No, proszę, wybacz mi. Dość niefortunnie podsunałeś mi się pod rękę...

– Rękę?!

– Więcej nie będę. Słowo honoru.

– Akurat ci wierzę – prychnął Waluszek. Jasne było, że Gusiew nie chciał mu wyrządzić fizycznej krzywdy – i tak zresztą nie mógłby, nawet gdyby bardzo mu na tym zależało. Prowadzący po prostu chciał zamknąć usta młodzikowi, który otworzył je nie w porę. A ponieważ Gusiew miał ręce w kieszeniach i nie bardzo chciało mu się je wyjmować... Ale wyszło bardzo poniżająco – jedyna nadzieja w tym, że nikt akurat w tej chwili nie wyglądał z okna.

– W ogóle w każdym konflikcie powinieneś trzymać moją stronę – zauważył Gusiew, skręcając na Ostozhenkę. – Wynika to z układu służbowego. Bez zastanowienia i tym bardziej bez sprzeciwów. Dłużej pożyjesz.

– Nawet w przypadku konfliktu wewnątrz ASB?

– Szczególnie w takim przypadku, mój drogi! Szczególnie... Rozumiem, że twoje

pragnienie obrony młodszych kolegów przez prześladowaniami starszych jest jak najbardziej naturalne. Ale, łaskawco, spróbuj to pragnienie jakoś stłumić. Nie myszkujesz po wydziale, nie biegasz z różnymi idiotycznymi papierkami, nie siedzisz za pulpitem. Od razu przydzielili ci robotę. Znaczący, mój drogi, trzymaj się agentów operacyjnych, a w szczególności starszych służbą. Na patrolu nikt tobą pomiatać nie będzie, przeciwnie, wszystkiego nauczą i nawet w razie czego obronią, przynajmniej na początek. To nie armia, u nas fala kwitnie tylko w biurze. Na polu walki młodszych strzegą i osłaniają. W przeciwnym razie, skąd bralibyśmy nowych brakarzy?

– No dobra – kiwnął głową Waluszek. – Przepraszam przyjęte. Choć...

– To wszystko z nerwów, Loszka – Gusiew cmyknął zębem i wyciągnął papierosa. – Wszystko przez ten pieprzony fundusz emerytalny.

– On by cię i tak nie trafił – Waluszek przypomniał sobie ochroniarza z karabinem.

– Jeszcze tego by brakowało! – uśmiechnął się Gusiew. – Nie, oczywiście, za chudy był w uszach. Ale widzisz, ja... Ja w niego trafiłem, Loszka. I sprawiłem mu ogromny ból. Ot, takie sprawy...

– Przecież jesteś brakarzem już pięć lat... – powoli stwierdził Waluszek.

– Sześć.

– I do tej pory martwi cię to, że sprawiasz ludziom ból?!

– „Nie złodziej ja, po lasach nie grabiłem, w kark nieszczęśnikom po lochach nie strzelałem...” – zacytował Gusiew. – A przy okazji i uprzedzając twoje kolejne pytanie – w rzeczy samej, w kark nikomu nie strzelałem. Zabijałem – bywało, nie będę udawał, że nie. Wielu zabiłem. Gdzieś tak ze trzydziestu nieboszczyków by się zebrało. Każdy z tamtych też by mnie zabił, gdyby tylko mógł. Byłem szybszy, to wszystko. Ale nie brałem udziału w egzekucjach. Wiem, chodzą słuchy, że za pierwszych lat Wybrakówki w naszych piwnicach można było po kolana we krwi brodzić. Wszystko to ludzkie gadanie, łgarstwa i tyle. Nasz dział PR specjalnie wymyślał takie bajeczki, żeby ludzi postraszyć. Jak to się mówiło, czekista powinien mieć niskie czoło, długie ręce, skórzaną kurtkę, cofnięty podbródek... i coś tam jeszcze, nie pamiętam co.

– No to kto rozstrzeliwał?

– Przecież u nas nie ma kary śmierci – przypomniał mu Gusiew.

– No, to wiadomo, że jej nie ma...

– Naprawdę jej nie ma – uciął Gusiew. Samochód zatrzymał się na światłach, z sąsiedniego BMW pogardliwie łypała okiem na brakarzy w biednej furce jakaś wyfiokowana pani.

– Brzydka i skurwiona – wymamrotał Gusiew. – Nieszczęśliwy człowiek. Szkoda mi cię z całego serca, paniusiu, ale i okazji przepuścić nie mam zamiaru... O, jak to patrzy! Myśli, że rozmaite świństwa na nią wygaduje...

BMW warknęła i lekko drgnęła ku przodowi.

– Ej, Waluszek! – odezwał się Gusiew. – Trzymaj się! Ta damulka przed chwilą raczyła nas obdarzyć dostojną pogardą. Mam zamiar wyrzucić zemstę, drobniutką i podłą. Jesteś gotów?

Błysnęło zielone światło. Gusiew, jako prawdziwy dżentelmen jezdni, puścił damulkę przodem. Dał jej nawet pewne wyprzedzenie – BMW przecięło już linię „stopu”, kiedy „dwudziestka siódemka” przysiadła na wszystkich czterech kołach i nagle wystrzeliła do przodu.

Waluszek nie miał czasu zastanawiać się na tym, co sobie pomyślała właścicielka BMW, kiedy obok niej przeleciał bolid na kołach, bo sam nagle znalazł się w opałach. Był doświadczonym i utalentowanym kierowcą, więc mimo woli odbierał wszystkie ewolucje samochodu tak, jakby siedział za kółkiem. Krótki odcinek dzielący ich od Sadowego<sup>8</sup> Gusiew przeleciał w miarę spokojnie i bezpiecznie – oczywiście, o ile w ogóle było to możliwe przy tak wariackim tempie. Trzeba było wyprzedzić kilka samochodów, które jakby zastygły w bezruchu i w żadnym przypadku Gusiew nie stworzył na jezdni niebezpiecznej sytuacji. Ale mimo wszystko, choćbyś nie wiedzieć jak podrasował „Żiguli”, to „Ferrari” z niego nie zrobisz. Kiedy Gusiew osadził na zakręcie samochód, zamierzając najwyraźniej dalej jechać spokojnie, Waluszek odetchnął z ulgą.

BMW gdzieś przepadło. Obaj brakarze obejrzeni się jednocześnie, jakby nie wierząc własnym oczom.

– Aaa.. pełźnie. – Gusiew skręcił na Sadowe i samochód niespiesznie ruszył w stronę Nowego Arbatu. – Znaj mores, babo. Nieboszczek Fiedia Jakowlew na takim samym wózku „Subaru Impreza” dopadł. Seryjnego, oczywiście, bez turbodoładowania, ale zawsze to coś. W mieście, na suchym asfalcie nikt nam nie ujdzie. Tanio i skutecznie.

– Ale jak on go dopadł? – zapytał zaciekawiony Waluszek.

– Normalnie. Zameczył tamtego, aż spasował. A dosłownie następnego dnia przechodził przez ulicę na czerwonym świetle i wpadł pod samochód. Dałbyś wiarę? No, żeby cię, powiedzmy udusili, i żeby jeszcze było za co... ale czekajże, Locha, nie dokończyliśmy rozmowy o egzekucjach. Zakarbij to sobie – Wybrakówka nie przeprowadza egzekucji i nikogo nie rozstrzeliwuje. Wszystko, co ci mówiono na szkoleniu, to czysta prawda. My w ogóle nie mamy nic wspólnego z jakimkolwiek wykonywaniem wyroków. Naszym zadaniem jest wydzielenie ze społeczeństwa jego wrogów i przekazanie ich wymiarowi sprawiedliwości – nic więcej. Potem do rzeczy biorą się sędziowie i GUŁAK<sup>9</sup>. Jeżeli się zdarzy, że kogoś zabijemy podczas zatrzymywania – oznacza to, że skorzystał ze swojego prawa do stawiania oporu. Wyjątków nie ma. Każdy zajmuje się tym, czym powinien. Milicja przeprowadza poszukiwania i zajmuje się profilaktyką, my jesteśmy od sanacji, prokuratura ee... prokuruje, a GUŁAK bezpośrednio tępi wszelkie robactwo. Robi to stwarzając im warunki życia nie do wytrzymania. Mówiąc między nami, ale naprawdę zatrzymaj to dla siebie, kilka razy miały

<sup>8</sup> - Sadowoje Kolco - położona najbliżej centrum jedna z moskiewskich obwodnic.

<sup>9</sup> - GUŁAK - analogia do GULAG - Centralny Zarząd Obozów i Kolonii (oczywiście karnych).

miejsce zaplanowane ucieczki z katorgi.

– Zaplanowane? Jak to? – najeżył się Waluszek.

– No, ktoś powinien był przecież opowiedzieć chłopakom z ferajny, jak straszne jest tam życie.

– Posłuchaj, ale tam... naprawdę jest tak okropnie?

– Warunki są mordercze – kiwnął głową Gusiew. – Jeździłem tam w delegacjach. Bywały wypadki, że dochodzeniowi żądali przywiezienia na przesłuchania więźniów – w sprawach, które z rozmaitych przyczyn otwierano ponownie. Coś niecoś więc widziałem. Strasznie tam harują. Można oczywiście wyróżnić się i zostać dziesiątnikiem, dowódcą brygady, załapać się na jakąś robotę funkcyjną i nieco lepsze warunki życia. Czytałeś Solżenicyna? Więc tam jest zupełnie inaczej. Ale bardzo podobnie było w faszystowskich obozach koncentracyjnych. Najmniejsze nieposłuszeństwo – biorą cię za kark i odprowadzają. Tyle że nie do gazowej komory, a na kilka zastrzyków. I wracasz potem do tego samego baraku, żeby inni mogli cię zobaczyć. Cichutki i pokorny wracasz. Wszystkich by potraktowano środkami psychotropowymi, tylko że to kosztowny zabieg.

– Katorga powinna być dochodowa – zgodził się Waluszek ze znajomością rzeczy.

– Zapomnij o tym – uśmiechnął się Gusiew. – W naszych czasach katorga z definicji nie może być dochodowa. Za Stalina z pewnością była, ale teraz niewolnicy więcej zjadają niż produkują. Propagandy się nasłuchałeś. Wszystkie aktualne osiągnięcia Związku, mój drogi, opierają się na trzech wielorybach. Zdumiewająca uczciwość płatników podatku – to raz. Brak szarej strefy – to dwa. I zasada „Kupujemy tylko u Rosjan”, to trzy. Oczywiście nie w tym sensie, że nie pijemy już coli, ale chodzi o to, że Turcy nie remontują nam Kremla, a Azjaci nie budują nam dacz. Katorżnicy – ci byli wsparciem tylko na początku...

Obok nich, wyprzedzając brakarzy, przejechał niedawno rywalizujący z nimi BMW i ostro skręcił ku podjazdowi modnego nocnego klubu. Waluszek mimo woli zagapił się na jaskrawy neon. Nie bywał tu i w ogóle dawno już go przestało ciągnąć do nowoczesnych lokalów. Miał swój ulubiony piwny barek odległy o dwa kroki od jego domu. Był tam bilard, tarcze do rzutek i panowała przyjazna, spokojna atmosfera. Taka, jaką lubił każdy normalny człowiek w tym mieście. W kosztownych ponad wszelką miarę, urządzonych bez krzty smaku klubach i lokalach takich jak ten, do którego skierowała się posiadaczka BMW, gnieździli się – jak mówiono – niezupełnie normalni. Ponurzy, wypaleni ludzie, znużeni wiecznym poczuciem, że czegoś ich w życiu pozbawiono. Waluszek rozumiał, skąd się to bierze. On sam kiedyś nie wiedział, jak sobie poradzić z wypełniającą duszę pustką, która nijak nie chciała odejść, choć próbował ją zatkać paintballem, zjazdami na nartach z najwyższych szczytów i dobrymi książkami. Szalał i poszukując nowych wrażeń wspinał się na najbardziej strome, karkołomne ściany... A potem wszystko się jakoś uładziło. Okazało się, że wystarczy znaleźć miłość i odpowiednie zajęcie. „Proste? Akurat! Wielu ludziom nigdy się to nie udaje. Ciekawe, czy udało się Gusiewowi...”

Gusiew tymczasem kręcił kierownicą i popisywał się krasomówstwem. Waluszek nie bez trudu wrócił do rzeczywistości i ponownie zaczął słuchać.

– ...oczywiście, nasze porządki nie bardzo się dają pogodzić z Deklaracją Praw Człowieka – tokował Gusiew. – Ale za to w Związku można po ludzku żyć. Zupełnie bez strachu. Jak myślisz, dlaczego nasz reżim tak bardzo jest znienawidzony przez niemal wszystkie światowe rządy, oprócz tych skrajnie totalitarnych, a my z nimi jak przedtem handlujemy, prowadzimy badania naukowe, szykujemy się do wysłania ekspedycji na Marsa? Dlatego, że każdy, kogo choć raz ograbiono na ulicy, kto choć raz za nic dostał po mordzie, zaciskając pięści i ocierając łzy marzył w takiej chwili o tym, żeby przenieść się do Związku, gdzie coś takiego jest absolutnie niemożliwe. Dawno już by nas starto na proszek, choćby za cenę wojny atomowej. Ale nie pozwala na to powszechna opinia. Ile zagranicznych kanałów byś nie przejrzał w telewizji, choćbyś do wieczora trząskał pilotem – ludzie chcą, żeby Związek był i trwał. Choćby jak nieosiągalne marzenie, jak symbol. Loszka, nam faktycznie udało się urzeczywistnić utopię. Już praktycznie zbudowaliśmy bezpieczne społeczeństwo. My! My to zrobiliśmy, rozumiesz?

– No, ja na razie niczego jeszcze nie zrobiłem – Waluszek odwrócił wzrok.

– Zdążysz jeszcze – pocieszył go Gusiew. – Mówiłem – kolejny bohaterski wyczyn wyznaczony o północy. Poczekaj. Będziesz miał się czym zająć.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jak już powiedziano, księżę opierał swoje rządy na najbiedniejszych warstwach społecznych kraju. Oczywiście antyfeudalnej polityki Władza nie zrodziła miłość do prostego ludu i współczucie jego losowi – te uczucia były mu nieznane. Chodziło mu wyłącznie o wzmocnienie władzy państwowej i własnych niepodzielnych rządów.

Na parkingu przy pomniku Majakowskiego Gusiew zatrzymał samochód obok rzędu takich samych niczym się nie wyróżniających maszyn, w każdej z nich siedziało po trzech ludzi.

– Północ się zbliża, a Myszkina nie widać – stwierdził, rozejrzawszy się dookoła. – A, o wilku mowa... Oto i on.

Od strony Sadowego nadjeżdżał ogromny autobus turystyczny. Stojące na parkingu samochody pozdrowiły go przyjaznymi sygnałami. Bus skręcił w Brzeską a za nim ruszyła cała kawalkada.

W ciasnym zaułku bus zatrzymał się na poboczu. Grupa Myszkina jakoś zaparkowała dookoła i wszyscy wleźli do trajlera, którego tylna ścianka otworzyła się zachęcająco i wypuściła krótką pochylnię.

– Ruchomy sztab – oznajmił Gusiew. – Czyli latająca forteca. No, chodźmy, co tak siedzisz?

Wnętrze trajlera okazało się połączeniem sali konferencyjnej z wiejskim klubem: był tam ekran projekcyjny, kilka stanowisk komputerowych i rzędy prostych ławek, na których mogło się pomieścić ze trzydziestu ludzi. Urządzenia dopełniały zamknięte kratami boksy dla klientów w bliższym wyjścia końcu i dwa solidne sejfy. To już nie należało do umeblowania klubowego. Zaintrygowany Waluszek kręcił głową, a Gusiew lekko popychał go z tyłu.

Brakarze rozsiedli się na miejscach, cicho zamknawszy za sobą drzwi. Na miejscu przydzielonym rozsiadł się ogromny Myszkin, obok którego przycupnął drobny, nierzucający się w oczy człowieczek. Miał tak pospolitą twarz, że Waluszek choćby nie wiedzieć jak bardzo się starał, nie zdołałby opisać jego wyglądu – pan nikt w krawacie. Krawat też zresztą zawiązany był po to, żeby skupiać na sobie uwagę i ostatecznie dopełnić niewidzialności właściciela.

– Osiemnastu – zadudnił Myszkin. – Wszyscy żywi i na miejscu. Można rzec, więcej nas, niż trzeba. Panowie, proszę o uwagę. To, można powiedzieć, nasz stary znajomy, przyjmijmy, że kolega z... No, nieważne skąd.

– Z Pietrowki – rzucił ktoś z przodu. – Jak mu tam... Kapitan Pietrow.

– Major Sidorow – przedstawił się „kolega”. Głos miał słaby i taki sam bezbarwny, jak resztę. „Nieżył pewnie z niego spec – pomyślał Waluszek. – Z taką powierzchownością do wywiadu go wziąć powinni. I widać, że niegłupi. Gotów byłbym się założyć, że jest pułkownikiem Iwanowem<sup>10</sup>.

– Tambowski bandzior mu kolegą – niespodziewanie i głośno odezwał się Gusiew. Wszystkie głowy w „sali konferencyjnej” natychmiast zwróciły się w jego stronę. Myszkin chrząknął ostrzegawczo. – Opowiedz no nam, majorze, jak tyś mi odebrał Szackiego. Ten drań powinien teraz ryc ziemię w kopalniach uranu. A miast płakać krwawymi łzami i szmatami otwarte rany na rękach i nogach przewiązywać, trzeci już rok u ciebie jest kapusiem. I przy każdym dogodnym wypadku na ASB jadęm pluje. A pieniędzy ma, ile dusza zapagnie. Ile mu płacisz, majorze?

– Macie jeszcze jakieś związane z tym tematem pytania, towarzyszu Gusiew? – zapytał grzecznie major.

– W związku ze sprawą mam jeden pocisk z nazwiskiem Szackiego. Tak na nim napisałem: „Mordercy Szackiemu z gorącymi pozdrowieniami od chłopców z Centralnego”.

– Nikogo nie zabijał – odpowiedział łagodnie major. – A my z jego pomocą mnóstwo rozmaitych drani zdemaskowaliśmy...

– Daj mi Szackiego, a ja go w pięć minut zdemaskuję. Najpierw napisze mi szczerę przyznanie się do winy, a potem z własnej woli... krawatem się udławi.

– Gusiew, tobie i Dzierżyński do wszystkiego by się przyznał – oznajmił Myszkin.

– Szkoda, że nie dożył – westchnął Gusiew. Członkowie grupy Myszkina parsknęli z aprobatą przyjaznym śmiechem.

– Krótko mówiąc, Pe, zamknij paszczę – poprosił Myszkin.

– Przepraszam, wodzu. Czy można zadać towarzyszowi majorowi jedno pytanie?

– Niedoczekanie twoje! – prawie krzyknął major, odpowiadając na nie zadane jeszcze pytanie. Jego głos nareszcie przybrał bardziej wyrazistą barwę – mściwą i złowrogą.

– Cholera z nim, z tym Szackim, wcześniej czy później na kulę gdzieś się nadzieje – zmienił temat Gusiew. – Znacznie bardziej mnie ciekawi, jak się przedstawia sprawa Bobika?

– A rzeczywiście! – w pierwszych rzędach zapanowało wyraźne ożywienie. – Gdzieś ty Bobika zabunkrował, naczelniku?

– Ukrył się gdzieś w Ameryce – odparł niechętnie major. – Szukamy. Razem z FBI.

– Znaczący, FBI szuka, a wy sobie do nich w gości jeździcie. Whisky z lodem, truskawki ze śmietaną, zielone papierki z portretami...

---

10 - Iwanow - w tradycji rosyjskiego wywiadu nazwisko w rodzaju M z Mi-6.



Teraz major wściekł się nie na żarty. W tej chwili Waluszek mógłby już go opisać – „cholernie wkurwiony człowieczek w krawacie”.

– To wyście go wypuścili – syknął major przez zęby. – A my za was oczami świecić musimy!

Obecni wydali jeden zgodny, ostrzegawczy pomruk. Waluszek rozejrzył się ostrożnie – i stwierdził, że nie było tu jego rówieśników, a ludzie w wieku trzydziestu, czterdziestu lat. Weterani Agencji. Wzmiankowany Bobik mocno im wszystkim dopiekl.

– Dość! – walnął łapą w stół Myszkin. – Czas nie pyta, nie stoi. Wygadaliście się i wystarczy. Myślałby kto, że chcieliście obrazić człowieka. A ten człowiek, mówiąc między nami, podrzucił nam robótkę. Krótko, majorze, opowiedzcie o zadaniu.

– Znow trzeba będzie za mentów w gównie się grzebać – mruknął barczysty gość siedzący na lewo od Waluszka. Waluszek go poznał – był to Kalinin, jeden z myszkinowskich przewodników. Ziewał okrutnie na odprawie w wydziale, czym ściągnął na siebie gniew szefa. A może i nie ziewał, tylko po prostu nie zdążył wyrzucić z siebie zjadliwej uwagi.

Zamiast się obrazić, major uśmiechnął się nagle. Jego uśmiech mówił wyraźnie, w czym będą się chłopcy grzebali. Jedni mają robotę delikatną i wymagającą inteligencji, a innym, którzy uważają się za największych twardzielów – łopatę w łapy i naprzód. Właśnie po to zorganizowano ASB.

– Więc tak, oto co dla was mamy – zaczął major. – Przed siedmiu laty sąd przysięgłych uwolnił pięciu ludzi. Wszyscy byli członkami zorganizowanej nieźle bandy, mieli na koncie przynajmniej jedno zabójstwo, liczne wymuszenia i grabieże. Przyciskaliśmy ich tak i siak, ale w sądzie mimo wszystko sprawa się rypla. Herszt dostał piętnaście lat, a pozostałych uwolniono z braku dowodów. Oczywiście po wyjściu „Sto drugiego” wszyscy się przyczaili. Długo ich szukaliśmy, i proszę, znaleźliśmy naszych orłów. Ponownie hulają po mieście. Najpewniej kombinują, do czego by się tu podessać. Teraz całe towarzystwo wyszło z lokalu i moczy się w saunie, kilka kwartałów stąd. Posiedzą tam jeszcze co najmniej dwie godziny. Nie sądzę, żeby mieli przy sobie broń, ale wszystkiego należy się spodziewać. Ochrona łaźni też ma z pewnością jakieś pukawki. Lokal dawniej był bandycki, a i teraz zbiera się tam dość podejrzana klientela. Ogólnie rzecz biorąc, można się nie certować. Bierzcie wszystkich. I jak najwięcej huku. Żeby ci, których potem wypuścimy, dobrze sobie wszystko zapamiętali i innym mieli co opowiadać. A teraz pokażemy wam twarze naszych ptaszków.

Myszkin kiwnął głową na potwierdzenie i odwrócił się do wideoprojektora.

– Jak zawsze – oznajmił Kalinin – gdy trzeba z bandyty zeznanie wycisnąć, to wy łapki do góry podnosicie. A jak trzeba zastraszyć uczciwych ludzi...

– Surowe prawo, ale prawo – major rozłożył ręce. – Zapisano je literami. I my musimy tych liter przestrzegać. Nie tak, jak niektórzy z tu obecnych.

– Ciekawe, majorze, co ty będziesz robił, jak nas wszystkich pozabijają? – zapytał Gusiew. – Komu ty będziesz mówił: więcej huku, chłopcy, napełnijcie drani bojaźnią bożą...

tym swoim omonowcom, których to samo prawo wiąże? I tak samo jak ty, zębami zgrzytają, kiedy adwokaci zabójców przed sądem wybielają i dym w oczy sędziom puszczej? Co warte jest twoje prawo bez ASB, majorze? Co?

– Jeżeli mam być szczery, Pawle, to ja od samego początku byłem przeciwko „Zarządzeniu 102” – stwierdził major. – Teraz też nie umiem się z nim pogodzić. Dwustopniowa sprawiedliwość to rzecz niemożliwa z samej zasady. Gdzie to widziano...

– A gdzie widziano, żeby nocą można było przejść przez ogromne miasto natykając się wyłącznie na przyjaźnie uśmiechniętych ludzi? – odciął się Gusiew. – Gdzie znajdziesz miasto, w którym na każdej ławeczce siedzą zakochani, i żaden bydlak, żaden... – zająknął się i umilkł.

– I żeby zwykły robociarz mógł w ciągu roku zaoszczędzić na samochód? – wtrącił Kalinin. – A butelka żeby trojaka kosztowała?

– Każdy o swoim, a podpity o łaźni – skomentowano z pierwszych rzędów. – I rzeczywiście, majorze, gdzie tak jeszcze żyją?

– W Europie – odparł skromnie major.

– Akurat! – prychnął Kalinin. – I w ogóle, majorze, jeżeli ty taki zasadniczy jesteś, to po cholere tu do nas przylazłeś?

– No, z własnej woli tu nie przylażłem. Mam rozkaz współpracować.

– No dobrze, a co myślą twoi przełożeni?

– Do diabła! Nie potrzeba was w mieście! – nie wytrzymał major. – Ni cholery nie jesteście potrzebni. I bez was damy sobie radę. Jasne?! Po prostu czekamy na odpowiedni moment. A na razie, dopóki jesteście – korzystamy z waszych usług.

– To jakaś paranoja – pokręcił głową Kalinin. – Dobrze mówię, Pe?

– Uhm... – zgodził się Gusiew. – Majorze, ty masz rozdwojenie jaźni. Jesteś wprost wzorcowym materiałem dla jednego z naszych ciekawych departamentów. Takiego, w którym drzwi nie mają klamek i wszystkim bez przerwy spać się chce.

– Słuchajcie, więc jak, popatrzycie na fotki? – zapytał Myszkin. – Za piętnaście minut ruszamy. Większy „karawan”, „powinien już być na miejscu. I zechciejcie łaskawie, jak to się mówi, kończyć dyskusję.

– Już skończyliśmy – stwierdził Kalinin. – Tylko że... Więc tak, majorze. Dobrze to powiedziałeś – dopóki jesteśmy, trzeba korzystać z okazji. Bo niedługo nas nie będzie. Ty, oczywiście, za bardzo się tym nie przejmiesz. Ale ludzie... Ludzie jeszcze sobie o nas przypomną. Dlatego że wy tego kraju durniów nie utrzymacie. Wspomnisz jeszcze moje słowo, nie utrzymacie. Tu jeszcze trzeba brakować i brakować. Co setnego za łeb i na Kołymę. To tyle.

Major chciał chyba jeszcze coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

– No to gasimy światło – podsumował Myszkin. – Dalej chłopcy, wbijajcie sobie w pamięć paskudne mordy. Żeby nikogo nie wypuścić z saka...

Siłownia w saunie zajmowała cały niski parter budynku. Dawniej Myszkin otaczał takie lokale ze wszystkich stron, a potem urządzał spektakl z gromko wygłaszanym przez głośniki ultimatum i innymi teatralnymi efektami. W takich przypadkach osaczeni najczęściej ukrywali gdzie popadnie broń oraz inne kompromitujące materiały i przedmioty, a następnie z ponurymi minami maszerowali prosto w ręce brakarzy, zdając się na łaskę losu. Okoliczna ludność zwieszała się z okien i miała niechęć patrzeć, jak jest strzeżona i chroniona. Niekiedy nawet dodawano brakarzom ducha radosnymi okrzykami – sceny wypalania ogniem gniazd występku osobiście przypadały do serca najmniej wykształconym emerytom.

Oczywiście zdarzały się wypadki, w których kompletnie zaskoczeni podejrzani obiektywnie oceniali swoje szanse przeżycia i stawali okoniem. W takich przypadkach Myszkin wygłaszał swoje słynne: „Krótko mówiąc, jeżeli gadzina nie chce się poddać, to trzeba ją zniszczyć!”, spokojnych obywateli proszono, żeby się odsunęli od okien i rozpoczynano kanonadę. Niestety, nawet najbardziej lojalny i miłujący prawo obywatel strasznie nie lubi patrzeć na krwawe jatki i trupy, choćby i bandyckie. W telewizorni z przyjemnością patrzy, jak rozmaici zbryzgani krwią obrońcy prawa załatwiają łajdaków hurtem i bezwzględnie, ale od prostackiej rzeczywistości odwraca nos. Początkowo ASB nie zwracało uwagi na takie subtelności. Ale od pewnego momentu, w którym się okazało, że stopień społecznej aprobaty dla działań Agencji leci na mordę z powodu okazywanej przez jej ludzi krwiożerczości, zaczęto kłaść nacisk na taktykę kociego podejścia pod ofiary. Zasadzki, skryte przenikanie do wnętrza budynków, żadnych tam porozbijanych szyb i jak najmniej przemocy, która mogła wpaść w oko postronnemu obserwatorowi. W raportach wszystko wychodziło na cacy. W życiu bywało różnie. Ale w minionym roku pracę brakarzy krępowały silnie podkreślane na wszelkich odprawach zasady – jak najmniej niepokojenia osób postronnych. Szczególnie w nocy, kiedy podatnicy powinni realizować swoje konstytucyjne prawo do odpoczynku.

Dlatego też Myszkin, zamiast zablokowania dróg ucieczki i proponowania klientom, żeby poddali się po dobroci, wybrał inną drogę, znacznie bardziej niebezpieczną dla swoich podkomendnych, ale względnie cichą.

Gdy na ekranie ukazał się schemat i plan siłowni, dowódca grupy rozstawienie swoich sił oznaczał literalnie dwoma słowami. Ale bezpośrednio na miejscu Waluszka zdumiało, jak szybko i sprawnie działali jego ludzie. Wszystkie pozycje grupa zajęła w kilka sekund. I niespodziewanie dla siebie samego Waluszek znalazł się w odległości dwóch kroków od paradnego wejścia do klubu sportowego, które zaraz miał szturmować.

Tuż obok za rogiem czekał na swój moment wielki „karawan” – kryta ciężarówka z napisem „Pieczywo” na burcie. Przed chwilą kogoś z niej wyprowadzono, ale Waluszek nie zdążył spostrzec, kto to był.

Obok Myszkina stało czterech z jego sześciu przewodników – pozostali rozprowadzili

grupę wzdłuż domu i do tylnego wyjścia. Nieopodal kręcił się major. I był tu Gusiew, który zwrócił się do Waluszka i rzucił tonem rozkazu:

– Zostajesz przy wejściu i wystrzelasz wszystkich, których ci wskażą. W razie czego cię wezwę.

Waluszek, który liczył na jakieś ważniejsze zadanie, westchnął z rozczarowaniem. Wyciągnął igielnik i znieruchomiał ze swoją pneumatyczną zabawką w ręce. W tej samej chwili Gusiew, Myszkini i przewodnicy też wyciągnęli broń. Ale to dopiero były kopyta!

Myszkini miał „berettę”, bardzo podobną do tej Gusiewa, tylko o połowę większą i ze dwa razy cięższą. Coś takiego Waluszek widział tylko na filmach – to już nie był pistolet, a cały automat z wydłużonym magazynkiem i dodatkowym uchwytem pod lufą. A pozostali... Jeden miał „Glocka”, inny wojskowego „Colta”, choć ten też był jakiś podrasowany, gdzieś mignął czarujący „Sig-sauer”, i jeszcze jedna nieprzyzwoicie wręcz wielka armata, którą Waluszek uznał za osławione „Magnum”, choć nie był pewien swego.

Nikt nie przeładował broni. Naboje już w komorach.

„Boże, co oni takiego kombinują” – zdumiał się Waluszek.

– Jazda! – syknął Myszkini.

Zdecydowanym krokiem brakarza wyszedł z za rogu i podszedł do drzwi klubu. Przed samymi drzwiami przestępował z nogi na nogę jakiś niewyraźny typ, a nieopodal przyłgnęło do ściany dwóch chłopaków z igielnikami. „Aaa... to jego przywieźli w karawanie... – domyślił się Waluszek. – Członek klubu. Bałwan jestem, wcześniej powinienem na to wpaść, przecież mamy wejść dyskretnie...”

Ciężkie opancerzone drzwi zaczęły się powoli otwierać. Stojący przed nimi mężczyzna cofnął się i natychmiast potem na jego miejscu znalazł się Myszkini.

Kilka następnych sekund na zawsze odbiło się w pamięci Waluszka jako straszliwa i beładna szamotanina i rozgardiasz – zewsząd słuchać było przytłumione posapywanie, sypały się rzucane półgłosem komendy i stłumione przekleństwa. Dwa razy cicho chrupnął igielnik. Pod nogami dygotało coś żywego i pojękującego. Żadnego bohaterstwa, zwykła, codzienna i nieco nudna robota.

Brakarze stłumiwszy opór ochrony wdarli się poprzez wąski korytarz do niewielkiego pomieszczenia z barem i kilkoma drzwiami. Na widok przybyszów przenikliwie rozdarła się jakaś wymalowana pannica, a mocno już podpity barczysty dryblas wybałuszył na nich oczy. Barman, który najwyraźniej bywał już w rozmaitych opalach, natychmiast podniósł ręce nad głowę.

– ASB! – zagrzmiął Myszkini. – Macie prawo do stawiania oporu!

Waluszek się obejrzał – na podłodze leżeli dwaj ludzie w uniformach ochroniarzy. Nieco dalej stał niepozorny major, spokojnie palący papierosa.

Przewodnicy kopniakami otwierali drzwi i znikali w znajdujących się za nimi pomieszczeniach. Zaraz potem z głębi dolatywały odgłosy szamotaniny, okrzyki zdziwienia i

rozkazy: – „Nie wstawać! ASB”, „Stać! ASB!”, „Cisza! ASB”. Po tym ostatnim rzeczywiście zapadła cisza.

Niezbyt głośny świst. Waluszka ktoś silnie pchnął w ramię. Obejrzał się – to Gusiew kierował go tam, skąd gwizdano. Waluszek dał nura do środka. Okazało się, że to szatnia, w której jeden z przewodników trzymał na muszce trzech na poły rozebranych młodych ludzi.

– Pozwól im się ubrać – polecił przewodnik. – Nie będziemy gołych ciągnąć za sobą.

– Jasne – kiwnął głową Waluszek, podnosząc lufę. Przewodnik natychmiast stracił zainteresowanie dla swoich jeńców, otworzył nieco drzwi do sali ćwiczeń, zajrzał za nie, cofnął się i ruszył w głąb szatni, gdzie widać było jeszcze jedne drzwi do łazienki, za którymi szumiał prysznic.

„Za prysznicami jest sauna” – przypomniał sobie Waluszek.

– Ubierać się, migiem! – rzucił rozkaz. Młodzi ludzie spojrzeli nań tak, że powinien był zadymić i wyparować, ale posłuchali.

W holu toczyła się rozmowa o podwyższonej temperaturze. Potem znów rozległ się kwik pannicy, ale szybko został stłumiony. Ponownie ktoś kilka razy wystrzelił z igielnika. I zaraz potem Waluszek usłyszał kroki za plecami. Obok młodego przeszedł Myszkina, a za nim jego czołowi bojownicy.

– Zrób, co ci kazano i od razu wracaj do wyjścia – przypomniał Waluszkowi Gusiew.

Podopieczni Waluszka trzęsącymi się rękoma wciągali na siebie ubrania. Pod prysznicami głośniejszszumiała woda. Waluszek ze smutkiem patrzył na chłopaków, których zaraz będzie musiał unieruchomić. „Czy to konieczne? – myślał. – Ludzie jak ludzie. Wyglądają normalnie. Przestraszeni, owszem, nawet bardzo. Może wyprowadzę ich tak, bez strzelania? Przecież to nie ma żadnego sensu. Tak czy owak na górze przejmie ich załoga «karawanu». Nie, nie będę strzelał. Głupio jakoś. I po co? Gusiew chyba znów poddaje mnie jakiejś próbie, tylko nie wiadomo, w jakim celu. Takiego wała. W końcu mam prawo...”

Dokończyć myśli już nie zdążył. W saunie rozległy się głośne i drące uszy serie z pistoletów maszynowych. Wszyscy w szatni natychmiast odruchowo odwrócili głowy ku drzwiom. Waluszek też. I w tej chwili skoczyli na niego trzej zatrzymani.

Cokolwiek by o nim myślał Gusiew, Waluszek nie był prawdziwym narkomanem adrenalinowym. Owszem, lubił ekscytację i podniecenie, ale do rozumnych granic. Dlatego stopnia kandydata na mistrza sportu nie zdobywał podczas wysokogórskich wspinaczek, czy w skokach z opóźnionym otwarciem spadochronu, a w zupełnie nieszkodliwej zabawie w wojenkę zwanej paintballem. I to go w tym momencie uratowało. Zachwiał się, odstąpił krok w tył. Nie mógł oderwać wzroku od leżących na ziemi ciał, skoszonych jedną, długą serią. „Gdyby ten typ trafił mnie nogą w głowę... uchyliłem się dosłownie o centymetr. O Boże! Gdyby trafił mnie w głowę...”

„Roztrzaskałby ci skroń, mądralo!” – odpowiedział mu usłużnie wewnętrzny głos.

Stąpając niepewnie, Waluszek wyszedł do holu. Na podłodze leżeli bez ruchu widziani

niedawno przez niego chłopak i pannica. Barmana gdzieś wciął. Major siedział na wysokim taborecie i popijał coś z wysokiej, kwadratowej szklanki o ciężkim dnie. Obok na ladzie stała butelka whisky.

– No co, żółtodziobie, popadłeś w opał? – zapytał major. – Sam sobie jesteś winien. Ci tutaj są już tacy...

– Jacy? – zapytał Waluszek siadając obok i usiłując wepchnąć nieposłusznymi palcami igielnik do kabury.

– Jak hieny – wyjaśnił major. – Natychmiast wyczują słabość, czy chwilę zawahania.

Waluszek pokręcił głową, odpędzając głupie myśli. Przed chwilą o mało co go nie zabito i zrozumiał to zbyt dobrze, żeby teraz reagować na uszczypliwości gliny.

– A wy dawno znacie Gusiewa? – zapytał. Zapytał tylko po to, by coś powiedzieć.

– Drań z niego, z tego twojego Gusiewa – rzucił niedbale major.

I ponownie nalał sobie whisky.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ci, co walczyli pod rozkazami Vlada, czuli, że na nich spada część otaczającej ich księcia sławy i dochowywali mu niezachwianej wierności.

Nabity po sam dach „karawan” odjechał na „podstację” – do aresztu śledczego Agencji. Prawdziwych trupów tym razem nie było, był tylko jeden ranny – któregoś z klientów odskakująca drzazga ugodziła w kąt oka i cudem tylko go nie stracił. Co prawda, sam się o to prosił – to właśnie z powodu jego nagłego i nieostrożnego ruchu Myszkina otworzył ogień nad głowami. Stąd drzazga.

Waluszek siedział w samochodzie i palił. Wciąż jeszcze czuł się jakoś nieswojo. Podchodzący bliżej Gusiew spojrzał uważnie na swojego prowadzonego i natychmiast zrozumiał, że nie należy go teraz sadzać za kierownicą.

– Jakież to wnioski wyciągniemy z niedawnych wydarzeń, panie Waluszek? – zapytał, siadając na miejscu kierowcy i wtykając kluczyki w gniazdko.

– Jakże znowu wnioski? – odgryzł się Waluszek.

– Nie, mój drogi, to ja powinienem zapytać – jakie?

Waluszek rozgniół niedopałek w popielniczce i natychmiast wyjął nowego papierosa. Nie potrafił odgadnąć, czy Gusiew jest z niego niezadowolony i zamierza mu wypalić kolejne wymyślne pouczenie, czy incydent w szatni uzna za naturalny błąd nowicjusza, którego nie należy traktować poważnie.

– Zrozumiałem chyba, do czego służy nam broń palna – zaczął, starając się jak najszerszym łukiem ominąć nieprzyjemny temat. – Doświadczony klient za bardzo nie boi się igielnika. Dobrze mówię?

– W zasadzie dobrze – zgodził się Gusiew, ruszając i zajmując miejsce na końcu kolumny utworzonej przez grupę Myszkina. – Ujrawszy igielnik klient zaczyna się miotać i szukać kryjówek. A kiedy pojawia się kompania z pięknymi armatami wielkiego kalibru, wszyscy od razy łagodnieją i nabierają rozumu. Widziałeś, jak wszystko pięknie się uspokoiło, gdy Myszkina im puścił serię nad głowami? Jeden gość omal z wrażenia w basenie się utopił.

– A tych pięciu wzięliście?

– Aha. Rzadki przypadek łajdackiego towarzystwa. Kolektyw, jak to się mówi. Mieli

nawet wspólną kochankę. O tej braci możesz już zapomnieć, uznaj, że ich już nie ma. Ale ci klienci, na których ty się nadziałeś – bardzo ciekawy przypadek. Aż ręce swędzą, żeby się dowiedzieć, co to za jedni.

Waluszek przesunął dłonią po skroni. Głowa go bolała – i akurat z tej strony, w którą nieomal trafił go but przeciwnika.

– Ja już swoje wnioski wyciągnąłem – stwierdził. – Następnym razem nie będę się cackał.

– Dobrze by było. No nic, Loszka, najciekawsze jeszcze przed nami. Jak ci się podoba pierwszy dzień pracy? Nie zabrakło emocji?

– Nie zabrakło. Często tak?

– Ależ co ty! Dziś mieliśmy po prostu bardzo... eee... urodzajną zmianę. Zwykle jest znacznie mniej ciekawie. Ot, zwinie się jakiegoś żebrzącego oberwańca, przekaże się go mentom – a i to święto! Czasami bywa tak nudno, że sam awantury zaczynasz szukać. My przecież bardzo starannie Moskwę oczyściliśmy.

– A kim jest Bobik? – Waluszek przypomniał sobie dyskusję w ruchomym sztabie Myszki.

– Najemny zabójca, były agent operacyjny GRU. Podczas próby zatrzymania zastrzelił dwóch naszych, a trzeciego ranił. Zaraz potem menty go od nas przejęli, tak samo jak mojego przyjaciela Szackiego. Chcieli przez niego dotrzeć do tych, co mu robótki zlecali. Więc ten Bobik uciekł w drodze do aresztu śledczego – i to od razu do Ameryki prysnął. Tyle z tego dobrego, że już tu nie wróci.

– Dlaczego nie wróci?

– Dlatego, że na samym początku przekazał nam nazwiska wszystkich zleceniodawców. Puścił farbę aż miło. I ci zleceniodawcy czekają tu na niego jak szpaki na wiosnę. W razie czego będzie miał bardzo gorące powitanie. Rozumiesz? Tylko nie chlapnij gdzieś tego, bo to informacja zastrzeżona.

– Właściwie to niczego nie zrozumiałem – przyznał bezradnie Waluszek. – Jak puścił farbę, to po co był potrzebny tym z Pietrowki?

– Mówiłem przecież – chcieli dotrzeć do zleceniodawców.

– Ale... eee...

– ASB też ma swoje interesy na tym świecie – uśmiechnął się Gusiew. – I bywa, że one zupełnie nie pokrywają się z interesami MSW. Bobik pracował dla takich ludzi, których nie było sensu ruszać. Ich wybrakówka pociągnęłaby za sobą nowy podział władzy. A czego ludzie potrzebują? Spokoju i stabilizacji. No i my ten spokój im zabezpieczyliśmy. Porozmawiało się z tym i owym, i otrzymaliśmy solidne gwarancje, że wygłupy z zabójstwami na zamówienie już się nie powtórzą...

– A Bobika odesłano do Stanów – zakończył Waluszek.

– Właśnie tak.

– Co?!



– Właśnie tak, jak powiedziałeś.

– Niczego nie rozumiem – po raz kolejny przyznał Waluszek. – Słuchaj, Pe, a ty skąd to wszystko wiesz?

– Krasnoludek mi powiedział – odparł przyjaźnie Gusiew.

– I po co mi to opowiadasz?

– Bo w ogóle gaduła jestem. Wszyscy to wiedzą.

Waluszek obraził się i umilkł. Samochód jechał wzdłuż bulwarów. Za oknem Moskwa rozkoszowała się cichą letnią nocą, a liczba obejmujących się na ławeczkach parok zwiastowała bliską eksplozję demograficzną.

– Boże, jakże ja kocham to miasto – westchnął Gusiew. – Czasami, wiesz, aż mnie wściekłość ogarnia – czemu i za jakie grzechy nie udało mi się w nim pożyć do woli, co?

– Znaczy, jak? – burknął nachmurzony Waluszek.

– Stary już jestem – kolejne westchnienie. – Jak byłem młody, to kroku tu nie dało się zrobić, żeby na jakiegoś drania się nie natknąć. Właśnie wtedy, kiedy tak się człowiekowi chciało uśmiechać do wszystkich, kochać wszystkie dziewczyny i po prostu cieszyć się życiem... Teraz wszyscy wokół chodzą uśmiechnięci, ale mnie to już jakby niepotrzebne...

„Potrzebne, i to jeszcze jak – pomyślał Waluszek. Odwróciwszy się spróbował pomyśleć o czymś innym – za oknem rzeczywiście było pięknie, ale przed oczami wciąż miał ten przeklęty but. Na grubej skórzanej podeszwie z solidnym rantem. – Ciekawe, czy swoich poprzednich prowadzonych też Gusiew tak głupio tracił? Miał przecież swoją trójkę”.

– Posłuchaj, Pe – odezwał się ostrożnie. – Z góry przepraszam za to, że być może za daleko się posuwam... Co się stało z twoimi partnerami? No, z tymi, których miałaś przede mną...

Gusiew zagryzł wargi.

– Wybacz – Waluszek sam pojął, że za wcześnie jeszcze na zadawanie takich pytań. – Wybacz.

– Drobiazg – odpowiedział Gusiew. – Jakby powiedział mój przyjaciel Daniła: „Wyluzuj stary, bywa...” Wiesz, Loszka, chyba już mogę to wspominać bez bólu. Chociaż... Chociaż przecież to ja ich załatwiłem. Sam.

Umilkł, a Waluszek nie zdecydował się na zapytanie, co właściwie Gusiew miał na myśli.

Zanim grupa Daniłowa zaczęła zajmować się wyłącznie odstrzałem bezpańskich psów, wykonywała poważne i w pewnym sensie delikatne, drażliwe zadania. I jakoś tak wyszło, że Daniłow i jego towarzysze zajmowali w Centralnym mniej więcej tę samą pozycję, jaką w milicji ma obyczajówka. Pośród innych starych wyjadaczy Daniła wyróżniał się względnie giętką psychiką i czymś, co choćby z grubsza, ale przypominało porządne wychowanie i maniery. Nie to, żeby szczególne zadania zlecano mu umyślnie: z początku same jakby go znajdowały, a potem rzeczy się ustaliły. Jak wszystkie normalne zespoły grupa Daniłowa chodziła po wyznaczonych trasach, ale zadania specjalne przedzielano jej takie, do jakich nie

można było posłać zbyt – powiedzmy – prostolinijnego Myszki z jego automatem i zamiłowaniem do strzelania seriami. Daniłow dyskretnie likwidował potajemne domy schadzek, działające bez licencji kliniki aborcyjne, bez niepotrzebnej brutalności zgarniał z rozmaitych prywatnych mieszkań sztabę sekt religijnych, dokładnie rozpracowanymi i precyzyjnymi uderzeniami wyjmował z artystycznej bohemy zbyt rozpuszczonych narkomanów i potrafił nawet brakować splamionych braniem łapówek czy współpracą z bandytami milicjantów, nie czyniąc sobie jednocześnie wrogów z pozostałej części mentowni.

A to, że brutalnie bił sutenerów i raz w napadzie złości zrobił jednemu szarlatanowi uzdrowicielowi lewatywę z wiadra mydlanej wody, według miar ASB było zupełnie w porządku.

Kompletne i całkowite zniknięcie z głównych ulic rozmaitych bomzów<sup>11</sup> i żebraków też było jego zasługą. Oczywiście, w tej nudnej, brudnej i niewdzięcznej robocie grupa Daniłowa pełniła tylko rolę wierzchołka góry lodowej. Każdego pojmanego przejmowała potem Służba Szczególnej Pomocy Medycznej i Ośrodek Rehabilitacyjny ASB – skomplikowane struktury powołane do tego, żeby określać, czy klient ostatecznie utracił wszystkie ludzkie cechy i do stwarzania tym, którzy naprawdę chcieli się wydostać z błota normalnych warunków startowych. Czynności te podejmowano oczywiście dopiero wtedy, kiedy klient wyraził zgodę na detoksykację, korektę psychiki i przynajmniej pięcioletni okres próbny życia na prowincji pod milicyjnym nadzorem. Dotyczyło to dorosłych – dzieciaków nikt nie pytał. Co prawda, bezdomna smarkateria z ochotą godziła się na życie w internatach. Od kiedy złodziejstwo stało się zajęciem bardzo niebezpiecznym, a dawania żebrakom pieniędzy zaczęto odmawiać jak kraj długi i szeroki, wyżycie na ulicy stało się bardzo trudne.

Ale jakkolwiek by się trudziły dla dobra społecznego wyspecjalizowane organizacje, łowy na ulicach przeprowadzał właśnie Daniłow.

I tego właśnie, dusznego wieczoru miał poprowadzić grupę na operację specjalną w okolicach północnego miejskiego wysypiska śmieci. Podczas ostatniej obławy u pijanego bomzy znalazł się jakiś samopał, którego właściciel strzelił z głupoty i przestachu do Daniłowa. Dlatego starszy grupy poprosił, żeby dać mu wsparcie w postaci jakiejś trójki z bronią palną. Tak na wszelki wypadek.

Gusiew tymczasem czekał na swoich prowadzonych na stacji Kropotkinska. Mieli taki skromny zwyczaj – przejść się beztrąsko spacerkiem przed robotą po bulwarze.

Po wyjściu z metra Kostik powiedział, że pójdzie kupić wodę mineralną – bardzo mu się chciało pić. Gusiew i Zeńka zapalili. I wtedy z metra wyszła kobieta w średnim wieku, zatrzymała się obok brakarzy i patrząc gdzieś pomiędzy nich, w stronę ogromnej cerkwi o białych ścianach, przeżegnała się z rozmachem.

– No popatrz tylko – Gusiew trącił Zeńkę łokciem. – Na nasz widok już się zaczynają żegnać.

---

11 - Bomza - osobnik Bez Określonego Miejsca Zamieszkania.

– Dziwne, że się jeszcze nie modlą – podbił bębenka Żeńka.

Kobieta obrzuciła ich pełnym nagany spojrzeniem. Właściwie po to właśnie Gusiew ją zaczepił – chciał jej spojrzeć w oczy. Z jednej strony do religii odnosił się z szacunkiem, jako do systemu filozoficznego, ale jednocześnie nie lubił ludzi okazujących przesadną religijność. Było w nich coś takiego, czego nie rozumiał. Dobrowolne podporządkowanie się tajemniczej i niepoznawalnej sile wyższej wydawało mu się wyborem co najmniej dziwnym. Nie mógł pojąć, dlaczego dziesięciu przykazań nie można przestrzegać ze zwykłej przyzwoitości, bez ceremonialnego pograżania się w świecie cerkiewnych psychotechnik, kiedy nieustannie poddają cię naciskowi zewnętrznemu – jeżeli nie ciągle powtarzanymi prawosławnymi mantrami, to samą architekturą świątyń. I nie pozwalają podjąć, jak należy.

– Jak wam nie wstyd, młodzi ludzie – odezwała się kobieta głosem surowym, ale pozbawionym nutek agresji. – Sami nie wierzycie, to choć nie bluźnicie.

Miała spojrzenie dokładnie takie, jakiego Gusiew się spodziewał – trochę nieobecne, choć było to prawie niezauważalne, chyba że człowiek wiedział, czego szukać. Były to oczy kogoś, kto odnalazł Boga i teraz nic mu już nie jest i nie będzie straszne.

W przeciwieństwie do Gusiewa – bezbronny wobec świata, wiecznie wątpliwego, ale za to wolnego.

Kobieta już odchodziła, gdy nagle zatrzymała się i odwróciła.

– Powiedzcie – zapytała łagodnie, zaglądając w oczy Gusiewowi, jakby usiłując rozgryźć duszę bezbożnika. – Czy wy się nie boicie?

– A czegoż miałbym się bać? – zdziwił się Gusiew. – Nie mam wobec Niego – wskazał palcem niebo – żadnych zobowiązań. Na nic się nie umawialiśmy. To pani powinna się bać, tak myślę. To pani mu duszę sprzedała...

Kobieta westchnęła, pokręciła głową i odeszła, robiąc znak krzyża na piersi i mamrocząc coś pod nosem. Z pewnością prosiła Boga o łaskę dla idioty Gusiewa.

– A niedawno ktoś oznajmił, że jesteśmy wojskiem chrystusowym – powiedział Żeńka.

– Dogoń ją i pokaż znaczek – zaproponował Gusiew. – Założę się, że ci plunie w gębę. Ale owszem, jakiś popi kołtun przecież nam grzechy odpuszcił. Ledwo ogłosili „Zarządzenie 102”, od razu wystąpił przed szereg. Odpuszczam, powiedział, brakarzom ich przyszłe grzechy hurtem i pojedynczo. Widziałem go w telewizorze – obrzydliwa mordą. I głupi! Miał nadzieję, że my w pierwszej kolejności wszystkich Żydów wybrakujemy, a potem weźmiemy się za sekciarzy!

– No, po sekciarzach tośmy się zdrowo przejechali...

– Owszem, nie będę się spierał. Jakies tam zboczone ugrupowania religijne Daniła rzeczywiście rozpędził. Nie ma co żałować, nieprzyjemne towarzystwo, totalitaryzm do kwadratu. Ale potem dwóch popów rozpopił. Jednego za narkotyki, drugiego za pedofilię. Gdzie ten Kostik, cholera by go... Przy okazji, Żeńka, podzielę się z tobą doświadczeniem. Jak nie chcesz sobie narobić wrogów, nigdy nie rozmawiaj z nieznanymi ci ludźmi o religii,

polityce i futbolu. Kostek! Ileż można czekać?!

Spieszący ku nim Kostik łączywie pochłaniał zawartość butelki z wodą mineralną. Gusiew spojrzał na niego uważnie i odnotował w pamięci: prowadzony nie jest w formie. Najwyraźniej wczoraj przeholował. Trójka opuściła miejsce zbiórki i ruszyła do roboty. Nikt z nich nie podejrzewał, że Bóg mocno się wkurzył na Gusiewa i w najbliższym czasie podłoży mu świnię. Nie porazi go gromem, nie roztopi mu asfaltu pod stopami, a po prostu lekko go ogłupi. I ostrożny Gusiew z całą swoją osławioną czujnością nie zauważy czegoś oczywistego.

I stanie się coś bardzo nieprzyjemnego.

Gusiew akurat wybierał się w kurs, kiedy mu zmieniono zadanie. Długo się sprzeciwiał – nie cierpiał bomzów, nie znosił ich zapachu i przeżywał dramatyczne rozterki, kiedy trzeba było brać tych śmierdzieli rękami (ulubioną reakcją zaskoczonych przez obławę bomzów było kładzenie się na ziemi i czekanie, dopóki ich nie wywloką z nory za kark). Jego prowadzeni też nie lubili osobników, którzy świadomie stawiali się poza nawiasem człowieczeństwa. Szczególnie Kostik – ten w ogóle zapewniał, że sam widok takiego odszczepieńca budzi w nim gwałtowne pragnienie strzelenia mu między oczy (co zrobiłby z największą przyjemnością). Ale wtedy zadzwonił Daniłow, opowiedział o durniu z pistoletem i Gusiew mimo wszystko podpisał przyjęcie zadania.

Do ogromnego wysypiska śmieci dotarli o zmierzchu, kiedy wszyscy jego mieszkańcy zebrali się przy ogniskach. Ludzie żyli tu według jakiegoś osobliwego stylu, kompletnie niezrozumiałego dla obcych. Mieli swoisty kodeks honorowy i bardzo oryginalne poglądy na wartość ludzkiego życia. Były chyba nawet bardziej surowe od poglądów brakarzy. W momencie ich przybycia nad wysypiskiem niosły się jakieś pijackie okrzyki zmieszane z ordynarnymi przekleństwami i sądząc z panującego wszędzie ożywienia, kogoś tam okrutnie bito. Lepszą chwilę na rozpoczęcie akcji trudno byłoby znaleźć.

Zwiad wykrył dwóch obserwatorów – niekształtne worki brudnych szmat, które prawie zlewały się w jedność z otaczającym je rumowiskiem. Wartowników błyskawicznie unieruchomiono igłami. Daniłow dał znak. Pierwsza fala brakarzy ruszyła przed siebie, brnąc przez stopy śmieci i kałuże pomyj, potykając się i sypiąc przekleństwami wcale nie bardziej łagodnymi od tych, jakimi raczyli ich bomzowie.

Jednocześnie zapłonęły potężne reflektory, zrobiło się bardzo jasno, a na krańcach wysypiska ryknęły silniki „karawanów”. W strumieniach światła wszędzie było widać miotających się w panice klientów.

Kilku zaganiaczy natychmiast nadziało się na niewielkie pole precyzyjnie poustawianych otwartymi szyjkami do góry butelkowych „tulipanów”, ktoś inny przebił na wylot kruchą fortecę z pustych opakowań, potem któryś z bomzów wleciał tyłkiem w ognisko i zgiełk oraz wrzawa osiągnęły apogeum. Gusiew wrzeszczał coś niezrozumiałego, groził igielnikiem potencjalnie niebezpiecznym klientom i szukał wzrokiem swoich prowadzonych. Przywykł

do tego, że wyczuwał ich niewidzialną obecność przy boku i z tyłu. Gdyby Kostik i Zenka gdzieś przepadli, natychmiast by się o tym dowiedział.

Dziś czuł wewnętrzny niepokój z powodu Kostika. Jeszcze przy spotkaniu zaobserwował, że chłopak ma jakieś nieobecne spojrzenie, nieco zbyt płynne ruchy i nikły uśmiech na ustach. „Ty co, gołnałeś sobie i jeszcze ci nie przeszło? – zapytał Gusiew, kiedy zjawili się w Centralnym. – Może nie powinieneś iść w trasę? Głupstwo, damy sobie radę, a ty posiedź w konferencyjnej, pograj na kompie i wypij kawkę”. Kostik uśmiechnął się i chuchnął. Niczym szczególnie od niego nie załatywało, w jego oddechu nie czuło się nawet zapachu wypalonych wczoraj papierosów. Gusiew poczuł się nieswojo. Kostik już od miesiąca zachowywał się dość dziwnie. Po pierwsze – stracił ochotę do picia. I stopniowo zaczął się odsuwać od kolegów z trójki. Uśmiechając się zagadkowo odmawiał, kiedy mu proponowano piwko, a po pracy szybko znikał z biura, nie posiedziawszy jak dawniej z przyjaciółmi. Kilka razy nie odpowiedział na kontrolne telefony w czasie wolnym. „Zakochał się, czy co? – zastanawiał się Żeńka. – Nieźle by było”. Zabrzmiało to dość fałszywie. Żeńka też ostatnio zrobił się jakiś wrażliwy. Zbyt mocno brał sobie ostatnio do serca wszystko, co działo się w obrębie trójki, która stała się dlań prawie rodziną.

A Gusiewowi przyszło do głowy coś innego. Nagle przypomniał sobie, jak w mieszkaniu jednego z klientów znaleźli niewielki składzik białego proszku. Kostik znalazł go sam. Szukał broni, a znalazł to świństwo. A obok niego w tej fatalnej chwili (i z naruszeniem instrukcji) akurat nikogo nie było... Gusiew przypomniał sobie charakterystyczne symptomy narkotycznego oszołomienia. Doszedł do wniosku, że nie występują aż tak wyraźnie – w każdym razie wtedy nie wystąpiły. I dał sobie słowo honoru, że nigdy już nie spuści z oczu prowadzonego, który najwyraźniej nieco się zabląkał.

Gdyby nie chodziło o Kostika, a o kogokolwiek innego, Gusiew bez żadnych rozczułań kazałby gościowi oddać broń i pod konwojem odesłałby go do laboratorium na badania kontrolne. Oczywiście, niepokoiła go możliwość, że jego prowadzony, nie wytrzymałby nieustannego napięcia, jakiemu poddany był każdy brakarz, postanowił skorzystać z mocniejszych środków psychotropowych, niż wódka i piwo. Ale, jak to sobie uświadomił później, bał się po prostu stracić Kostika. Nie chciał zrezygnować ze wspaniałego uczucia, iż za lewym ramieniem ma towarzysza broni – wierną, niezawodną i wielokrotnie wypróbowaną część siebie samego. Najlepszą z możliwych osłonę przed wszelkimi niebezpieczeństwami, czy nieprzewidywanymi kłopotami. Tak, Gusiew straciłby go w każdym przypadku – gdyby skierował Kostika na badania kontrolne, chłopak nie darowałby mu wstydu i urazy. Ale gdyby tego nie zrobić... pozostawała jeszcze pewna szansa. Szczerze i ciepło przemówić mu do serca, przebić się przez niewidzialny mur, który chłopak wznosił wokół siebie. Coś by się wymyśliło.

Gusiew nie zdążył zrobić ani jednego, ani drugiego.

Bomżów zebrali ze czterdziestu lub pięćdziesięciu. Zebrano ich w jedną zwartą grupę,

obstąpiono ze wszystkich stron i spróbowano zmusić do zachowania spokoju. Wszystkie próby klienci kwitowali wyciem i bardzo nieprzyzwoitymi gestami. Daniłowowi przynieśli potężny „przeklinacz”, z pomocą którego spróbował przekrzyczeć kretynów, podkreślając, że zaraz każe otworzyć ogień i wszystkich będzie bardzo bolało. Do całej grupy podjechały już „karawany”, z których wyłaził mocno niezadowolony personel pomocniczy – niższa kasta brakarzy, kliniczni niemal idioci i niewiele się od nich różniący karniacy.

Niestety, uspokojenie zatrzymanych okazało się syzyfowym zadaniem. Bomzowie nie mieli nic do stracenia – urządzili się tu w miarę wygodnie, zorganizowali sobie jakieś chatki i mieli w mieście swoje „karmniki”. Marzyli pewnie, że w tym roku pożyją sobie jak u Pana Boga za piecem – aby do zimy, a potem się zobaczy, co los przyniesie. Niechby nawet wybrakówkę. Tyle że do jesieni było jeszcze daleko i grupa Daniłowa zwała się na śmieciarską arystokrację niczym grom z jasnego nieba.

– Zamknąć ryje, dranie jedne! Każe otworzyć ogień, to pożałujecie! Popamiętacie do końca życia! Z bólu trwałego zezą można dostać! – ryczał Daniłow, potrząsając groźnie trzymanym w dłoni igielnikiem. – Milczeć! Baaa-czność! Zboczeńcy! Łobuzy! Wszystkich-na-miej-scu-ka-żę-roz-strze-lać!!!

I nagle jeden z bomzów, jakby drwiąc ze słów Daniłowa, targnął się całym ciałem, karykaturalnie zatrzepotał rękoma i runął w tył. Tłum się nie rozstąpił i bomza osunął się na ziemię. Na czole „żartownisia” rozkwitła czerwona plama. I zaraz potem tuż obok runął drugi, którego kula ugodziła w oko. Z sekundę później zwalili się na ziemię trzeci i czwarty...

Oszołomiony Gusiew spiął się wewnątrz – i nagle poczuł, że w trójce znów kogoś mu brakuje. Pusto z lewej... a teraz i z prawej.

Gusiew zrozumiał wszystko w jednej króciutkiej chwili, kiedy się odwracał i podnosił igielnik. Wiedział, co zobaczy. I rzeczywiście, nieco z tyłu na jakimś podwyższeniu w klasycznej pozycji strzeleckiej stał Kostik. Wydawało się, że brakarz jest absolutnie szczęśliwy. Uśmiechnięty od ucha do ucha posyłał kulę za kulą prosto w tłum zatrzymanych.

Ryzykując, że dostanie od przyjaciela postrzał z bliska Żeńka uparcie brnął ku niemu przez zwały śmieci. Gusiew zdumiał się jego głupocie i nacisnął spust. Trzeba to było zrobić jak najszybciej, dopóki Kostika nie skosi ktoś inny. Przewodnik odpowiada za swoich ludzi do końca. Krótka seria ścięła Kostika z nóg. Niewiele brakowało, a Gusiew by się przy tym popłakał.

„Gusiew, ty cholerny egoisto! Myślałeś, że jeszcze troszkę pociągniesz, potrzywasz chłopaka przy sobie. A wyszło na to, żeś go zabił. Niechby nie dziś i nie osobiście. Tak czy owak, zabiłeś go. Wykończyłeś. Uziemiłeś. Pochowałeś. Wybrakowałeś. Ty ośleeee!”

Na wysypisku zrobiło się nagle znacznie bardziej cicho, niż przedtem – ze wszystkich stron zbliżał się tylko tupot nóg przyjaciół. I jeszcze krzyczał coś stojący nieco wyżej Żeńka, który klepał Kostika po policzkach, jakby nie rozumiał, co właśnie się stało.

Gusiew wspiął się na górę. Żeńka przerwał daremne wysiłki ożywienia sparaliżowanego

ciała i sięgnął po pakiet pierwszej pomocy.

– Nie! – polecił Gusiew. – Zostaw!

– Jak to?! – obrzucił go Żeńka błędnym wzrokiem.

– Ocknij się, durniu. Ty nie rozumiesz, w czym rzecz? Kostia to ćpun, morfik. Dureń ze mnie, trzeba mi było sobie przypomnieć, jak się rozmarzył, kiedy mówił o strzelaniu do bomżów...

– A ty... wiedziałeś od samego początku?!

Ze wszystkich stron obstąpili ich już zasepieni brakarze z grupy Daniłowa. Akurat ich tylko tu brakowało.

– Nie wiedziałem – odparł zwięźle Gusiew. – Miałem tylko podejrzenia. Żadnych dowodów, rozumiesz? Dość, Żeńka. Potem o tym porozmawiamy.

– Potem?! – poderwał się Żeńka. – Jakie „potem”! Koniec, cześć, on już jest wybrakowany!

– Może jeszcze nie – wtrącił się ktoś z boku. – U nas też był podobny przypadek...

– Zamknij się! – Żeńka patrzył tylko na Gusiewa. – No wiesz, Pe... No, przewodniku... Tego się po tobie nie spodziewałem!

Gusiew osłonił dłonią oczy – nikt oczywiście nie pomyślał o tym, żeby wyłączyć reflektory i teraz wszystkich biło po oczach jaskrawe światło. A najbardziej wkurwił go Żeńka. Gusiew poczuł, że stopniowo zaczyna tracić panowanie nad sobą.

– Koniec dyskusji! – uciał. – Bierzemy go do „karawanu”. No?!

Żeńka ni to westchnął, ni to chlipnął, ale mimo wszystko pochylił się i podjął Kostika pod ramiona.

– Przepraszam, panowie – rzucił Gusiew w pustkę. – Nie chcieliśmy. Tak jakoś wyszło...

– To nic, Pe... – odezwał się z tyłu Daniłow. – Bywa...

Dochodzenie służbowe zakończyło się kiepsko dla Gusiewa – dostał dwie nagany: jedną za niedostateczny nadzór nad podkomendnym i drugą za nieostrożność, jaką wykazał się podczas obławy. Jeszcze jedna nagana i cześć – bywaj bracie i ruszaj do czarnej roboty w grupach wsparcia. A tam jak raz się potkniesz, to już tylko ostateczny upadek – ładowniczy „karawanu”. Gusiew w każdej chwili mógł złożyć raport z wnioskiem o wypisanie go do rezerwy, ale takie wyjście byłoby dlań gorsze od śmierci. Chciał zostać brakarzem do samego końca – swojego, albo Agencji. I nawet nie starał się sobie wyobrazić, co będzie potem, gdy Agencję zamkną. „Tak czy owak, nic dobrego”. Na razie Agencja gwarantowała mu bezpieczeństwo i to mu się wydawało najważniejsze ze wszystkiego.

Podczas każdego bożego dnia, podczas każdej godziny i podczas każdej chwili status brakarza chronił Gusiewa przed nim samym. Robotą trzymała go niczym uzda, nie pozwalała mu się rozpić, albo stracić rozum. A przede wszystkim, nie zostawiała mu czasu na rozmyślanie o tym, kim jest i po co żyje.

Owszem, w pracy bywało czasami obrzydliwie. Ale wewnętrzny świat Gusiewa wydawał mu się stokroć gorszy i bardziej okropny. Czasami z lekkim przerażeniem wspominał swoje niegdysiejsze życie, jakie prowadził przed „styczniowym puczem” i powstaniem ASB. I za każdym razem się dziwił: jak to się stało, że ten dawny Gusiew, młody idiota, który zapijał wódką środki nasenne, żeby nie mieć koszmarnych snów, nie zwariował.

Odsunęli go od roboty na tydzień, ale kiedy z Zeńką wrócili na trasę, przewodnik zrozumiał – trójki Gusiewa już nie ma. W sensie fizycznym i psychologicznym. Zeńka bez przerwy był spięty jak agrafka, ze wszystkim zwlekał i wciąż łypał na Gusiewa niepewnym spojrzeniem. Jakby zobaczył w swoim przewodniku coś, czego przedtem w nim nie widział. Gusiew kilka razy usiłował sprowokować go do szczerzej rozmowy, ale Zeńka unikał odpowiedzi. Wyglądało na to, że w ogóle przestał ufać swojemu przewodnikowi.

I bardzo wyraziście się wzdrygał, kiedy igielnik Gusiewa przypadkowo kierował się w prawo, gdzie przedtem trzymał się szyku Kostik. Tak się przy tym trząsał, że Gusiewowi robiło się zimno – nie ze strachu, ale ze wstydu.

Zaczął już myśleć o tym, żeby poprosić o zastępstwo dla Zeńki, kiedy zdarzył się kolejny głupi wypadek. Pewnego ranka wracali samochodem ze służby. Zeńka powinien był, jak to robili zawsze do tej pory, wysadzić Gusiewa na ulicy Frunzego i pojechać dalej do siebie. Ale dosłownie w odległości stu metrów od domu Gusiewa utknęli w korku. Niedawno padał deszcz i na mokrej drodze zdarzył się „łańcuchowy” wypadek: od razu cztery maszyny, jak to się mówi, dopędziły jedna drugą. Dziesięciu rozjuszonych mężczyzn obrzucało się przekleństwami i okładało pięściami – całe szczęście, że zapomnieli o szwedzkich kluczach i dźwigniach do lewarków.

Gusiew nieco zamarudził odpinając pas bezpieczeństwa, i teraz znalazł się nieco z tyłu, jako osłaniający. A Zeńka z okrzykiem: „ASB! Stać wszyscy!”, skoczył już w sam środek bójki. Niestety, usłyszało go tylko niewielu jej uczestników. I dlatego jakiś mądrała, pomyślawszy pewnie, że do sprawy miesza się pacyfista mediator, zamachnął się, mierząc brakarzowi w głowę. Zeńka chyba zareagował, ale obok niego gwizdnęło już kilka igieł i awanturnik momentalnie zwinął się w kłębek.

– ASB! – huknął Gusiew, zajmując swoje zwykłe miejsce w szyku. – Spokój!

– A ty co, draniu... – syknął mu w ucho z trudem rozpoznawalny głos. – Prawie mnie zahaczyłeś! Chciałeś i mnie też?! Nie trafiłeś, co?

Gusiew powoli odwrócił się ku swemu prowadzonemu. Ten stał obłany potem i trzęsącą się ręką podnosił igielnik.

– Pojechało cię? – zapytał Gusiew spokojnie, choć wewnątrz wszystko w nim zamarło.

– Nie pozwolę ci drugi raz... – wymamrotał Zeńka. – Nie uda ci się! Wystarczy Kostik!

– Żenia, ocknij się! – poprosił Gusiew, machinalnie odnotowując w pamięci, że uradowani chwilą przerwy kierowcy, starając się robić jak najmniej hałasu wsiadają do swoich samochodów, licząc na to, że uda im się dyskretnie zmyć z miejsca awantury. –



Żeńka, ten bałwan chciał cię uderzyć! Uciszyłem go. Nie mogłem inaczej i strzeliłem zza twoich pleców. To normalne, zawsze tak robiliśmy. Przez wszystkie te lata strzelałeś zza mnie – i nic się nie stało. Uspokój się, Żeńka, wszystko w porządku...

Zrobił krok ku prowadzonemu, powolutku i w szczerzej nadziei, że wszystko jeszcze uda się wyjaśnić – ale, jak się zaraz okazało, jego nadzieja była daremną. Ręka z igielnikiem drgnęła. Gusiew uprzedził ten ruch – strzelili obaj prawie jednocześnie. Dwie igielki utkwiły Gusiewowi w napierśniku kombidresu, a jedna wbiła się w rękaw, szczęśliwie nie drasnąwszy skóry. Żeńka otrzymał tyle samo trafień, ale wszystko poszło mu w ramię i runął na asfalt.

Odchodząc na zawsze z życia Gusiewa.

Później mu wyjaśniono, że należało się tego spodziewać. Jego prawy prowadzony cierpiał na te same kompleksy co Gusiew, ale w znacznie ostrzejszej, niemal chorobliwej formie. Czuł się dobrze tylko w składzie znanej sobie trójki, i właśnie na miejscu prowadzonego i osłaniającego. Głupia i tragiczna utrata jednego z kolegów rozbiła cały kruchy porządek wewnętrznego świata brakarza i zmusiła go do znalezienia winowajcy. Oczywiście, winnym okazał się Gusiew, który na dodatek własnoręcznie ustrzelił Kostika.

Tym razem Gusiewa nawet nie ukarano. Po prostu przeniesiono go do rezerwy. Towarzyszyło temu poczucie winy, bezsilności i kompletnego rozbicia wewnętrznego. Poza tym Gusiew żywił przekonanie, że wszyscy w Centralnym patrzą na niego spode łba. Nie mogąc zrozumieć tego co się stało, nikt mu nie mógł wybaczyć.

Tak zresztą chyba było. Ale teraz mu wybaczone. I przyjęto z powrotem do rodziny.

Postanowił więc, że swojemu aktualnemu prowadzonemu będzie zdmuchiwał pył sprzed butów.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kraj ogarnęła zgroza, ale – jakkolwiek było to paradoksalne – popularność Włada rosła, przybierając charakter masowej psychozy. Taki stan rzeczy – połączenie strachu i miłości – znakomicie odpowiadał jego planom.

Trzej młodzi ludzie, którzy usiłowali uciec Waluszkowi, na wstępnym przesłuchaniu milczeli jak zatwardziali rewolucjoniści. Tyle że odsłonili się i zdradzili głupią próbą ucieczki – uczciwy i spokojny obywatel nie ma powodu, by się rzucać na pracownika ASB. Agencja bardzo rzadko zatrzymywała niewinnych, a już szczególnie rzadko zatrzymywała ich na dłużej. Jeden zastrzyk – i od razu wiadomo, czy masz trupa w szafie, czy trzeba cię będzie przeproszać i płacić odszkodowanie za straty moralne i fizyczne. Od pewnego zresztą czasu towarzystwa ubezpieczeniowe zaczęły w swojej ofercie usług zamieszczać „moralny uszczerbek od przypadkowego zatrzymania” i szeregowi pracownicy Agencji przestali bać się na zapas – byle spać nie przeszkadzało. ASB z kolei dołożyło starań, by swoje działania uczynić jak najbardziej dyskretnymi. Okres głośnej i demonstracyjnej walki z tymi, „którzy przeszkadzali nam w życiu” dawno już minął.

Trzem zuchom wstrzyknięto jakąś diabelską mieszaninę, która szybko rozwiązywała im języki. I wkrótce przedstawiciele jekatierynburskiej ferajny, którzy przyjechali do stolicy na zwiady, wrócili do domu, na Ural – ale nie po to, by gromadzić pieniądze, tylko kamienie w kopalniach. Za niedbały stosunek do obowiązków, który doprowadził Waluszka do narażenia swojego życia, początkowo chciano udzielić mu nagany, ale ponieważ był to pierwszy raz – wszystko rozeszło się po kościach.

Szef Wydziału Centralnego chodził ponury jak burzowa chmura. Po pierwsze, zaczęły się sprawdzać mroczne podejrzenia, że do stolicy ściągają zewsząd kryminaliści, którym udało się ocaleć z wcześniejszych pogromów. Po drugie, radosne przypuszczenia o niedalekim uzupełnieniu stanu osobowego młodymi stażystami zostały rozwiane kategorycznym zapewnieniem przełożonych, że nie ma co liczyć na dodatkowe przydziały sił poza trzema, czterema bojowcami. Gusiew nie wytrzymał i powiedział szefowi wszystko, co mu było wiadome o liczbie młodziaków szkolonych na kursie Waluszka i naczelnik wydziału zaczął się zastanawiać, na co komu potrzebna jest taka chmara młodych brakarzy. I sądząc po jego

minie doszedł do niezbyt pocieszających wniosków.

Sam Gusiew postanowił nie przyspieszać biegu wydarzeń i poczekać na ich samoistny rozwój. Tym bardziej, że w powietrzu zapachniało jesienią, a on, który kochał tę porę roku, rwał się wprost na patrol. Obsypana złotym listowiem Moskwa była w te dni szczególnie piękna i większą przyjemność, niż przemierzanie jej na piechotę, trudno było sobie wyobrazić. Czyste powietrze ulic, spokojne twarze przechodniów, dobiegające zewsząd głosy dzieci, za którymi Gusiew też się stęsknił... I niepowtarzalne uczucie spokoju, fizycznego i psychicznego, którym tchnęło jedno z najbardziej czystych i bezpiecznych miast planety.

Dla tego samego warto było zostać brakarzem.

Kolejny tydzień okazał się nad wyraz spokojnym, i **nie** działo się w nim nic, co pełnomocnikowi Aleksiejowi Waluszkowi miało przypomnieć wydarzenia pierwszego, burzliwego dnia pracy.

Spacerowali z Gusiewem po centrum miasta, nie niepokojeni i początkowo nawet szczęśliwi z tego, że wszystko wokół jest ciche i spokojne. Szczególnie cieszyło to Gusiewa. Wkrótce jednak Waluszek zaczął dostrzegać rosnące w jego przewodniku wewnętrzne napięcie i przypomniał sobie to, co Gusiew był powiedział: że czasami brakarz z nudów sam zaczyna szukać kłopotów. Gusiew dojrzywał do dokonania kolejnego bohaterskiego czynu. A na razie odnaleźli malca, który zabłąkał się na własnym podwórku, zdjęli z drzewa przestraszonego kotka i pomogli sympatycznej dziewczynie uruchomić samochód. Gusiew za każdym razem mówił, że takie szlachetne, a niezbyt wielkie czyny są w istocie udziałem tych, którzy przysięgali „bronić i służyć”, ale z każdym dniem miał coraz bardziej ponure i gniewne spojrzenie. Szczególnie się zirytował, kiedy mu powiedziano, że dosłownie o dwa kroki od jego marszruty zdarzyła się bójka kilkunastu pijaków, którą uśmierzyli miejscowi milicjanci, zabierając za kratki rozżartych chwatów.

– Spod nosa łup nam zabrali! – wściekał się Gusiew.

– To przecież nie leżało w naszym profilu działalności – pocieszał go Waluszek. – I tak trzeba by było oddać ich mentom.

– Ale moglibyśmy się przynajmniej wyżyć! Wrzaski strachu, palba w powietrze, skrzywione gęby? Nie wiadomo, kiedy zdarzy się następna okazja...

W takich chwilach Waluszek nijak nie mógł zrozumieć, czy Gusiew mówi poważnie, czy żartuje. I dlatego przestraszył się nie na żarty, kiedy w ręce trafił im młody złodziejaszek.

Spocony i potargany klient wypadł zza rogu na brakarzy, gdy ci leniwie spacerowali sobie po jednej z bocznych uliczek Arbatu. Waluszek nawet nie zdążył drgnąć, kiedy Gusiew już ocenił sytuację – dostrzegł nawet korzyści płynące z tego, że obok stoi kosz na śmieci. Gdy chłopak ich mijał, podciął go jak zawodowy hokeista, i biegnący wywinął orła potykając się o urnę kosza, która zadzwoniła z urazą.

Waluszek dość już nałaził się z Gusiewem, żeby nie wybałuszać oczu i nie pytać: „Pe, o co chodzi?”. Pokornie wyjął igiełnik, ubezpieczając przewodnika.

Chłopak z jękiem potoczył się po asfalcie, obiema rękoma trzymając się za kostkę. Wyrazem twarzy przypominał piłkarza przegrywającego zespołu, który w finałowym meczu o mistrzostwo świata został sfaulowany na polu karnym przed pustą bramką. Obok niego leżała na ziemi damska torebka, która wypadła mu z za pazuchy.

„Nos – pomyślał Waluszek, oglądając się z szacunkiem na zadowolonego z siebie Gusiewa. – To się nazywa mieć nosa. Ja bym gapił się za uciekającym smarkaczem i długo bym się zastanawiał, gdzie go tak niesie?”

A Gusiew się uśmiechał. Nawet broni nie wyciągnął.

Zza rogu wyskoczyła potężnie zasapana kobieta w średnim wieku.

– ASB! – rzucił jej Gusiew. – To pani torebka? Zechce pani sprawdzić, czy niczego nie brakuje.

Kobieta, nadal sapiąc zaciekłe i mamrocząc podziękowania, zaczęła grzebać w torebce. Złodziejaszek, nadal trzymając się za kostkę usiłował odczołgać się na bok, ale Waluszek kopnął go lekko i młodzian znieruchomiał.

– Dokumenty!

– Nie maaam...

– Ach, nie masz... – Waluszek wyjął zza pasa skaner odcisków palców i wziął chłopaka za rękę.

– Oj chłopcy... – stękała wciąż jeszcze zdyszana kobieta. – Ale z was chwaty! Z ramienia mi zerwał, łobuz jeden! I pchnął tak, wyobraźcie sobie, że prawie upadłam... Oj, chłopcy...

– Jestem starszym pełnomocnikiem Centralnego Wydziału ASB. Paweł Gusiew. A to młodszy pełnomocnik, Waluszek. Czy jest pani gotowa oskarżyć tego młodego człowieka o napaść z zamiarem grabieży?

Kobieta nagle się zmieszala i spojrzała na młodzika z nieukrywaną pogardą we wzroku.

– Ale to jakiś smarkacz... – wymamrotała. – A wy go...

Waluszek skończył ze zdejmowaniem odcisków i płacząc z przejęcia przewody zmontował system – połączył skaner z notebookiem, ten z kolei z transiverem, wszedł do serwera Centralnego i zaczął grzebać w sieci ASB.

„Smarkacz”, potwierdzając trafność diagnozy poszkodowanej, tylko pociągał nosem.

– Zaraz się dowiemy, co z nim zrobić – zwrócił się Gusiew do kobiety.

Waluszek ze skupieniem wciskał klawisze.

– Czysty – stwierdził wreszcie. – Smark ma siedemnaście lat. To jak, spisujemy akt?

– Poczekaj... – Gusiew znów zwrócił się do kobiety. – W torebce niczego nie brakuje?

– Chyba niczego. Oj, chłopcy, może się nad nim ulitujecie?

– Rezygnuje pani z oskarżenia?

– A niech go cholera...

– Jak pani chce. Ale przy okazji, niech pani sprawdzi portmonetkę – Gusiew wymawiał słowa bardzo łagodnie, uprzejmie... nawet z przesadną grzecznością i coś w jego głosie

powiedziało Waluszkowi, że sytuacja jeszcze nie jest zamknięta.

– Dokładnie... wszystko jest. Dziękuję wam.

Gusiew zajął się portmonetką.

– Widzę, że ma pani sporo drobnych – stwierdził ze znanym. – Pożycz mi pani te drobne?

Kobieta podniosła na niego zdziwione spojrzenie i zaraz potem w jej wzroku pojawiła się ciekawość. Jak każdy poszkodowany wzięty pod obronę przez ASB, kobieta czuła się teraz zupełnie bezpiecznie. Co więcej, na krótką chwilę stała się częścią wielkiej i tajemniczej siły. Powie tylko słowo, i koniec z drobnym złodziejaskiem!

– Weźcie choćby wszystkie! – oznajmiła zdecydowanie.

– Nie, potrzebuję tylko trochę – Gusiew wsunął dłoń w portmonetkę.

Zatrzymany wydał z siebie ni to jęk, ni to stęknienie.

– A teraz żegnam panią – zwrócił się Gusiew do kobiety.

– Dziękuję. Bardzo panom dziękuję... Tylko wy go nie za bardzo... Dajcie mu nauczkę, żeby zapamiętał, ale nie na śmierć.

– Żegnam panią – powtórzył Gusiew.

Zatrzymany znieruchomiał z przerażenia i gapił się na Gusiewa, który podchodził do niego niespiesznym krokiem.

– Wstawaj, synku – powiedział brakarz spoglądając na ekran notebooka, na którym wyświetliła się krótka biografia złodziejaska. – Taaaak, za wiele tu nie mamy. I niczego dokonać w życiu jeszcze nie zdążyłeś, chłoptysiu, ale owszem, w każdej chwili gotów jesteś je zaprzepaścić. I nawet dość przyzwoicie jesteś odziany. Po co więc kraść?

Chłopak się potknął, ale wstał i chlipnął bezradnie.

– Do wojska idę – wymamrotał. – Czekam na wezwanie...

– I co, w komendzie uzupełnień ci powiedzieli – kradnij, gwałć, rabuj... armia wszystko weźmie na siebie? He?! – N-n-nie...

– Wiesz, co teraz będzie? – zapytał go Gusiew. – Zasadniczo możemy sformułować akt oskarżenia i bez podpisu poszkodowanej. Wystarczy tego, co sami widzieliśmy. A ty znikniesz na zawsze. Popełniłeś poważne przestępstwo, chłopcze...

– Ja... ja... nie chciałem...

– Czego nie chciałeś? Napaść na człowieka i odebrać mu jego własność? No, no, ciekawe... A wiesz ty, chłoptysiu, że za coś takiego należy ci się wybrakówka? Świadomie postawiłeś się poza granicami prawa. Wszem i wobec oznajmiłeś, że nie jesteś człowiekiem. Ludzie nie napadają na ludzi i nie odbierają im ich własności. Wychodzi na to, żeś nieludz. Wróg ludzkiego rodzaju. Wróg narodu. Czy nie tak? Co, nie mam racji?

Złodziejaszek zapłakał. Sam zaś przez cały czas zezował na boki kombinując, jakby tu się chyłkiem zmyć. W zaułku było jednak pusto – za nikim nie mógłby się ukryć. A igielnik – co wiedzieli wszyscy – doskonale bije do pięćdziesięciu metrów. Zresztą położy cię i na sto

metrów, o ile igła trafi w jakieś niechronione miejsce – na przykład w kark lub tył głowy.

– Ukradłeś, bo chciałeś ukraść – ciągnął Gusiew. – Wspaniale. Oto one, pieniądze. Popatrz... – podsunął wyrostkowi pod nos otwartą dłoń, na której błyszczała garść monet. – Widzisz? No, pytam się, widzisz?

– Uhm...

– Dam ci szansę, chłopcze. Pozwolę ci poznać, jakie są te pieniądze, których tak bardzo pożądałeś. Kochasz pieniądze, prawda? Nie możesz bez nich żyć? Tak? Odgadłem? Odpowiadaj!

– Uhm...

– No to spróbuj, jakie one są – powiedział łagodnie Gusiew.

Waluszek i zatrzymany spojrzeli na Gusiewa ze zdumieniem w oczach. A Gusiew podszedł blisko do chłopaka i mocno wziął go za kark. A potem podsunął mu otwartą dłoń pod nos.

– Jedz – powiedział tak samo łagodnie, jak przedtem. – Spróbuj, jak smakują.

Waluszek chciał krzyknąć: „Pe, ty chyba zwariowałaś!” – ale się powstrzymał. W tej chwili obaj, prowadzony i przewodnik, byli związani szczególną sytuacją i szczególnym układem, w których nie kwestionuje się decyzji przełożonego. Przeciwnie, przełożonego trzeba wspierać we wszelkich jego działaniach. Zrobiło mu się jednak straszno. Nawet nie straszno – ale jakoś tak... niedobrze.

Wszystko było jak w filmie Greenawaya – nierealne i jakby w innym wymiarze. Złodziejaszek nawet nie próbował stawiać oporu – dławił się tylko i charczał. A Gusiew karmił go monetami z ręki.

– A teraz zmiataj – odezwał się jak przedtem obojętnie, odwracając się do winowajcy plecami i wyciągając papierosy. – Dzięki, Loszka, chowaj rurę. Chodźmy, przyjacielu, napijmy się piwka.

Waluszek patrzył nad ramieniem Gusiewa wprost w wytrzeszczone oczy złodzieja. Ten stał jak skamieniały, ni żywy, ni martwy. A Gusiew patrzył na Waluszka i się uśmiechał.

– Chodźmy, Loszka – powtórzył łagodnie. – Koniec przedstawienia.

Waluszek powoli schował broń i zerknął na skaner.

– Wymaż to i anuluj zapytanie – machnął ręką Gusiew. – Fałszywy alarm. Po prostu fałszywy alarm.

Mocno objął Waluszka ramieniem, odwrócił i pociągnął ku Arbatowi.

Z tyłu rozległ się krzyk. Waluszek się szarpnął i wyrwał z objęcia Gusiewa. Złodziej leżał na asfalcie miotając się konwulsyjnie i wyjąc, jakby go diabeł opętał.

– Loszka, uspokój się. Niewiele zżarł, nie będzie nawet dwóch rubli. Na razie nic strasznego się nie dzieje. To tylko histeria.

– A co potem? – zapytał przerażony Waluszek.

– A skąd mam wiedzieć, przyjacielu? – wzruszył ramionami Gusiew. – Choć to

rzeczywiście ciekawe. Wrócimy do Centralnego, to zapytamy lekarza. Obowiązkowo zapytamy. No chodź, strzelimy sobie po kufelku. Na taką pogodę szczególnie dobrze idzie „Specjalne oczakowskie”. Wspaniale smakuje.

Złodziej walił głową w asfalt. W oknach pojawiły się przestraszone twarze, ktoś wybiegł z bramy i pochylił się nad wstrząsanym drgawkami ciałem.

– No widzisz, wszystko w porządku – stwierdził Gusiew ciągnąc prowadzonego za sobą. Jednocześnie naciskał klawisze skanera, odwołując żądanie przekazania danych osobowych.

I rzeczywiście, po co one komu? Przecież nikt złodzieja o nic nie oskarżył.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

...tragiczna i okrutna postać prawdziwego Drakuli, księcia Vlada III, nie powinna się zatrzeć w ludzkiej pamięci. Przecież cała jego historia jest jaskrawym przykładem na to, do jakich przestępstw przeciwko ludzkości prowadzi postępowanie zgodne ze znaną i w naszych czasach dewizą: „Cel uświęca środki”.

Człowiek o ksywie Pismak pojawił się w Moskwie nagle, jakby wyłonił się spod ziemi. Na długo przed pojawieniem się Wybrakówki nieraz zatrzymywali go milicjanci i za każdym razem puszczali, zgrzytając zębami. I to uwzględniając fakt, że zapytany o zawód Pismak zawsze odpowiadał szczerze: „Jestem złodziejem w swoim prawie”<sup>12</sup>. Wraz z nadejściem nowej epoki i pojawieniem się realnej możliwości natychmiastowego dostania kuli w łeb za takie odzywki, Pismak rozpląnął się w powietrzu. Szukali go długo i bezowocnie, a potem machnęli ręką, na podstawie słusznego przypuszczenia, że łajdak opuścił kraj w poszukiwaniu państw bardziej demokratycznych, gdzie z takimi jak on certowano się przy pojmaniu i żadną miarą ich nie deportowano do ojczyzny, jęczącej pod butem faszystowskiej dyktatury.

Ale nagle do nudzącego się przeraźliwie z braku zajęcia pewnego oficera milicji dotarły słuchy, że Pismak ładą dzień nawiedzi stolicę. Kapitan momentalnie zagryzł uzdę i zaczął grzebać ziemię kopytem. Podsumowując, informator wskazał dokładny czas i konkretne miejsce, w którym będzie można Pismaka wybrakować. Operacyjny pojawił się w ASB osobiście i Gusiew natychmiast zauważył, że dawno już nie widział tak zadowolonego z siebie i szczęśliwego człowieka.

Grzech takiego rozczarować.

– Ty masz dwójkę, to idź ty – polecił szef Gusiewowi. – Typ jest cwany i lepiej go przedwcześnie nie płoszyć. A z ulicy będą was ubezpieczać.

– Przy okazji sobie podjemy – nie wytrzymał Gusiew. Pismaka należało brać w restauracji, gdzie miał spotkanie w interesach. – Co to za ksywa – Pismak? Pisiak? Pijak? Jebak?

– Takie ma nazwisko – Pipija – powiedział kapitan, spoglądając z wrogością na Gusiewa.

---

12 - W oryginale Skryba używa bardzo charakterystycznego i nieprzetłumaczalnego określenia „Wor w zakonie” oznaczającego złodzieja recydywistę, mającego wyjątkową pozycję wśród złodziejskiej ferajny.



Gusiew od razu mu się nie spodobał – za mało wykazywał entuzjazmu, zważywszy na honor, jaki miał go spotkać.

Gusiew obrócił w palcach fotografię Pismaka, który wyglądał na niej jak absolutnie przeciętny Rosjanin i rzucił ją na stół. Pożytku z niej zbyt wielkiego nie było, bo Pismak z pewnością zmienił swój wygląd.

– Gotów jestem się założyć, że dopóki ten zboczek nie kupił sobie tytułu złodzieja, był najpewniej tylko Pipusiem – oznajmił.

– Skąd znacie szczegóły? – najeżył się kapitan.

– Powiedzmy, że mam nosa. Widziałem już całe stada takich szakali. Nawet ci się nie śniło, ilu ich rozchodowałem.

– Dobra, Pe, nie zalewaj – obciął go szef. – Nikogo nie rozchodowałeś. Co o nas sobie ludzie pomyślą...

– No co? – uniósł się Gusiew.

– To tylko taka figura stylistyczna – zapewnił szef kapitana.

– Wy, tego... – milicjant pogroził Gusiewowi palcem. – Wy, towarzyszu starszy pełnomocniku, nie próbujcie tylko zaczynać rozróby w miejscu publicznym.

– No, jakżeby inaczej, porządek społeczny najważniejsza rzecz – kiwnął głową Gusiew. – Kolego, pozbadźcie się niepokoju. Głowę położe, ale wrzasków i krwi nie będzie!

– Lepiej, żeby nie było – mruknął kapitan z pogrózką w głosie.

– A czemu miałyby wybuchnąć jakaś wrzawa? – niewinnym tonem spytał Gusiew. – Sytuacja jest cicha i spokojna. No, spróbujcie to sobie tylko wyobrazić, zachodzi dwóch durniów do knajpy. Podchodzą do tego Pismaka, który ma przy sobie ze dwóch ochroniarzy. I oczywiście żadnych przyjaciół przy otaczających go stolikach. Z przeciwnych końców sali nikt nie obserwuje podejrzanego rejonu, jak to się zwykle robi w takich wypadkach, żeby mieć dobre pole ostrzału i w razie czego podziurawić durniom dupska. Po cholere panu Pismakowi takie zabezpieczenia? Kogo miałyby się bać? Brakarzy? Więc nasi durnie podchodzą, wyciągają igielniki... Pismak radośnie się uśmiecha i z własnej inicjatywy wyciąga kopyta. Ochroniarze nieboszczyka z entuzjazmem biją brawa. Partner nieboszczyka w interesach sięga po komórkę i dzwoni do państwowego przedsiębiorstwa pogrzebowego „Świetlana Przyszłość”, żeby zamówić wieńce. Wszystko to bardzo proste, kolego. Jak zawsze.

– Nie rozumiem waszego poczucia humoru – warknął operacyjny. – Koniec końców to wasza robota.

– Aha. We dwóch na przynajmniej czterech. Z igielnikiem na pistolety. Wiecie, robię to niemal codziennie. Dobrze choć, że zrobiło się chłodniej...

Milicjant nagle się uspokoił.

– Kolego, przestańcie udawać Greka – poprosił. – Po pierwsze, będzie ich trzech. Czwarty nie kiwnie palcem, to nasz człowiek. Powiedzmy, że niejawni współpracownik. Po

drugie, przestępcy i kryminaliści to z definicji klientela ASB. Nasza sprawa, to nadać wam robotę, a reszta to już wasza rzecz. My zwabiliśmy Pismaka w konkretne miejsce, ryzykując przy okazji życiem informatora. Co więcej, posadziliśmy informatora z Pismakiem przy jednym stole. Nie będzie mógł zbyt długo przeciągać rozmowy. Powinnicie wejść w przeciągu najwyżej pięciu minut i zneutralizować klienta, zanim się zorientuje, że został wystawiony.

– To znaczy, że wziąć go przy wejściu do restauracji nie zdążymy, a przy wyjściu będzie za późno – uściślił szef. – Zrozumiałeś?

– I w ogóle nie ja wymyśliłem „Zarządzenie 102” – wtrącił milicjant. Zrobiło mu się chyba trochę wstyd z tego powodu, że przeciwko doświadczonym bandytom wysłał dwóch czajników wiążąc ich jeszcze poleceniami, żeby nie straszili porządnych obywateli. I uznał, że to go jakoś usprawiedliwia.

– Niechże mi kto powie, dlaczego rozpuszczono jednostkę naszych snajperów? – westchnął Gusiew. – Wsadziliby draniowi igiełkę w ucho z najbliższego dachu, i byłoby po zawodach.

– Pe, po co nam teraz snajperzy? Darmozjadów chciałbyś trzymać?

– Oczywiście, że nie, skoro mamy frajera Gusiewa gotowego na wszystko... No dobra, cieszymy się choć ze sprzyjającej pogody. Szefie, niech pan wyda polecenie, żeby księgowość sypnęła trochę pieniędzy. Potrzebne będą jakieś dwa przyzwoite garnitury, krawaty, porządne buty... I dwa drogie płaszcze. Co zostanie, zdamy do magazynu. Aha?

Niewiele brakowało, a szef by Gusiewowi odpowiedział, a z wyrazu jego twarzy można było łatwo wyczytać, jaka byłaby odpowiedź. Gusiew jednak go uprzedził, zwracając się do martwiejącego milicjanta.

– A co się tyczy porządku publicznego – powiedział – to już będzie zależeć od sytuacji. Zechciejcie wybaczyć, ale żadnych gwarancji dać nie mogę. Postaramy się go uprzedzić, daję słowo, że się postaramy. Ale sami wiecie, jak szybko może zwęszyć niebezpieczeństwo bandyta, który tyle lat żyje poza prawem. Nie możemy nawet postawić „karawanu” koło tej knajpy. A czekać nie możemy w samochodzie obok, tylko w bramie po drugiej stronie ulicy. Która to pozycja też nie należy do wymarzonych. Dobrze będzie, jak znajdziemy jakiś zakładzik albo firmę, ale jak wokół będą same domy mieszkalne? Babcie rencistki są bardzo czujne, wezwą po cichutku milicję, a ta owszem, szybko się zjawi. I co, idzie sobie Pismak, rozgląda się uważnie...

– Nic lepszego nie możemy wam zaproponować. On naprawdę zjawił się znikąd. Zadzwoił do naszego człowieka, poprosił o spotkanie, ale o celu spotkania nawet się nie zająknął.

– Może przyjechał go wykończyć, tego waszego kapusia?

– Przecież nie w restauracji!

– Sypnie truciznę i po weselu...

– Nie dramatyzujcie. I w ogóle, co mamy robić? Jest szansa, trzeba go brać. A brać macie wy, nie my. Zresztą, róbcie co chcecie. Słowo honoru, ja was nie rozumiem. – Milicjant zerknął na szefa, który utkwiał zamyślane spojrzenie w suficie. – Swoje zrobiłem. Czy ASB zamierza zrobić, co do niej należy? Nie macie innych agentów? Mniej... eee...

– Inteligentnych – podsunął mu Gusiew. – A co, według was u nas sami psychopaci i stuknięci? Nie jedzą, nie piją, tylko siedzą i z utęsknieniem czekają na takie niebezpieczne zadanie, jak to?

– Zamknij się, Pe – polecił szef, wracając ze swojego psychicznego odosobnienia. – A wy się pozbadźcie obaw, kapitanie. Przejeliśmy od was klienta. Klient zostanie poddany odpowiedniej formie socjalnej samoobrony. Podpisałem już wszystkie papiery. Gusiew, masz jeszcze jakieś pytania do kapitana? Tylko nie retoryczne.

– Ależ wszystko jest jasne – upewnił go Gusiew. – Jutro zajdziemy na miejsce i się rozejrzemy. Najemy się jak należy, żeby zrobić dobre wrażenie na obsłudze. A pojutrze...

– Do widzenia, kapitanie – westchnął szef. – Jak widzicie, on już nie ma więcej pytań.

Kapitan pożegnał się chłodno, zebrał dokumenty i wyszedł.

– Pe, co ty wyrabiasz? – rzucił się szef na Gusiewa. – Po jaką cholere urządzasz taki spektakl?!

– Niech sobie myślą, że u nas jest burdel i bezhołowie – stanowczo odpowiedział Gusiew.

– A co to jest, jak nie burdel?! – ryknął szef.

– No właśnie, niech tak myślą. A my zobaczymy, co będzie dalej.

– Wynoś się! – zagrział szef. – Precz mi z oczu! Aktorzyna się znalazł! Płaszcz mu dajcie lepszy, widzicie go! A cztery deski nie łaska?

– No, z tym to się zawsze zdąży. A przy okazji, właśnie że włożę płaszcz. Człowiek, który łązi po drogich knajpach w skórzanej kurtce od razu budzi podejrzenia – a nuż ma pistolet za pazuchą?

– Jak chcesz – szef machnął ręką. – Ale pchać się tam przed czasem, ani mi się waź! Wezwałem już chłopaków z Południowego, nikt ich tu nie zna, oni przeprowadzą zwiad wedle wszelkich reguł.

– Sto lat nie byłem w restauracji – poskarżył się Gusiew. – A po wybrakowaniu klienta nie będzie tam można choć chwilkę posiedzieć?

W odpowiedzi szef zamierzył się na niego popielniczką.

Okazało się, że bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności naprzeciwko restauracji znajdował się oddział inspekcji skarbowej. Wystarczyło tam miejsca, by z całym komfortem ulokować nie tylko Gusiewa i Waluszka, ale i ponad połowę grupy wsparcia. Młodszy służbą i rangą brakarze zajęli się prowadzeniem obserwacji, a Gusiew, Waluszek i starszy grupy zaczęli na rozmaite sposoby zatruwać życie inspektorom podatkowym. Łazili po całym biurze, otwierali drzwi nogami, przystawiali się do pracujących tu dziewcząt i zadawali

idiotyczne pytania w rodzaju „A jeżeli zabiję kogoś poza godzinami pracy, to powinienem to wpisać do deklaracji podatkowej, czy nie?”

Inspektorzy się wściekali, ale zachowywali kamienne twarze. Wielu z nich doskonale pamiętało czasy, kiedy do wizyt u niektórych uchylających się od płacenia podatków trzeba było zamawiać asystę kilku brakarzy. Mówiono wtedy o „wzmocnieniu”. Doskonale więc wiedzieli, jak to jest z Wybrakówką i woleli się nie narażać. Oni nas grubą szpilą – a my udajemy, że to pieszczoty. Do tego zresztą, że nikt poza członkami najbliższej rodziny ich nie kocha, skarbowcy dawno już przywykli.

Na pół godziny przed wyznaczonym przez Pismaka terminem Gusiew się uspokoił, wziął lornetkę i przystanął przy okiennych żaluzjach.

I niemal natychmiast podskoczył jak oparzony.

– Kurwa jego mać! – zaklął. – Przecież to... Cholera!

– Co, zobaczyłeś przyjaciela? – zapytał leniwie starszy grupy.

Gusiew odwrócił się ku niemu z błyskiem w oku.

– Mało powiedziane! Słyszałeś o Szackim?

– Mmmm...

– No, ten... działa w showbiznesie. Producent. Całą czołówkę pieprzonej estrady w narkotykowy kanał wpuścił. A przed trzema laty naćpał się jak świnia, przedawkował i żonę wypatroszył stołowym nożem.

– A, ten długowłosa kudłacz? Pamiętam. Rzadki skurwysyn. Przecież go... Poczekaj, on sam?!

– Nie inaczej. Osobiście i własnymi rękami. Tępym stołowym nożem. Ciężarną kobietę.

– Nie truj!

– Nie truję. Ech... wziąć to go ja wziąłem. Szkoda, że na miejscu skurwysyna nie zastrzeliłem. Dlatego, że zaraz menty go sobie zabrali. I wypuścili. Powiedzieli, że może być niepożądany rezonans społeczny. Artyści Związku, powiedzieli, powinni wachać wyłącznie kwiatki i zażywać witaminki.

– Współczuję – westchnął dowódca grupy. – Czekaj, przed trzema laty, mówisz? Ja to przecież pamiętam! Pogonili nas wtedy do „Olimpijskiego”, żebyśmy przewietrzyli jakieś biura. Zwinęliśmy ze dwudziestu drobnych dealerów. To Szacki ich wydał?

– Oczywiście.

– I co, myślisz, że Pismak idzie się z nim spotkać?

– A z kim? Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności – powiedział zdecydowanie Gusiew. – Co mamy na Pismaka, oprócz rozbojów i innych przestępstw? Organizuje przerzuty narkotyków na wielką skalę. A czym jest Moskwa? Rynkiem zbytu, który czeka na nowe dostawy. Kim jest pan Szacki? Nabywcą, mającym spore pieniądze. I nieźle zorientowanym w koniunkturze!

Dowódca grupy odchylił się na krześle i założył ręce za głowę.

– Logiczne – stwierdził. – Ale gdybym był na miejscu Pismaka, tobym się z Szackim nie wiązał. Załóżmy, że Pismak się nie orientuje, iż Szackiego zwerbowali. Menty potrafią przeprowadzać takie rzeczy bezpiecznie i bez rozgłosu. A przecież on sam jest narkomanem! To potencjalne zagrożenie!

– Po tragicznej śmierci swojej żony Szacki przestał brać – stwierdził Gusiew, ponownie patrząc w lornetę. – Porażony nieszczęściem mąż, którego ukochana żona została zarżnięta w bramie przez pijanego chuligana... Naszemu wydziałowi PR należałoby postawić pomnik. I menty się postarali. Wiesz, ja przecież byłem na miejscu, wszystko widziałem.

– Mogę sobie wyobrazić. Draństwo...

– On ją wypatroszył. Nie mówię tego, żeby się popisać krasomówstwem – ciągnął Gusiew drewnianym głosem. – Nie myśl, że mam z Szackim jakieś osobiste porachunki. Po prostu czegoś takiego nie wolno puścić płazem. Nie mówię już o tym, ilu porządnych ludzi ten drań posadził na igle, a potem trzeba ich było wysyłać do obozu. Wiadomo, jeżeli człowiekowi potrzeba hery, zawsze ją znajdzie, nie tu, to tam. Ale przecież dobry producent jest dla artystów jak ojciec... A Szacki jest dobrym producentem.

Starszy grupy westchnął ciężko i usiadł prosto.

– Co proponujesz? – zapytał.

– Obawiam się, że Pismak zbije nam Szackiego.

Rozmówca milczał przez pewien czas. Członkowie jego grupy ucichli, że nie było słyhać nawet ich oddechów. Waluszek, który siedział w rogu i czekał na rozkazy, też mimo woli znieruchomiał.

– A jak to miałyby się stać? – zapytał starszy grupy sucho i rzeczowo.

– Widzę trzy możliwości. Albo się spóźnimy, albo ujawnimy się przy podejściu. Albo coś zaimprovizuje się na miejscu, choć jeszcze nie wiem, co...

Waluszek nerwowo przełknął ślinę. Ani razu jeszcze nikt go nie trafił prawdziwą kulą i nie był za bardzo pewien niezawodności swojego kombidresu. Co prawda Gusiew go zapewniał, że pancierz brakarza dobrze wytrzyma trafienie pociskiem z dziewiątki, tylko potem boli i zostaje paskudny siniak.

W ciągu kilku dosłownie sekund cały wymyślny psychiczny pancierz, w który Waluszka oblekli drogą żmudnego treningu na kursie przygotowawczym, rozleciał się w cholerę.

– Ty idziesz, więc ty decyduj – stwierdził starszy. – Tylko czy Pismak ma przy sobie broń?

– Pismak żyje poza prawem. Każde zetknięcie z mentami lub ASB to dla niego pewna śmierć. On musi mieć przy sobie broń. To jego jedyna szansa, by się wyrwać z pułapki i uciec.

– Ty jednak jesteś maniakiem, Gusiew – stwierdził rozmówca uprzejmie.

– I ciebie to dziwi? – zapytał Gusiew, jak przedtem patrząc w okno.

– Hmm... Nie, to twoja sprawa. Mnie dziwi co innego. Nie bierzesz pod uwagę

możliwości, że w restauracji może być obserwator mentów – to po pierwsze. I że co najmniej trzecia część stolików będzie już zajęta – to po drugie.

– No, mentami przejmować się nie powinieneś...

– Nie przejmuję się. Moja rzecz to osłona.

– ...a uczciwym obywatelom nic nie grozi, daję ci na to moje słowo.

– Ciałem ich będziesz osłaniać? – zapytał starszy wyjątkowo zjadliwym tonem.

– Oczywiście – odpowiedział Gusiew jak najbardziej poważnie, i Waluszek poczuł ssanie w dołku.

– No, jak chcesz, Pe... – Starszy grupy podniósł ręce na znak kapitulacji. – Jedno ci mogę obiecać. Będę milczał jak grób. Chłopcy też, prawda? – zwrócił się do swoich podwładnych.

„Chłopcy” odpowiedzieli twierdzącym pomrukiem.

– Święta sprawa – odezwał się surowo i poważnie wyglądający pełnomocnik, stary wyjadacz w wieku mniej więcej pięćdziesięciu lat. – Miejsce gada jest w piachu, sążeń pod ziemią. Dawno już tak trzeba było. A przecież znów się pchają, złażą ze wszystkich stron jak karaluchy! Iluż ich wybrakowaliśmy, a oni znów się pchają...

– Poczuli, że wymiękamy – rzucił starszy grupy, a Waluszkowi wydało się, że słyszy to nie po raz pierwszy. Oczywiście, że słyszał. W Centralnym.

– Jest! – sapnął jeden z obserwatorów. – Widzę! Ani chybi to on!

W pomieszczeniu wszczął się nagły ruch. Starszy rzucał do radiotelefonu jakieś urwane rozkazy, wydając je drugiej części grupy, która rygłowała tylne wyjście z restauracji. Kilku brakarzy kopnęło się do drzwi. Waluszek po raz kolejny sprawdził swój igielnik.

Nigdy jeszcze w życiu tak się nie bał.

Klient podjechał do restauracji rozklekotanym „Moskwiczem”. Towarzyszyła mu para goryli, na widok których Gusiew odetchnął z ulgą. Bał się, że w orszaku Pismaka zobaczy ochroniarzy nowego typu – sympatycznych ludzi o gustownych i kosztownych fryzurach, bez nadmiernie rozwiniętej muskulatury, spostrzegawczych i bystrych, którzy w lot wyczuwali każde niebezpieczeństwo, a w walce byli bezwzględni i zdecydowani. Ci dwaj wyglądali i poruszali się jak krowy na lodzie.

Sam Pismak pasował zresztą do nich jak ulał. Jakby przybył na maszynie czasu wprost ze strasznych lat dziewięćdziesiątych, kiedy Moskwa pełna była łysogłowych bandziorów. Gdyby miał przy sobie współczesnych ochroniarzy, ci nie mogliby się nawet upodobnić wyglądem do ochranianego, co było jedną z podstawowych zasad ich zawodu.

Wbrew temu, czego się po nim spodziewano, Pismak nie zrobił sobie plastycznej operacji twarzy. Zapuścił tylko brodę, rozjaśnił ją razem z włosami i włożył na nos okulary. Ale Gusiew i Waluszek byli pewni, że mają przed sobą właściwego klienta.

Trójka operacyjna weszła do restauracji. Gusiew spojrzał pytająco na dowódcę grupy.

– Czysto – stwierdził starszy. – Nie zauważono, żeby oprócz nas ktoś jeszcze obserwował

to miejsce. Moi chłopcy zajmą miejsca, kiedy ty zaczniesz. Jedna sprawa. Klienta pasą<sup>13</sup> jednak menty. Ze sporej odległości i do restauracji nie będą się pchali.

– A przecież zapewniali, że nie mają pojęcia, skąd się zjawi – mruknął Gusiew. – Może to nie menty? Sprawdź.

– Samochód jest na mentowskich numerach.

– A... pieprzyć ich. Loszka, gotów?

– Uhhh... – wydusił z siebie Waluszek, czym zasłużył sobie na taksujące spojrzenie starszego grupy wsparcia.

– No to za mną! – rozkazał Gusiew.

– Żyćcie, chłopaki! – pożegnał ich starszy.

Gusiew i Waluszek już wcześniej omówili wszelkie możliwe warianty zachowań swoich i wroga. Co więcej, przećwiczyli je w sali taktycznej, gdzie ze dwadzieścia razy powtórzyli rozmaite ewolucje wokół ławki, która imitowała stół restauracyjny. Teraz jednak Waluszek nie miał pojęcia, czego odeń zażąda Gusiew. Postanowił więc nie miotać się bez potrzeby, a czekać.

Dziwne było to, że jego zwierzęcy strach jakby się rozplątał po kościach w nicość.

U wejścia Gusiew zatrzymał prowadzonego i obejrzał go fachowym okiem.

– Nieźle – ocenił. – Godnie odziany i nie widać broni. I wspaniale leży ci ten krawat! Nie to, co u mnie. Loszka, czemu ty nie przychodzisz do pracy w krawacie?

– A cholera z nim... – zaprotestował słabo Waluszek. Miał na sobie piękny długi płaszcz, garnitur, śnieżnobiałą koszulę i krawat, który długo dobierała mu dziewczyna, przekonana, że jej Loszka z Gusiewem idą odstawiać durni na jakiejś oficjalnej ceremonii.

Sam Gusiew „odział się” w eleganckie czarne palto, które upodobniło go do najemnego zabójcy z lat trzydziestych Chicago ubiegłego wieku – brakowało mu tylko czarnego kapelusza z białą wstążką. Uwzględniając siwiznę we włosach, Gusiew mógłby śmiało i z powodzeniem pracować dla jednej z tamtych rodzin.

– No dobra. Działamy ściśle według planu. Załatwiamy najpierw goryli. Jeden drobiazg. Rezygnujemy ze sztuczki z rozmową między nami. Wszystko biorę na siebie. Strzelaj po słowach „Bardzo przepraszam”. Jasne? Potem ty przytrzymaj Szackiego, a ja porozmawiam z Pismakiem. To wszystko – naciągnął na ręce cieniutkie rękawiczki z lateksu.

– Zrozumiałem. – Waluszek w istocie zrozumiał, że jego zadanie w zasadzie pozostaje takie samo, co mocno go podniosło na duchu.

– I nie pytaj mnie, po kiego wała to komu potrzebne – surowo przykazał Gusiew. – Potrzebne i tyle!

– Rozumiem.

Zadzwoiła komórka. Gusiew wyjął aparat. Przydzielony transiver zostawił dziś w

---

13 - *A co się robi przy pasaniu krów? Obserwuje się je Z daleka. „Pasać, paść” - dyskretnie prowadzić obserwację obiektu (ros. kmina).*

Centralnym.

– Tak? Zrozumiałem. Świetnie. Dziękuję. Jak tylko wejdziemy do środka, zrób mi przysługę i zadzwoń jeszcze raz. Zwyczajnie. Wszystko, wchodzimy.

Gusiew dał znak ręką, Waluszek otworzył drzwi i wyszedł na ulicę.

– Mamy szczęście – stwierdził Gusiew. – Obok tamtych zwolnił się stolik. Skierują nas właśnie do niego. Chłopcy jakoś dotarli do kierownika sali. A powiadają, że w ASB same matolki pracują...

Restauracyjka była niewielka, przytulna, z głośników sączyła się miła i niezbyt natrętna muzyka, a w powietrzu unosiły się dyskretnie smakowite zapachy. Stoliki poustawiano w niewielkich niszach, przy których umieszczono stojaki na ubrania. Kwestię wieszaków Gusiew wyjaśnił na samym początku – przecież nie pchałby się do stolika w płaszczu!

Przy wejściu powitał ich ktoś dostojny, obleczony w smoking.

– Zechciejcie pójść za mną, panowie! – polecił bezdyskusyjnie i nawet się nie oglądając majestatycznie ruszył w głąb sali.

W tej chwili kieszeń Gusiewa rozspiewała się melodyjnym dźwiękiem polifonicznej komórki. Gusiew natychmiast wyjął aparat i pogrążył się w rozmowie, patrząc uważnie pod nogi, żeby się nie potknąć.

– A ona co? – dopytywał się z ciekawością w głosie. – A ty? Nie może być! No, ogromnie się cieszę. Więc kiedy? A czemu nie w „Pradze”? Co z tego, że drogo, ja dopłacę, Miszka, bądź pewien, dla takiej sprawy...

Idący za Gusiewem Waluszek zza pleców przewodnika widział już Pismaka i jego kompana. Przesunął obojętnym spojrzeniem po Szackim – nerwowo wyglądającym mężczyźnie około czterdziestki, z długimi, kręconymi włosami – i skupił się na jakiejś pięknotce, która szczęśliwym trafem siedziała tuż obok. Odwrócił nawet głowę, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

– Ale numer! – ryknął nagle Gusiew i roześmiał się znacznie głośniej, niż nakazywały normy zachowań w miejscach publicznych. „Goryle” natychmiast zwrócili nań uwagę, choć Pismak i Szacki rozmawiali w najlepsze. Dwójkę brakarzy dzieliło teraz od nich pięć, najwyżej sześć kroków.

Gusiew rżał jak koń, a goryle wiercili go niechętnymi spojrzeniami. Przeszkadzał ich szefowi w rozmowie. I całkowicie ściągnął na siebie ich uwagę. Waluszek przeżegnał się w duchu. Wyszli na pozycję, czas było zaczynać.

Gusiew wreszcie się zorientował, że jego goryl patrzy nań niczym lew na leżące pośrodku ścieżki guano.

– Och, bardzo przepraszam – zmieszał się szczerze.

Waluszek szybko i sprawnie, jak podczas treningu na strzelnicy, wyrwał igielnik z kabury i wsadził dwie igielki w wystające zza stołu masywne biodro ochroniarza. Ale Gusiew i tak zdążył zrąbać swojego wcześniej.



„Goryle” powoli osuwali się na podłogę. Waluszek wparł igielnik w pierś Szackiego.

– ASB! – rzucił niegłośnie, ale stanowczo.

Szacki natychmiast i bardzo naturalnie zbieleł na twarzy.

Z kolei Pismak poczerwieniał jak burak.

– Czemuś trzymał ręce na stole, bałwanie jeden? – zapytał go Gusiew. Dawno już rzucił komórkę na podłogę i teraz ręką przytrzymał stół, z którego wciąż jeszcze zsuwał się na podłogę jeden z goryli. Igielnikiem niedbale wymachiwał przy brzuchu Pismaka, nie dając mu żadnej szansy na wzięcie się w garść i wyciągnięcie broni. – A mówili o tobie: „złodziej we własnym prawie, król porwań i wymuszeń”.

– To jakaś głupia pomyłka – odezwał się głucho Pismak. Bandyta mówił z pozamoskiewskim akcentem, choć Waluszek nie umiałby określić, z jakim właściwie.

– Stanowczo protestuję! – odezwał się z godnością Szacki, wczuwając się w swoją rolę. – Jestem producentem filmów, dyrektorem studia... – i nagle go zatkało. Waluszek pojął, w czym rzecz – Szacki poznał Gusiewa.

– ASB! Operacja specjalna! – zagrzmiało od wejścia. – Wszyscy niech zostaną na swoich miejscach. Nic nikomu nie grozi, od tej chwili znajdujecie się państwo pod naszą ochroną!

Postrzelony przez Gusiewa goryl spłynął nareszcie na podłogę, gdzie zajął całą niemal wolną okoliczną przestrzeń, układając się u nóg Pismaka. Była to niebezpieczna gra – ale rozgrywał ją Gusiew, który wszystko sobie musiał przemyśleć.

– Chcesz, to ci powiem, kto cię wydał – zaproponował Pe, zwracając się do bandyty. – Masz ochotę porachować się przed śmiercią ze sprzedajnym mentowskim skurwysynem?

Pismak zamrugał powiekami. Coś tam odbywało się pod stołem, pomiędzy nim i Gusiewem. Najpewniej Pismak poczuł napór wgniatającej mu się w sekretne miejsce „beretty”. Wokół stolika nie działo się nic szczególnego, jedynie napięte twarze i usztywnione grzbiety wskazywały na to, jak klienci restauracyjki przeżywają groźny moment. Po sali spacerowali już nie wiadomo skąd przybyli ludzie z igielnikami w rękach. Wyjścia z restauracji były zamknięte. Kilku barczystych mężczyzn zasłaniało fatalny stół przed wzrokiem pozostałych gości. Jednym z nich był starszy grupy, który zgodnie z instrukcją powinien był dowodzić z zewnątrz. Obok niego zjawiał się stary wyjadacz, który wbił posępne spojrzenie w kark Szackiego.

„A przy podjeździe stoi już «karawan» – pomyślał Waluszek. – Ciekawe, czy dziś powiezie prawdziwe trupy?”

– Zabij tego kudłatego pedała! – półgłosem zażądał od Pismaka Gusiew. – Na razie jeszcze ci na to pozwolę. A potem cię szybko wykończę. Przecież nie chcesz zdychać na katordze?

– A idź ty w chuj!

– Nie wierz mu! – kwiknął Szacki. – Komu wierzysz?!

– Zabijesz go? – nalegał Gusiew.

– Zrób mi łaskę, frajerze!

Szacki zaczął się rozglądać, jak zaszczuty królik. Wyglądało na to, że spektakl w reżyserii Gusiewa zupełnie nie przypadł producentowi do gustu.

– No to kładź kopyto na stole. Bardzo powoli.

– A jeb się! Sam sobie weź!

– Szkoda, że oceniłem cię za wysoko – stwierdził beznamiętnie Gusiew.

Waluszek nadal trzymał Szackiego na muszce i nie zdążył się zorientować, co jest grane. A Gusiew po prostu wpackował Pismakowi igłę w brzuch i bandzior natychmiast sflaczał.

Szacki westchnął z ulgą, jak skazaniec, któremu zdjęli z karku sznur.

Jak się okazało, była to ulga przedwczesna.

Gusiew błyskawicznie wyrwał igłę z brzucha Pismaka, wetknął ją sobie w klapę marynarki, szybko wsunął igielnik w kaburę i równie szybko wyjął Pismakowi „makara” z pazuchy. Potem wysunął spod stołu rękę, w której miał „beretę”. Trzymając oba pistolety w dłoniach, skrzyżował ręce w nadgarstkach, jak to robili z parą „Uzi” wszelkiego rodzaju asy oddziałów specjalnych na zapomnianych już w Związku amerykańskich filmach akcji.

– Co wy... – pisnął przerażony Szacki.

– Panowie, proszę się nie ruszać, ja wszystko bardzo dobrze widzę – uprzedził Gusiew „obu” rozmówców.

I zaczął strzelać.

Szacki dostał dwie kule z „Makara” w okolicę serca i runął na ręce brakarzy. Nieruchomy Pismak został zabity dwoma strzałami z „beretty” w brzuch i środek czoła, a potem Gusiew rzucił broń Pismaka na stół.

W sali rozległy się niezbyt głośne okrzyki i piski kobiet.

– Niechże cię... – zaczął dowódca grupy, ale się rozmyślił i tylko splunął pod nogi.

– Powiedziałem, że wszystko doskonale widziałem. – Gusiew schylił się nad Pismakiem. Nieco oszołomiony i trochę ogluszony bliskimi wystrzałami Waluszek zrozumiał, że Gusiew robi martwemu bandycie zastrzyk neutralizujący. Za kilkanaście minut nie da się wykryć obecności paralizatora we krwi nieboszczyka. A dziurkę po igle Gusiew usunął, trafiając w nią kulą.

– A gdybyś ty go na wylot?

– Z „makarowa”? Boże broń. No co, panowie? Nasza umowa nadal obowiązuje? Wszyscy za jednego, a Bóg za wszystkich?

– Nie inaczej – poświadczył dowódca grupy. – Ten morderca ukrył lufę w bucie. Buty ma w sam raz. Co miałeś robić, skoro zaciął ci się igielnik?

– Nad wyraz kiepska broń – potwierdził stary wyjadacz. – Dwa razy mi się zaciął w krytycznych momentach.

– Pech to pech – wtrącił się ktoś jeszcze. – A przy okazji, twój drugi klient... też jest gotów.

Gusiew podniósł z podłogi komórkę i z nieudawaną sympatią uśmiechnął się do brakarzy. Do Waluszka też, choć ten wciąż jeszcze stał nachmurzony.

– Dziękuję, koledzy – raz jeszcze uśmiechnął się Gusiew. – Pomogliście mi zrzucić ciężar z duszy. Nigdy wam tego nie zapomnę. No, to pojedę pisać raport. W razie czego wiecie, gdzie mnie znaleźć.

– Żyj – pozdrowili go brakarze.

Na ulicy Gusiew zapalił z widoczną przyjemnością. I klepnął po ramieniu wciąż jeszcze nabzdyczonego Waluszka.

– Jeżeli chcesz mnie sądzić, to mogę ci ze szczegółami opowiedzieć, jak Szacki pociął swoją żonę. Loszka, ona miała dwadzieścia trzy lata. Załedwie dwadzieścia trzy. Zwykła, młodziutka i głupia dziewczyna – normalna kobieta za takiego by się nie wydała – ale w danym przypadku wcale nie zmienia to istoty rzeczy. Nie można z kuchennym nożem brać się do brzemiennej kobiety, rozumiesz? I nie ma takich wyższych interesów, w imię których można zostawić przy życiu człowieka, co się czegoś takiego dopuścił.

Waluszek milczał.

– A tego, że w Agencji starzy towarzysze kryją się wzajemnie, mógłbyś się sam domyślić.

– No nie!!! – nie wytrzymał wreszcie Waluszek. – Nie!

– Co „Nie”? – zapytał Gusiew.

– Ty... ty... Niewiele brakowało, a trafiłbyś mnie w rękę! Ledwo zdążyłem ją cofnąć!

– Loszeńka! – Gusiew ponownie trzepnął Waluszka po ramieniu. Wyglądało na to, że spodziewał się czegoś gorszego. – Kochany ty mój! Osądź sam – gdyby istniała możliwość, że trafię w twoją rękę, z pewnością bym cię uprzedził!

W odpowiedzi Waluszek tylko splunął – jak niedawno starszy grupy.

Z pewnością obaj przeżyli bardzo podobny stres.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Żal po tysiącach skazanych wyrażał się tylko w modlitwach, okazywano go zaś jedynie podczas pogrzebów, i nie zmieniał się w gniew skierowany przeciwko tyranowi – władzę Włada uświęcała przecież cerkiew, a cele miał dobre i szlachetne.

Kolejną próbę wytrzymałości los podrzucił dwójce Gusiewa pewnego zwyczajnego wieczoru. Zaczęło się wszystko też jak najbardziej zwyczajnie – na pulpicie leżało zgłoszenie, które Gusiewowi przekazał dyżurny zmiany. Gusiew, jak zwykle niezadowolony i znudzony, spojrzął na papier i od razu zerknął na Waluszka. Jego prowadzony obracał na palcu kluczyki „dwudziestki siódemki”, nucił sobie cichutko jakąś piosenkę i sądząc z pozorów, miał doskonały nastrój. „No, zaraz się przekonamy, jakim jesteś obywatelem, agencie Waluszek – westchnął w duchu Gusiew. – Paskudne zgłoszenie. Ostatni raz widziałem takie przed dwoma laty. Wiadomo, czemu podrzucono je akurat mnie – Gusiewa przecież nie ma co żałować. A Waluszka? Hmm... Mimo wszystko nie stracili nadziei, że nastawią chłopaka przeciwko mnie. Co za świnią mąci tam wodę na górze? Wiadomo, że nie szef. Więc kto? W każdym przypadku trzeba będzie na Loszkę uważać. Bo jeszcze z przesadnej dobroci serca załatwi starego Gusiewa. Podczas ostatniego miesiąca trochę się otrząsał, nie pęka już przed byle robotą, ale coś takiego... Hm...”

– Skocz do samochodu i uruchom silnik – polecił podwładnemu. – Ja zaraz zejść, tylko zamówię „karawan”. Dziś będzie nam potrzebny specjalny...

Przyszło im jechać na samą granicę strefy odpowiedzialności Oddziału Centralnego. Waluszek prowadził jak zwykle szybko i pewnie, nie gorzej od Gusiewa. Wraz ze zniknięciem słynnych na cały kraj moskiewskich korków ulicznych średni poziom umiejętności miejskich kierowców nieustannie się obniżał i Gusiew był rad, że choć jego prowadzony nie uległ powszechnemu trendowi.

„Dwudziestka siódemka” idealnie zaparkowała przy właściwej bramie – blisko, ale nie tak, by przyciągać niepotrzebną uwagę. Gusiew wyjął transiver i wezwał „karawan”.

– Jak przyjedziecie, nie pchajcie się na podwórko – polecił kierowcy. – Zatrzymajcie się na ulicy. Bo okoliczne babunie od razu zaczną kombinować, do kogo karetka przyjechała.

Z „karawanu” odpowiedziano, że wszystko już wiedzą, głęboko współczują i postarają się

nikomu nie rzucać w oczy. Gusiew odwrócił się do Waluszka. Ten palił i czekał na polecenia, starając się ze wszystkich sił udawać, że przychodzi mu to bez wysiłku. Zgodnie z instrukcją Gusiew powinien był poinformować go o treści zamówienia jeszcze w biurze albo przynajmniej po drodze.

– Znaczy tak, Loszka – zaczął Gusiew. – Czy tyś kiedykolwiek się zastanawiał nad tym, gdzie w naszym kraju podziewają się dzieci z patologią rozwoju?

Waluszek już chciał prychnąć – któż tego nie wie! – ale się powstrzymał. Gusiew zadał mu to pytanie nie bez powodu. Większość patologii medycyna wykrywała już na etapie ciąży i potworki w Związku zwyczajnie na świat nie przychodziły. W tych nielicznych przypadkach, w których odchyłki od normy wykrywano już po porodzie, niemowlaka albo za zgodą matki usypiano, albo przepadał gdzieś w czeluściach systemu internatów i domów dziecka. Bardziej skomplikowana sprawa była z nieco już podrośniętymi dziećmi, u których wykrywano odchyłki od normy psychicznej, ale i te udawało się zwykle usuwać ze społeczeństwa. Jeżeli stwierdzono przy tym, że odchyłka jest dziedziczna – dziecko zabierano razem z rodzicami. A jeżeli nie... Wtedy postępowano zależnie od okoliczności. Wszystko to Waluszkowi szczegółowo wyjaśniono na kursie przygotowawczym, ilustrując przykładami z praktyki. Ale skoro są tutaj i skoro Gusiew zadaje mu takie pytania, czyli coś w systemie nie zaskoczyło jak należy. Gdzieś na tym podwórku żyje nienormalny dzieciak. Waluszek się najeżył.

– Zrozumiałeś? – zapytał Gusiew. – Widzę, że tak. Ciężki przypadek, Loszka. Sąsiedzi donieśli, gadziny jedne... Dzielnicowy założył obserwację i potwierdził doniesienie. Chłopak ma dziesięć lat. Tylko nocami pojawia się na balkonie. Matka jest nauczycielką. Bohaterska kobieta, myślę, że rodziła sama i potajemnie. Ale i głupia jak but. Cholerna egoistka. Zniszczyła życie chłopcu i sobie. W faszystowskich Niemczech niektóre niemieckie rodziny ukrywały żydowskie dzieci. Ale nie przez kolejne dziesięć lat! Na co ona liczyła? No i masz zlecenie... Gotów jesteś?

– A co mam robić? – zapytał Waluszek. – Jak mam działać?

– Jak zwykle, osłaniać mnie z tyłu. Idziemy. Czystymi, zadbanymi schodami dotarli na czwarte piętro.

– Robiłeś to kiedyś przedtem? – burknął Waluszek, kierując pytanie do pleców Gusiewa.

– Dwa razy – padła odpowiedź.

– I jak było?

– Obydwa razy musiałem strzelać.

Waluszek przełknął ślinę, chrząknął i odbezpieczył igielnik.

– A gdzie ten dzielnicowy? – przypomniał sobie. – Jak to – taka sprawa i bez menta idziemy? Przecież to nie sprawa karna, tylko przestępstwo cywilne.

– Boi się. Powiedział, że papiery potem podpisze, ale z nami nie chce się pojawić...

– Bydlę... – warknął Waluszek.

– Wcale nie – łagodnie wyjaśnił mu Gusiew. – Nas przecież rozpędzą, a menty zostaną. Kto miałby ochotę za cudze grzechy łeb kłaść na Ewangelię?

„No właśnie, grzechy – pomyślał Gusiew. – Kto tam na nas czeka na górze? Byle nie down. Ktokolwiek, byle nie down. Przecież nie dam rady... Odmieniec powinien być odmieńcem, powinien budzić odrazę, pragnienie zrobienia czegoś, żeby znikł z naszego świata szybko i na zawsze. A down, który wyrósł w normalnej rodzinie, nigdy taki nie jest. Żaden normalny człowiek nie podniesie na takiego ręki. Dzieci z syndromem Downa, jeżeli rodzice prawidłowo się nimi zajmują, przekształcają się w bardzo miłe, łagodne istoty. A gdy dorastają, można im tylko współczuć, ale nie sposób ich nienawidzić. Są jakby pozbawione niepotrzebnej części rozumu specjalnie po to, żeby je uszczęśliwić. Żeby pozostały dziećmi. Trzeba przyznać, że w stosunku do downów Wybrakówka popełniła błąd. Społeczeństwu potrzebni są ubodzy duchem. Nie wściekli szaleńcy, nie kretyni, ale właśnie ubodzy duchem. Żeby można się było nad nimi litować i żeby im współczuć. Akurat współczucia i litości nam brakuje – nie uświadczysz ich jak kraj długi i szeroki. Choćby ta niedawno spotkana babina, która pożałowała młodego zbója... Pojawił się agent specjalny Pe Gusiew z licencją na zabijanie i całe okazane przez poszkodowaną obywatelkę współczucie sprowadził do zera, nie, do ujemnych wartości! Przekształcił je w nienawiść. Uff! Tylko nie down. Wykrywają ich w stu procentach we wczesnych fazach rozwoju. Do trzech miesięcy chyba...”

Gusiew nacisnął dzwonek i odsunął klapę kurtki ujawniając znaczek.

– Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby zaczynać rozmowę – rzucił w tył przez ramię. – Milcz i osłaniaj mi plecy. Zobaczysz, że wszystko załatwię jak najbardziej łagodnie. Nie będziesz się musiał niczego wstydić. I w ogóle... nie jesteśmy teraz Gusiewem i Waluszkciem, ale przedstawicielami państwa. A państwo, jak wiadomo, jest aparatem gwałtu i przemocy.

– Kto tam? – zapytała zza drzwi kobieta. Głos miała niezwykle napięty i wrogi.

– Zechce pani wybaczyć, Agencja Społecznego Bezpieczeństwa – odpowiedział Gusiew demonstrując znaczek przez wziernik judasza. – Starszy pełnomocnik Gusiew, pełnomocnik Waluszek. Chcemy pani zadać kilka pytań.

Za drzwiami zapadła grobowa cisza. Zasada „Mój dom jest moją twierdzą” pozwalała w Związku zabarykadować się w mieszkaniu nawet przed milicją, gdyby ta pojawiła się bez pozwolenia na przeszukanie. ASB jednak i w tym wypadku stała ponad prawem. Gusiew wcale nie musiał dzwonić i uzyskiwać zgody lokatorów na wejście – mógł zwyczajnie wyłamać drzwi. Tym bardziej, że te były stare i słabe.

– Musimy z wami porozmawiać. Zechciejcie nam uwierzyć, to bardzo ważne.

– O czym? – padło pytanie zza drzwi.

– Wybaczcie, ale przez drzwi nie możemy rozmawiać – Gusiew mówił bardzo łagodnie, bez tej znanej już Waluszkowi nutki zwodniczej uprzejmości, która zwiastowała nieprzyjemności. – Niechże nas pani wpuści. Jeżeli ma pani jakieś wątpliwości, proszę

przedzwonić do Centralnego Oddziału ASB, podyktuję pani numer telefonu. My poczekamy.

Za drzwiami ponownie zapadła cisza.

– Osobiście bym radził, by pani nie grała na zwłokę – Gusiew schował znaczek pod kurtką. – Wie pani przecież, że jeśli już przyszliśmy, to z pewnością wejdziemy. Niechże pani nie przekształca rzeczowej rozmowy w wyjaśnianie stosunków i układów społecznych.

– Idźcie precz! – syknęło zza drzwi.

Gusiew nie bez rozdrażnienia cmyknął zębami.

– No dobrze – powiedział. – Niech pani będzie tak dobra i odejdzie od drzwi, zaraz je wyłamiemy. Loszka, razem... raz, dwa...

– Czekajcie! – Szczęknięt zamek i drzwi uchyliły się na długość łańcucha. Ze szpary patrzyła na brakarzy niezbyt urodziwa, pomarszczona twarz – rzadkie bezbarwne włosy, ciężkie okulary. Typowa nauczycielka, z tych, co uczniowie z całego serca darzą gorącą nienawiścią. Gusiew wiedział, że klientka ma około czterdziestu lat, ale wyglądała na przynajmniej pięćdziesiąt. „Próba zdobycia przychylności takiego człowieka jest z góry skazana na niepowodzenie. Ona z założenia nienawidzi wszystkich. Dzieciaka urodziła w charakterze zabawki, na której będzie się mogła odgrywać za wszelkie kompleksy. Boże, co za bzdury ja gadam! I wiem, dlaczego. Nastawiam się przeciwko klientowi. Takie przyzwyczajenie, stary, dobry i niezawodny chwyt zawodowy. Żeby mnie samego nie bolało”.

– Dziękuję – uśmiechnął się Gusiew. – My też staramy się unikać zbędnego hałasu. Pozwolicie, że wejdziemy?

Kobieta zmierzyła Gusiewa lodowatym spojrzeniem, brakarz jednak spostrzegł, że jej gniew jest maską, za którą rysował się wyraźnie nadciągający paraliżujący strach. „Ona już jest złamana. I zrobiłem to ja. Co tam gadać o państwie! Ty sam, Gusiew, wdarłeś się do jej mieszkania z ogniem i mieczem. Jak ostatni z bandziorów, uderzający w jej niewielki skarb, który jeszcze posiada – terytorium osobiste. No, dość samobiczowania. Im szybciej się uwiniesz, tym szybciej będziesz mógł się napić wódki”.

– Wiero Pietrowa. My. Przyszliśmy. Z wami. Porozmawiać. – Gusiew rytmicznie kołysał uniesioną ręką. – Pozwólcie. Że. Usiądziemy. Spokojnie. Omówimy. Sprawę.

Drzwi powoli się zamknęły, potem brzęknął zdejmowany łańcuch. Gusiew odetchnął z ulgą – nie miał najmniejszej ochoty na wyważanie drzwi. Szkoda byłoby stłuc sobie ramię. W końcu swoje, nie z przydziału. A drzwi też się jeszcze przydadzą – do tego mieszkania przecież ktoś się sprowadzi, jeżeli przyjdzie im wybrakować belfrzycę.

Kobieta chyba jeszcze się wahała, bo musieli czekać jeszcze z minutę. Ale w końcu otworzyła. Brakarzom trzeba otwierać. Z brakarzami nie ma żartów.

– Wejdźcie – wycedziła kobieta.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoiów, a z zamkniętej dokładnie sypialni („pokoju dzieciennego” – poprawił się Gusiew w myślach) nie dochodził żaden dźwięk. Umieblowanie

było skąpe, można by rzec nawet, że ubogie, i co bardziej istotne – wszystko tchnęło ciężkim, mocnym zapachem zaniedbania. Gusiew rozejrzył się dookoła i pojął, w czym rzecz. W tym mieszkaniu uwiła sobie gniazdko lekka i niemal się nieujawniająca choroba psychiczna gospodyni, niegroźna dla sąsiadów, ale fatalnie wpływająca na los jej syna. A najpewniej i będącą przyczyną, dla której chłopak przyszedł na świat.

– Usiądźmy – zaproponował Gusiew. Stara kanapa o wyświechtanym obiciu boleśnie jęknęła pod jego ciężarem. Waluszek nie usiadł, tylko oparł się plecami o futrynę drzwi. Kobieta też nie skorzystała z propozycji Gusiewa i nadal stała z opuszczonym wzrokiem, przyciskając dłonie do piersi.

– Wiero Pietrowa – odezwał się Gusiew. – Przede wszystkim ustalmy nasze wzajemne stosunki. Zechciejcie zrozumieć, że ASB przyszła do pani bez zamiaru gwałtu i przemocy, a tym bardziej bez chęci rozbijania czegokolwiek i wyłamywania drzwi. Zechciejcie nam pomóc, a my się postaramy w żaden sposób nie naruszyć waszych konstytucyjnych praw.

– Czego chcecie? – wycedziła kobieta, nadal patrząc w podłogę.

– Zadzwoń teraz i za kilka minut zjawi się tu nasz medyczny ekspert. Pozwólcie mu zobaczyć chłopaka, który znajduje się w tym mieszkaniu.

Kobieta nie była na tyle szalona, żeby udawać, że żadnego chłopaka w tym mieszkaniu nie ma. Zrozumiała, z kim ma sprawę. I być może nawet odczuła pewną ulgę na myśl, że sytuacja zmierza ku nieuchronnemu rozwiązaniu. Jak przestępca, który całymi latami hodzi w sobie strach, że któregoś dnia dopadnie go taki Gusiew. I patrzy w lufę igielnika spojrzeniem, które mówi: „Nareszcie koniec!”

Kobieta nie powiedziała: „Jego tu nie ma”. Zamiast tego zapytała:

– Po co?

– Agencja ma podstawy do podejrzeń, że narusza pani federalną ustawę o prawach dziecka.

– W jaki sposób miałabym ją naruszać?

– Zacznijmy od tego, że chłopak znajduje się w pani mieszkaniu jakby w areszcie i został przez panią pozbawiony możliwości kontaktów z rówieśnikami i uczęszczania do szkoły.

– To nieprawda!

– Co jest nieprawdą?

– On otrzymuje wykształcenie. Doskonale wykształcenie.

– I czego go pani uczy? – zapytał Gusiew, starając się ze wszystkich sił nie marszczyć nosa z pogardą. – Botaniki?

Kobieta drgnęła. Nie jest przyjemnie dowiedzieć się, że ktoś inny dokładnie poznał wszystkie twoje sekrety. A podwójnie ciężko jest wtedy, gdy tym kimś jest człowiek mający licencję na zabijanie.

– On czyta. On pięknie czyta.

– Wspaniale. Ale jest zupełnie sam. Nikt oprócz państwa nie ma prawa poddawać



człowieka izolacji, a już szczególnie dziecka.

– On nie jest sam! – krzyknęła kobieta. – Wy nic nie rozumiecie!

– Owszem, jest z wami. Ale jako pedagog nie może pani nie wiedzieć, jak ważne dla rozwoju dziecka są kontakty z innymi dziećmi i dorosłymi. Kogo chce pani z niego zrobić? Mowgliego<sup>14</sup>?

Ogarnięta atakiem paniki kobieta zaczęła nerwowo wyłamywać palce, ale nie ruszyła się z miejsca. Miała szczupłą, żeby nie powiedzieć kościstą figurę i skromna domowa suknia wisiała na niej jak na szkielecie.

– Niechże pani posłucha, Wiero Pietrowa. Pozwólcie, że na początek zajrzę tam choć jednym okiem – Gusiew kciukiem wskazał drzwi sypialni – a potem będziemy kontynuować rozmowę. Jestem pewien, że razem coś wymyślimy.

„Różnie w życiu bywa – pomyślał. – Może, na przykład, mamy do czynienia z wyjątkowym przypadkiem i chłopak nie do końca jeszcze został okaleczony psychicznie przez matkę. Co ja wiem o chorobach psychicznych? Nic. Ale natychmiast potrafię określić, czy mam do czynienia ze stukniętym, czy nie... Na rozmaitych ludzi się napatrzyłem... Ale w jakim stopniu psychol – to już dla mnie jak łażenie po ciemnej piwnicy. Może chłopak od urodzenia był normalny, a ona po prostu z jakichś tam wymaganych wariackich przyczyn postanowiła go chronić przed wpływem społeczeństwa, w którym nie ma już przestępczości i każdy ma pracę?”

– Nie! Nie pozwolę! – w głosie kobiety nie było stanowczości, powiedziała to powodowana impulsem, który kazał jej zaznaczyć swój sprzeciw.

Gusiew bardzo wolno wyjął igielnik i położył go obok siebie na kanapie. „Berette” miał skrytą głęboko za pazuchą, kobieta nie mogła jej zobaczyć. Gusiew nie spodziewał się niebezpieczeństwa, po prostu zupełnie się rozbroić nie byłby w stanie nawet za milion „nowych”, które wymieniano po kursie jeden rubel za jednego „baksa”.

Zresztą i za sto milionów też by nie oddał obu sztuk broni naraz.

– Widzi pani – powiedział – oto moja broń. A teraz wstanę i zajrzę tam. Na sekundę.

Kobieta jakby się zachnęła, ale w tej chwili niezbyt głośno kaszlnęła żelazobetonowy posąg Waluszka. I kobieta się poddała. A Gusiew skradającym się krokiem podszedł do drzwi pokoju dziecinnego, otworzył je i zajrzał do środka. Na sekundę.

Chłopiec miał z pewnością bardzo urodziwego ojca. O samej zresztą nauczycielce, gdyby dobrze jej się przyjrzeć, też trzeba by powiedzieć, że jest kobietą o bardzo regularnych rysach twarzy, które z powodu przesadnej prawidłowości wydawały się doskonale brzydkie. A z chłopaka mógłby wyrosnąć nielichy gładysz. Teraz odwrócił się szybko w stronę Gusiewa, wypuścił ślinę z kącika ust, wymamrotał coś i spojrzął na brakarza skośnymi ku garbkowi nosa oczami. Siedząc na kanapie pomiędzy porozrzucanymi zabawkami – bardzo pięknymi i zmyślnymi zabawkami, które były chyba powodem skromności umeblowania – chłopiec się

---

14 - Mowgli - bohater „Księgi Dżungli” R. Kiplinga - chłopak wychowany w indyjskiej dżungli przez wilki.

nie ruszał, ale Gusiew wiedział już, jak wyglądałyby jego ruchy i gesty. Ostre, załamane, z kiepską koordynacją. Gusiew widywał takie dzieci. Podczas ostatniej tego typu interwencji też spotkał takiego chłopczyka, tylko nieco młodszego.

Ale tamtego chłopaka rodzice nie kryli przed światem. Przeciwnie, ciągnęli go ze wszystkich sił, jak opętani. Wszelkimi sposobami usiłowali mu znaleźć miejsce w społeczeństwie i samemu społeczeństwu wpoić mniemanie, że z chłopakiem wszystko jest w porządku. I prawie im się to udało. Prawie. Nawet komisja lekarska niezwykle długo zwlekała z wydaniem orzeczenia – szkoda było chłopaka, bo przekroczył dane mu przez los i naturę możliwości. Zachwycił lekarzy. I gdyby jego upośledzenie było wynikiem uszkodzenia mózgu przy porodzie, zostawiono by go w spokoju. Ale okazało się, że przyczyną jest skaza dziedziczna. Po chłopca przyjechali lekarze ASB, żeby go zabrać do domu dziecka. Ojcu natychmiast odbiło, wyciągnął z szafy dubeltówkę i podpisał tym samym wyrok na całą rodzinę.

– Baw się, chłopcze – rzucił cicho Gusiew i przymknął drzwi.

„A ty sam, Gusiew, co byś zrobił na jej miejscu? Ja? Przede wszystkim wyprowadziłbym się gdzieś za miasto. Wiele lat temu, kiedy chłopak był jeszcze maleńki i nie zwracał na siebie większej uwagi. Osiedliłbym się na wsi w jakiejś głuszy, gdzie diabeł mówi dobranoc, milicjanta nie widuje się całymi latami, o brakarzach zaś tylko słyszeli. I tam... Być może chłopak zyskałby tam jakąś szansę. Szybko by do niego przywykli, uznaliby go za swego, zostałby pomocnikiem pastucha i spokojnie przeżyłby całe życie. Ot, zwykły wiejski głupek. Nie on pierwszy, nie on ostatni. I byłby pewnie szczęśliwy. Tak, byłby szczęśliwy...

Ale to zrobiłbym ja. Gdyby to był mój chłopak. Ciekawe, czemu ona tego nie zrobiła? Chyba mam rację, nasza dzisiejsza klientka urządziła sobie po prostu zabawę. Tragiczną, pełną udreki, sadomasochistyczną zabawę. Jak Boga kocham, lepiej by było, gdyby sobie kupiła jakieś zwierzątko i je męczyła. Na przykład morską świnkę.

Ciekawe, a czy ty, panie Gusiew, oddałbyś swoje dziecko do wybrakowania? Ty, który znasz mechanizmy gry od środka? Gdyby chodziło o noworodka, to z pewnością tak. Ale gdyby anomalia wyszła na jaw znacznie później, po kilku latach? No właśnie mówię, na wieś. Takiego wała by go tam znaleźli. No, dobra, Gusiew, wyluzuj. Zawsze miałeś możliwość wyboru. I uczciwie wybierałeś. Właśnie uczciwie, to kluczowe słowo. Zgodnie z prawem. Doskonale też wiesz, jakie w danym przypadku jest to prawo. Prawo ubiera się w biały kitel. No to wzywaj je, to swoje prawo”.

Kobieta nadal stała pośrodku pokoju i wyłamywała sobie palce. Gusiew usiadł na poprzednim miejscu, z westchnieniem ulgi wsunął igielnik do pochwy i wyjął transiver.

– Wybacz pani, Wiero Pietrowa, ale ten wypadek leży poza moimi kompetencjami. Powinien go rozpatrzeć specjalista. Za waszym pozwoleniem, skorzystam z radiotelefonu. Halo, tu Gusiew. Proszę na górę specjalistę medyka.

– Zabijecie go... – wyszeptała kobieta. – Wy go zabijecie...

– Po co? – zdziwił się Gusiew tak szczerze, jak tylko szczerze dziwić się można.

– Ja wiem, wy go zabijecie. Po co kłamać! Wy wszystkich zabijacie! Łajdaki!

– Pojedzie do szkoły specjalnej...

– Łajdaki! Faszyci!

– Będzie miał wreszcie jakichś przyjaciół. A pani może go odwiedzać...

– Bydlę plugawe! Śmierzący pederasta! – Kobiecie wreszcie udało się zapanować nad swoimi rękami – zgięła je w łokciach, mierząc palcami w twarz Gusiewa. I lekko ugięła nogi w kolanach. – Morderca! Skurwiel zasrany!

– Przecież pani sama niemal wpędziła go do grobu! – ryknął tracący panowanie nad sobą Gusiew. – A teraz chłopak będzie żyć! Będzie, do kurwy nędzy!

Waluszek strzelił w samą porę. Kobieta upadła głową na kolana Gusiewa, który z odrazą zepchnął ją na podłogę.

– W oczy mierzyła – wymamrotał. – Za każdym razem te baby chcą się dostać do moich oczu.

Waluszek patrzył na kobietę, opierając się plecami o framugę drzwi. Nigdy jeszcze nie czuł tak intensywnej fali obcej nienawiści, która oblała go całego. Kobieta obrzucała przekleństwami Gusiewa, ale i Waluszek dostał swoje.

Gusiew mocno się wzdrygnął. Trzeba było wezwać wsparcie, ale zabrakło mu sił, żeby podnieść rękę i ponownie nacisnąć guzik wywołania. Czuł się jak wyżęty do cna.

– Co z dzieckiem? – zapytał go chicho Waluszek.

– Jeszcze sobie pożyje – odparł Gusiew. – Mam nadzieję. Niech sobie jeszcze choć trochę pożyje... W zasadzie jesteśmy mu to winni. Dziesięć lat życia, albo żadnych męczarni. A teraz go uśpić, to byłaby wielka niesprawiedliwość. Z nauczycielką sprawa prosta jak drut – straciła panowanie nad sobą. Ale jej strach przed Wybrakówką... W pewnym sensie przenosi winę na nas. Jak pan myśli, panie agencie specjalny? A przy okazji, chwyt z ciebie nie lada. Dziękuję.

Waluszek w nieokreślony sposób poruszył brwiami, wyjął papierosy i od razu zapalił dwa. Widać było, że Gusiewowi potrzebna jest pomoc. Nigdy jeszcze Waluszek nie widział Gusiewa tak przybitego.

Co ciekawe, on sam nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Okres niewoli jest kluczem do zagadki całego dalszego życia naszego bohatera. Jakie uczucia przepęłniały jego serce, kiedy patrzył na przedśmiertne męki ludzi – strach, litość, nienawiść? A może chęć zastosowania tych samych mąk wobec ludzi, trzymających go w niewoli? Jakkolwiek było, Vlad musiał ukrywać swe uczucia i doskonale opanował tę sztukę. Dokładnie tak samo w dalekiej Wołoszy jego ojciec z zaciśniętymi zębami słuchał nadętych przemówień tureckich posłów, wstrzymując dłoń sięgającą po rękojeść szabli.

Waluszek akurat jadł śniadanie (choć może raczej trzeba byłoby rzec, że jadł obiad), kiedy zadzwonił do niego Gusiew.

– Wstałeś już? – zapytał. – To pięknie. Posłuchaj, Loszka, byłeś kiedykolwiek w sztabie podziemnej organizacji?

– Nieaa... – odpowiedział Waluszek, dławiąc się przetykanym właśnie kęsem. – A czy to ciekawe?

– No, jak by ci to powiedzieć... Terrorystów z bombami obiecać ci nie mogę. Ale w sumie będzie pouczające. To czysto przyjacielska wizyta – posiedzimy i wypijemy herbatkę. Doświadczysz... nowych wrażeń.

– A czy to mi potrzebne? – zapytał Waluszek absolutnie poważnie, jakby chciał rzec: sam decyduj, przewodniku, ty wiesz lepiej.

– Myślę, że tak. Sam z własnej inicjatywy do tych ludzi nie dotrzesz. Po prostu nawet się nie domyślisz, że tacy istnieją. Oni zresztą też z własnej woli sami cię nie poszukają.

– A ciebie poszukali?

– Ja jestem dla nich interesujący. Jako poglądowy przykład, jakim być nie należy. Więc co, zajechać po ciebie? Będę gdzieś za czterdzieści minut.

– Przyjeżdżaj – zgodził się Waluszek. – Szafę mi pomożesz przesunąć.

– Szlag by to, rodzinny człowiek mi się trafił... – wymamrotał Gusiew. – Szafy, kanapy, próżniowe okna. Masz na co pieniądze tracić. Prawie ci zazdroszczę. Dobra, poczekaj.

Waluszek chciał wyjaśnić, jak najlepiej do niego dojechać, ale Gusiew już przerwał połączenie. Pojawił się, jak obiecał, po czterdziestu minutach. Obejrzał krytycznie

mieszkanie, prawie je obwąchując, a potem wydał werdykt:

– Stylowo.

– Posłuchaj, Pe – odezwał się Waluszek. – Dawno już cię chciałem zapytać. Oczywiście, o ile to nie za bardzo drażliwy temat... Ty byłeś kiedyś żonaty?

– Byłem, jasna sprawa. Kiedyś. Dawno.

– A teraz... eee...

– Teraz dziewczyny mnie nie kochają – uśmiechnął się Gusiew. – Widać się starzeję.

– Ciebie? – podchwycił Waluszek. – Nie kochają?

– Nie kochają, choć na wszystko są gotowe się zgodzić – wyjaśnił Gusiew. – Ale na wszystko to ja nie jestem gotów. Loszka, wyluzuj. Kiedyś ci to wyjaśnię. No to gdzie ta szafa?

Pojechali w kierunku centrum i im głębiej w nie wjeżdżali, tym większe zdziwienie ogarniało Waluszka. Albo Gusiew mówiąc o podziemnej organizacji żartował, albo nie była za bardzo podziemna, albo przeciwnie – znakomicie się zamaskowała. Waluszek wyobrażał sobie do tej pory, że konspiratorzy powinni byli kryć się w punktach kontaktowych i norach gdzieś w proletariackich dzielnicach miasta i prowadzić tam daremną agitację rewolucyjną. Potem dotarło do niego, że proletariuszy agitować jest niebezpiecznie – mogą dać po karku i wezwać brakarzy. Ale tak czy owak ogromnie trudno było mu pogodzić się z myślą, że w wypucowanym do połysku centrum miasta ktoś prowadzi podziemną działalność.

„A właściwie skąd mi przyszło do głowy, że oni prowadzą jakąś działalność skierowaną przeciwko prawu? Zresztą, niedługo wszystko sam zobaczę. Gusiew bardzo lubi pokazywać mi niezwykle rzeczy i obserwować moją reakcję – zrozumiałem, czy nie. Pedagog domorośli. Choć trzeba mu przyznać, że umie być szczerym i uczciwym. Obiecał dawać mi pouczenia – i dawał. A każde pouczenie okazywało się bardzo trafne”.

Waluszek zapalił. Gusiew rzucił krótkie spojrzenie na trzymaną przez partnera paczkę papierosów i chrząknął z aprobatą. Biała naklejka ze słowami TYTOŃ ZABIJA była bardzo pognieciona – widać Waluszek chciał ją zdrapać paznokciami, ale poniósł sromotną klęskę. Naklejki na specjalne zamówienie umieszczał na paczkach sam importer i kleju przy tym nie żałował.

– Natarczywa, prawda? – zapytał Gusiew.

– Co? A-aa... No, istotnie, nieprzyjemna.

– Świetny pomysł – stwierdził Gusiew z powagą. – I bardzo stary. Pojawiło się to jakieś dwadzieścia lat temu.

– Twój, czy co?

– Nie. Wymyślił to jeden zdolny chłopaczek.

– Takich zdolnych dusić, to mało. Dziś tytoń... A jutro na wódce napiszą: „Alkohol wyśle cię do grobu”?!

– Na wódce nie – pokręcił głową Gusiew. – Mimo wszystko to narodowy rosyjski trankwilizator. A zresztą, połowa naszego budżetu trzyma się na monopolu spirytusowym...

Kwatera sztabu konspiratorów znajdowała się o dwa kroki od biur Centralnego, w jednym z zaułków Arbatu. Waluszek doskonale się już orientował w okolicy i na wszelki wypadek zapamiętał dom i bramę. Nigdy nie wiadomo, co się może w życiu przydać...

– Czyli niczemu się nie dziwić – stwierdził Gusiew. – Uprzejmość i jeszcze raz uprzejmość. Przyszliśmy tu jako goście.

Siedziba sztabu podziemia nie odpowiadała swoim charakterem nazwie, bo znajdowała się na czwartym piętrze. Brakarzy wpuszczono do środka bez żadnych haseł i odzewów. Drzwi otworzył ponuro wyglądający chłopak w wyświechtanym i przepoconym swetrze, który natychmiast odwrócił się do gości plecami i przepadł w głębi mieszkania.

– Maju Zacharowna! – zawołał Gusiew. – Gdzie pani jest?

– Tutaj! – padła odpowiedź z kuchni. – Tutaj, chodźcie!

Waluszek rozejrzał się dookoła i natychmiast zrozumiał, co go tak bardzo zdziwiło po wejściu do mieszkania – nie było w nim drzwi wewnętrznych. Najpewniej zostały usunięte ze względu na oszczędność miejsca. Pokoje pełne były komputerów. Przy każdym z nich ktoś siedział i wściekle walił w klawisze. Niektórzy jednocześnie rozmawiali, tak że hałas był spory. Ściany ledwo było widać zza licznych, ponaklejanych na nie plakatów, a same plakaty były brutalnie pozasłaniane samoprzylepnymi kartkami z różnymi notatkami. „To jakaś redakcja albo agencja reklamowa – domyślił się Waluszek. – Gusiew znowu robi sobie ze mnie jaja”.

W kuchni rozlewała do filiżanek świeżo zaparzoną kawę zmęczona, umalowana blondyna w wieku pobalzakowskim. Miała okrągłą twarz i papierosa w zębach.

– Wiedziałam – stwierdziła. – Gdzieś ty się podziewał, Pe?

– Cały czas rozstrzeliwałem więźniów politycznych – Gusiew usiadł bez zaproszenia i skinieniem głowy wskazał Waluszkowi drugie krzesło. – Siadaj.

– Niechże pan siada, młody człowieku – gospodyni nie odrywając się od swojego zajęcia podsunęła Waluszkowi krzesło nogą. – Czyli już nie jesteś w rezerwie, Pe. No, no...

– Owszem, znów mam zajęcie. Maju Zacharowna, raczy pani poznać: Aleksiej Waluszek, agent specjalny, postrach przestępców. Okrutnik, co samym wyglądem zwala z nóg i wybija zęby. Pierwszego dnia w pracy obezwładnił trzech przyjezdnych bandziorów. Następnie osiadł na laurach i już od miesiąca kijem gruchy obja...

Straszny człowiek agent specjalny westchnął ponuro i opuścił głowę. Haniebną historię, jaka przydarzyła mu się w łaźni, do tej pory wspominał ze wstydem.

– Maja – przedstawiła się zwięźle kobieta. – To nic, Aleksieju, przyzwyczai się pan. Wasz kolega Pe Gusiew ma paskudny zwyczaj przypominania każdemu o jego potknięciach i błędach, i robi to przy każdej sprzyjającej okazji. Chłopcy, posiedźcie chwilę sami, zaraz wracam...

Ustawivszy filiżanki na tacy wyniosła kawę w głąb „redakcji”.

– Co to jest? – scenicznym szeptem zapytał Waluszek.

– To gazeta „Echo Moskwy” – takim samym szeptem odpowiedział mu Gusiew. – I jego wydawca.

– Aaaa... – Waluszek kiwnął głową, przypominając sobie wszystko, co wiedział o sprawie. „Echo Moskwy”, gazeta która stała się pełnomocną następczynią zamkniętej niegdyś radiostacji, swego czasu istotnie wychodziła nielegalnie. Teraz sprzedawano ją spod lady, choć nikt szczególnie się z tym nie ukrywał.

– I jak ona... ono... – Waluszek wykonał nieokreślony gest dłonią w powietrzu.

– Poprzednia redakcja wyjechała w całości, kiedy otworzono granice. A Maja została i proszę – pracuje. Ma na przedmieściu maleńką fabryczkę – robi tam jednorazowe zapalniczki, czy coś w tym guście, i cały dochód przeznaczna na utrzymanie gazety. Agencja na początku ją straszyla, ale potem dała sobie siana...

– Ty ją straszyles? – przerwał Waluszek dumny ze swojej domyślności.

– Nieee, coś ty? Ja bym się nawet chyba nie zgodził. Chyba. Tutaj Myszkin dzwonił bronią. Albo Daniła. No, ogólnie rzecz biorąc któryś z weteranów. Ale wtedy z góry przyszło polecenie, zostawić i zapomnieć. Rządowi już wtedy potrzebna była jakaś przyzwoita antyrządowa gazetka. Adziś jest po prostu niezbędna. Myślę, że na dniach ich w ogóle zalegalizują. Nadciąga czas swobody, wolności słowa, mój stary. I innych swobód także. Na przykład sumienia. A przy okazji, jak tam u ciebie z sumieniem, Loszka?

– O co ci chodzi? – Waluszek podejrzliwie łypnął okiem na Gusiewa. Pytanie zabrzmiało dość ostro. I towarzyszyło mu przenikliwe, zimne spojrzenie.

– Żartowałem – Gusiew błyskawicznie powrócił do poprzedniej pozy i spojrzenia, rozluźnionych i można by rzec, domowych. Oparłszy łokcie o poręcz krzesła, założył nogę na nogę, i całym sobą dawał do zrozumienia, że czuje się tu dobrze i przytulnie. – Wyluzuj, stary. Jeżeli nie masz wrażenia, że z twoim sumieniem jest coś nie w porządku, czyli wszystko z nim w porządku. Ciekawe, czy ty w zasadzie potrzebujesz wolności sumienia?

– Co masz na myśli?

– Doskonale pytanie. Maju – zwrócił się Gusiew do gospodyni, która właśnie wróciła z pustą tacą – wyjaśnij nam, ludziom prostym i ubogim duchem, co to takiego, ta wolność sumienia.

– A po co ci to? – odcięła się Maja. – Ty przecież nie masz sumienia, Pe.

– Ja?! W życiu! Nic bardziej błędnego! Za każdym razem, kiedy jakiegoś szlachetnego dysydenta wykończę gdzieś pod bezimienną ścianą zimnej katowni, całą noc nie mogę potem usnąć. Oczami wyobraźni nieustannie widzę jego ostatnie, surowe i bezkompromisowe spojrzenie, którym przeciwnik faszystowskiego reżimu na wylot przesywa moją nędzną duszyczkę rządowego kata i oprawcy...

– Gusiew, nie zmyślaj! – przerwała mu Maja. – Czyś ty choć raz w życiu kogoś

rozstrzelał?

– Tak mówisz, jakbyś nie wiedziała – nadał się Gusiew. – Oczywiście, że nikogo nie rozstrzelałem. Mam niestety nieodpowiedni układ nerwowy i psychikę. Z natury nie jestem oprawcą, ale szeryfem. I w ogóle, o ile dobrze pamiętam, karę śmierci w Związku zniesiono sześć lat temu. Jak tylko nastał nowy porządek, od razu ją zniesiono.

Maja ponownie nastawiła ekspres do kawy, zapaliła kolejnego papierosa i usiadła naprzeciwko Gusiewa, uważnie mu się przyglądając.

– Zmęczylesz się, Paszka – stwierdziła. – Żarty masz płaskie i sam jakiś taki jesteś... Jakbyś wpadł pod walec.

– Jeszcze nie wpadłem, ale się do tego szykuję. Nadciąga ten walec, jest coraz bliżej. No dobra – klepnął po ramieniu Waluszka – przedstawiam ci tego tu młodzieńca. Trzeba go kochać i hołubić. Nowa generacja brakarzy. Rycerz bez skazy i strachu. Jak do tej pory ani jednego, ani drugiego nie zaobserwowano. Oni wszyscy jak jeden są normalni psychicznie, znakomicie zaadaptowani społecznie i gotowi złożyć głowę na ołtarzu wspólnego dobra.

Waluszek skrzywił się i strzepnął dłoń Gusiewa ze swego ramienia. Teraz jego Maja poddała obserwacji. Patrzyła nań, jakby był pod mikroskopem.

– I wielu ich jest – ciągnął Gusiew. – Powiedziałbym, aż za wielu.

– Ilu? – zapytała Maja. Waluszek już zamierzał kopnąć Gusiewa pod stołem, ale się rozmyślił. Z jednej strony niby przyszedł tu jako gość, z drugiej zaś Gusiew wedle instrukcji wciąż pozostawał jego przewodnikiem.

– Na jednego naszego co najmniej półtora do dwóch.

„Nasi, to starzy, weterani – domyślił się Waluszek. – Ale skąd Gusiew ma taką informację? A może po prostu łże?” Maja ponownie spojrzała z uwagą na Waluszka. – I co ty o tym myślisz, młodzieńcze? – zapytała. Pytanie było tak niespodziewane, że Waluszek drgnął.

– O czym?

– O tym, komu i do czego aż tylu was potrzeba?

– Nie mam pojęcia – odparł szczerze Waluszek.

– A ty co powiesz, Pe?

– Nic nie powiem. Łyknę sobie twojej wspaniałej kawusi i pójdę dalej służyć ukochanej ojczyźnie.

Maja rozgniotła papierosa o dno popielniczki i straszliwie się rozkaszała.

– Nie oszukuj się, że to astma – uprzedził ją Gusiew.

– Dzięki za pocieszenie. – Maja wstała i wyjęła z szafy dwie filiżanki. – Posłuchaj, co to była za historia w tej restauracji? No, kiedy zastrzelono tego drania Szackiego? Nie byłeś tam przypadkiem?

– Tajemnica służbowa – oznajmił z dumą Gusiew. – Ale wedle źródeł ściśle tajnych...

– Ależ oczywiście, ściśle tajnych.



– Wypełniając sekretne zadanie poległ bohaterską śmiercią nieetatowy współpracownik MSW.

– Ach tak...

– Można powiedzieć, że złożył głowę na ołtarzu...

– Powtarzasz się, Pe. O tym ołtarzu już było.

Waluszek popijał kawę, która w istocie okazała się znakomitą, i czekał na rozwój wydarzeń. W powietrzu wisiało lekkie napięcie – Gusiew nie przeciągał sytuacji bez powodu: czekał na coś lub na kogoś. I gotów był to oczekiwanie okupić gadaniną na bardzo poufne tematy. Choć w ogóle statystyka aktualnej Wybrakówki była jawną, każdy mógł ją znaleźć na internetowej stronie Agencji, lub w informacyjnym miesięczniku ASB. Ta reguła obowiązywała od niepamiętnych czasów, Waluszek sam zobaczył po raz pierwszy grube tomiszcze zatytułowane „Agencja Społecznego Bezpieczeństwa. Raport miesięczny” kiedy skończył dwadzieścia lat. Księga robiła wrażenie. I wtedy pomyślał: „Cholera, zaczęło się. Nikt nie wierzył, a jednak się zaczęło. Nie było nawet nadziei, a tu – masz...” I słuchy, jakie to były wspaniałe słuchy, a jak zaskakująco szybko się potwierdziły... Bywało, jeszcze za sowieckich czasów, że zatwardziali recydywiści uprzedzali przed wyjściem na wolność siedzących z nimi kumpli z ferajny – czekajcie, niedługo wrócę, nie mam tam niczego do roboty. I rzeczywiście ledwo wyszli za bramę napadali na pierwszy sklep. Ale kiedy zaczęła się masowa Wybrakówka, trzeba było z obozów kopniakami wyrzucać tych, którzy do tej pory tylko spali i kombinowali, jak by tu się na wolności zakręcić. Stare złodziejskie wygi, zatwardziali bandyci, którzy w życiu palcem o palec uczciwie nie stuknęli, błagali, żeby zrobić z nimi cokolwiek, byle ich nie wysłać za bramę. Bali się. Po raz pierwszy w życiu poznawali prawdziwy strach.

Przecież te właśnie miesięczniki docierały bez przeszkód i do każdego obozu. Zacytane do ostatniej strony nieubłaganie przypominały: następne przestępstwo będzie twoim ostatnim. Złodziej, bandyta, gwałcieciel czy morderca mógł sobie oczywiście tymi stronami choćby podtrzeć dupę. Ale nie dało się zetrzeć z nich imion i nazwisk ludzi, których znał jako złodziejów, bandytów, gwałciecieli czy morderców. Ludzi, których głośno i publicznie nazywano w nich wrogami narodu, potworami niegodnymi miana człowieka. Uznawano ich za takich oficjalnie i tępiono jak robactwo, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się przestępczości.

Gusiew i Maja rozmawiali o jakichś filmach, a Waluszek pogrążył się we wspomnieniach. Ocknął się dopiero wtedy, kiedy trzasnęły wejściowe drzwi i niemal od razu na progu kuchni pojawił się młody człowiek o subtelnie rzeźbionej, szczupłej twarzy i figurze atlety.

– Ciż sami i Wania! – ucieszył się Gusiew.

– Tenże sam i gestapo! – odpowiedział nienaturalnie szeroko uśmiechnięty Iwan. Widać było, że nie znosi Gusiewa, a i Waluszek od razu poczuł się jakoś nieswojo – zapragnął wyjąć

i odbezpieczyć igielnik. Alergia młodzieńca rozciągała się najwyraźniej na całą Wybrakówkę bez wyboru.

– Zgadłeś – stwierdził Gusiew obojętnie. – Nie inaczej. A jaki gestapowiec wydaje ci się bardziej sympatyczny: grany przez Broniewa, czy Hauera? Wybieraj, mogę i tak, i tak. Co prawda ty Hauera nie widziałeś, ten film ścięła cenzura.

– Najbardziej odpychającego gestapowca gra Gusiew – odciął się młody człowiek. – Gusiew ma chyba do tego talent. Czego ode mnie chcecie, towarzyszu starszy pełnomocniku?

– A skąd ci przyszedł do głowy pomysł, że przyszedłem po twoją duszę? – widać było, że Gusiew nieźle się bawi. – Co, zgwałciłeś kogoś ostatnio? Na zabójstwo masz za miękkie jaja, ale przemoc seksualna...

Młody człowiek pobałdł z wściekłości.

– To wszystko przez sport – stwierdził Gusiew pouczająco. – Aktualna moda na zdrowy tryb życia prowadzi do tego, że młodzież zbyt wiele czasu poświęca na kulturę fizyczną. Gdyby zamiast tego jurni chłopcy zajmowali się onanizmem, krzywa przestępstw seksualnych znacznie by się obniżyła. Popatrzcie tylko, jakie sobie muskuły wyhodował... ciekawe, wszędzie masz takie?

– Czego chcecie, Gusiew? – syknął Iwan.

– Wania! – prawie krzyknęła Maja. – Uspokój się!

– O właśnie – poparł ją Gusiew. – Uspokój się i usiądź. Napij się kawki.

Iwan, sapiąc niczym rozjuszony byk przecisnął się obok Waluszka i usiadł przy Mai, położywszy na stole zaciśnięte pięści o niemal białych knykciach. Maja naląła mu filiżankę i młodzieniec kurczowo przypiął się do napoju.

– A teraz mi powiedz, dlaczego z taką niecierpliwością czekasz na wybrakówkę – zaproponował mu Gusiew.

– Odwal się!

– Na razie nikt cię o nic szczególnego nie oskarża. A może już zdążyłeś coś zmalować?

– A idźże w cholere!

– Wania... – Maja wzięła młodzika za rękę, ten jednak natychmiast ją cofnął.

– Zostaw, mamó! – rzucił ostro. – Wiesz, co teraz będzie. Dobry i miły wujaszek Pasza zacznie mi wygłaszać pouczenie.

– Aha! – kiwnął głową Gusiew.

– A ja go nie będę słuchać! Zrozumieście mnie, Gusiew?

– Ojo-joj!

– Nie będę i koniec!

– Będiesz, Wania – odpowiedział Gusiew, który nagle przemówił głosem człowieka absolutnie przeświadczonego o swojej racji. – Będiesz, i to jeszcze jak! Dlatego, mój drogi, żeś troszeczkę się zagalopował w swoim pragnieniu dotarcia do prawdy absolutnej. Pomyliłeś się, Wania. Miałeś prawdę pod nosem, ale ją ominąłeś i wdepnąłeś w okrutne łgarstwa.

– Chcecie powiedzieć, że nic się nie zdarzyło?! – eksplodował wreszcie Iwan. – Że nikt w samym środku Saratowa nie ostrzelał z automatu tramwaju pełnego ludzi? Że nie było dziesięciu zabitych i czternastu rannych?

Waluszek otworzył oczy i wbił zdumione spojrzenie w Gusiewa. O niczym takim nie słyszał. Nie było w tym zresztą nic dziwnego – o takich rzeczach nie mówi się w telewizji. Nikt w ogóle o takich rzeczach nie pisał. Oprócz jednej gazety, „Echa Moskwy”, dla którego każde wydarzenie kryminalne to świetny temat. Głównym zadaniem „Echa” było udowadnianie, że Wybrakówka nie daje sobie rady ze swoją robotą.

– Owszem, wszystko to miało miejsce – stwierdził Gusiew. – A czy wiesz, kto strzelał?.

– Brakarz. Stuknięty brakarz. Taki sam psychol, jak wy wszyscy.

– Wania! – Maja najwyraźniej próbowała powstrzymać młodzieńca, ale tego już poniosło.

– I wy chcecie, żebym o tym nie pisał! – krzyczał Iwan. Krzyczał tak głośno, że za ścianami ucichł stukot klawiszów i gwar głosów. – Rzuciliście cały kraj na kolana! Wypędziliście z niego wszystkich normalnych ludzi! A pozostałych przekształciliście w bydło, które tylko żre i się pieprzy! A teraz już wam odbija, bo nie macie kogo mordować! I chcecie, żebym milczał?! No dalej, zamknijcie mi gębę! Mam to gdzieś, numer jest już na ulicach! Dalej, wygłaszaj swojego „ptaszka”, faszysto!

Nachyliwszy się nad stołem ku Gusiewowi Iwan ryczał coś niezrozumiałego o oprawcach i sadystach, a Waluszek ukradkiem rozpiął kaburę igielnika. Gusiew zaś tylko się krzywił i machał ręką odwróciwszy twarz, jakby chciał powiedzieć, że nie ma powodów do krzyku, bo wszystko doskonale słyszy. Maja targała Iwana za rękaw. Chłopak wreszcie się zmęczył i nastąpiła względna cisza. Gdzieś za ścianą ktoś kaszlnął hałaśliwie i demonstracyjnie, a potem znów rozległ się klekot klawiszy.

– Kto ci powiedział, że to był brakarz? – zapytał Gusiew, wycierając twarz chusteczką do nosa – Iwan niemal zapluł rozmówcę na śmierć.

– A wy oczywiście nie wiecie, kto to był? – łagodnie zapytał Iwan. Jego głos brzmiał tak uprzejmie, że aż obraźliwie.

– Przed godziną jeszcze nie wiedzieliśmy. Jedną chwileczkę. Loszka, daj mi „książkę”.

Waluszek jedną ręką wyciągnął notebook i podał go Gusiewowi. Ten szybko, prawie nie patrząc, podłączył go do transivera, nawiązał łączność i zaczął naciskać klawisze, patrząc uważnie na ekran.

– Nie, Wania, do tej pory nie wiemy – powiedział wreszcie, oddając notebook Waluszkowi.

– Czyli człowiek ze znaczkiem ASB na klapie kurtki rozstrzeluje cały tramwaj, a wy nie wiecie, kto to jest?!

– Wania, nie bądź dzieckiem. Zajmij się lepiej onanizmem, co?

Waluszek niepostrzeżenie wyjął pod stołem igielnik i skrycie wymierzył lufę w Iwana. Był święcie przekonany, że teraz obaj z Gusiewem zostaną brutalnie pobici taboretami. W

ciasnej kuchni nie za bardzo można się było zamachnąć, Maja zresztą z pewnością chwyciłaby chłopaka za ręce, ale Iwan wyglądał na zbyt silnego, żeby się z nim certować. Waluszek zdążył już sobie wbić do głowy pierwszą zasadę brakarzy – nigdy nie strzelaj bez potrzeby, ale zawsze strzelaj pierwszy. Przekonał się o jej prawdziwości na własnej skórze.

– Wania, wiesz przecież, że on nigdy nie kłamie – powiedziała Maja. Iwan zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem, po którym każda dobra matka otworzyłaby drzwi na oścież i wlepiła synowi pożegnalny policzek. Ale Maja nie była dobrą matką – była z pewnością bardzo dobrą matką. Waluszek spostrzegł przy okazji, że syn zupełnie do niej nie był podobny. „Idę o zakład, że jest synem adoptowanym, a jego prawdziwych rodziców wybrakowano – pomyślał. – Wygląda na melodramat, ale niby dlaczego nie? Tak czy owak, Agencja mieszała się do losów milionów ludzi. Załatwiliśmy co dwudziestego. My. I ja też. Teraz już ja też”.

– Iwan, od dawna ryjesz pod ASB – stwierdził Gusiew bardzo spokojnym głosem. – Wiesz też doskonale, że ja mam w Agencji... eee... szczególną pozycję. Mam swoje kanały informacji i tak dalej. Przy okazji godzi się zauważyć, że właśnie dlatego, przyjacielu, znosisz moje zainteresowanie... pracą waszego wydawnictwa. Ośmielę się też przypomnieć, że wciąż jeszcze nie do końca legalnego. Znosisz mnie, Wania, nie zaprzeczaj. I oto teraz ja chcę cię zapewnić – żadnego z naszych nie brakuje. Zrozumiałeś?

– A na jakiej podstawie, Gusiew, doszłście do wniosku, że ja wam nie wierzę? – zwoźniczo łagodnym głosem zapytał Wania.

– Taa... – zaciągnął Gusiew.

– No właśnie. Spróbujmy na chwilkę założyć, że wasze osławione poufne informacje przechodzą przez filtr. Tam, na górze. Na samej górze. I wy, panie Gusiew, po prostu nie wiecie, co się wyrabia w ubóstwianej przez was Agencji. Nie, nie... – Iwan otwartą dłonią powstrzymał zjadliwą replikę, która lada moment powinna była sfrunąć z wykrzywionych pogardliwie warg brakarza. – Nie jestem aż tak zarozumiały w stosunku do „Echa”, żeby uważać, że ten filtr ustawiono ze względu na nas. Wam też mogą mącić w głowie. Właśnie z powodu waszego szczególnego statusu, którym się tak pysznicie, towarzyszu starszy pełnomocniku.

– Rad jestem, że się uspokoiłeś – stwierdził cicho Gusiew. – Bardziej mnie to cieszy, niż fakt, że nie chcesz słuchać moich argumentów.

– To był brakarz – stwierdził ostrym tonem Iwan. – Udowodnijcie, że nie.

– Złapiemy go, to udowodnimy.

– Och, jak już człowieka złapiecie, to możecie udowodnić, co tylko zechcecie.

– Wiesz, Wania, chemia nie kłamie. „Serum prawdy” wynaleziono dostatecznie dawno, żeby nie wątpić w jego skuteczność.

– Zeznania przeciwko sobie samemu, nawet złożone pod działaniem środków psychotropowych...

– Przyjacielu, o tym to sobie możesz mówić na spotkaniach grupy helsińskiej. Możesz nawet krzyżeć. Istnieje prawo, które mówi: przyznałeś się – to pogódź się z konsekwencjami. Właśnie dlatego ASB nie stosuje tortur ani grózb. Takie metody nie są nam do niczego potrzebne, musimy mieć informację w stu procentach dokładną. Oto dlaczego prawie nie popełniamy błędów.

– Prawie... – Iwan uśmiechnął się krzywo. – Bardzo dobre słowo. Prawie. Rozciągliwe. Zresztą, panie Gusiew, może pan sobie wyobrażać, co tylko pan zechce. Ale ja wam mówię – poczekajcie. Wypadek w Saratowie, to tylko pierwszy dzwonek ostrzegawczy. ASB do tego stopnia przesycona jest przemocą, że zaczyna ją już wylewać na ulice. Niech pan poczeka, Gusiew. Jeszcze będzie pan musiał polować na swoich. Będziecie jeszcze zabijali jeden drugiego. A ja się wtedy będę śmiał. Przez łzy, ale będę się śmiał. Rzeczywiście jesteście tacy ślepi, panie Gusiew? Oczywiście, zawsze uważałem was za mordercę, i teraz też tak myślę, wstręt mnie bierze, gdy siedzę z wami przy jednym stole, ale mimo wszystko... Pan chociaż jest w jakimś sensie godnym przeciwnikiem, a nie durnym psycholem, jak pozostali inkwizytorzy. Niczego pan nie widzi?

Waluszek niepostrzeżenie schował igielnik i popatrzył na Gusiewa. „Wylewać przemoc na ulice...” Przypomniawszy sobie scenę, która na zawsze utkwiała mu w pamięci – przestraszony złodziejasek i Gusiew z garścią drobnych w ręku...

A Gusiew znów się uśmiechnął. Tym razem był to bardzo smutny uśmiech.

– Chciałbym zakończyć rozmowę dość nieoczekiwanym zwrotem – oznajmił.

Iwan spojrzał nań ze zdziwieniem i pytaniem w oczach. Spodziewał się dyskusji, sporu... Ale przeciwnik już przejął inicjatywę. Gusiew uciął rozmowę nie tylko tematycznie, ale i genialnie zmienił intonację.

– Opowiem ci, Wania, jedną krótką historyjkę. Nie marszcz nosa, nie jest to bynajmniej historyjka pouczająca. Być może słyszałeś jakieś tam jej fragmenty. Ale nawet wewnątrz Agencji niewielu ją zna całą i bez zniekształceń. Można?

– Noooo... – Iwan pokręcił głową w niezbyt określonym geście.

– Pe, napijesz się jeszcze kawy? – wtrąciła Maja z wyraźną ulgą w głosie.

– Nie, dziękuję, zaraz sobie pójdziemy. Więc tak... to nie jest nawet historia człowieka. Powiedziałbym raczej, że to historia pewnej koncepcji.

Za ścianą znów zapadła pełna napięcia cisza – wyglądało na to, że tam też wszyscy zamienili się w słuch.

– Miałem przyjaciela o nazwisku Pasza Ptaszkin – zaczął Gusiew. – Chłopak, że do rany przyłóż, spokojny, domator, wzruszająco zakochany w swojej żonie, krótko mówiąc, prawie ideał. Z wykształcenia był socjologiem. Pracował na państwowej posiadzie w jakimś tajemniczym instytucie badań strategicznych. Ważne jest to o tyle tylko, że idee Paszki znajdowały zastosowanie. Więc znaliśmy się od dzieciństwa i często się spotykaliśmy – głównie po to, żeby wypić i pogadać od serca. I zawsze zdumiewała mnie i ujmowała jedna

cecha charakteru Paszki – był zadziwiająco dobronuduszy. Ja, na przykład, jestem zły z natury i ze wszystkich sił staram się tej swojej wewnętrznej wrogości nie wypuszczać na zewnątrz... No, dobrze, Iwanie, nie śmiej się. A mój imiennik przeciwnie, w ogóle jakby nie zauważał okrucieństwa i surowości naszego świata. Pewnie dlatego, że był wielki i bardzo silny – mniej więcej tak jak ty, Wania. I pewny, że każdego drania rozgniecie o paznokcie. Co zresztą mu się udawało – pamiętam jak raz chcieli nas pobić, więc nawet nie zdążyłem mrugnąć okiem, a przeciwnik już zniknął za horyzontem. I raz przydarzyła się temu najłagodniejszemu z ludzi taka... eee... jakby to łagodnie powiedzieć... Przydarzyło mu się coś, czego najgorszemu wrogowi się nie życzy. Jechali nocą po mieście z żoną, nikogo nie zaczepiali i nagle ni z tego, ni z owego w samochód Paszki wpakował się z tyłu jeep, nabity naćpanymi bandziorami. Najpewniej były to jakieś drobne płotki, zwykli trzeciorzędni mordobije, którzy chcieli się wykazać. Ale sam wiesz, co z człowiekiem robi narkotyk...

– Nie mam pojęcia – pokręcił głową Iwan.

Gusiew zerknął nań taksująco jednym okiem.

– A wiesz, wierzę ci – kiwnął głową. – Takie szczegóły mogłyby ci zburzyć starannie wypracowany wizerunek świata. Nie mógłbyś wtedy tak zaciekle występować przeciwko wybrakówce narkotykowych dealerów. Chrystusiku ty nasz...

– Pe, tego już za dużo! – uniosła się Maja. – Czemu ty go tak...

– Przecież niedobry człowiek jestem – wyjaśnił Gusiew bez cienia uśmiechu. – Dobrze, darujemy sobie sądowe przepychanki. Ale tym, co chcieliby wiedzieć, wyjaśnijmy, że każdy narkotyk w mniejszym lub większym stopniu usuwa hamulce podświadomości. Tylko że wódki do tego trzeba wiele i padniesz jak kawka, zanim zdążysz tę swoją pozbawioną hamulców podświadomość rozkręcić jak należy i dać nią bliźniemu swemu po mordzie. Ale na przykład haszysz, żeby otworzyć się w całej swojej pierwotnej krasie potrzeba bardzo niewiele, tyle co nic. A bandyci, którzy wjechali w Pawła, byli już w odpowiednim nastroju. I zaczęli się spierać, ile Paweł jest im winien za podrapanego „Kangura”. A Paweł popełnił poważny błąd. Rozumiesz, dali mu po mordzie, żeby się nie stawiał i poznał swoje miejsce w szyku. A on, taki wielki i silny, obraził się. I zaczął tych bandziorów rozstawiać po kątach. Tylko że nie wziął pod uwagę, że – po pierwsze – jest ich pięciu i – po drugie, nie znajdowali się w centrum miasta, ale w jakiejś dzielnicy sypialnej i w dodatku na skraju lasu. Jakoś się nie domyślił. Bywa. Ostatecznie pracował w tajnym departamencie, ale nie jako agent operacyjny, tylko jako badacz, a zresztą był okularnikiem, który nawet w wojsku nie służył. Dokładnie tak samo, jak ty, Iwan. Masz chyba jakiś wrzód, prawda? Do wojska cię nie mogą wziąć, boby ci to zaszkodziło... A w ogóle, Wania, kiedy ostatni raz cię pobili? Tak żeby nie była to bójka, ale solidne, pełnowartościowe mordobicie?

– Wam by się to spodobało, panie Gusiew – uśmiechnął się miło Iwan. – Rozumiem. Ale niechże pan będzie tak dobry i kontynuuj.

– Tak, żeby wszystko wewnątrz się skręcało i krzyczało: „Za co?!” – Gusiew z

rozmarzeniem spojrzał w sufit. – I nogami cię, nogami... i żebyś wstał, zalany łzami i krwią jako całkowicie inny człowiek. Całkowicie inny, Wania.

– A was często bili, towarzyszu starszy pełnomocniku? – tak samo przyjaźnie jak przedtem zapytał Iwan.

– Bywało – odpowiedział Gusiew. – Przykro mi rzec, ale bili. Paskudne to wrażenie, Wania, kiedy cię biją, a ty niczego nie możesz zrobić. Jeżeli umyślnie pozwalasz się bić, tak żeby nie zabili – to inna sprawa. Zakrwawiony, zalany łzami, przeżywasz przecież moment triumfu – udało się, uszedłeś z życiem, przechrztyłeś przeciwnika. Ale bywa, że cię stłuką, a ty leżysz i myślisz: powiesić się, czy co?

Maja westchnęła ciężko, odebrała Gusiewowi filiżankę i nalała do niej kawy. Gusiew podziękował jej, kiwając głową.

– Więc tak – odezwał się po chwili milczenia. – Wróćmy do mojego imiennika. Zaczął się z nimi bić. Z wozu wyskoczyła jego żona – chciała mediować. Źle się wybrała, bo Paszcze już zdążyli rozpruć nożem bok, rozwalić mu kolano gazurką, a potem tą samą gazurką złamali mu rękę. Bandyci zaciągnęli oboje do lasu, przywiązali Pawła do drzewa i szybciotko na jego oczach zgwałcili mu żonę. Potem oboje dostali na odchodne kilka razy nożem. Żona umarła, a Paweł wyżył.

– Znaleźli ich potem? – zapytała Maja. – Tych bandytów?

– Nie.

– Jak to – nie?!

– Po prostu, nie dało się ustalić, co to byli za jedni. Samochód ukradziony, a twarzy Paweł nawet nie zapamiętał – za ciemno było. Tamci zresztą najpewniej jak tylko oprzytomnieli, dali w długą. A Paweł dość długo nie mógł mówić... w ogóle miał ogromne szczęście. Oczywiście, o ile można w tym wypadku mówić o szczęściu. Przeżyć coś takiego... brrrr! Leżał przykuty do łóżka i przez cały czas coś pisał w notebooku. Zaczął, jak tylko odzyskał na tyle sił, żeby ruszać ręką. Przychodziłem do niego i rozmawialiśmy... Nie, to nie był człowiek zdeptany przez los. Pozostał dawnym Pawłem, ale coś w nim zasadniczo się zmieniło. Zaczął inaczej widzieć niektóre sprawy. Ogólnie rzeczy biorąc, leżał, pisał i strasznie się męczył, ponieważ chyłkiem ukrywał pod materacem tabletki przeciwbólowe, żeby potem, po zakończeniu pracy się otruć. I tak jakoś wyszło, że okazałem się chyba ostatnim człowiekiem, który widział go żywego. Zaszedłem do niego na chwilę, a on wyglądał jak człowiek ogromnie znużony, ale i jakiś taki rozświetlony od wewnątrz, jakby przeżył katharsis. Jakby zdołał odepchnąć od siebie pamięć o nieszczęściu. Zobaczyłem, że jest gotów. Wiedziałem, że lada dzień skończy z sobą, albo po prostu po cichutku umrze. Utwierdziłem się w tym przekonaniu, kiedy dał mi dyskietkę i odebrał ode mnie przysięgę, że będę jej strzegł, ale przejrzę dopiero po jego śmierci, nie wcześniej. Oczywiście powiedziałem, że kiedy on umrze, to napędu do odczytywania trzycalowych dyskietek trzeba będzie na dalekiej prowincji ze świecą szukać. Ale on się tylko uśmiechnął. Pożegnaliśmy się

i wyszedłem. A on wyjął zebrane tabletki i zjadł je wszystkie.

– Gdybyś się domyślił... – zaczęła Maja.

– Hm... nie zrobiłbym niczego, choćbym był pewien i na sto procent.

– Dlaczego?!

– Przypomnij sobie, z kim rozmawiasz – uśmiechnął się jadowicie Iwan.

– Widzisz, Maju... – Gusiew łyknął kawy i przetarł dłonią oczy. Miał zmęczony wygląd, jakby opowiadając tę historię mocno się zestarzał. – W zasadzie człowiek nie ma prawa do samobójstwa. Bóg tego zakazuje, a zresztą to wyjście dla mięczaka albo wariata. Ale bywają wydarzenia szczególne. Przydarzają się. I Paszy Ptaszkinowi coś takiego akurat się wydarzyło. Dla mnie stało się to jasne, kiedy przejrzałem zawartość dyskietki. Widzisz, Paszka nie był szczególnie uzdolniony, i w zwykłym rozumieniu nawet nie był za mądry życiowo. Ale był doskonale poinformowany. Doskonale mógł zaobserwować pewne procesy na szczytach władzy, które w ciągu kilku najbliższych miesięcy powinny znaleźć swoje rozwiązanie. Brakowało tylko koncepcji, dobrze sformułowanej idei, żeby te procesy mogły uzyskać, powiedzmy, bazę ideologiczną. Brakowało dźwięcznego słowa, które można byłoby rzucić ludziom w twarz.

– Zrozumiałem – na wargach Iwana znów zakwitł jadowity uśmieszek. – Mówisz o źródłach „Styczniowego Puczu”.

– No nie, jak zwykle wszystko upraszczasz. Pucz musiał nadejść. Co więcej, nie mógł się nie udać. Ale jego następstwa okazały się takimi... jakimi się okazały właśnie z powodu opracowania Paszy.

– Oddaliście dyskietkę ojcu, który zachwyił się jej treścią i ją rozpowszechnił! – wyglądało na to, że Iwan lada moment zacznie chichotać.

Oszołomiony wiadomościami Waluszek popatrzył na Gusiewa. A Gusiew znów się uśmiechał.

– A po co? Myślę, że Paweł sam rozesłał tekst po sieci, gdzie trzeba. A ja w ogóle nikomu jej nie pokazałem. Co więcej, ja ją zniszczyłem. Ale co nieco zapamiętałem na zawsze. Na przykład oryginalny tekst „ptaszka”. Zaczynał się od słów „Macie prawo umrzeć”.

– Ptaszkin! Oczywiście! – westchnęła porażona domysłem Maja.

– To był mój ostatni obowiązek wobec imiennika – kiwnął głową Gusiew. – Nikt z obywateli nie wie, że „Teorię Przemocy Nadrzędnej” i główne zasady Wybrakówki opracował właśnie on. Ja myślę, że on nawet zakładał, iż jego imię przepadnie w odmętach Lety<sup>15</sup>. Ale Paweł strasznie chciał się zemścić na tych łajdakach. I osiągnął swoje, co prawda w dość niezwykły sposób. A ja zadbałem o to, żeby choć pośrednią drogą się dowiedzieli, kto się z nimi rozlicza i komu zawdzięczają swoją sytuację. Kiedy wasz pokorny sługa zaczął pracować w Wybrakówce, „ptaszka” nazywano rozmaicie. Jedni „ostatnim słowem”, inni

---

15 - Leto - według wierzeń starożytnych Greków, rzeka w Hadesie, której woda obdarza dusze zmarłych łaską zapomnienia.



„modlitwą”. A ja opowiedziałem chłopakom historię Pawła Ptaszki. Co szczególnie ciekawe – nic mi z tego powodu nie zrobiono.

– Tatuś was osłonił – wtrącił Iwan. Ciągłe jeszcze usiłował odepchnąć od siebie nieodparte wnioski z historii, którą przed chwila usłyszał.

– Wania, ty mnie z kimś mylisz – Gusiew zewnętrznie zachował obojętność, ale w jego głosie zgrzytnęło coś ledwo słyszalnie. – Mój ojciec umarł wiele lat przed puczem. I nawet choćby miał takie wpływy, o jakie go posądzasz...

– Chwileczkę! – Mina Iwana wyrażała teraz zdziwienie i niedowierzanie. Waluszek po raz pierwszy od początku rozmowy ujrzał Iwana zbitego z pantałyku. Historia Ptaszki zupełnie go nie poruszyła. – Więc wy nie jesteście TYM Gusiewem?

– W ogóle nie jestem Gusiewem – stwierdził Gusiew. – I Pawłem też nie jestem.

Nie wiadomo dlaczego, Iwan zerknął na Waluszkę.

– A idźcie do diabła, towarzyszu Nie-Gusiew... – poradził. – Idźcie w cholerę z waszymi bajkami i z waszą nieskończoną grą.

– A pewnie, że pójde – Gusiew wstał, więc Waluszek także się podniósł. – Maju, dziękuję za kawę. Jeszcze się zobaczymy. A z tobą Wania, mam nadzieję, widzieliśmy się po raz ostatni...

– Co to ma znaczyć? – zapytała cicho Maja. Jej twarz nagle jakby się zapadła w głąb samej siebie.

– Maju Zacharowna, on niczego nie zrozumiał. On chyba w ogóle nie rozumie, w jakim kraju żyje. O czym mam z nim rozmawiać?

– Gusiew!!! – głos Mai załamał się w krzyku.

– Jesteś w Rosji, chłopcze – powiedział Gusiew patrząc Iwanowi prosto w oczy i nie zwracając uwagi na innych. – Pomyśl o tym, w jakiejś wolnej chwili. Przypomnij sobie historię tego kraju. Postaraj się znaleźć choć jakiś maleńki kontakt z jej pulsem. A jak nie wyjdzie, to posłuchaj mojej rady – wal do tego twojego Izraela i nigdy tu nie wracaj.

– A co, Iwan jest Żydem? – zapytał Waluszek, gdy wsiedli obaj z Gusiewem do samochodu i przewodnik zapalił z widoczną ulgą.

– Skąd ci się to wzięło? – zdziwił się Gusiew.

– No, sam powiedziałeś – wal do tego swojego Izraela...

– A-aaa... Nie, to tylko tak. Szpileczka i tyle. Wańka sądzi, że ja nie wiem, jakim on jest zajadłym antysemitą. Czytałeś taką broszurkę: „Kremłowskie Gwiazdy Syjonu”? Nie? To nie czytaj. Jego robota. Myśli, że w Agencji o tym nie wiedzą. Ha! I popatrz, robi za Europejczyka, obrońcę praw człowieka... S-smarkacz... Z przyjemnością bym go stuknęła przy zatrzymaniu, tylko Mai mi żal.

– Tylko tak mówisz, żeby parę z kotła spuścić – stwierdził Waluszek z przekonaniem w głosie. – Przecież ja cię znam, Gusiew. Chociaż okazuje się, że wcale nie jesteś Gusiew.

– Ależ jestem, jestem, wyluzuj stary. Oczywiście, nie jestem krewnym TEGO Gusiewa.

W tym Iwan się przeliczył. Co ponownie nam pokazuje, jaki z niego bałwan i jak mu daleko do prawdziwego profesjonalisty.

– A może i Ptaszka nie było? Posłuchaj, przewodniku, zechciej ty mnie uprzedzić, kiedy ci można wierzyć, a kiedy nie.

Gusiew odwrócił się do Waluszka i mocno wziął w ręce klapy jego kurtki.

– Kiedy mówię do ciebie, wierz w każde słowo – powiedział prawie tonem rozkazu. – A kiedy rozmawiam z potencjalnym brakiem, nie wierz niczemu. Zadowolona cię taki układ?

– A owszem. Więc był Ptaszka, czy nie?

– Siadaj ty, przyjacielu, za kółkiem – uciął Gusiew. – Pora jechać do pracy.

Zamienili się miejscami. Waluszek przekręcił kluczyk. Gusiew palił, milczał i patrzył w okno. Odezwał się dopiero, kiedy samochód zajechał na parking na dziedzińcu biur Centralnego.

– Naprawdę nazywał się Lebediew – powiedział. – Paweł Leonidowicz Lebediew. Taaak... Lebediew<sup>16</sup>, Ptaszka, wielkiej różnicy nie ma. I jeden i drugi... mają skrzydełka. Jak komuś powiesz – zabiję.

---

16 - *Lebed'* - (ros) łabędź.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Taki układ – połączenie miłości i strachu – jak najbardziej odpowiadał Vladowi. Ten, kogo się boją i jednocześnie kochają, bez trudu zbierze całą armię.

Znajdująca się w piwnicy strzelnica grzmiała teraz głosami Daniły i Myszkin.

– To nie moje trafienie! – krzyczał Myszkin, potrząsając w powietrzu podziurawioną płachtą tarczy. – To ty, gadzie zezowaty, powiedzmy, mi ją podstrzełeś!

– No, powiedz jeszcze, że umyślnie!

– A-aaa... pewnie, że umyślnie!

– Przecież mamy policzone naboje, bałwanie! Sam je liczyłeś!

– Ja pewnie, powiedzmy, liczyłem! A ktoś tam, powiedzmy, jeszcze się grzebał, coś mu nie pasowało, powiedzmy!

Gusiew ostrożnie wcisnął się pomiędzy obu drągali.

– Może wezwiecie bezstronnego sędziego? – zapytał. – Akurat jestem. Taksa po szklance od ryła. Będę sędzić surowo, ale sprawiedliwie.

– O! – twarz Daniłowa rozluźnił uśmiech. – Cześć, Pe. No, dostałeś tego swojego Szackiego? Winszuję!

Myszkin z rozdrażnieniem odrzucił tarczę w bok.

– Pe, on znów muchy mi wsadza w tarczę – poskarżył się. – Wpakował mi kulę, w samą, powiedzmy, „bieliznę”.

– Nie w samą i nie w bieliznę. Piękna siódemka. Albo szóstka. Wyluzuj stary, bywa...

– A co, mam go obszukiwać, czy jak? Skąd nam wiedzieć, czy przypadkiem dodatkowego naboju w dupie nie chowa?

– Liczyłeś moje wystrzały?! – ryknął Daniłow. – Liczyłeś, czy nie?!

– Staaliśmy na pozycji, a on się przymierza... Za duży uchyb, patrzcie go... Dwadzieścia razy bezpiecznikiem szczekał!

– Chłopczy, pół tonu niżej, dobrze? – poprosił instruktor. Rozmawiał przez telefon. – Żona do mnie dzwoni, zlitujcie się...

– A ty mu ile, powiedzmy, nabojów wydałeś?

– Sam wiesz, tyle samo. Myszkin, błagam cię... Co? Masza, przepraszam, mam trening z

domem wariatów...

– Bezczelna, podła i cyniczna wymówka, zasługująca na najsurowsze potępienie! – oznajmił Myszkina. – Krótko mówiąc, Pe, powiedz, że go potępiasz.

– Daniła, ja ciebie surowo potępiam – stwierdził posłusznie Gusiew. – Potępiam cię z góry na dół i znowu do góry. Następnym razem gorzej strzelaj, żeby nie urazić aż tak bardzo kolegi Myszkina.

– Koledze Myszkiniowi po wczorajszym po prostu trzęsą się ręce – odciął się Daniłow. – Najpierw się przetrenował w sali ćwiczeń, a potem przeholował przy stoliku. No nic, bywa...

Myszkina podsunął Daniłowowi pod nos potężną pięść.

– Mogę wycisnąć dwieście kilo – oznajmił – a potem wypić dwa litry. I nie drgnie mi ani jeden paluszek.

– Powiedzmy, krótko mówiąc, znaczy! – upomniał go Gusiew. – Myszkina, ty jak się denerwujesz, za bardzo wychodzisz z siebie. Jak strzelałeś, też się pewnie zdenerwowałeś. Powiedzmy...

Myszkina podrapał się po ciemieniu.

– Naprawdę uważacie, że dałem plamę? – zapytał już zupełnie spokojnie.

– Po prostu byłeś nieco roztargniony – pocieszył go Daniłow. – Miałeś taki jakiś nieobecny wygląd. A zresztą trafiłeś szóstkę. Albo nawet siódmkę.

– Wygląda na to, że bezstronny sędzia nie jest już potrzebny. Więc gdzie moje dwie szklanki? – zapytał Gusiew.

– Dwa psy – rzucił Myszkina. – Daniłę znów posłali, powiedzmy, psu w dupę.

– A ja znów, powiedzmy, się podkręciłem – chrząknął Daniłow. – A ten tu, sławny rosyjski bohater z bylin...

– A ja mówię – czego w mordę ryczysz na cały wydział? Niezły trening w strzelaniu do ruchomych celów. No i krótko mówiąc, sam się podłożyłem. A ten, cholera, przebiegły Alosza Popowicz<sup>17</sup>, świsnął dodatkowy nabój...

– Znów dwadzieścia pięć!

– Krótko mówiąc, znów mam poprowadzić grupę na psy – ponuro zakończył Myszkina. – W tym tygodniu. Nie dość że grafik, powiedzmy, diabli biorą...

– Daj spokój, masz bardzo posłuszną grupę – pocieszył go Daniłow, w którego oczach igrały podejrzenie wesołe błyski.

– Posłuszna jest, nie można powiedzieć... – westchnął Myszkina. Podniósłszy swoją tarczę wbił w nią ponure spojrzenie. – Boże, ale obciach! Daniła, Daniła... Może jeszcze raziczek?

– Takiego wała! – uciął Daniłow, momentalnie wracając do tonu poprzedniej uszczypliwości. – Jak się posrałeś, to poczekaj, aż odpadnie! Nie umiesz, to wciągnij z powrotem. Przywykaj – wszystko mija...

– Chłopaki, a ja mam przecież do was sprawę – stwierdził Gusiew. – Macie jakieś

---

<sup>17</sup> - Alosza Popowicz (syn popa) - sławny z przebiegłości (no, a czym syn popa miałby się wstawiać?) bohater ruskich bylin.

pomysły w sprawie prowokacji saratowskiej?

Instruktor, który jak przedtem wtulał ucho w słuchawkę, nagle zastrzygł ku nim drugim z uszu.

– Jakie pomysły? – zapytał Daniłow. – Jak złapać skurwysyna? Zero pomysłów. Komu to wygodne? Wszystkim, nie wyłączając mentów.

– To sprawka dysydentów – wymamrotał Myszkina wtykając palec w nieszczęsną dziurkę w płachcie tarczy. – Jakiś, powiedzmy, stuknięty obrońca praw człowieka... wcześniej nie notowany.

– A skąd wziął automat?

– Kupił u bandziorów – Myszkina wyjął palec z tarczy i ponownie cisnął ją z pogardą pod nogi.

– A kto posprząta? – zapytał instruktor. – Nie, Masza, to nie do ciebie...

– Skąd w Saratowie bandyci z automatami?

– Jak w wierszu – uśmiechnął się Myszkina. – Po Saratowie sobie chodzą machając automatem...

– Co to za słowo: „machając”? – skrzywił się Gusiew. – A poza tym obrońcy praw człowieka nie są aż tak stuknięci, żeby posuwać się do podobnych prowokacji.

– Obrońcy praw człowieka zawsze są stuknięci – oznajmił kategorycznie Daniłow. – Po co miałby zwykły obywatel stawać w obronie praw, które i tak są przestrzegane?

– A co ty właściwie wiesz o tych prawach? – zapytał Gusiew podejrzanie łagodnym głosem.

– Przecież on je, powiedzmy, stosuje na co dzień – wtrącił Myszkina. – Prawo do stawiania oporu, prawo do nieodpowiadania na pytania...

– A idźciez wy w chuj! – obraził się Daniłow.

– Myszkina, pozbieraj tarcze i połóż je do skrzyni – przypomniał strzelcom instruktor, który wreszcie odłożył słuchawkę.

– A jak się już o prawach zgadało, to powiem wam, że prawo do stawiania oporu jest piękną rzeczą. Słowo honoru! Tylko trzeba by je rozszerzyć. Mnie na przykład natychmiast i bez zwłoki potrzebne jest prawo do stawiania oporu teściowej. Z zastosowaniem broni palnej włącznie.

– Pajac – stwierdził Daniłow. – Błazen. Gusiew, posłuchaj, czego ci potrzeba? Gotów jestem z tobą tu i teraz się założyć, że ten przypadek nie będzie przedmiotem dochodzenia. Co prawda, nie ma o co się zakładać, jesteś bez grupy i nie masz kogo napuszczać na psy.

– Sam nie wiem, czego mi potrzeba – westchnął Gusiew.

– Baby ci trzeba – mruknął Myszkina wciskając zmięte tarcze do skrzyni na śmieci. – Jak to mówią, wszystko minie, jak ręką odją!

– Mam babę! – odciął się Gusiew. – I znów jakąś, powiedzmy, jednorazówkę. Daniłow zarżał, a instruktor wydał z siebie marzycielskie westchnienie.

– Wcale nie jednorazowa. Wspaniała guma, nie do zdercia.

Wszyscy trzej rozmówcy wytrzeszczyli na niego oczy.

– Nabraliście się? – zapytał Gusiew bez szczególnej nawet nutki tryumfu w głosie.

– Szlag by was trafił! – warknął instruktor spoglądając na zegarek. – Od pięciu minut mam już przerwę obiadową. Jazda mi stąd! Gusiew, ustaw ich w szyku i wyprowadź. Sami nie potrafią, nogi im się poplączą.

– Zaraz, rozmarzyłem się, powiedzmy – odpowiedział Myszkina. – Majorze Daniłow, przez toaletę zbiórka na ulicy!

– Taaaaest, towarzyszu kapitanie! Można biegiem, towarzyszu kapitanie?

– Zezwalam. Idziesz, Pe?

– Zaraz was dogonię – kiwnął im głową Gusiew, kierując się ku stolikowi instruktora. Ten, nie zadając zbędnych pytań, przysunął sobie dziennik.

– Czego chcecie, towarzyszu? – zapytał. – Pompkę, wibrator, imitator fallusa? Mamy wspaniałą rozrusznik analny. Stymuluje bezpośrednio prostatę. Towar z przemytu, spod serca sobie wyrywam. Posłuchaj, Pe, ty naprawdę śpisz z gumową babą?

– Naprawdę.

Instruktor pochylił głowę i niemal przez minutę patrzył uważnie na Gusiewa spode łba. Gusiew z nieprzeniknioną miną czekał na dalsze pytania.

– Łżesz – zakonkludował instruktor. – I jak to jest?

– Tak samo jak z jednorazową.

– A ja bym nawet z jednorazową... Gusiew, bądź człowiekiem. Podrzucić jakiś numer telefonu... A lepiej i ze dwa.

– One nigdy nie zostawiają telefonów, pewnie uznają mnie za niezbyt zabawowego człowieka.

– Szkoda – westchnął instruktor. – Więc co chcesz?

– Paczkę przeciwpancernych.

Instruktor ponownie obrzucił Gusiewa taksującym spojrzeniem.

– Poza dokumentacją. Z zapasowych – rzekł Gusiew półgłosem.

Instruktor odwrócił wzrok i zabębnił palcami po dzienniku.

– I żeby mi żaden drań nie wyniuchał – dobił go Gusiew. – Wiem, że nie jesteś gadatliwy. Ale uprzedzam po przyjaźni.

– Nie jestem gadatliwy. Nikt nie jest, dopóki nie przyjdzie po niego dochodzeniowy ze szprycą w dłoni. A wtedy co mam zrobić?

– Źle mnie zrozumiałeś – uśmiechnął się Gusiew. – Dziwne, niby siedzisz w takim miejscu, gdzie trafiają wszystkie słuchy, a zrozumiałeś mnie źle... Wiesz ilu młodych przeszło przez kursy przygotowawcze w zeszłym miesiącu?

– Od groma – kiwnął głową instruktor. – Nawet się zastanawiałem, gdzie ich podzieją?

– No właśnie. I wszyscy młodzi, żaden nie przekroczył trzydziestki. Zupełnie inni ludzie,

wcale do nas niepodobni. Głuptaki. Plastyczni, jak...

– Twój jest chyba inny – stwierdził instruktor z powątpiewaniem.

– Prawie, choć nie do końca. Może właśnie dlatego puścili go na trasę. Ilu do Centralnego przyszło rekrutów? Trzech, czterech? A gdzie pozostali? Kto ich teraz uczy, gdzie – i najważniejsze pytanie: czego ich uczy?

– Może ich wysłali na prowincję?

– Mieszkańców Moskwy?

– Więc co, uważasz, że nastawiają ich przeciwko nam?

– Istnieje i taka możliwość – odpowiedział Gusiew, uchylając się od wyraźnej odpowiedzi.

Instruktor wytrzeszczył nań oczy, z wysiłkiem przełknął ślinę i umilkł na długo.

– Odebrałeś mi apetyt na obiad – burknął wreszcie.

– Dawaj naboje, to sobie pójdę.

– Kurczę, przecież nie przełknę przez ciebie ani kęsa! I co proponujesz w tej sytuacji, Gusiew?

– Proponuję wydać pełnomocnikowi Gusiewowi paczkę naboje przebijających standardowy kombinezon. Dla siebie też weź.

– A pozostałym? Co, myślisz, że mam cały skład specjalnej amunicji? Gusiew, całkiem ci odbiło! Jesteś pewien? Co robić? Może dać drapaka?

– Dokąd?

– Donikąd – instruktor pokręcił głową ze skruchą. – O Boże, po kiego grzyba zostałem wtedy czekistą? A ślusarka to taki piękny zawód!

– Ślusarzy też brakowano – przypomniał mu Gusiew. – We dwóch ich brakowaliśmy. No to co, dasz w końcu te naboje?

– Dla wszystkich nie wystarczy... – jęknął instruktor. – Nawet po dziesięć na łeb nie wyjdzie. I nie ma skąd ukraść. Gusiew, jakże to tak? Naprawdę jesteś pewien? Domyślasz się tylko, czy już wiesz na pewno? Co, ojczym cię uprzedził? No powiedzże coś, Gusiew!

– Przestań kwękać – zgasił go Gusiew. – Na razie nie wiem nic pewnego. Ale mam bardzo złe przeczucia. I będę znacznie spokojniejszy, jeżeli dostanę choć paczkę solidnych naboje. Jak coś się zacznie, to zimą. Podczas mrozu łatwiej nas będzie wyławiać. Jest sporo czasu, żeby prysnąć do Afryki.

– Do zimy jeszcze daleko... – instruktor podejrzliwie zmrużył powieki. – Gusiew, jak chcesz to przed tobą uklękę...

– Po co? – zdziwił się Gusiew.

– Jak coś wyniuchasz, daj sygnał. Może ja się czegoś dowiem starymi kanałami? Pryśniemy razem.

– Znaczący, starych kanałów błoto nie pozalepiało? – uśmiechnął się Gusiew. – Chytrusek z ciebie.

- Nikomu ani słowa – uprzedził go instruktor. – Z tamtego świata cię dostanę.
- Chytrusek – powtórzył Gusiew.
- Nie zadają za to głupich pytań. Kto inny mógłby cię zagadnąć, czegoż ty sam się tak boisz... Pawle Aleksandrowiczu Gusiew.
- To nie zadawaj.
- Nie będę – instruktor znów zerknął na zegarek. – Idziesz dzisiaj?
- Owszem, na nockę.
- Zajrzyj przed wyjściem. Przecież tu ich nie trzymam. I nie gap się tak na mnie. Jeszcze nie wykopałem podziemnego korytarza do twojej ukochanej Afryki.
- A szkoda – odpowiedział poważnie Gusiew.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

...całej ludności kraju były wiadome i bliskie cele, które popchnęły Włada do jego czynów.

– Niczego nie rozumiem – burknął dyżurny, patrząc na monitor operacyjny. – Skąd ja im teraz wezmę wolną trójkę?

Gusiew wetknął głowę w okienko.

– A może dwójka się nada? – zapytał.

Dyżurny podniósł wzrok na Gusiewa i natychmiast się rozpromienił.

– Pe, ratuj człowieku! Potrzebna pomoc. Tu niedaleko, na Nowym Arbacie, jakiś samobójca rozsiadł się w oknie. Czeka, skurczybyk, aż tłumek większy się zbierze. A potem, powiada, skoczy.

– Znamy takich – machnął ręką Gusiew. – Nie skoczy. Szczególnie, jeżeli będzie wielu widzów.

– Pe, przecież nie jestem dzieciakiem. Ale akurat w samym centrum miasta zbiegowisko nam niepotrzebne. A ten bałwan zwiesił nogi z parapetu i śpiewa świńskie kuplety. Najgorsze, że nie wiadomo, co to za jeden. Włazł po prostu do niewielkiego biura, złapał za taboret, wypędził personel i zamknął się od środka. Drzwi stalowe, z zamkiem trzeba się będzie nabiedzić, a jak on usłyszy i mimo wszystko skoczy?

– Gdzie to jest?

Dyżurny odwrócił monitor w stronę Gusiewa.

– Ciekawe, jak się dostał do budynku? – mruknął Gusiew, patrząc na schemat. – Albo ochrona go przegapiła, albo tam pracuje.

Waluszek wspiął się na palce i zajrzał przez ramię przewodnika. Gusiew przesunął się w bok, by umożliwić podwładnemu zerknięcie na ekran.

– W tym budynku jest bez mała setka biur, nie zdążymy po prostu sprawdzić, kim on jest. Wysłałem na wszelki wypadek „karawan” i psychologa.

– Psycholog tu na nic. Kiedy on będzie rozmawiał z klientem, na bezpłatny spektakl zbiegnie się połowa Moskwy.

– A ty co proponujesz?

– Z przeciwległej strony promenady, o, stąd... Tak, z tego balkonu można go strącić kulą do środka. A potem ratownicy mogą się bawić z drzwiami, ile będzie trzeba. Potrzebny będzie tylko karabin snajperski z tłumikiem.

– Aha! – wykrzyknął dyżurny. – Doskonały pomysł. Fantastycznie! Ale jeżeli... – nagle się zająknął. – Mmmm...

– Przecież to wybrakówka jak złoto – stwierdził Gusiew. – Co, może nie?

– Możliwe – niepewnym głosem odpowiedział dyżurny, zwracając się ponownie ku monitorom kamer obserwacyjnych i przekładając jakieś dzwignie. – A jeżeli ten baran jest jakąś fiszą? Ty go stukniesz, a okaże się, że on ma grubego, ważnego tatusia.

– No to niech sam kombinuje, czemu jego synek postanowił pożegnać się z życiem. A przy okazji wywołał zamieszanie w samym centrum miasta.

– Mmmm... tam w dole stoją menty, nie pozwalają ludziom na gromadzenie się przed biurowcem. Ale w sumie pomysł jest niezły. Przejdź się tam, Gusiew, co? Załatw problem.

– A co ja mogę zrobić? Tym bardziej, że psycholog jest już na miejscu. Dobrze mówię, Loszka?

– Uhhh... – przytaknął Waluszek.

– Sam przecież proponowałeś...

– Co proponowałem?

– Gusiew, nie mąc w głowie dyżurnemu oddziału – poprosił dyżurny. – Ty wpadłeś na pomysł, żeby go strącić? No to bierz rurę i szoruj na miejsce. Rozejrzysz się w sytuacji, porozumiesz się z psychologiem i ocenisz, jaka jest szansa, podejmiesz decyzję i potem mi zameldujesz.

– Ale przecież snajperów zredukowali...

– Snajperów owszem, ale ich karabiny – nie. A tam jest ze sto metrów. Z takiego dystansu nawet ja trafię.

– Ależ ja w życiu nie strzelałem z karabinu do celu!

– A twój partner to co? Nie jest przypadkiem biathlonistą?

Gusiew spojrział na Waluszka. Ten zagryzł wargi i jakoś tak niewyraźnie przewrócił oczami.

– Pełnomocniku Waluszek! – odezwał się dyżurny, szczękając klawiszami. – Zadanie jasne? Posłałem już zapotrzebowanie do zbrojowni. Biegnijcie po zestaw.

– No cóż, biegnij, Loszka – potwierdził Gusiew.

– Zasadniczo miałem tę broń w ręce... – zaczął Waluszek. – Ale...

– Chłopcze, nie utrudniaj! – ponaglił go dyżurny. – Trzeba się pospieszyć, zanim ten palant sam nie spadnie i nie zrobi nam wypadku nadzwyczajnego! Zapiisałem go już Gusiewowi na brak.

Waluszek rozłożył ręce i poszedł umyślnie markotnym krokiem.

– Tak właśnie trzeba – oznajmił dyżurny.

– Dureń jesteś, Korniejew – stwierdził Gusiew.

– Jeżeli twój prowadzony jest taki miłosierny, możesz strzelać sam – zgodził się łaskawie dyżurny. – Tylko nie próbuj mi mydlić oczu, że klient siedzi niezbyt dogodnie, że może wypaść na ulicę i takie tam. Doskonale go widzę: siedzi, że trudno lepiej. Jedna kula i po zawodach. A przy okazji, ten spektakl trwa już dziesięć minut, nie wyrabiamy się w regulaminowym czasie. Tak czy siak, dostanę opieprz, a wszystko przez ciebie...

– Czort mnie podkusił, żeby tu zajrzeć...

– I tak bym cię znalazł. Wiedziałem, że kto jak kto, ale ty z pewnością wymyślisz coś chytrego.

– Przecież ta sztuczka ma ze sto lat! Każdy by...

– Gusiew, może już masz dość tej roboty? – zwodniczo łagodnie zapytał dyżurny. – Powiedz tylko, a ja zanotuję...

– I napiszesz meldunek?

– Ależ oczywiście! No, gdzie ten twój nowicjusz ugrzązł? Zachorował na niedźwiedzią chorobę, czy jak?

Ze schodów wiodących do piwnicy rozległ się odgłos kroków i pokazał się Waluszek z długim futerałem pod pachą. Gusiew wetknął głowę w okienko dyżurki i kiwnięciem palca poprosił Korniejewa, żeby przysunął się bliżej. Dyżurny nachylił się ze słodką miną.

– Nie tykaj mojego nowicjusza, jasne? – syknął Gusiew. – Bo nawet się nie obejrzysz, jak sam zachorujesz.

Korniejew uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Grozisz dyżurnemu na służbie? – zapytał. – Zwracasz się do niego nieregulaminowo? Ha! Zmiatajcie stąd obaj! Bo podzielicie się przyszłą naganą. Zapiszę w meldunku, jak się ze mną spieraliście!

Gusiew warknął wściekle, ale wycofał się z okienka.

– Chodźmy, Loszka – powiedział. – Zrobimy rzeź niewiniątek w imię postępu ludzkości.

Kiedy dwójka Gusiewa znikła za drzwiami, odezwał się milczący do tej pory pomocnik dyżurnego:

– Co mu odbiło? – zapytał. – Najpierw sam zaproponował, a potem się wycofał. Też mi brakarz...

Korniejew wyjął z kieszeni niewielki kozik i zaczął czyścić paznokcie.

– Trzeba by go wylać ze służby – rzucił przez ramię. – Albo w ogóle wybrakować. Widziałeś, jakie ma oczy? Paskudny typ. Raz go już zresztą wylali. Ale wrócił.

– Jak to? – zdziwił się pomocnik.

– W przeciwieństwie do wielu innych, Gusiew ma wielkiego, ważnego tatusia – stwierdził Korniejew. – Nie cierpię typa... Wyjechali?

– Owszem. Zapisać czas wyjazdu?

Korniejew zamknął kozik i wsunął go do kieszeni.

– Zapisz mu czas zgodny ze zgłoszeniem. Pomocnik spojrział na niego ze zdziwieniem we wzroku.

– W Wybrakówce problemy rozwiązuje się inaczej – stwierdził Korniejew, odwracając się do monitorów i kierując jedną z miejskich kamer obserwacyjnych tak, żeby widzieć balkon, z którego miał strzelać Gusiew. – Ucz się, synku...

– A... – uśmiechnął się pomocnik. – W razie konfliktu wy po prostu wzajemnie się zabijacie.

Korniejew spojrział na niego przez ramię i skrzywił się pogardliwie.

– Już nie – powiedział. – Zbyt mało nas zostało.

Wysławszy Waluszka na balkon, Gusiew zaparkował samochód, biegiem skoczył ku przejściu i po kilku chwilach znalazł się po drugiej stronie prospektu. Uliczne głośniki zachłystywały się radosną muzyką, skutecznie zagłuszając wrzaski kandydata na samobójcę. Gapiów zresztą nie było, i tylko niektórzy milicjanci w mundurach ukradkowo popatrywali ku górze.

„Karawan” stał na podwórku, a obok zatrzymało się kilka znajomych samochodów – widać było, że przyjechał dochodzeniowy z „grupą wsparcia”. Gusiew westchnął z ulgą – na terenie akcji pojawił się przełożony, który w razie czego weźmie na siebie odpowiedzialność za podjęte decyzje.

Za stołem w westybulu budynku starannie sprawdzał przepustki jakiś nieznany Gusiewowi drażal ze znaczkiem ASB, a obok niego przestępowali z nogi na nogę trzej wiekowi emeryci w mundurach. Gusiew doskonale znał ten typ ludzi – elitarni ochroniarze, całe życie na służbie. Ochronią wszystko i wszystkich – byle tylko dać im możliwości ochrony. Takie same niedobite mamuty stały przy wszystkich drzwiach Centralnego Szpitala Klinicznego, gdzie od czasu do czasu wylegiwał się ojciec Gusiewa, i oczywiście wszystkim robili straszliwe formalne trudności. Wierne psy wartownicze, zajadłe i uparte, potrafią tylko sprawdzać papiery i nikogo nie wpuszczać – ale w tym są znakomici. Teraz mieli gęby powyciągane bardziej niż zwykle, czym zupełnie się upodobnili do dobermanów.

Gusiew od dzieciństwa miał porachunki z takimi właśnie ochroniarzami i serdecznie ich nienawidził.

– No co, stare pierdziele! – krzyknął radośnie niemal od drzwi. – Urządziliście nam tu wypadek nadzwyczajny?

Brakarz na chwilę oderwał się od papierów, kiwnięciem głowy przywitał Gusiewa i burknął:

– Wszystkich trzech rozstrzelamy w pizdu!

I ponownie zajął się swoimi sprawami. Najpewniej także doskonale znał takich starych przyków i bardzo ich nie lubił.

– Towarzyszu... – cienkim głosem zapiszczał jeden z emerytów, rzucając się do Gusiewa

i niemal wieszając mu się na ramieniu. – Towarzyszu...

Z biura przepustek wyszedł jeszcze jeden brakarz z grupą i mocno steraną księgą dyżurów w rękę.

– Stać! – rozkazał. – Marsz pod ścianę!

Gusiew pogardliwie odepchnął starucha i przeszedł do wind, zostawiając za sobą stłumione jęki, chwytanie się za serce i wywracanie oczami. „Jeszcze chwila i któryś z tych mamutów dostanie zawału! – pomyślał z wredną uciechą o dowcipnisiach z grupy wsparcia. – Boże, jakie to szczęście, że te dziadygi z żelazobetonu już niedługo powyzdychają. A my takimi się nie staniemy. Po pierwsze dlatego, że nie dożyjemy ich wieku. Po drugie – jesteśmy inni. Po prostu nie znaleźliśmy tego potwornego porządku społecznego, który zdławił godność ludzką minionego pokolenia. A terażniejszy porządek, cokolwiek by o nim mówić, nie niszczy ludzkiej godności. Co najwyżej może cię zabić”.

W korytarzu na czternastym piętrze zgromadzili się ratownicy, milicjanci i brakarze.

– Ej! – niezbyt głośno krzyknął Gusiew. – Kto tu dowodzi?

Z tłumu wynurzył się facet w drogim garniturze i z wyraźnym niedostatkiem włosów na głowie, trzymający w ręce standardowy transiver z wyposażenia ASB.

– To wy jesteście Gusiew? Miło mi poznać. Łapin, śledczy państwowy drugiego stopnia.

– Jakie są rozkazy, dowódcu? – zapytał Gusiew. – Powiadomiono cię, co zamierzamy zrobić?

– Owszem, powiedział mi dyżurny. Wasz snajper jest już na pozycji?

– Zaraz się dowiem. Panowie... – zwrócił się Gusiew do ratowników – czy któryś z was nie zechciałby mi pożyczyć na chwilę lornetki? I skąd tu można wyrzucić na zewnątrz?

– Skąd zechcecie, byle nie z pokoju, w którym pracuje psycholog.

– Typ wisi brzuchem na parapecie – wyjaśnił rosły ratownik, podając Gusiewowi coś w rodzaju lunetki optycznego celownika.

– Nie próbowaliście go zaczepić jakąś pętlą – zapytał Gusiew. – Może lasso?

– Przycisnął nogi do ściany. Zaczepimy o but i po zawodach. Ale nasz niedźwiednik<sup>18</sup> prawie uporał się z zamkiem. Jedno szcęknięcie – i gotowe. Ale... ten pedryl usłyszysz, jak nic usłyszysz i skoczy. Już takich widzieliśmy...

Gusiew kiwnął głową i wszedł w pierwsze otwarte drzwi. Wyjął transiver i odszukał kanał wewnętrznej łączności dwójki.

– Loszka, jesteś na miejscu?

– Gotowe – odparł Waluszek.

Gusiew spojrział przez okno. Waluszka nie było widać na umówionym balkonie – ktoś tylko otworzył drzwi do wnętrza mieszkania. „Zuch – pomyślał Gusiew, podnosząc do oka lunetę. – Mądrała”.

I rzeczywiście – Waluszek znalazł sobie miejsce w głębi, nawet lufa karabinu nie

---

18 - Niedźwiednik - specjalista od otwierania rozmaitych Zamków (ros. kmina)

wystawała na zewnątrz.

– Bardzo dobrze, Loszka – pochwalił go Gusiew. – Na razie tylko siedź tam i czekaj na rozkaz. Jak samopoczucie?

– Normalne, doskonale widzę klienta. Tylko nie za bardzo mi wygląda na psychola.

– Najważniejsze, żeby wpadł do środka, a tam już nasi go wezmą. Ej, Loszka, nie pomyliło ci się przypadkiem?! W sąsiednim oknie jest nasz psycholog.

– A psycholog akurat wygląda na kompletnie stukniętego.

– Waluszek! – stęknął Gusiew. – W którym oknie masz klienta?

– No, w lewym z mojej strony... co jest, za durnia mnie uważasz, czy co?

Gusiew westchnął z ulgą. Ale nagle coś go jakby kolnęło pod sercem.

Okazuje się, że nie bardzo miał ochotę na wydawanie Waluszkowi rozkazu strzelania do człowieka, którego jedyną winą było to, że zamierzał skończyć ze sobą wobec większej widowni.

„Ciekawe, kogo mi bardziej żal – tego psychola, czy Waluszka? Nie, oczywiście, Loszki”.

– Siedź i czekaj na rozkaz – polecił i wyszedł na korytarz. A tam akurat jakoś się przetarło – Gusiew ledwo zdążył oddać lunetę ratownikowi. Ludzie w niebieskich kurtkach z żółtymi pasami szybko się wycofywali, ciągnąc za sobą swój osprzęt. Na korytarzu został tylko jeden – spec od zamków.

– Łapin! – krzyknął Gusiew. – Mój człowiek jest na miejscu, widzi klienta, gotów jest do strzału.

– Pozwalam – machnął ręką śledczy.

– Chwileczkę! – zdziwił się Gusiew. – A podstawa?

Śledczy nieco się nachmurzył.

– Według mnie, nie musicie tego wiedzieć. Wystarczy ustny rozkaz dowódcy akcji.

– A ja uważam, że jest zupełnie inaczej. Nie widzę konieczności stosowania rozwiązań siłowych. Na dole nikogo nie ma, klient nikomu nie przeszkadza. Co mówi psycholog? Jaka jest wasza decyzja?

– Gusiew, proszę się uspokoić. Ustaliliśmy tożsamość klienta. Klasyczny brak, możecie strzelać.

– Towarzyszu śledczy państwowy! – zachnął się Gusiew. – Proszę o pozwolenie na przyjrzenie się klientowi.

Łapin obejrzał się na chłopców z grupy wsparcia, jakby szukając u nich pomocy. Ale członkowie tej grupy, sądząc z ich zachowań i min, co nieco już słyszeli o brakarzu Gusiewie z Centralnego, natomiast podejrzanie młody śledczy Łapin jakoś nie zdobył sobie ich zaufania.

– W przeciwnym razie – nalegał Gusiew – będę zmuszony poprosić o bezpośrednie polecenie dyżurnego operacyjnego i szefa dziennej zmiany, oraz poproszę, żeby uwzględnili

moje obiekcje w dzienniku służby.

– No to proszę, idźcie i popatrzcie sobie – wzruszył ramionami śledczy. – Tylko się pośpieszcie.

Psycholog akurat zsunął się z parapetu.

– Co powiecie? – zapytał Gusiew.

– Do ziemi nie doleci, gruchnie na przybudówkę – oznajmił psycholog. – Chyba że rozpędzi się od samych drzwi.

– I to właśnie omawialiście z nim przez pół godziny?

– Oczywiście.

Gusiew chrząknięciem zamaskował wzbierającą w nim falę rozdrażnienia i podejrzeń.

– A co, nie jesteście zorientowani? – zdziwił się psycholog. – A-aaa... Ogólnie rzecz biorąc, klient liczy na to, że rozpozna go ktoś ze stojących na dole. Sam się zapędził w sytuację bez wyjścia. Na asfalt nie zeskoczy, za drzwi nie wyjdzie...

– Co to, przedszkole jakieś, czy co?! Więc chce się zabić, czy nie?

– Nie, oczywiście, że nie. Histeria już mu przeszła, a poza tym w zasadzie jest normalny. I na domiar wszystkiego boi się wysokości. Przypomniał sobie, że się boi, jak otrzeźwiał. Ale negocjacje go nie urządzają. Powiada, że albo wszyscy pójda precz, albo wyskoczy.

– A da się go jakoś ugłaskać?

– Za kilka godzin – owszem. Już niedługo zacznie go trochę łamać, wtedy będzie bardziej potulny.

– Narkoman? – zdziwił się Gusiew.

– Na razie łagodne stadium. Ale bierze, choć niewiele.

– Rozkazano mi go zastrzelić – rzekł Gusiew, zniżając głos do niemal szeptu.

– Niezły pomysł. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Zresztą... sami popatrzcie, co to za jeden.

Gusiew odprowadził odchodzącego psychologa oszołomionym spojrzeniem i podszedł do okna. Wysunął głowę... i oniemiał.

Na sąsiednim parapecie palił papierosa i patrzył na ulicę wzrokiem zaszczutego psa szef biura prasowego Rady Najwyższej.

– Dima... – odezwał się Gusiew. – Co się stało?

Przerażony Dima poderwał się, tracąc równowagę tak, że niewiele brakło, a runąłby w dół, zamachał nogami, upuścił niedopałek i ostatecznie zwałił się w głąb mieszkania, przewracając chyba jakiś mebel, bo Gusiewa doszedł rumor.

Gusiew głośno odetchnął. Teraz otworzą się drzwi, do pomieszczenia wpadnie grupa wsparcia, a brakarz Gusiew pójdzie spokojnie na piwo.

Niestety, nie stało się nic podobnego. Gusiew wyskoczył na korytarz. Wszyscy stali bez ruchu i gapili się na niego.

– Co wy, kurczę... – zaczął, ale natychmiast się rozmyślił i ponownie kopnął się w głąb

opuszczonego przed sekundą pokoju, wyciągając w biegu igielnik. Łapin coś tam za nim krzyknął, ale Gusiewa już to nie interesowało. Zajął pozycję. I jak tylko w prześwicie okna pokazała się noga, którą przekładano przez okno, trzykrotnie nacisnął spust.

Noga znieruchomiała na sekundę, a potem bezwładnie opadła na parapet, a w sąsiednim pokoju znów rozległ się łoskot. Gusiew schował broń i wyjął transiver. W sąsiednim pomieszczeniu otworzono drzwi i wokół postrzelonego klienta zaczął się ruch.

– Aleksiej, schodź do samochodu. Koncert odwołany.

– Chwacko go załatwiłeś! Jak to wyszło?

– Zejdź do samochodu. – Gusiew przyczepił aparat do pasa i nagle przyłapał się na chęci otworzenia kabury „beretty” przed wyjściem na korytarz.

– Będziecie mieli bardzo, bardzo wielkie nieprzyjemności – usłyszał głos Łapina.

– Zamknij się, leszczu – odpowiedział ze znużeniem w głosie. – Wszelkiego rodzaju nieprzyjemności mam już za sobą.

Odsunął ramieniem stojącego bez ruchu śledczego, wyszedł z pokoju i nie oglądając się za siebie ruszył ku windzie.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Trudno sobie wyobrazić, co działo się w duszy niezwykle ponurego jak na swój wiek dwunastoletniego chłopca, który widywał to każdego dnia. Z pewnością to właśnie chłopięce, splukane rzekami krwi, lata Władza przekształciły go w psychicznego kalekę.

Przy wejściu na Nowodiewiczy<sup>19</sup> dość niespodzianie zrobiło się tłoczno. Za czarnymi „Wołgami” i szerokimi plecami ochroniarzy niemal nikał długi, rządowy ZIŁ.

Gusiew wprowadził „dwudziestkę siódmkę” na trotuar. Do samochodu natychmiast podbiegł jakiś typ w garniturze i pod krawatem, który wymachiwał rękoma – spadajcie stąd, nie wolno. Gusiew wysiadł i zamknął drzwi.

– Samochód zostawcie bez nadzoru – rzucił nadbiegającemu ochroniarzowi. Ten, zaskoczony, zamrugał oczami.

– Ty co, nowy jesteś? – Gusiew uśmiechnął się ze współczuciem, zdejmując swoją oznakę i odwracając ją rewersem, na którym wygrawerowano nazwisko, numer osobisty i osadzono miniaturowe zdjęcie. – Kto tu jest? Litwinow?

– N-nieeee – wymamrotał ochroniarz, przenosząc spojrzenie z twarzy Gusiewa na fotografię i z powrotem. – Gusiew przyjechał.

– No to tym bardziej zejdź mi z drogi – poradził mu Gusiew, ponownie wpinając znaczek w kurtkę na piersi.

– Tak, niech pan przejdzie... Proszę bardzo.

Następni ochroniarze Gusiewa już nie zatrzymywali. Szybkim krokiem wszedł na cmentarz i znaną sobie trasą ruszył pomiędzy kwatery. Spotykani tu i ówdzie ludzie w garniturach go nie ruszali, a niektórzy nawet pozdrawiali go z daleka kiwnięciami głowy.

Za ogrodzeniem jednego z grobów na wąskiej ławeczce przysiadł starszy, tęgi mężczyzna w czarnym płaszczu. Gusiew bezceremonialnie odepchnął na bok szefa ochrony i zatrzymał się w przejściu otwartej furtki.

Tęgi mężczyzna z trudem odwrócił głowę.

– Witaj, Pasza – powiedział. Na jego surowej twarzy pojawiło się coś na kształt

---

19 - Cmentarz Nowodiewiczy - jeden z moskiewskich cmentarzy.

uśmiechu. – Nie spodziewałem się. Dawnośmy nie... Odwiedzasz, znaczy. To dobrze.

– Ja wiem, co mam tu robić – wycedził Gusiew przez zęby. – A wy? Tak się grzechu nie odkupi. Należy palić świece i walić czołem o ziemię. Ale tak... jesteście ateistą.

– Często tu przychodzę – westchnął starszy mężczyzna. – I niepotrzebnie chcesz mi dopiec, Pasza. Niczemu nie jestem winien.

Gusiew spojrzał na szefa ochrony.

– Cześć, Pe – powiedział ochroniarz. – Jak tam w pracy?

– Spadaj – polecił mu Gusiew. – Musimy się rozmówić.

Starszy mężczyzna przez chwilę się zastanawiał, a potem kiwnął twierdząco głową. Szef ochrony zrobił urażoną minę, odszedł na odległość dziesięciu kroków i zaczął coś mamrotać w swój kołnierz. Gusiew wszedł za ciasne ogrodzenie, poczekał aż starszy się posunie i usiadł obok na ławeczce.

– No dobrze, Aleksandrze Pietrewiczu, zlituję się dziś nad wami i powstrzymam się od oskarżeń. Co było, to było i niczego już nie da się zmienić. Tym bardziej, że tego, co mi opowiedział, jak było naprawdę, kazaliście zlikwidować. Więc i na moim sumieniu leży niewinna ofiara. A teraz interesuje mnie co innego. Co się stało z Dimką Bielowem?

– Naćpał się jakiegoś świństwa, ten twój Dimka. Teraz leży pod kroplówką. Podleczy się, to wróci do pracy. Ja bym go oczywiście nie dopuścił do Kremla na odległość strzału z armaty, ale szkoda mi ojca.

– Nigdy bym się nie domyślił...

– Pawle – przerwał Gusiewowi starszy mężczyzna. – Ty żyjesz w realnym świecie. A twój przyjaciel Dimka widzi go tylko zza okien służbowej limuzyny z osobistym kierowcą. Ty znasz świat i potrafisz nawet na niego wpływać. Bielow – nie. Co więcej, on nigdy by się z tobą nie zamienił miejscami. I to wszystko. To ja wydałem rozkaz wybrakówki Bielowa, jak się dowiedziałem, jaki wyciął numer. Widzę, że to cię nie dziwi. I słusznie. Ty rozkazu nie wykonałeś i uratowałeś Dymitrowi jego kompletnie pustą pałę. Nie odczuwam wobec ciebie szczególnej wdzięczności. To my ustanowiliśmy te prawa i powinniśmy im być posłuszni.

Gusiew wyjął papierosa i zapalił.

– No to wypuście swoje dzieci na wolność – zaproponował. – Żeby nie wariowały. Z powodu braku kontaktu ze światem.

– Pawle, już za późno. Akurat w tym się z tobą zgadzam. Ale już jest za późno. Tylko tobie się udało i to dlatego, że tak zajadle wyrывałeś się z naszego kręgu na zewnątrz. Teraz już rozumiem, do jakiego stopnia miałeś rację. Teraz.

– Nie jestem wasz i wcale mi się nie udało – odciął się Gusiew. – Po prostu wybrałem swoją drogę.

Starszy mężczyzna odwrócił głowę i spróbował zajrzeć Gusiewowi w oczy. Brakarz odwrócił wzrok.

– Pasza, oprócz ciebie nie mam nikogo – stwierdził starszy niezbyt głośno.

– Aleksandrze Pietrewiczu, nigdy mnie nie mieliście. I nigdy nie mówcie, że musicie się podporządkowywać tym prawom, które ustanowiliście. Przecież mógłbym sobie przypomnieć, gdzie pracuję. I przeprowadzić wybrakówkę na miejscu, bez żadnych zgłoszeń i udowadniania winy.

– Pasza, to nie ja zrobiłem. Ta katastrofa była dziełem przypadku. A człowiek, który jakoby otworzył ci oczy, chciał po prostu nas ze sobą poróżnić. Nienawidził mnie i nienawidził ciebie, bo jesteś synem swojego ojca. Przez jakiś czas myślałem, że sam przyłożył rękę do tej katastrofy. Ale okazało się – nie. Pasza, nikt nie jest winien temu, co się stało.

– Nie szukam winnych. Chcę po prostu wiedzieć.

– Byłeś martwy. Nie miałeś twarzy – tylko jedna, wielka rana. Ani jednej całej kości. I żywiliśmy przekonanie, że za śmiercią Lebediewów ktoś stał. Koniecznie trzeba było cię ukryć, czy ty tego nie rozumiesz? Tym bardziej, że już się ukazał oficjalny komunikat o waszej śmierci. A potem, kiedy się wyjaśniło... Tak czy owak, trzeba było podjąć w twojej sprawie jakąś decyzję. Potrzebowałeś opieki. Sam z pewnością nie pamiętasz, jak bardzo.

Gusiew zagryzł wargi.

– I wiesz co... – wymamrotał jego rozmówca. – Nawet teraz, gdybym miał możliwość raz jeszcze przeżyć to wszystko...

– Dziękuję, Aleksandrze Pietrowiczu, za cudze życie – odparł Gusiew patetycznie. – Za cudzą twarz i cudze nazwisko. Za cudzą psychikę i cudze maniery też dziękuję. Chcecie, do nóg wam się pokłonię...

– Możesz nie wierzyć w moje słowa – twarz starszego mężczyzny zmarszczyła się tak, iż można by pomyśleć, że lada moment się rozplacze – ale ja zawsze cię kochałem jak rodzony syna.

– A skąd wiecie, jak się kocha swojego syna?

– Gdybym miał swoje dzieci... I gdybyś ty mnie nie odepchnął, tak okrutnie, tak surowo...

– Okrucieństwo i surowość, to moje drugie imiona – parsknął Gusiew. – A jak się już zgadało o surowości... Kiedy zacznie się odstrzał brakarzy?

– Co? – bardzo naturalnie zdziwił się starszy.

– W najbliższym czasie powinien zostać uruchomiony program likwidacji brakarzy. Interesuje mnie – kiedy to się zacznie. I co ich czeka – kula w łeb, czy tylko dożywotnia katorga?

Starszy mężczyzna spojrzał na Gusiewa nie bez obawy we wzroku.

– Ty czasem nie ten... – zapytał, wymownie uderzając kantem dłoni w szyję. – Nie tego?

– Na razie jestem trzeźwy i jak do tej pory normalny.

– Mmmm... A ja już sobie pomyślałem... Nie, żadnego odstrzału, co ty... W zasadzie dotąd problemu ASB nie rozpatrywano, wszystko jest na etapie wstępnych opracowań. Najpewniej gdzieś tak za rok, dwa, wyprawi się wszystkich na emeryturę.

– No tak, na emeryturę. A młodych też?

– Jakich znowu młodych?

– Tych zwerbowanych całkiem niedawno. Nabór sięgał tysięcy ludzi.

– Pasza, nic mi o tym nie wiadomo. Tysiące, powiadasz? To niemożliwe. Skąd masz takie informacje?

– Moja sprawa to wam o tym wspomnieć. Wasza – zobaczyć, co i jak. Bez zbytniego szumu, co zawsze wychodzi wam znakomicie. Potraficie działać po cichu, prawda. Aleksandrze Pietrowiczu? Samochód zepchnąć na pobocze, człowieka chyłkiem załatwić, chłopakowi dwadzieścia lat oczy mydlić...

– Przecież ci się przyznałem! – prawie krzyknął starszy. – Mógłbym wszystkiemu zaprzeczyć! Ale powiedziałem ci całą prawdę! Nie masz prawa tak do mnie mówić, nie masz prawa!!!

Gusiew bez słowa rzucił niedopałek na sąsiedni grób.

– A ja tobie, mówiąc przy okazji, też mógłbym co nieco przypomnieć – stwierdził starszy, jakby się uspokajając. – Też nie jesteś bez grzechu.

– Ja?! A co ja? Nie ja napisałem „Zarządzenie 102”. Nie ja organizowałem ASB.

– Aleksandrze Pietrowiczu! – zawołał z daleka szef ochrony. – Telefon do was na pierwszej linii... i w ogóle, już późno...

– Przedzwonię...

– Tak jest!

– Znaczy tak, Pawle... – zakonkludował starszy twardym głosem. – Odpowiedziałem na twoje pytania. A teraz pozwól, że dam ci jedną, rzeczową radę.

– A co? – Gusiew zmrużył oczy z wrogością. Od dawna już nie przejmował się radami tego człowieka i nie postępował zgodnie z nimi. Ale też nie odmawiał ich wysłuchania. Szczególnie teraz.

– Rzuć tę cholerną robotę.

– Oho!

– Owszem, rzuć. Napisz raport, zwolnią cię bez zadawania zbędnych pytań. A jak się zwolnisz, od razu przyjdź do mnie. I wtedy porozmawiamy.

– Nie chcę do Meksyku – stwierdził Gusiew. – I do Afryki też nie chcę. Nigdzie stąd nie zamierzam uciekać. Sam kaszy nawarzyłem, sam zjem, ile na mnie przypadnie.

– Idiota – podsumował starszy. Właśnie tak podsumował całą rozmowę. – Nie proponuję ci ucieczki. Po prostu wyjedziesz na pewien czas. Tu się szykuje pewna sprawa... Krótko mówiąc, nie chcę, żeby mnie szantażowano. Tobą, twoim życiem. Chcę odebrać komuś dodatkowy atut.

– Tym bardziej nie wyjadę! – ucieszył się Gusiew.

Starszy mężczyzna wstał nie bez trudu.

– Zastanów się – poradził. – Masz tydzień czasu. Bo jak nie, to cię eksportuję z kraju siłą.

Mam już dość bawienia się z tobą w te twoje śmieszne gierki. A... byłbym zapomniiał. Przedstawiono cię do Nagrody Państwowej. Za pomysł akcji: „Tytoń zabija”. Możesz pękać z dumy. Cholerny utopista. Ideolog zasrany. Boże, do czego to już dochodzi – dwudziestoletni smarkacz wymyśla coś takiego... Ot tak, dla rozrywki, przyśniło mu się. A my, stare przyki...

– Ale działa, prawda? – przypomniał mu Gusiew.

– Lepiej, żeby nie wypaliło. A ty sam teraz palisz?

– Ja nie o tytoń...

– Drań – westchnął starszy. – Skąd w tobie tyle jadu?

– Stąd, skąd stary przyk wziął odwagę, by zajrzeć do akt dwudziestoletniego smarkacza – odciął się Gusiew. – I przedstawić je jako opracowanie nieistniejącego departamentu. Kiedy smarkaczowi stuknęła trzydziestka i zdążył już o wszystkim zapomnieć.

– Ale pozostał tym samym co dawniej smarkaczem. Pawle, dorośnijże choć trochę – zakończył starszy. – Bardzo cię proszę. Sił brak, by kochać takiego potwora. Brakarz się znalazł...

Przepchnął się pomiędzy Gusiewem i wysokim nagrobkiem, z trudem przecisnął przez wąską furtkę i odszedł.

– Do widzenia – rzucił za nim Gusiew. Nie chciał, ale pomyślał, że tak będzie lepiej. Niech jak dawniej uważają go za rozsądnego i wyrachowanego, gotowego na zawieranie kompromisów i słuchanie głosu rozumu.

Starszy mężczyzna machnął ręką, choć się nie odwrócił. Gusiew spojrzał na grób.

Nie było na nim żadnych krzyży czy kwiatków, i żadnych pożegnalnych napisów. Niczego zbędnego. Dwa portrety. Mężczyzna w średnim wieku i chłopczyk. Daty urodzin. Imiona.

Leonid Lebediew i Paweł Lebediew.

I wspólna data śmierci.

Gusiew wpatrzył się w fotografię chłopczyka i bezwiednie musnął palcami swoją twarz.

Waluszek już czekał, paląc. Gusiew zatrzymał „dwudziestkę siódemkę” i przesiadł się na prawe siedzenie. Przyjemność prowadzenia wozu chętnie zostawiał Waluszkowi. Po pierwsze – chłopakowi spodobało się to zajęcie i szkoda byłoby pozbawiać go tej niewinnej przyjemności. Po drugie, kiedy Aleksiej siedział za kierownicą, Gusiew czuł się dobrze i bezpiecznie – mieli tak bardzo podobny sposób prowadzenia wozu, że każdy manewr swojego prowadzonego Gusiew kwitował w duchu kiwnięciem głowy.

– Ty co, samochód przywłaszczyłeś sobie na stałe? – zapytał Waluszek, kiedy „dwudziestka siódemka” szybko i pewnie włączyła się w potok innych wozów. – Sprywatyzowałaś go?

– Powiedzmy, że mi go podarowano.

– A kogo musiałeś za to zabić?

Gusiew bez złości trącił Waluszka łokciem w zebra. Ostatnio, gdy miewał w duszy zamęt, Aleksiej jakoś potrafił przywracać mu zwykły nastrój.

– Pamiętasz tego psychola, za którym się ujęliśmy?

– Powiedzmy, że to ty się za nim ujęłeś. I nie tylko jemu dupę uratowałeś. Myślałem, że jak będę musiał zastrzelić biedaka, to sam potem się pochlastam. Powiedz mi, Pe, jak można prawdziwą kulą strzelać do człowieka, który ani tobie nie zrobił nic złego i żadnego prawa nie naruszył. Siedzi dupek na balkonie i tylko macha nogami... Zdarzyło ci się?

W tej chwili do Waluszka dotarło, że propozycja zastrzelenia stukniętego wyszła od Gusiewa i zagryzł wargi. Waluszek dość szybko o takich sprawach zapominał. Z pewnością bardzo by nie chciał uznać, że ludzie są źli.

Ale Gusiew – jak się okazało – nie zauważył zmieszania partnera.

– Przecież ja każdego klienta prowokuję, żeby się na mnie rzucił – powiedział. – Ta formułka: „Macie prawo do stawiania oporu” – została wymyślona specjalnie po to. Jej głównym zadaniem jest psychologiczna osłona brakarza. My faktycznie nie jesteśmy zabójcami, choć wiele się wśród nas na ten temat żartuje. Co charakteryzuje nas jako względnie normalnych ludzi.

– M-m... tak, na pewno. A co z tym samobójcą?

– Banalna historia. Przy okazji, trzeba powiedzieć, że jednak złamał prawo, tylko my o tym nie wiedzieliśmy. Objadł się narkotykami. A w ogóle to jego ojciec zadzwonił do Agencji i powiedział: nagrodzić tego, kto się ujął za moim synem. Potem jeszcze przez pół godziny rozplýwał się w podziękowaniach dla Wybrakówki i zapewniał, że w ramach swoich możliwości gotów jest ją zawsze i wszędzie popierać. A tych możliwości – jako minister spraw wewnętrznych – ma aż nadto. Po czym, jak się zresztą z wrodzoną sobie bystrością domyślasz, dyrektor wezwał naszego szefa i polecił, żeby bohaterowi dać wszystko, czego tylko zażąda. A szef, niewiele myśląc, poszedł i osobiście zapisał w dzienniku dyżurów: „Dać Gusiewowi WSZYSTKO”! A ja wziąłem „dwudziestkę siódmkę”. Podoba ci się ten wóz, prawda?

– No, w zasadzie... W przyszłym tygodniu biorę „Porsche”.

Teraz wytrzeszczył oczy Gusiew.

– A ty kogo zastrzeleliś? – zapytał.

Waluszek roześmiał się beztrósko.

– To stary model „942” – wyjaśnił. – Końcówka serii, stuknęła mu już prawie dwudziestka. Ale w bardzo przyzwoitym stanie. Wszystkiego pięć tysięcy. Gotówką na rękę dwa koła i jadę.

– To może i mnie załatwisz jakąś brykę?

– Czemu nie? Przy okazji, dawno już cię chciałem zapytać, czemu ty prywatnie wciąż jeszcze chodzisz piechotą?

– A cholera wie. Pewnie z lenistwa. Poza tym nie mam ręki do mechaniki. Wymiana

oleju, bezpieczników – to jeszcze dam radę, ale coś bardziej skomplikowanego... No i wypić nie można, gdy ma się ochotę.

– No... odrobinę...

– I co, nadzieć się na konfiskatę środka transportu?

– A kto ci skonfiskuje? Brakarzowi? Menty?

– A choćby i menty. Ja jestem wzorowym obywatelem i przestrzegam prawa.

– Dobrze, że mi powiedziałaś, bo jakoś mi się to nie rzuciło w oczy.

– Piękne dzięki. Nie, lepiej już z buta... Pijany brakarz to i bez tego postrach społeczeństwa. A już za kierownicą... Przy okazji, jak się już zgadało o kierownicy... – Gusiew spojrział na zegarek. Sądząc ze wszystkiego, do tej pory podtrzymywał tylko rozmowę i przez cały czas o czymś intensywnie rozmyślał. – Nie tam jedziemy, gdzie trzeba, Losza.

– W jakim sensie? – nastroszył się Waluszek.

– W pełnym i całkowitym. Zawracaj samochód, skoczmy na Kryłatskoje. Odwiedzimy naszego psychola.

Waluszek bez słowa zaczął szukać miejsca, w którym można zawrócić.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ciekawe, że wszystko wskazuje na to, iż wśród narodu Vlad był dość popularny. Przyczyny tego były głównie psychologicznej natury.

Podczas drogi Gusiew odszukał w notatniku jakiś potrzebny mu telefon i Waluszek musiał ścierpieć długą rozmowę partnera z nieznanym mu Wasilem Wasiliczem, z której zrozumiał tylko, że Gusiew i Wasilicz bardzo się wzajemnie szanują. Zagadkowe aluzje i dziwaczne abrewiatury<sup>20</sup> szybko Waluszka znużyły i skupił się na prowadzeniu. W końcu Gusiew wyłączył transiver i zapalił, najwidoczniej bardzo z siebie zadowolony.

– I jak, wszystko w porządku? – zapytał Waluszek.

– Zobaczysz się na miejscu. W zasadzie Wasilicz jest gościem wpływowym, ale i jego możliwości są ograniczone. Podrzucić jakąś informację do przemyślenia, szepnąć słówko gdzie trzeba – zawsze i proszę bardzo. Ale nacisnąć odpowiednią dźwignię – figę. Taki sam uczciwy najemnik, jak ja z tobą. No dobra, coś istotnego jednak nam dał. Teraz wiemy, gdzie szukać. Przy okazji godzi się wspomnieć, że ktoś przed chwilą przepuścił skręt w lewo. Trzeba było zjechać w boczną drogę. Wybacz, zagadałem się i nie spostrzegłem...

– Zawrócimy nieco dalej – stwierdził z olimpijskim spokojem Waluszek. W odróżnieniu od Gusiewa w ogóle nie przejmował się takimi drobiazgami. Zawsze mógł zawrócić nieco dalej. Gusiew głęboko przeżywał niepowodzenia oraz wszelkie błędy i starał się w ogóle ich nie popełniać. A Waluszek po prostu naprawiał popełnione pomyłki. Przychodziło mu to bez trudu.

Zawrócić jednak udało im się nieprędko. Przeszkadzał w tym przede wszystkim Gusiew, który z zasady nie zgadzał się na włączenie koguta i rzucanie się niby mały, ale zajadły i gniewny buldożer przez podwójną linię, kiedy nie było naglącej konieczności podobnych manewrów. Wróciwszy na poprzednie skrzyżowanie Waluszek nie wytrzymał i popełnił wykroczenie – skręcił w prawo, mimo przekreślonej strzałki na znaku drogowym. Przed czujnym okiem nudzącego się w „szklance” pośrodku Rublewki menta z powodzeniem zasłonił wóz długi autobus.

---

20 - Abrewiatura - skrót z rodzaju tych, w jakich Rosjanie się kochają. Kombat (komandir bataliona) - dowódca batalionu; pompotiech (pomoszcznik po technike) - zastępca do spraw technicznych; czy zamkom po mordie (zamiestitel komandira po morskim dielam) - zastępca dowódcy do spraw morskich, to tylko niektóre z nich.



– ...i potem jeszcze raz w prawo – podpowiedział Gusiew. – Wiesz Losza, jestem rzadki głupek. Nie zamówiłem dla nas przepustek. Jakoś się nie domyśliłem.

– Przecież mamy wszędzie wolny wstęp! – zdziwił się Waluszek.

– Aha. Tylko że ten wolny wstęp kończy się na murach Kremla. A Centralny Szpital Kliniczny jest prawie tym samym, co Kreml. No, dobra, jakoś się przedrzemy. Ale tak czy owak ujawnimy się, a odźwierny zapisze numery wozu.

„Dwudziestka siódemka” przejechała przez wąski korytarz z metalicznymi zaporami i zatrzymała przy szlabanie na wjeździe do CSK. Do wozu natychmiast podszedł bramkarz – młody chłopak z pasiastą laską, w rozpiętej kurtce narzuconej na mundur nieznanego brakarzom typu. Przyjrzał się numerom, popatrzył w kierunku budki kontrolnej, w której siedzieli posiwiali weterani służby wartowniczej w furazerkach i dał Waluszkowi znak ręką – spadaj.

– Schamiał naród do granic niemożliwości – stwierdził Gusiew, wysiadając z wozu. – Dawniej choć pytali, kto taki. Nie pękaj, dobrze?

Waluszek zapalił i przygotował się do niepękania. Gusiew rozpoczął rozmowę z bramkarzem, który nadał się i coraz bardziej wypinał pierś, unosząc jednocześnie podbródek. Z budki wylazł jakiś siedemdziesięcioletni na oko dziadyga z wyraźnym zamiarem wsparcia bramkarza, ale w tej samej chwili Waluszek spostrzegł charakterystyczne drgnienie ramion Gusiewa, który ujął w rękę klapę kurtki i nieco ją odsunął. Dziadygę błyskawicznie cofnęło w głąb budki, a bramkarz jakby się skurczył. Znaczek ASB nawet i tutaj miał swoją wagę. Ale wpuścić Gusiewa na swoje terytorium ochroniarze nadal nie zamierzali. Nie czuli się już tak pewnie, jak przedtem, lecz mimo wszystko uparcie trzymali się swojego. Waluszek palił i czekał, kiedy Gusiew sięgnie do swojego najbardziej przekonującego argumentu, jakim była „beretta”. Ciekaw był, czy jego prowadzący ma dostatecznie twarde jaja, żeby na siłę wedrzeć się do tak poważnego obiektu, jak słynna „Kremlówka”.

Gusiew jednak chyba chciał uniknąć głośnej awantury. Wszedł do budki i zaczął rozmowę z dziadkami. „Bramkarz” przewiercał pełnym wrogości spojrzeniem samochód brakarzy, a szczególnie Waluszka.

Z tyłu podjechała karetka pogotowia – nie jakaś tam odrapana „Gazela”, ale „Chevrolet”. Wielka maszyna zwiesiła swój tępy ryj nad „dwudziestką siódemką” i niecierpliwie pojękiwała. „Bramkarz” ponownie polecił Waluszkowi skinieniem dłoni, żeby się zmywał, ale Aleksiej udał, że jego ten gest nie dotyczy. I na wszelki wypadek otworzył kaburę igielnika.

Karetka wyła, a Waluszek spokojnie palił. Z budki wyskoczył podenerwowany Gusiew i w przelocie rzucił „bramkarzowi” coś kaśliwego, bo jego twarz natychmiast pokryła się czerwienią. Szlaban frunął w górę. Gusiew wskoczył na miejsce i trzasnął drzwiami tak, że niewiele brakowało, a rozniósłby samochód.

– Naprzód! – polecił. – S-s-skurwysyny! Patrzcie ich, obiekt wydzielony! Ich, psiakrew,

prawo nie dotyczy! Dobrze, dranie, jeszcze tu wróć! Pokażę wam, co to znaczy służba na posterunku bojowym... Wasz posterunek znajdzie się w strefie ogniowej... Wtedy zobaczymy, kto ma pełnomocnictwa, a kto nie! Wybacz Loszka, wkurwili mnie tak, że bardziej już nie można.

– Przez cały czas czekałem, kiedy sięgniesz po rurę – podbechtał go Waluszek.

– Dzisiaj nie można – westchnął Gusiew. – Spieprzemy sprawę. Co za kurestwo! Wyobrażasz sobie, pod tą budką jakiś chłopak po ścianach łązi i jęczy: – Wpuście mnie, potwory, żona mi umiera na położniczym!” A oni mu na to: „Dni odwiedzin w czwartki i soboty, tam na ścianie wisi telefon!”<sup>21</sup>

„Dwudziestka siódemka” sunęła wolno po niezbyt starannie uprzątniętej alei. Łatwo było zauważyć, że ciecie też są tu „wydzieleni”, i przepracowywać się nie lubią. A miejskich śmieciarzy z ich „odkurzaczami” oczywiście tu nie wpuszczano. Do takiej odpowiedzialnej roboty, jak zebranie opadłych liści i umycie asfaltu chłopcy nie spełniali wymagań formularza dopuszczenia do prac niejawnych.

– Skręć na chwilkę do budynku głównego – poprosił Gusiew. – O tam, na prawo, trzeba się trochę zabezpieczyć i jakoś sformalizować naszą wizytę. Szybko się uwinę. A ty tymczasem zaparkuj na lądowisku dla helikopterów. Żeby uniknąć niepotrzebnych awantur. Widzisz, prostakom nie wolno się tu zatrzymywać. Tu podjeżdża „członkówóz” Litwinowa. Dwa dni na każde trzy. Nazywa się to u nich „na podładowanie”. Kurwa jego mać! Jeszcze jednego Jelcyna się dorobiliśmy! I to z najlepszymi, najszlachetniejszymi zamiarami. Gdybym wiedział, czym to się skończy, jak Boga kocham, zwałbym do Afryki!

Z tymi słowami wysiadł z wozu i szybkim krokiem ruszył w stronę bocznego wejścia do budynku głównego. Waluszek posłusznie wrzucił wsteczny bieg. W samą porę – do „dwudziestki siódemki” pospiesznie kusztykał już kolejny dziadyga w furazerce. „Boże wielki, skąd ich tylu nabrali?! – zdumiał się Waluszek. – Czy to jakiś rezerwat dla emerytów z KGB? Ale czemu ja się dziwię – cały nasz rząd składa się z takich typów. No, może gęby mają nieco bardziej inteligentne. A Przewodniczący ledwo już ciągnie... Ciekawe, ciekawe”.

Gusiew przepadł na jakieś piętnaście minut. Wrócił ze stężoną twarzą, bezlitośnie żując dwudziesty chyba tego dnia papieros.

– Jazda do ONF-u – stwierdził. – Teraz najważniejsza jest szybkość.

– Gdzie? – zapytał Waluszek.

– Pokażę ci. Do Oddziału Neurologii Funkcjonalnej. Wielcy tego świata tak nazywają swoje wariatkowo. Żeby po raz kolejny nie urazić ich delikatnej psychiki.

– Ależ ty się tu czujesz jak w domu – zauważył Waluszek, wykręcając na miejscu maszynę.

– Bywało się – oznajmił krótko Gusiew.

---

21 - Administracja Centralnego Szpitala Klinicznego widzi w tym przypadku jaskrawą niedokładność. Na prośbę tejże administracji podkreślamy, że dniami odwiedzin w CSK są czwartki, soboty i niedziele - przypis OMEKS.

Do długiego budynku ONF-u podjechali od tyłu.

– Widzisz te drzwi? – zapytał Gusiew. – To „numery”. Kilkupokojowe apartamenty z oddzielnymi wejściami. Żeby nie dało się zobaczyć, kogo akurat przywieźli. Zorientowany jest tylko personel medyczny. Podjedź do bocznego wejścia. O, tak. A teraz posłuchaj instrukcji i pouczenia w jednym. Gotowy?

Waluszek bez słowa kiwnął głową.

– Znajdujemy się, przyjacielu, w samym sercu węzowiska, które włada naszą wielką i rozległą Ojczyzną – stwierdził Gusiew. – Wybacz, że cię w to wciągnąłem. Samo tak jakoś wyszło. Trzeba będzie troszkę pocierpieć. Najważniejsze – siedź cicho i nie daj się sprowokować. Jeżeli podejda do ciebie buhaje w garniturach z krawatami i zapytają, coś ty za jeden, chwilowo spróbuj poskromić swoją pychę. Przywiozłeś swojego szefa, Pawła Aleksandrowicza Gusiewa. Gusiew ma tu jakoby wyznaczoną konsultację. Jak cię zapytają, który Gusiew, odpowiedz – WŁAŚNIE TEN. Spokojnie, pewnym głosem. Więcej niczego nie muszą wiedzieć. Jak się zaczną stawiać... Nie, nie zaczną. Ale w razie czego przypomnij sobie, czego cię uczyli na kursie przygotowawczym. Ten samochód należy do ASB i jest częścią jej terytorium. Postaraj się, żeby cię zrozumiano.

– Postaram się – odpowiedział Waluszek niezbyt pewnym głosem. – Ale posłuchaj, Pe... Czy ja się kiedykolwiek dowiem, kim jest mój partner?

– Sam jeszcze tego dobrze nie wiem – odpowiedział Gusiew i po raz kolejny zostawił Waluszkę na pastwę okoliczności i rozmyślań.

Naczelnny lekarz ONF, profesor Krumow, nie znosił obecności osób postronnych na swoim terytorium. Mirza Mirzójewicz wpadał w szczególną wściekłość, kiedy ci postronni nosili broń i wygniatali portki w wejściach do sal, ochraniając wielmożnych pacjentów. Krumow warczał na takich „gości” jeszcze kiedy był młodym, rokującym wielkie nadzieje psychiatrą. Akiedy się wybił, dobrze podleczył niektórych kremlowskich „mandarynów” i zajął miejsce odpowiednie dla swoich talentów – nacisnął na wszelkie dźwignie, jakie tylko były w jego zasięgu i osiągnął to, że w pawilonie panowały zgodne z jego życzeniem cisza i spokój. W obecnej sytuacji fochy kaukaskiego księcia stały się okolicznością bardzo Gusiewowi sprzyjającą – miał niemal stuprocentową pewność, że apartament Bielowa nie jest pod ochroną. A sam Gusiew wcale nie był osobą obcą dla Mirzójewicza. Przed ćwierćwieczem Krumow praktycznie go uratował, wyciągając osieroconego i pozbawionego połowy twarzy chłopaka z depresji, która mogła zaowocować nawet i śmiercią.

– A oto i on! – ucieszył się Krumow na widok gościa. – Witaj, byczy chuju!

Profesor miał dość osobliwy zwyczaj zwracania się do bliskich płci męskiej.

– Jam ci jest! – przyznał Gusiew. – Jak się ma najlepszy na świecie psychiatra karny?

– Gdybyż to karny, mój drogi! Gdybyż karny...

– Wasilicz dzwonił?

– Dzwonił, mój drogi, dzwonił... – Krumow wysunął szufladę i wyjął z niej dwie szklaneczki i napoczętą butelkę koniaku. Przez cały czas patrzył na Gusiewa, ten zaś czuł się tak, jakby przenikliwe spojrzenie lekarza zdzierało zeń skórę w poszukiwaniu najdrobniejszej choćby patologii. Profesor nie mógł nie badać swoich rozmówców. Robił to niemal odruchowo.

– To może wypijemy potem? – zaproponował Gusiew. – Co? Zechce pan wybaczyć, ale nie mam za wiele czasu.

– A czego ty właściwie chcesz od Dimki? – zapytał Krumow. – Może sam ci opowiem. Uczciwie mówiąc, nie powinieneś do niego zaglądać. Ja oczywiście rozumiem, uratowałeś go, i tak dalej...

– A czy on jest tego świadom? – wtrącił Gusiew.

Krumow podrapał błękitną szczecinę na podbródku. Profesor musiał się golić dwa razy dziennie. Kiedyś, przy jakiejś okazji, kiedy Krumow był jeszcze tylko doktorem, Gusiew go spytał, czemu nie zapuści sobie brody. Krumow z tęskną dumą odpowiedział mu, że Lezginowie bród nie noszą. Dlaczego dokładnie, chyba sam nawet nie wiedział.

– No... prędzej tak, niż nie. Przyznać się nie przyznaje, ale jego samobójstwo było tylko demonstracją, to nie ulega wątpliwości. W ogóle wyciągnąłeś go z piekielnie niezręcznej sytuacji.

– Nawet nie zdajecie sobie sprawy, Mirzo Mirzójewiczu, jak bardzo była niezręczna.

– Mmmm... – Krumow podniósł brwi. – Aż tak?

– Właściwie jak? – Gusiew zmrużył oczy.

– No...

– Wydano rozkaz wybrakowania.

– Tobie?! – zachnął się Krumow.

– Ja znalazłem się tam chyba przypadkowo. I zechciejcie mi uwierzyć, że ratowałem Dimce dupę wcale nie dla wspólnych wspomnień z dzieciństwa. Po prostu mnie zaciekawiło – co mu odbiło?

– Ach ty, byczy chuju! – sapnął Krumow. Było w tym więcej podziwu, niż czegokolwiek innego.

– Co udało wam się dowiedzieć o jego motywach?

– To, że kłamie – stwierdził stanowczo Krumow. – Taaak...

– Nie ma osobistej obstawy?

– Ha!

– A jest w stanie rozmawiać?

– W zasadzie tak.

– Jasne. To co, pokaże mi go pan?

– M-mmm...

– Mirzo Mirzowejczu, przyszedłem tu jako prywatna osoba, nie jako brakarz. I dlatego mogę wam powiedzieć, czego chcę od Dymitra. Istnieje możliwość, że dowiedział się czegoś bardzo ważnego i niebezpiecznego. Bardzo niebezpiecznego, rozumie pan. Z przestachu zgłupiał, odbiło mu całkiem i postanowił dokonać wielkiego czynu – demonstracyjnie popełnić samobójstwo.

– Tak właśnie myślałem. A on mi cały czas, chuj jeden byczy, pieprzył o utracie życiowych pryncypiów. Paszka, posłuchaj, nie idź do niego.

– Chodźmy razem.

– Za chuja! Ty wiesz, co się przytrafia ludziom, którzy przypadkiem posiadli państwową tajemnicę?

– Przecież pan i tak podpisał wszelkie zobowiązania do zachowania tajemnicy, jakie tylko w naszym państwie można podpisać. Niechże pan zrozumie – jeżeli moje domysły są prawdziwe, muszę wyjaśnić, co właściwie jest mu wiadome. I jako brakarz, i jako człowiek. Możliwe, że to dotyczy bezpośrednio i mojego losu. A także losów całego kraju. Uwiercie mi, że nie przychodziłbym do was bez palącej potrzeby. Mam pewne podejrzenia i Bielów może je potwierdzić, albo im zaprzeczyć. Oczywiście, w drugim wypadku też mu nie uwierzę, bo jest zawodowym kłamcą, ale mimo wszystko...

– Masz tylko podejrzenia, czy...

– Powiedzmy, że niedawno ktoś mi podrzucił delikatną aluzję.

Profesor znów podrapał się po szczecinie porastającej jego podbródek.

– No dobrze – poddał się wreszcie. – Idź i działaj... człowieku i brakarzu. Ale strzeż się, byczy chuju! Uważaj, jak z nim rozmawiasz. Nie daj Bóg, żeby potem znów się targnął na życie!

Rozkoszny dwupokojowy apartamencik Bielowa w istocie przypominał pokój w hotelu. Sam pacjent leżał na łóżku i udawał, że śpi. Nawet gdy leżał, widać było, jaki sobie wyhodował brzuszek. Taki stosunek do samego siebie u czterdziestoletnich bogatych mężczyzn ogromnie Gusiewa wkurwiał, ale teraz postarał się stłumić emocje.

– Cześć – powitał gospodarza, starając się, by zabrzmiało to bez troski i niedbale.

Bielów leniwie odwrócił głowę i spojrzał na gościa. Bez zachwyty, ale i nie wrogo.

– Uhhh... – kiwnął głową. – Witaj, dawno się nie widzieliśmy.

– Co, nie spodziewałeś się mnie? – Gusiew nie czekając na zaproszenie wziął krzesło i usiadł. Jeszcze jeden głupi nawyk brakarzy.

– No, właściwie to się spodziewałem. Będziesz spisywał moje zeznania? A gdzie masz swoją szprycę?

– E-eee... – niespodziewany zwrot rozmowy lekko Gusiewa zbił z tropu. – Dima, czy ty w ogóle pamiętasz, jak się nazywam?

– Przypuśćmy.

– Więc jak?

– Paweł... Gusiew.

– No, dziękuję, pocieszyłeś mnie. Tylko że nie jestem śledczym. Jestem agentem operacyjnym. A szprycę mam taką, o. – Gusiew pokazał Biełowowi pistolet, na widok którego chory jakby się ożywił. W każdym razie w jego wzroku pojawiły się iskierki ciekawości.

– Jeżeli mnie przekonasz, że powinienem ci to zostawić, być może zostawię – zełgał Gusiew, uważnie śledząc reakcję rozmówcy.

– Rewolwer znaleźć nie sztuka – parsknął Biełow. Z takim poczuciem wyższości w głosie, że Gusiew nieomal się załamał.

„Szkoda, że nie mogę o tym opowiedzieć Mirzorejczowi – pomyślał brakarz. – Jak się dowie, że pacjentowi ze skłonnościami samobójczymi proponowałem broń, jaja przez gardło mi powyrywa”.

– Tym lepiej. Posłuchaj, Dima. Zrozumiała rzecz, że ludzie się z wiekiem zmieniają. Ja oczywiście nie jestem już tym chłopakiem, którego pamiętasz ze wspólnych zabaw na dacy. Ale mimo wszystko możemy chyba szczerze porozmawiać. Weź pod uwagę, że nie jest to wizyta służbowa.

– Służbowa... pechowa. – Biełow odwrócił się na bok i podparł obwisły policzek dłonią o krótkich, tłustych palcach. – No dobra, pytaj.

– Proszę bardzo, zapytam. – Gusiew zamyślił się na chwilę. – Czy nie masz dla mnie... dla mnie osobiście, tylko dla mnie i dla nikogo więcej, jakichś interesujących wiadomości?

– Uciekaj, Gusiew – odpowiedział Biełow po prostu.

Gusiewa targnęło od środka – śledziona albo jakiś inny życiowo ważny organ.

– Daleko? – tylko tyle zdołał wymamrotać.

– Uciekaj! – powtórzył Biełow i ponownie zwałił się na plecy. Właśnie – zwałił się, jak leniwy, obżarty do niemożliwości kocur.

– Kiedy mam uciekać?

– Wczoraj.

– Ja pytam poważnie.

– A ja ci poważnie odpowiadam. Uciekaj wczoraj. A teraz idź sobie.

– A ty... nie zamierzasz? – wydusił z siebie Gusiew.

– Ja nie mam powodu – oznajmił Biełow tak samo beznamiętnie, jak przedtem. – Z roboty i tak mnie wylali i wszyscy mają mnie za nic. Mojego tatę – też. Dadzą kopa, ale niezbyt mocnego. Ogólnie rzecz biorąc, mogę się śmiało nawalić aż do dzwonu. Słyszałeś taką ludową piosenkę: „Komu dzwonią, temu dzwonią...”

– Czyli tę komedię z samobójstwem odegrałeś świadomie? – zdumiał się Gusiew. – Pacanie durny, przecież o mało cię nie stuknęli!

– Świadomie... nieświadomie... Chuj wie! Tak mnie skręciło, że niczego nie pamiętam.

Że mnie nie stuknęli – to dobrze. Że mnie puścili – jeszcze lepiej. Teraz już na pewno mnie nie stukną.

– Przecież cię nie puścili!

– Nie puszczą, to wejdę na Spasską wieżę – stwierdził Biełow sennym głosem. – Albo nasram do Car Puszki. To wszystko, Gusiew, spadaj. Nie mogę już na ciebie patrzeć. Miałem wobec ciebie niewielki dług – teraz ci go oddaję. I znikaj, dopóki komuś po mordzie nie dam.

– A mnie za co? – zdziwił się Gusiew, wstając z krzesła.

– Za Wybrakówkę – oznajmił Biełow i odwrócił się na drugi bok. Grzbiet też miał tłusty, niczym hipopotam.

– Gdyby nie to, że pracuję w ASB... – zaczął Gusiew. Nie miał ochoty na spieranie się z człowiekiem naszprycowanym medykamentami, byłoby to co najmniej głupie. Ale jakoś niespodziewanie i bardzo wyraziście przypomniał sobie Dimkę Biełowa, z którym bawił się w Indian i jeździł na sankach.

I jeszcze jednego Biełowa, z którym chyłkiem popijali wódkę i uganiaли się za dziewczętami. Biełowa, który niekiedy przeszywał swojego przyjaciela spojrzeniem, jakby starał się zrozumieć: jak to możliwe, żeby Paszka, którego znał od dzieciństwa, wrócił z niebytu.

Ale to był już zupełnie inny Paszka.

A teraz – zupełnie inny Biełow.

– A co ma do tego praca w ASB? – przerwał mu Biełow. – Powiedziałem – za Wybrakówkę. Nadszedł czas oddawania długów, Pawle. Wobec ciebie nie mam już żadnych zobowiązań. Powiedziałem ci wszystko, co mogłem. Teraz został tylko jeden dłużnik – ty. Więc uciekaj, póki nikt nie zażąda rozliczenia od ciebie. Za wszystko, co dobre... Teraz też spadaj, bo zaraz wezwę sanitariuszy. A wiesz, jacy tu są? Jeszcze takich nie widziałeś. Niedźwiedzie, nie sanitariusze.

– Do widzenia – wymamrotał Gusiew.

– Żegnaj... – parsknął Biełow. – Zbawco pierdolony!

Waluszek siedział w samochodzie i rytmicznie kiwał głową. W kabinie grzmiało heavy metalem. Zmyślny Loszka puszczał go z wbudowanego w tablicę rozdzielczą kompa, przez głośniki „łączności głośnomówiącej”. Jakość dźwięku była nad wyraz podła, ale lepszy rydz, niż nic.

– Przycisz to trochę! – krzyknął Gusiew. – Ale w sumie nieźle. Że też sam wcześniej na to nie wpadłem! No co, obeszło się bez ekscesów?

– Oznak niebezpieczeństwa nie zauważono – zameldował Waluszek, kręcąc gałką regulacji głośności dźwięku.

– Thunder! Tu-ru-ru-ru... – zanucił Gusiew. – Nieźle sobie żyjemy. Jeszcze z pięć lat temu prędzej we własny łokieć byś się ugryzł, niż kupiłbyś krążek AC/DC. Nie pamiętasz

czasu, kiedy szalała Komisja Obyczajowa? E, nie, wtedy byłeś w wojsku.

– Na polskiej granicy! – stwierdził znacząco Waluszek.

– A-aaa... no to wszystko jasne. Jedyne znaczący plus przyłączenia Białorusi – konfiskowany przemyt z Polski. Wy chyba skupowaliście to na ciężarówki.

– Ciężarówki, nie ciężarówki, ale fonotekę zgromadziłem sobie jak się patrzy. Jakie rozkazy, towarzyszu prowadzący?

– Naprzód marsz! Co prawda... mogą nas jeszcze przyhamować na punkcie kontrolnym. Dlatego zatrzymamy się na zakręcie, poczekamy na jakąś wyjeżdżającą karetkę pogotowia i przylepimy się do niej. Nie mam ochoty na taranowanie szlabanu.

– A ja analogicznie! – zgodził się Waluszek, przekręcając kluczyk w stacyjce.

I tak też zrobili – poczekali na wyjeżdżającego „Chevroleta” (ten był już trochę sponiewierany, ale wyglądało na to, że w CSK w ogóle nie ma rosyjskich wozów) i podjechali do bramy tuż za nim. Ale Gusiew niepotrzebnie się niepokoił. Wypuścili ich bez żadnych pytań i chyba nawet oddali im honory.

– No, mieliśmy fart – podsumował Gusiew. – Oj, wcale mi się to nie podoba... Dalej będzie gorzej.

– I co, dowiedziałeś się tego, co chciałeś wiedzieć? – zapytał Waluszek.

– A miałem się czegoś dowiedzieć? Tak tylko... starych znajomych odwiedziłem. Na przykład swojego psychiatrę.

Waluszek spojrział na Gusiewa z ukosa, ale nie zadał cisnących mu się na usta pytań



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Dokładny we wszystkim Tepes i w egzekucjach przestrzegał swoistej hierarchii: dla tureckiego agi, dowodzącego janczarami, przygotowano pał z połączonym ostrzem.

Przez pięć minut jechali w milczeniu, a Waluszek wyraźnie był urażony. Gusiew w końcu się poddał.

– Potem ci opowiem – obiecał. – Jeżeli wszystko odbędzie się tak, jak przewiduję. A jak się nie odbędzie – to tym bardziej.

– No, no... – Waluszek nieco odtajał i rzucił przewodnikowi kąpiące spojrzenie z ukosa.

– Z pewnością opowiem. Przecież wiesz.

– Co niby wiem?

– Że opowiadam wszystko, co ci nie zaszkodzi. Albo wtedy, kiedy już nie może zaszkodzić.

– A może ja chcę.

– Żeby zaszkodziło?

– Ummm... pół na pół.

– Widzicie go! Loszka, przyjacielu, błagam, wstrzymaj

– Znaczy, jak ze snajperką biegać, to: „Agencie Waluszek!”, a jak do wariatkowa się przejechać, to od razu: „Loszka, przyjacielu”?

Widząc, że Waluszek się nie wścieka i nie zamierza wyrywać z niego informacji kleszczami, Gusiew parsknął śmiechem.

– A w ogóle jak leci? – zapytał. – Życie rodzinne ci służy?

– Wspaniale. Kupiliśmy nareszcie odkurzacza.

– Waluszek! Skąd ty masz tyle forsy? Najpierw meble, potem „Porsche”, a teraz jeszcze luksusowe urządzenia domowe...

– Przecież to grosze!

– Ja chyba zbyt wiele piję – westchnął Gusiew i pograżył się w rozmyślaniach.

– A czemuż sobie nie miałbyś wypić? – pocieszył go Waluszek. – Odkurzacza przecież już masz.

– Nie przeszkadzaj. Liczę. Robię zestawienie zysków i strat. Ejże!

Ostatni wykrzyknik odnosił się nie do pieniędzy, które Gusiewowi w istocie przeciekały przez palce z podejrzaną łatwością. „Dwudziestce siódemce” zajęła drogę czarna „Wołga” z kogutem na dachu, i runęła do przodu wbijając się klinem pomiędzy inne samochody, które pospiesznie zjeżdżały na bok, dając przejazd groźnemu użytkownikowi dróg.

– Zobaczyłeś numer? – Gusiew sięgnął po transiver.

– Zaraz... – Waluszek dodał gazu i „dwudziestka siódemka” rzuciła się w pościg za śmigającą przodem „Wołgą”. Przez przyćmione szkła nie sposób było zobaczyć, kto siedzi wewnątrz. – Widzisz? Solidne numery...

– Owszem. – Gusiew wezwał Centralny. – Losza, siądź mu na ogonie... Dyżurny? Tu Gusiew. Zdarzyło się coś niespodzianego... możemy się spóźnić z pół godziny. Nie, żadna tam siła wyższa, trzeba po prostu zrobić na kimś wrażenie. Uhm... żyj.

Waluszek dogonił Wołgę i siadł jej na ogonie. Czarny wóz nadal rozcinał strumień wozów – jechał już ponad setkę. Przed nimi pokazał się posterunek milicyjny.

Gusiew otworzył skrytkę i wysunął panel sterowania komputera, a na gibkiej taśmie – niewielką klawiaturę z płaskim, szarym monitorem. Wyłączywszy muzykę połączył się z serwerem oddziału i wszedł do bazy danych.

– O kurczę! – sapnął. – Numery rzeczywiście solidne. Zaraz zobaczysz, jak bohaterskie gliny oddadzą honory temu działaczowi, a nas zatrzymają. Więc przejeżdżamy przez posterunek zabezpieczenia ruchu drogowego numer czterdziesty dziewięty... Loszka, podjedź bliżej. Udamy, że jesteśmy eskortą.

– Kto to jest? – zapytał Waluszek, posłusznie dopędzając „Wołgę”. Na szosie za miastem opancerzony ośmiocylindrowy potwór z widlastym ustawieniem cylindrów pod maską bez trudu zgubiłby „dwudziestkę siódemkę”. Ale w mieście przewaga mocy silnika nie za wiele znaczyła. No, w każdym razie na suchym asfalcie.

– Niedługo się dowiesz. – Gusiew mrugnął porozumiewawczo, jak spiskowiec do spiskowca.

Jak należało się spodziewać, milicjanci „Wołgę” przepuścili oddając jej honory, a „Żiguli” brakarzy postanowili na wszelki wypadek zignorować. Gusiew przełączył transiver na częstotliwość milicyjną.

– Posterunek numer czterdzieści dziewięć! – warknął w mikrofon. – Mówi starszy pełnomocnik ASB, Gusiew. Natychmiast w podskokach ma się u mnie zameldować naczelnik posterunku! Kapitanie! Z jakiej racji przepuściłeś przed sekundą tę „Wołgę”?! Sram na to, że minister! Jak mu tak spieszo, powinien był włączyć koguta i syrenę! I tak przez niego wszystkie wozy na szosie na słupy się prawie wspinają! Ja mu zaraz klamrę założę za takie numery! A potem on, bratku, swoją wątrobę na śniadanie każe sobie podać za to, żeś go nie osadził na miejscu, jasne?! Już on cię nauczy, co to znaczy walić gruchę na służbie! To wszystko, jesteś wolny!

Zasapany Gusiew schował transiver i wsunął panel kompa na miejsce.

– Kocham opieprzać nygusów – przyznał się. – Wymyślają rozmaite ograniczenia prędkości, a potem sami je naruszają...

– Jaki to minister? – zapytał Waluszek. – Bez jaj, jak go zamierzasz przyhamować, to najwyższa pora, żebyś mi powiedział.

– Minister informacji. Tyle, że jego bez koguta nie wożą. Tam z pewnością jest tylko szofer i jakaś damulka.

Gusiew nacisnął guzik na tablicy rozdzielczej. Spod maski rozległo się ogłuszające wycie, a z przodu rozjarzyły się czerwone ogniki.

– Agencja Socjalnego Bezpieczeństwa! – zagrział Gusiew do mikrofonu. – Czarna „Wołga” zero-zero-sześć, natychmiast proszę się zatrzymać!

Na szosie nagle zrobiło się pusto, choć centrum miasta było o rzut beretem. Podczas minionych lat działalności brakarzy spokojni obywatele oduczuli się gapić na nadzwyczajne wydarzenia, a przyswoili sobie umiejętność natychmiastowego rozplywania się w powietrzu, gdy tylko gdzieś zapachniało prochem.

„Wołga” zakolebała się z boku na bok, ale szybkości nie zmniejszyła.

– Zajedź od lewej.

Gusiew opuścił boczną szybę i wyjął berettę. Waluszek przyparł „dwudziestkę siódemkę” do boku „Wołgi”.

– Nie lubię niezdecydowanych – mruknął Gusiew, kierując lufę w przyćmione okno rządowej maszyny.

Zorientowawszy się, że brakarze nie zamierzają żartować, „Wołga” zahamowała, jakby ją zaklinowało i natychmiast zjechała na pobocze. Waluszek zgodnie z instrukcją zablokował ją od przodu, wyjął igielnik i wyskoczył na zewnątrz. Gusiew tymczasem niespiesznie wysiadł, podszedł bliżej i nachylił się nad przednią szybą. Zajrzawszy do wnętrza zatrzymanego pojazdu, zobaczył utkwione w nim przestraszone oczy. Przednia szyba powoli osunęła się w dół. Była to bardzo gruba, pancerna szyba. Przed przypadkową, lecącą pod kątem kulą zabezpieczyły salonik dodatkowe odbijacze.

– Działa za burtę – polecił Gusiew, zwracając się do mężczyzn na przednich siedzeniach.

Kierowca i goryl posłusznie wyrzucili na zewnątrz swoje pistolety. Tylne szyby wozu jak przedtem pozostały ciemne: „ministerialną” połowę salonu oddzielała od reszty wozu gęsta, czarna zasłona. Gusiew wiedział, że z przodu opuścić się jej nie da.

– Wyprowadzaj i układaj – polecił Waluszkowi, który tymczasem wetknął igielnik w ucho kierowcy. Podszedłszy do tylnych drzwi dał znak ręką: „Wychodź!”

Żadnej reakcji. „No tak, tego typu stamtąd się nie wykurzy, dopóki nie pozapina portek” – pomyślał Gusiew.

Zatrzymani leżeli na pożółkłym już trawniku. Mieli szczęście, że dawno nie padał deszcz. Waluszek lekkimi kopnięciami zmusił ich do przyjęcia odpowiedniej postawy – brakarze

nazywali to „nadawaniem kształtu”.

– Kto jest wewnątrz? – zapytał Gusiew.

– Minister informacji – burknął ochroniarz. – Z żoną. Gusiew parsknął śmiechem i wyjął zapasowy magazynek.

– Nie, mój drogi – powiedział. – Wcale nie z żoną.

Oczywiście, wewnętrzną przegrodę w samochodzie z łatwością można było przestrzelić na wylot. Gusiew jednak nie zamierzał nikogo wybrakowywać. Powtórzył gest, żądając, żeby ukryty za pancerzem wyszedł na zewnątrz. „Z pewnością dzwoni na Kreml. Albo od razu do naszego dyrektora. Następne zarządzenie dla całego Centralnego będzie brzmiało: „Odebrać Gusiewowi WSZYSTKO!” Ha-ha!”

Jakby wtórując jego myślom w kabinie „dwudziestki siódemki” zapiszczał sygnał wywołania. Osobiste radiotelefony brakarzy milczały – sygnał szedł z centrali operacyjnej. Co oznaczało, że spokojnie można go było olać.

– Zatkajcie uszy – poradził Gusiew obecnym. Odszedł na kilka kroków, wymierzył w okno tylnych drzwi „Wołgi” i zaczął naciskać spust tak szybko, jak tylko potrafił.

Piętnaście wystrzałów zlało się w jeden przeciągły ogłuszający huk – pistolet wypluł magazynek po chyba pięciu sekundach. Pancerne szkło przekształciło się w kaszę, Gusiew błyskawicznie zmienił magazynek, wprowadził nabój do komory i dopiero wtedy doszło do niego, czym właściwie strzelał przed chwilą.

Drzwi po lewej stronie „wołgi” otworzyły się nagle i na asfalt z dzikim wrzaskiem wypadły dwie osoby. Gusiew jednym skokiem frunął na bagażnik, a potem na dach i wymierzył w dół już nie pistolet – ten zdążył schować, żeby nie kusić licha – a igielnik.

Gruby minister o czerwonej, nalanej gębie siedział na ziemi i toczył wokół ogłupiałym spojrzeniem, trzymając w ręce wyrwaną „z mięsem” słuchawkę radiotelefonu. Rozdygotana dwudziestoletnia brunetka nie przestając wrzeszczeć zerwała się na nogi i skoczyła na drugą stronę szosy. Uniknąwszy szczęśliwym trafem bezpośredniej kolizji z przynajmniej dziesięcioma samochodami, wbiła się niczym taran w przydrożne zarośla i zostawiwszy na nich sporą część garderoby, znikła patrzącym z oczu.

Szkło bocznej szyby, które godnie spełniło swoje zadanie, wydało coś w rodzaju pełnego urazy i satysfakcji stęknienia i opadło z chrzęstem, składając się w coś na kształt pakietu celofanu.

– No, ładnie... – stwierdził Waluszek.

Minister charczał i szeroko otwartymi ustami łapał powietrze, jak człowiek, którego zaraz trafi szlag. Słuchawkę przyciskał do piersi niczym najdroższy skarb. W samochodzie brakarzy dławił się piskiem głośnik łączności wewnętrznej.

Gusiew wsunął igielnik do kabury i zeskoczył na jezdnię. Chwyciwszy ministra za kłapy podniósł go nie bez trudu i przycisnął plecami do jego wozu.

– Starszy pełnomocnik ASB, Paweł Gusiew! Następnym razem – grzmiał, wbijając

rozwścieczony wzrok w wybałuszone świńskie oczka – kiedy zechcecie przekroczyć prędkość naruszając porządek oraz bezpieczeństwo na drodze i stwarzając niebezpieczną sytuację, macie przynajmniej włączyć koguta! Jasne?! I zatrzymujcie się natychmiast na żądanie Wybrakówki! Zrozumiałeś?! Nie, ty chyba niczego nie rozumiałeś... Zdaje się, że za to... – Gusiew pociągnął nosem i pospiesznie się cofnął. – Krótko mówiąc, łaskawco, zapiszę wam ostrzeżenie. Powiadomienie otrzymacie pocztą rządową. Tfu!

Zostawiwszy ministra w spokoju, Gusiew obszedł pokieroszowaną „Wołgę”, rzucił spojrzenie ma przestraszonych lokajczyków ministra i machnął ręką.

– Wszyscy słyszeli? – zapytał. Kierowca i ochroniarz energicznie pokiwali głowami, co samo w sobie było niemałą sztuką, zważywszy, że leżeli w bardzo niewygodnej pozycji. – Wszyscy zrozumieli? No dobra, idźcie i wytrzyjcie tyłek swojemu panu. Biorąc pod uwagę okoliczności, obu wam daruję... po raz pierwszy i ostatni. Ale radzę zapamiętać lekcję. Jesteście wolni. Chodźmy, Loszka. Koniec spektaklu.

Brakarze wsiedli do swojego samochodu.

– I co, sfajdał się klient? – rzucił Waluszek, ruszając z miejsca.

– Uhm. – Gusiew kiwnął głową, ujął mikrofon radiostacji i zmarszczył z namysłem czoło.

– Czym strzelałeś? Przeciwpancernymi?

– Aha.

– Po co? Umyślnie?

– Ależ skąd! – Gusiew mimo woli podniósł głos. – Odczep się. Halo? Tu załoga „dwudziestki siódemki”, Gusiew. Kto wywołuje? Tak jest... Nie, nic szczególnego. Wielokrotne umyślne stworzenie niebezpiecznej sytuacji na drodze i złośliwa próba uniknięcia konsekwencji... Tak jest, uprzedzałem. A czego wy właściwie chcecie? Nie, mój łaskawco, to on niech się przede mną wytłumaczy. Synku, ty co, głuchego udajesz? Mówi Gusiew. Gusiew – Paweł Aleksandrowicz. A twój pieprzony minister jutro na czworakach się u mnie zamelduje. On ma teraz wobec mnie wielki dług. Jak wielki... opowiem osobiście dyrektorowi Agencji na poufnej rozmowie. Tak też zamelduj. To wszystko, bez odbioru. – Gusiew powiesił mikrofon na swoim miejscu i wyjął papierosy.

– Znaczący, mimo wszystko jesteś TYM Gusiewem – wymamrotał Waluszek. – Bardzo ciekawe.

– Wcale nie – odciął się Gusiew. – Nie jestem TYM Gusiewem. W ogóle nie jestem żadnym Gusiewem... i zostawcie wy mnie wszyscy samego choćby na minutę!!!

– Wyluzuj, Pe – odezwał się Waluszek. – Wisi mi, czy jesteś ten, czy tamten. I tak będę z tobą.

– Piękne dzięki – burknął Gusiew. – A znasz ty takie powiedzenie: „Na bezptasiu i dupa słowikiem”?

Waluszek chytrze zmrużył oczy, a Gusiewowi nagle zrobiło się różniej i cieplej na sercu. Jego prowadzony miał bardzo bogatą mimikę. Drapieźnie spoglądać z ukosa, groźnie

marszczyć brwi, uśmiechać się zjadliwie i ponuro ruszać szczęką umiał wprost zachwycająco. Każdy z tych grymasów był przy tym rodzajem autoparodii, zabawną demonstracją tego, jak rzeczywiście mógłby Waluszek wyglądać, gdyby się urodził krwiożerczym i ponurym typem.

„Po kiego czorta, chłopie, polazłeś pomiędzy brakarzy? – myślał Gusiew patrząc z ukosa na Waluszka. – Czyżby tak samo jak ja, żeby uciec od strachu przed życiem? Żeby samemu stać się chodzącym strachem? Błąd, przyjacielu, ogromny błąd! Nikt tego nie wie lepiej ode mnie. Dostatecznie wiele udawałem i grałem. Aż się zagrałem. Stałem się... diabli wiedzą, kim się stałem. A może ciebie to ominie? Ty jesteś przecież zupełnie inny, dla ciebie istnienie ASB to nie patologia, nie potworność, ale norma. Ty nie musiałeś się przełamywać, żeby pogodzić się z ojczyzną taką, jaką jest teraz – świadomie okrutną...”

– Więc nie jesteś słowikiem – zakonkludował Gusiew.

– Ale rad jestem, że pracujemy razem. Chociaż zajmujemy się jakimiś pierdołami. Ale i najgłupszymi pierdołami łatwiej i przyjemniej jest się zajmować w dobrej kompanii.

Waluszek uśmiechnął się zaraźliwie i skręcił w bulwar Gogola.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Deszcz złota, wywołany „Drakulomanią”, nie omija i ojczyzny Wampira Numer Jeden. To właśnie zainteresowanie Drakulą jest źródłem stałego potoku zagranicznych turystów, którzy odwiedzają jego kraj.

Szef Centralnego spacerował tam i z powrotem po westybulu, założywszy ręce za plecy. Z dyżurki patrzyły na niego dwie pary zatrwożonych oczu. Dyżurni odwykli nie tylko od pełnienia służby, ale nawet od udawania, że ją pełnią. Wypadki takie jak próba samobójstwa na Nowym Arbacie dawno już stały się czymś niesłychanym, zwłaszcza w centrum miasta, uprzątniętym tak, że bardziej już się nie dało. Agencja powoli zanurzała się w bagnie bezbarwnej nudy. Podczas dyżurów nie zdarzały się nawet okazje do pogadania – nastrój poprawiały czasami tylko wyskoki nieprzewidywalnego Gusiewa. Wydarzeniem było nawet to, że elitarna grupa Myszkina poszła „na psy”.

Gusiew i Waluszek pojawili się w westybulu, kiedy szef oddalał się od wejścia, wchodząc na kolejny krąg. Gusiew przytrzymał drzwi, żeby nie trzasnęły, złożył się jak scyzoryk i bokiem wzdłuż ściany przemknął ku dyżurce. Za nim, podejmując z uciechą grę, ruszył Waluszek. Jemu akurat nic szczególnego nie groziło, co doskonale rozumiał, ale nie chciał przepuścić okazji do zabawy w durnia.

Dyżurny wysunął się z okna i mdlejąc niemal z zachwytu obserwował przedstawienie.

Szef natknął się na ścianę, zawrócił ostro i nie podnosząc oczu ruszył w przeciwnym kierunku. Minął niemal przekradających się obok niego i byłby ich nie zauważył, gdyby nie uśmiechający się od ucha do ucha dyżurny, który wychylił łeb z dyżurki.

– Stać! – ryknął szef prężąc ramiona i zaciskając pięści. Poczucie humoru najwyraźniej mu się zacięło.

Gusiew i Waluszek natychmiast się wyprostowali z rozczarowaniem na twarzach.

Szef poczerwieniał jak burak i wyrzucił gdzieś z głębi trzewi niskie, głębokie charczenie – tak samo, jak niedawno uczynił to minister. Tylko, że szef charczał nie ze strachu – w jego głosie kipiała źle skrywana furia.

– Znaczy... ty! – powiedział, tykając palcem Waluszka. – Do mnie do gabinetu i czekać. Biegiem!

– Taaaaest! – Waluszek lekko trącił łokciem Gusiewa w bok, jakby chciał dodać koledze otuchy, i znikł w głębi korytarza.

– A tyyyy... Ty... – nawet te kilka niezbyt skomplikowanych słów pod adresem Gusiewa nie wydobyło się z ust szefa bez trudu. Potem szef odwrócił się w stronę dyżurki. – Dyżurny! Starszy oficer dyżurny dziennej zmiany! Do mnie!!!

Powiedziawszy to szef jakby sflaczał i ponownie zaczął chodzić tam i z powrotem. Gusiew przyglądał się czubkom swoich butów i czekał na dalsze rozkazy.

– To nic – wymamrotał szef. – Nie pociągniesz mnie za sobą, Gusiew...

– Ogromnie mi przykro... – burknął Gusiew.

– Ja cię jeszcze przeżyję...

– Ale o co chodzi, szefie?

– Milczeć!!! – ryknął szef. – Ach ty... nie wiesz, o co chodzi?! Nic, zaraz ci powiedzą...

W tej chwili podbiegł starszy dziennej zmiany – wciąż ten sam Korniejew. Nie bacząc na osobistą głęboką niechęć do „synalka swego tatki”, tym razem dokładnie tak samo jak Waluszek tknął Gusiewa łokciem w bok. I nawet wykrzywił swą gębę w coś na kształt przyjaznego uśmiechu.

– Słuchaj, Korniejew – zagrzemiał szef. – Bierz wóz, pakuj weń Gusiewa i zawieź go do kwatery głównej. Osobiście zaprowadzisz go do gabinetu dyrektora i przekazesz zastępcy. Jak nie będzie dalszych rozkazów – siedź tam i czekaj. Potem zabierzesz – szef uśmiechnął się złowieszczo – to, co zostanie i przywieziesz tutaj. Osobiście dostarczysz go do mojego gabinetu. Potem jesteś wolny. Wykonać!

– Taaaaest! – charknął Korniejew, strzelając obcasami. – Czy mogę się odmeldować?

– Stać. Gusiew... – szef wyciągnął dłoń – oddajcie broń.

Gusiew, który podczas całej przemowy szefa nawet okiem nie mrugnął, teraz nagle zmienił się na twarzy. Mimo to jednak wyjął igielnik i położył go na poruszającej niecierpliwie palcami dłoni szefa.

Szef krytycznie łypnął okiem na igielnik i niedbale rzucił go na parapet okienka dyżurki.

– Jaja sobie robisz... – zawyrokował. I ponownie wyciągnął dłoń.

– To moja własność – drewnianym głosem sprzeciwił się Gusiew.

– Ty nie masz nic swojego! – uciął szef.

– Ciekawa myśl – Gusiew podniósł wzrok ku sufitowi. – I chyba prawdziwa...

– Korniejew! Odbierzcie mu broń palną!

Korniejew ostrożnie zbliżył się do Gusiewa.

– Pe, bądź tak dobry... – poprosił.

– Nie można nikogo pozbawiać własności osobistej – zacytował Gusiew nie zwracając się do nikogo w szczególności – chyba że zaszedł jeden z następujących wypadków...

– Ja ci dam „następujący wypadek”! Korniejew, zacytuj mu „ptaszka”!

Korniejew spojrział na szefa tak, jakby ten nagle stracił rozum.



– Po co? – zapytał. – I kogo miałby Pe zastrzelić? Przecież tu są sami swoi. Co, w dyrektora będzie walił?

– Starszy pełnomocniku Korniejew!!!

– Szefie, przecież wy tego naprawdę nie chcecie! Pe, posłuchaj, oddaj rurę, jak Boga kocham... no?

– Korniej, ja cię po prostu nie poznaję. – Gusiew uśmiechnął się do swojego starego, serdecznego nieprzyjaciela i wsunął dłoń pod kurtkę. Bardzo powoli wyjął „berette”, ale nie wręczył jej szefowi, tylko szurnął wzdłuż parapetu dyżurki. Z okna wysunęła się ręka i niewiele brakowało, a chwyciłaby pistolet, szef jednak okazał się szybszy. Capnął broń, wyrwał magazynek i mrużąc swoje oczy krótkowidza wbił wzrok w górny nabój. Wybiwszy go palcem rzucił go sobie na dłoń i popatrzył na następny. Na jego twarzy odmalowało się głębokie rozczarowanie.

– Dawaj resztę amunicji!

Gusiew położył na wypolerowanej do połysku desce trzy pozostałe magazynki. Szef poddał je starannej inspekcji.

– No dobra... – powiedział już nie tak złowrogim głosem, jak przed chwilą. – Korniejew, wszystko jasne? No to wykonujcie!

– Szefie, nie chciałbym przestać was lubić – smutnym głosem oznajmił Gusiew – ale chyba nie zdołam zachować do was dawnych uczuć. Jestem bardzo pamiętliwy. Chodźmy, Korniej.

– No nie, popatrzcie tylko na tego aroganta! – zapał z tyłu szef. – Pamiętliwy, widzicie go! Katorga cię czeka, kretynie jeden!

Idący ku wyjściu Gusiew zrobił ruch, jakby chciał się odwrócić i odpowiedzieć, ale rozsądniejszy od niego Korniejew trącił go w bok i poprowadził dalej.

– Czym pojedziemy? – zapytał Korniejew drewnianym głosem, kiedy zeszli na parking.

– Moim wozem – Gusiew spokojnie ruszył w stronę „dwudziestki siódemki”.

– Sam poprowadzisz?

– Nie. Ty dostałeś rozkaz, to prowadź. Posłuchaj, Korniej, czy ty w ogóle kiedykolwiek wysuwasz nos z dyżurki? Uważaj, bo się przepracujesz. I nie zarobisz wszystkiego...

– Mam chorą córkę.

– Coś poważnego? – zapytał Gusiew z grzeczności, zastanawiając się intensywnie nad tym, co go czeka u dyrektora i jak wyłgać się z opresji.

– Brak – stwierdził Korniejew. – Serce.

– Nie mów! – Gusiew zatrzymał się jak wkopany w ziemię.

– Jak nie będzie się tego leczyć, to brak. Ale na razie trzyma się po cichutku...

– Ale powinni bezpłatnie...

– U nas takich operacji po prostu się nie robi. Trzeba by wywieźć za granicę. Sam wiesz,

jakie to pieniądze... No nic, jeszcze rok, dwa, i coś się zbierze...

– Tfu! – Gusiew otworzył drzwi samochodu, usiadł i wyjął kluczyki. Namacawszy pod siedzeniem otwór zamka, pogrzebał przy nim przez chwilę i otworzył skrytkę. Wyjął z niej pokiereszowanego „makarowa” i obejrzał broń z nieukrywanym niezadowoleniem.

– Nie mogę bez broni – stwierdził głosem winnego, podając kluczyki Korniejewowi. – Czuję się jak nagi.

– Jesteś tak samo stuknięty, jak wszyscy – prychnął Korniejew, uruchamiając silnik.

– Nie da się ukryć. – Gusiew grzebał pod kurtką, usiłując wetknąć gdzieś pistolet. W plastikowym łożu igielnika niezbyt wielki „makar” tonał, w kaburze „beretty” się nie mieścił i Gusiew w końcu wetknął go zwyczajnie za pas.

Korniejew dawno nie prowadził żadnego wozu i wybrał nie najlepszą trasę na Łubiankę – przez bulwary. Kiedy wyjeżdżając spod łuku mostu Wielkiego Kamienego skręcił w lewo, Gusiew drgnął, ale było już za późno. Przed nimi mignął lizak i w poprzek drogi stanął milicyjny „uszaczek”.

– W samą porę – stwierdził Gusiew i spojrzał na zegarek. – Gospodarz zaraz pojedzie do domu. No dobra, z dziesięć minut się spóźnimy...

Korniejew rozejrzał się – z boków już ich zachodzili tacy sami bezkompromisowi stróże prawa.

– Może włączymy koguta? – namyślał się głośno Korniejew. – Jakoś byśmy się przedarli.

– Po co? – Gusiew machnął ręką. – Ja nie mam dokąd się spieszyć, a ty też do końca dyżuru masz jeszcze półtorej godziny. Odpocznijmy.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Wreszcie Korniejew nie wytrzymał.

– Towarzyszu Gusiew, dlaczego strzelaliście do ministra? – zapytał udatnie naśladując władczy głos dyrektora. – Wzmocniony ładunek, pocisk o stalowym rdzeniu...

– Nasz przemysł wypuszcza ostatnio bardzo kiepskie szkła – odpowiedział Gusiew, strząsając za okno popiół z papierosa. – A popierdolonych ministrów nabierało się jak psów. Zboczenie jakieś – rozpierać się na tylnym siedzeniu, kiedy wóz rwie drogą, jakby mu kto dupę przypalił...

– Pewnie się spieszył.

– Do żony i dzieciak...

– Zjeść obiad w ściśle rodzinnym gronie!

– Właśnie tak!

– Pe, czyś ty kiedykolwiek zdradzał żonę?

Zdziwiony pytaniem Gusiew zmrużył oczy.

– Korniejew – zapytał przenikliwym szeptem – co z tobą? Przecież trzeciego dnia niewiele brakowało, a byś mnie na pojedynkę wyzwiał?

– A jak przeproszę?

– Dawaj. Kajaj się.

– Przepraszam, wybacz, ale nie miałem wtedy racji. Widzisz, Pe, ty przecież nigdy nie pełniłeś służby dyżurnej, prawda? A – między nami mówiąc – siedzącemu za pulpitem dyżurnemu nerwy zaczynają puszczać. I pod koniec zmiany robi się drażliwy jak niedźwiedź z cierniem w dupie. Ja wtedy zareagowałem nieco za ostro. – Hmm...

– No to zapomnijmy o tym incydencie, zgoda?

– Dobra, zapomnijmy... – i Gusiew, ze zwykłym sobie brakiem wychowania, wyrzucił niedopałek przez okno.

– Czemu śmieciysz? – natychmiast zareagował Korniejew.

– Bo lubię!

– Przecież jesteś brakarzem!

– To cały ty, Korniejew. Bestialsko praworządny. Wieziesz kolegę na egzekucję i pilnujesz, żeby niedopałków za okno nie wyrzucał. A jak mnie tam w tej Komendzie Głównej rozstrzelają? Czy nie będziecie, Korniejew, odczuwali nieznośnego bólu na myśl o tym, że nawet w ostatniej godzinie życia starego towarzysza broni nie umieliście powstrzymać się od uwag i złośliwostek pod jego adresem?

– Pięknie – uśmiechnął się Korniejew. – Książki powinieneś pisać. O jasnej drodze i bezchmurnej przyszłości przed nami.

– Dawno nie czytałem niczego współczesnego. Naprawdę takie gówno?

– Nie, dlaczego... Choć czasami łapię się na tym, że z radością bym przeczytał jakiś kryminał w rodzaju Marininy. Ale skąd teraz wziąć coś takiego?

– Ależ ona pierdoły pisała! – nie wytrzymał Gusiew. – Pamiętam, miała tylko jedną normalną książkę – „Stylistę”, a i tam co chwila przechodziła w niej z górnolotnej mowy na język protokołu milicyjnego.

– Pierdoły nie pierdoły, ale na wilę we Włoszech forsy jej wystarczyło.

Gusiew nie bardzo pojmował taką logikę, ale postanowił nie rozwijać tematu. Odsunął fotel do tyłu i ponownie zapalił. Korniejew podsunął mu dziewczęco czystą popielniczkę.

– A czemu ty się moją żoną zainteresowałeś? – przypomniał sobie Gusiew.

– Tak ogólnie. Ciekaw jestem. Coś się w moim życiu załamało, pojmujesz? Nie, żebym swoją kochać przestał, nie. Ale wszystko jakieś takie bezbarwne się porobiło, codzienne. A jak sobie dziubiesz coś szybko na boku – lecisz do domu jak na skrzydłach... I tak się zastanawiam – tylko u mnie tak, czy to normalne?

– Mówią, że normalne.

– Dawno po rozwodzie jesteś?

– Sześć, albo siedem lat – stwierdził Gusiew obojętnie i sam się zdziwił, jak łatwo mu mówić o czymś, co jeszcze tak niedawno darło mu duszę. – Nie, swojej oczywiście nie zdradzałem. Jakoś mi się to nie mieściło w głowie. Pobraliśmy się z wielkiej miłości.

– To czemu się rozwiedliście?

– Ona za bardzo pragnęła dziecka. A ja się przesadnie opierałem.

– Dlaczego?

– Bo jestem tchórzem – rzucił Gusiew. – Zwyczajnie... jestem tchórzem i tyle.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Maleńkie księstwko wołoskie leżało między Siedmiogrodem a muzułmańskim kolosem, odgrywając rolę swoistego bufora. Przed napaścią na transylwańskie miasta, Turcy musieliby podbić Wołoszczyznę. W interesach Siedmiogrodzian było więc stworzenie takiej sytuacji, iżby sułtan dwa razy pomyślał przed rozpoczęciem nowej wojny z Wołoszczyzną.

Gusiew nie znał osobiście aktualnego dyrektora Agencji, który objął stanowisko pół roku temu i był – jak mówiono – rzadko spotykanym okazem świni i intryganta. Co prawda, tak mówiono w Centralnym, gdzie za świnię i intrygantów uważano wszystkich, którzy wspięli się na kierownicze stanowiska bez wychodzenia z za biurka. Ten dyrektor, jak zresztą dwaj jego poprzednicy, nigdy nie poszedł na patrol.

Z bliska ów łajdak i drań pierwszej wody robił dość dobre wrażenie. Gusiew bezwarunkowo wierzył takim mężczyznom – wielkim, silnym, roslym, poruszającym się z niepowtarzalną, ciężką gracją niedźwiedzia niezdary, który stara się jak najrzadziej machać rękoma, żeby przypadkiem nie przewrócić szafy. Gusiewowskie ego znacznie przekraczało jego fizyczne gabaryty i całe życie cierpiał z powodu braku pięciu centymetrów wzrostu i dziesięciu kilogramów wagi. Najpewniej zaś czuł się idąc po ulicy pomiędzy Daniłowom i Myszkinem. Nawet z nieboszczykami Żeńką i Kostikiem było inaczej – mimo wszystko to on odpowiadał za prowadzonych. A w towarzystwie obu drągali nareszcie zniknęło gdzieś jego podskórne oczekiwanie na bandycką napaść z za rogu.

– Witajcie, Pawle Aleksandrowiczu – zaczął dyrektor. – Słyszeliśmy już o waszych wyczynach.

Gusiew uśmiechnął się skromnie, ale z godnością. Jakby chciał rzec: nie byle jakie to wyczyny.

– Uważa się... – dyrektor zawiesił na chwilę głos. – Uważa się, że wasze zdolności nie zostały w pełni docenione. Niewybaczalnie zasiedzieliście się wśród agentów operacyjnych, towarzyszu Gusiew. Pierwsza linia, niewidzialny front – wszystko to bardzo piękne. Ale tak utalentowany pracownik jak wy, towarzyszu Gusiew, w pełni zasługuje na coś lepszego.

Gusiew aż do bólu zapragnął zapalić. Nijak nie mógł się zorientować, czy dyrektor zeń

kpi, czy nie. W oczach dyrektora czaiła się jakaś nieuchwytna przekora, ale Gusiew nie wiedział, jak ją zinterpretować.

– Podpisano rozporządzenie o stworzeniu nowego oddziału w systemie GUŁAK. Ten pododdział ma się nazywać... – dyrektor zajrzał do leżących przed nim na biurku dokumentów – „Oddziałem Projektowania Systemowego”. Jego szef będzie miał rangę mojego zastępcy. Wy jesteście przecież ekonomistą, Pawle Aleksandrowiczu?

Gusiew, starając się nie wytrzeszczać zdumionych oczu usiłował sobie przypomnieć, co napisano w jego dyplomie.

– Jestem raczej ekspertem rzeczoznawcą – stwierdził niepewnym głosem. – To znaczy pamiętam nieco wszelkiego rodzaju kombinacje typu „towar-pieniądze-kod kreskowy”, ale...

– Akurat po waszej linii. Zadaniem oddziału będzie kompleksowa ocena i opracowanie perspektywicznych rekomendacji i zaleceń dotyczących zastosowań i przekształceń pododdziałów, których przydatność zaczyna być wątpliwa. Wiecie przecież, Pawle Aleksandrowiczu, że w spadku po byłym Ministerstwie Sprawiedliwości dostaliśmy ogromną liczbę najrozmaitszych struktur. Na przykład wszelkiego rodzaju zakłady penitencjarne... W swoim czasie wykorzystywaliśmy je z powodzeniem, ale znaczna ich część przestała już nas interesować.

– Co, katorżnicy poumierali? – nie wytrzymał Gusiew.

– Właśnie tak. Wy z pewnością jeszcze się nie orientujecie, ale GUŁAK czeka kompletna restrukturyzacja. Trzeba się teraz zorientować, które obiekty przenieść, powiedzmy, na cywilny reżim, a które nietknięte przekazać pod skrzydła MSW.

– Chwileczkę – poprosił Gusiew. – Ja jestem brakarzem. Szeryfem. A GUŁAK, o ile mnie pamięć nie zawodzi – to zwykła organizacja państwowa. No, może nie tak do końca zwykła, ale tak czy owak – kancelaria.

– Nie, drogi Pawle Aleksandrowiczu. Nie kancelaria, a potężna organizacja przemysłowa. Jedna z podpór ekonomicznego dobrobytu Związku Słowiańskiego. Wy, jak widzę, nie oceniliście perspektyw. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z opracowanym planem, za kilka lat, towarzyszu Gusiew, znajdziecie się w kierownictwie najpotężniejszej państwowej korporacji kraju. Rozumiecie, co to dla was oznacza?

– Rozumiem, że koniec z Wybrakówką – odpowiedział Gusiew. – Przepraszam, czy tu można palić?

– Tak, oczywiście. Proszę, oto popielniczka. A jak wy sami uważacie, towarzyszu Gusiew, jak długo jeszcze będzie w rzeczywistości potrzebne „zarządzenie sto dwa”?

– A co będzie, jak je odwołają? – zapytał Gusiew, zapalając papierosa. Niełatwo mu było udawać bałwana szeryfa, nie sięgającego wzrokiem poza koniuszek własnego nosa, ale się starał.

– Będzie, co było wcześniej. Stary, dobry system – prokuratura, Ministerstwo Sprawiedliwości, MSW. Oczywiście z uwzględnieniem nagromadzonego doświadczenia.

Przestępczość w kraju została zlikwidowana, pozostaje tylko utrzymanie *status quo*. Spróbujmy spojrzeć na sprawy realnie – ASB, jako organ represji, wypełniła już swoje zadanie. Na dzisiaj istnienie Agencji po prostu nie ma sensu. Przy okazji nie sposób nie zauważyć, że wedle rozmaitych sondaży ulicznych stopień społecznej aprobaty dla działalności ASB wyraźnie spada. Ludzie nie uważają już Wybrakówki za czynnik stabilności. Przeciwnie – pojawia się obawa, że z braku realnych przeciwników ASB zacznie „polowania na czarownice”. – Dyrektor westchnął, całym sobą demonstrując, jak bardzo jest mu przykro z tego powodu. – Zgódźmy się, że taki stan rzeczy nie jest miły ani dla mnie, ani dla was, i nic dobrego dla kraju z tego nie wyniknie. Powiem wam w sekrecie: na górze – dyrektor wskazał wzrokiem sufit – opinie się podzieliły. Jedni uważają, że należy nas rozpuścić, dopóki spadek popularności Agencji nie przybrał rozmiarów katastroficznych. Większość jednak na szczęście jest zdania, iż powinniśmy tylko trochę się oczyścić i wypucować. Dlatego myślę, że jeszcze z roczek pociągniemy. Ale przygotowania do rozformowania Agencji polecono rozpocząć już teraz.

– Mówicie ze mną tak... – Gusiew przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – ...otwarcie.

– Z wami tak. Uważa się, że właśnie wy umiecie patrzeć prawdzie w oczy, nie odwracając wzroku. Z takich właśnie ludzi, sprawdzonych, pewnych i godnych zaufania, myślących o przyszłości kraju i gotowych do przyjęcia na siebie odpowiedzialności za jego losy, będą formowane kierownicze kręgi nowych struktur państwowych. Więc radzę wam, Pawle Aleksandrowiczu – niechże się pan zgodzi. Przyszłość należy właśnie do takich – jak pan to określił – kancelarii. Bezkompromisowa wojna, jaką Agencja prowadziła w przeciągu minionego bez mała dziesięciolecia, zakończyła się naszym całkowitym zwycięstwem. Nadszedł czas, żeby pomyśleć, jak się przystosować do czasów pokojowych. Właśnie teraz trzeba się nad tym bardzo poważnie zastanowić. I podjąć jedyną słuszną decyzję. Potem może być za późno. Rozumiecie?

– Owszem – kiwnął głową Gusiew. – W ostatnim wagonie na południe może się rozpętać bójka o miejsca na półkach.

Dyrektor potarł dłonią podbródek. Gusiew palił i czekał, czy jego ostatnie słowa okażą się dostatecznie przejrystą aluzją.

– Niezupełnie – odpowiedział dyrektor po krótkim namyśle. – Ja bym to określił nieco bardziej wyraziście. Ale z zastrzeżeniem, że zostanie to między nami. Rozumiecie? Absolutnie. Zresztą nie mnie was uczyć, czym jest tajemnica państwowa. Ale powinniście mnie też zrozumieć – nikt mnie nie upoważnił do podzielenia się nią z wami. Powiedzmy, że to moja własna inicjatywa. Od tego, jakie wyciągniecie wnioski, zależeć będzie...

„No tak – pomyślał Gusiew. – Teraz już wszystko staje się jasne. Teraz rozumiem, dlaczego stary tak wybałuszył na mnie oczy, kiedy go zapytałem o odstrzał brakarzy. On po prostu niczego nie podejrzewa. Jest zbyt ważny i za mało elastyczny, żeby wejść do nowego

ugrupowania, które zamierza od nowa podzielić władzę i zakres kompetencji. Ciekawe, czy poważnie zastanowił się nad moimi ostrzeżeniami? Wątpię. Ale tak czy owak, stary piernik zawsze starał się mnie chronić i bronić, nawet gdy niebezpieczeństwo było hipotetyczne. Przecież od razu zaproponował mi opuszczenie kraju. A kiedy zrozumiał, że nie zamierzam uciekać, postanowił mnie choć uratować od przypuszczalnej kuli w łeb i szepnął słówko dyrektorowi. A ten, jak się okazuje, wie znacznie więcej. I teraz na wszelki wypadek zamierza sobie zabezpieczyć dupsko. Na razie nie wiadomo jeszcze, kto weźmie górę w szykującej się kotłowninie na Kremlu i zapobiegliwy dyrektor zamierza ukryć za pazuchą Pe Gusiewa. Później wzmiankowanego Pe Gusiewa z radością wyda się zwycięskiej stronie.

Ale w jednym dyrektor ma rację – ASB zostanie zlikwidowana. Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. I bardzo dobrze się stanie. Dość. Jeszcze roczek na trasie i Pe Gusiew zwariuje do szczętu. Czas się wziąć w garść.

Ale zasadnicze pytanie leży gdzie indziej – kto i w jaki sposób zamierza rozwiązać problem ASB? Może rzeczywiście zajrzeć na Kreml i opowiedzieć treść otwartej rozmowy z dyrem? Uprzedzić starszka, że nie dostrzegł spisku pod swoim nosem? Starszek ostatnio mocno spuścił z tonu. Ale nie, to bzdury. I tak ostatnio dałem mu do przemyślenia więcej niż trzeba. A sam ma dość możliwości dokopania się do prawdy. Wystarczy puścić tropem samą Agencję. Półgodzinne najzwyczajniejsze przesłuchanie psychologiczne – i cała prawda wyjdzie na jaw”.

– Co? – zapytał Gusiew, wracając do rzeczywistości. – Co tam mruczycie pod nosem?

Dyrektora zatkało. Nagle stwierdził, że siedzi przed nim zupełnie inny Gusiew, wcale nie ten, który jeszcze przed chwilą kręcił, wytrzeszczał oczy i zachowywał się jak typowy beztrocki synuś swojego tatki. Tego prawdziwego Gusiewa znali tylko dranie, których „przechwytywał” na trasie. Dyrektor oczywiście nie wiedział, z kim ma honor i nieprzyjemność. I wcale się go nie spodziewał.

– Mówcie, co mieliście powiedzieć – polecił Gusiew. – No, dalej!

– Eee... – zająknął się dyrektor. – Zapewne. W ogóle to chciałem powiedzieć, że w tym wagonie, jak się wyraziliście... Może się okazać, że jest w nim trochę ciasno. Nie wykluczam też możliwości... że go po prostu odłączą od pociągu.

I spojrzął Gusiewowi w oczy – kryształowo czystym wzrokiem człowieka, który wydusił z siebie tyle prawdy, ile mógł.

Niewiele brakło, a Gusiew by zapytał: „Co wam wiadomo o czasie odjazdu pociągu?”, ale się powstrzymał. To byłoby już przegięciem pały. Dyrektor nigdy by nie poszedł aż na taką szczerość. Sam pewnie zresztą nie znał szczegółów. W ostatniej chwili zadzwonią do niego i polecą: zaczynaj. Wszechmocne ASB zacznie na własną rękę „oczyszczać się” z niebezpiecznych i niereformalnych weteranów, niezdolnych do „spojrzenia w oczy rzeczywistości”. Agencja sparaliżuje samą siebie, na pewien czas przekształci się w system zamknięty, zbyt zajęty, żeby wykonywać polecenia z zewnątrz.



I w jakikolwiek sposób wpłynąć na to, co się będzie działo dookoła.

A kiedy wszystko się skończy, tych młodych, którzy wyjdą cało z pogromu weteranów, wyśle się do ochrony czegokolwiek – choćby do byłego GUŁAK-u, który stanie się, na przykład „Centroeksportem”, a na drzwiach biur zmienia tylko tabliczki.

A ja, który cały ten czas przesiedzę w gabinecie, zostanę sam jak palec.

Czeka mnie samotność stokroć gorsza od tej, w jakiej żyję teraz.

Przecież nawet mnie nie zabijają – po co mieliby to robić? I nie ześlą, ani nie ukryją.

Człowieka, który tak zręcznie i lekko sprzedał swoich, mądrzej będzie wykorzystać.

I jeszcze pożyję – ale za jaką cenę?

– Jasna sprawa – stwierdził Gusiew. – A ile płacą szefowi oddziału w randze zastępcy dyrektora?

– Nie tak znowu wiele – rozpromienił się dyrektor. – Trzy razy tyle, ile dostajecie na trasie. Ale za to nie ma żadnego ryzyka. Rozumiemy się?

„Co ty tak ciągle: rozumiecie, rozumiemy się... Gorzej niż Myszkini, jak Boga Kocham! Tamten choć udaje durnia, a ty nie. Silisz się tylko na wieloznaczność”.

– A w perspektywie... O tym już zresztą mówiłem...

– Bardzo mi się spodobało wasze sformułowanie: „Dać Gusiewowi WSZYSTKO”. – oznajmił Gusiew z miłym uśmiechem. – Wzruszyłem się do głębi.

– A mnie się spodobał wasz postępek – z widoczną ulgą stwierdził dyrektor. Trudne pertraktacje dobiegły końca, zaczęła się zgodna z protokołem rozmowa o wszystkim i niczym, dyrektor dostał, co chciał i był chyba zadowolony. – Orientuję się, dlaczego uparliście się przy swoim. Ten młody śledczy okazał się nad wyraz nieodpowiedzialny i krótkowzroczny.

– No, chwała Bogu, ja młodzieńcem nie jestem. Bywają chwile, kiedy interesy Agencji mijają się nieco z literą prawa.

Niewiele brakowało, a zachwyt dyrektora uniósłby go w powietrze.

– Trzeba stwierdzić przy tej okazji, że nie ja jeden w Centralnym jestem taki... – oznajmił Gusiew.

– Jaki? – sprężył się natychmiast dyrektor.

– Domyślny. I jeżeli was interesuje moje prywatne zdanie...

– Ależ jak najbardziej!

– ...to metoda restrukturyzacji naszej firmy – no, ta z odczepieniem ostatniego wagonu – może się okazać pewnym... eee... marnotrawstwem.

Dyrektor odetchnął z ulgą. Właśnie tak – z ulgą. Pomyślał pewnie, że Gusiew robi aluzję do tego, iż ktoś jeszcze przewidział bliski już odstrzał weteranów.

– Mamy bardzo oszczędne możliwości kadrowe – stwierdził stanowczo. – W planie etatów nie ma miejsca dla ekspertów od rozstrzeliwania na miejscu.

„No proszę! – Gusiewem aż targnęło. – Oto co znaczy sprzedać diabłu duszę. Takie

zaczynają się rozmowy... Ostro, stanowczo, okrutnie i bezwzględnie...”

– Rozumiemy się? – spytał dyrektor ze zwodniczą łagodnością w głosie. – Jako doświadczony brakarz powinniście mnie zrozumieć. Wam przecież zdarzało się brakować swoich, prawda?

„Dzięki za przypomnienie!”

– Wiosną tego roku wybrakowałem swoich obu prowadzonych – fałszywa skromność wyszła Gusiewowi niezwykle naturalnie.

– Owszem, wiem. Zrozumcie, Pawle Aleksandrowiczu, ja też nie jestem ludojadem. Realistą i tyle. Człowiek, który chodził na trasę przez trzy lata pod rząd, co więcej, brał udział w operacjach specjalnych... Wiecie, o kim mówię. Tacy ludzie są... chwiejni, i po swojemu pojmują rolę, jaką pełnią w społeczeństwie. Zbyt długo chodzili po krawędzi dzielącej dobro od zła.

– Ja chodzę po tej krawędzi ponad pięć lat – przypomniał Gusiew rozmówcy. – No dobrze, dość już o tym. Wybaczcie, to tylko emocje. Zgadzam się z wami w jednym – potrzebny jest zdrowy realizm. I z pozycji zdrowego realizmu... Ile mam czasu do namysłu?

– Rozumiem – kiwnął głową dyrektor. W ogóle nie przyszło mu do głowy, że Gusiew mógłby się nie zgodzić. „Czas do namysłu” należał do reguł gry. – Rozumiem i nie potępiam.

– Muszę się przygotować i oswoić z perspektywami.

– Będzie nam się dobrze pracowało, Pawle Aleksandrowiczu.

– Jestem pewien.

– Postarajcie się uwinąć w ciągu trzech dni.

– Tydzień...

– Mmm... no dobrze, niech będzie tydzień. Zadzwońcie do mojego zastępcy i powiedzcie, że jesteście gotowi do pracy, a on niezwłocznie prześle do Centralnego personalny rozkaz o waszym przeniesieniu. A wy uporządkujecie sprawy i następnego dnia prosimy do nas. Gabinet już przygotowany, a personel zebraliśmy.

– No proszę...

– Tak jest, oddział już pracuje. Bardzo kompetentny zastępca, rzeczowy i konkretny młody człowiek. W praktyce zajmiecie tylko swoje miejsce i łagodnie, bez zbytniego napięcia...

– Dobrze by było. Zmęczyło mnie już to napięcie.

– Ale co też wy! – dyrektor zamachał rękoma. – No, to czekam na wasz telefon.

Gusiew wstał i uklonił się ceremonialnie. Podczas tego ukłonu niewiele brakowało, a wypadłby mu zza pasa „makarow” – pękaty pistolecik wypchał w górę ucisk gibkiego segmentu kombidresu w talii. Gusiew zdążył już zapomnieć, kiedy ostatnio wychodził z domu bez broni.

– Zawsze pod bronią... – wymamrotał dyrektor. – Zawsze na posterunku... Pewnie ciężko wam będzie od tego odwyknąć. Nie uwierzycie, mój drogi, jak dobrze rozumiem wasze

problemy. Ja przecież też kiedyś... Taaak...

– Miło było zawrzeć znajomość – rzekł Gusiew, wpychając pistolet głębiej.

– Mnie też było bardzo miło. Przy okazji zechciejcie przekazać najniższe ukłony Aleksandrowi Piotrowiczowi.

– Bezwzględnie przekażę.

– No cóż, do spotkania już w nowych układach...

– Do spotkania – Gusiew z niemałym trudem zatrzymał potok wzajemnych zapewnień o najwyższym szacunku i wyskoczył za drzwi.

– No i jak? – zapytał Korniejew ze strachem w głosie, podrywając się z miejsca i oglądając Gusiewa od stóp do głów, gdy ten tylko pokazał się w poczekalni.

„Oj, nie kupisz mnie, Korniej! Też mi chytrusek się znalazł. Jak tylko usłyszał o przeciwpancernych, natychmiast zwał, że wyczułem pismo nosem. Ale skąd ci przyszło do głowy, że cię z miejsca pokocham na zabój, i w razie prawdziwego niebezpieczeństwa uprzedzę? Chociaż uwzględniwszy, że masz chorą córeczkę...”

– Wspaniale – odpowiedział Gusiew, po ojcowsku poklepując Korniejewą po ramieniu. – No cóż, kolego, jedźmy do Centralnego. Wyleczymy szefa z przesadnej podejrzliwości. Ostatnio zaczął coś zbyt wiele brać na swoje wątle w końcu ramiona.

– Tak właśnie myślałem! – westchnął z zapalem Korniejew. – Tak właśnie myślałem!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Masowe egzekucje i kaźnie są wypróbowanym sposobem na zapisanie się w pamięci potomków; większość ustnych przekazów o Drakuli aż do dzisiejszych czasów zachowała się właśnie w taborach Cyganów.

Do Centralnego Korniejew pojechał normalną drogą, przez pierścień bulwarów, czym mocno Gusiewa rozdrażnił. Po rozmowie z dyrektorem zebrano się tyle powodów do rozmyślań, że można było zgłupieć od nadmiaru palących problemów. Gusiew rad byłby każdej zwłoce w drodze. I gdy zbliżająca się już do Pietrowki „dwudziestka siódemka” utknęła w korku – szczerze się ucieszył.

Korniejew przeciwnie, wysunął się z okna niemal do pasa.

– Coś niebywałego – wymamrotał po chwili. – Żadnego ruchu. Pe, widziałeś kiedyś coś takiego na Bulwarach?

– W minionym wieku – leniwie rzucił Gusiew, pogrążony w swoich rozmyślaniach.

– Bądź tak dobry i rozejrzyj się – Korniejew sięgnął do radioodbiornika, włączył go i zatrzymał silnik.

Gusiew westchnął ciężko i otworzył skrytkę na podręczny komputer. Wywołał na monitor plan miasta. I niewiele brakowało, a wywichnąłby sobie szczękę ze zdziwienia.

Na schemacie skrzyżowania widać było pięć... sześć... nie, znacznie więcej czerwonych punktów. I wiele niebieskich. Znacznik w kształcie małego automatu wskazywał, że w tych miejscach miała miejsca strzelanina – i to ostra.

– Korniej – wydusił z siebie po chwili Gusiew. – Chyba wsiąkliśmy.

Z mapy przerzucił się na plan sytuacji operacyjnej. Żadnych szczegółów. Po prostu strzelanina z broni automatycznej, przed dziesięcioma minutami. Milicja jest już na miejscu. Rozpatrywany incydent nie leży w kompetencjach ASB. „Rzeczywiście, to nie nasza sprawa. My jesteśmy od wybrakowania przestępcy. O ile zostanie stwierdzone, kto nim jest...”

Gusiew podsunął panel Korniejewowi i ten z kolei też otworzył gębę:

– O matko!

– Właśnie tak. No co, idziemy?

– No... – Korniejew zaczął gorączkowo sprawdzać igielnik.

– Zostaw, Korniej – mruknął Gusiew. – Tam już wszystkich pozabijali...

Skrzyżowanie wypełniała masa poharatanego żelaza, kości i mięsa. I wszystko było zalane krwią. Gusiew ciężko przełknął ślinę, a idący za nim Korniejew tylko westchnął. Wyglądało na to, że gdy tylko samochody ruszyły na zielonym, ktoś otworzył do nich ogień z trotuaru. Morderca walił we wszystkie bez wyboru, seriami bez konkretnego celu.

Gapiów od miejsca wypadku oddzielał kordon milicji. Wokół wraków kręciło się mnóstwo ludzi – białe chałaty, szare mundury i cywilne ubrania spletały się w jedną ruchomą masę. Kilka karet z przeraźliwym wyciem usiłowało wyrwać się poza skrzyżowanie, a ze wszystkich stron wdierały się w uszy sygnały syren innych, gnających do miejsca wypadku wozów. Piekielna wrzawa zagłuszała jęki rannych.

Każdemu ruchowi towarzyszyły chrzęst i zgrzyt szkła pod nogami.

Na jedynym wolnym kawałku chodnika, przy którym zatrzymali się brakarze, zebrał się niezbyt liczny tłumek. Trzeba było nieźle wyciągać szyję. Gusiew dotarł do słupa ulicznej sygnalizacji i podciągając się po gładkiej kolumnie spróbował objąć wzrokiem całe miejsce wypadku. Gdzieś już widział coś podobnego.

Mnóstwo potraskanego szkła.

Całe skrzyżowanie pełne śladów krwi – tam, dokąd nie pociekła sama, zaniesiono ją na podszwach butów.

„Nie – pomyślał Gusiew. – Czegoś takiego jeszcze nie widziałem”.

Słyszałem. Czytałem. Myślałem o tym.

Saratow.

Chłopak z automatem, który ostrzelał tramwaj.

Jakiś gnojek, który przyczepił sobie do piersi imitację oznaki ASB.

Prowokator.

Ktoś targnął go za połę kurtki. Gusiew spojrzał ze zdziwieniem w dół. Tuż pod nim stał Korniejew z niemym pytaniem w oczach. Gusiew zupełnie zapomniał, że nie jest tu sam.

Ostrzelane samochody powpadały na siebie i tylko jeden wyjechał na trotuar, wcinając się w letni kawiarniany ogródek – kierowca, choć martwy, naciskał widać jeszcze na gaz.

„Dobre i to, że nikogo nie przejechano”.

Gusiew stanowczym krokiem przeciął tłum i stanął oko w oko z kapralem milicji. Chłopak miał taki wyraz twarzy, jakby zaraz miał jednocześnie zwymiotować i się rozplakać. Gusiew rozejrzał się i odszukał wzrokiem człowieka o mocniejszych nerwach – niemłodego już, grubego i wąsatego sierżanta.

– Kto strzelał? – zadając pytanie Gusiew jednocześnie pokazał oznakę ASB.

Wszystkiego mógłby się spodziewać – oprócz reakcji sierżanta. Milicjant wytrzeszczył oczy i poczerwieniał, jak człowiek, którego zaraz trafi szlag.

– Idź ty w chuj! – syknął sierżant. Najeżywszy wąsy upodobił się do rozjuszonego

morsa.

– Odbiło ci? – zdumiał się Gusiew.

– Powiedziałem – sperdalaj! – sierżant opuścił dłoń na kaburę. Gusiew cofnął się szybko, wpadając na rozpychającego za nim ludzi Korniejewa.

– Co jest? – zdziwił się towarzysz. – Nie puszczają?

– Chwileczkę. – Gusiew odsunął go łokciem i niemal biegiem skoczył na drugą stronę bulwaru, gdzie migali pagonami oficerowie. Korniejew, który najwyraźniej i bez dyskusji uznał jego starszeństwo, sapiąc ciężko ruszył jego śladem.

Na rogu z podnieceniem wymachiwało radiotelefonami przynajmniej dziesięciu pułkowników i cała chmara oficerów niższych rang. Gusiew ruszył w ich stronę, ale w tej chwili chwycił go za kołnierz kolejny sierżant.

– Wam nie wolno, towarzyszu pełnomocniku! – stwierdził, podkreślając głosem moc rozkazu.

– Jeszcze jak wolno! – Gusiew spróbował się wyrwać.

– Nie. Rozkaz ministra. Nie dopuszczać ASB.

– Wasz minister nam wisi i powiewa, sami mamy nie gorszego... – warknął Korniejew.

– Siedź cicho, Korniej. Sierżancie, czy coś jest wam wiadome?

– Nie.

Gusiew podniósł rękę, starając się w taki choć sposób ściągnąć na siebie uwagę oficjeli z drugiej strony ulicy. Powiodło mu się – w stronę kordonu skoczył jakiś rozdrażniony major.

– Jestem starszym pełnomocnikiem Centralnego oddziału ASB. Nazywam się Gusiew. Zechciejcie mi powiedzieć...

– Spierdalaj – rozkazał major.

„I ten ma takie oczy, jakby zaraz miał mnie zastrzelić – zauważył Gusiew. – Czyżbym miał rację i powtórzono tu wariant saratowski? Żeby mnie, brakarzowi, jakiś majorzyna, który nigdy wcześniej mnie nie widział, kazał iść won?”

– Mówiłem przecież – rozkaz ministra – burknął sierżant odpychając Gusiewa od majora, który mierzył brakarza bardzo wrogim spojrzeniem.

– Dwa słowa – poprosił Gusiew. – Czy ten człowiek miał znaczek ASB?

– Żadnych komentarzy – wycodził major przez zęby i odszedł.

– Sierżancie! Czy ten człowiek miał znaczek ASB?

Sierżant rozejrzał się ukradkowo i prawie niezauważalnie kiwnął głową.

Gusiew poczuł, że grunt osuwa mu się spod nóg. Korniejew chwycił go za ramię.

– Wyośmy się stąd, Korniej – stwierdził Gusiew.

– Boże... Ale skąd takie...

– Wyośmy się. Ty lepiej pomyśl, jak samochód z tego tłoku wyciągnąć. Przecież na rękach go nie wyniesiemy... No dobra, przebijemy się podwórkami.

– Ale jak możesz...

– Co jak mogę?!

– No, tu jest tak... takie...

– Korniej, uspokój się. Nic tu już nie zdziałamy. Chodźmy stąd, ale już! – Gusiew zaciągnął poły kurtki, żeby wbrew swojej woli nie błysnąć przypadkowo oznaką na piersi. W tej chwili aż za bardzo widoczną.

Co wcale nie wróżyło brakarzom dobrze.

Waluszek siedział w sali roboczej i położywszy nogi na stole Gusiewa puszczał dym ku sufitowi. Zobaczywszy swojego przewodnika nie tylko bez dziury po kuli w głowie, ale i bez kajdanek, zerwał się z miejsca i kopnął się ku niemu przez całą salę.

– No i jak?!

– Jeszcze pożyjemy – odpowiedział skromnie Gusiew.

– Wiadomo coś o strzelaniu na Pietrowce?

– A czy ktoś coś nam powie? Ale czekaj, zaglądał tu instruktor szkolenia ogniowego i cię szukał.

– Dziwne. Mógł przecież zadzwonić.

– Widać nie chciał.

Gusiew zmrużył oczy i tknął Waluszka pięścią w ramię.

– Niegłupia myśl – stwierdził. – Nasz Wilhelm Tell ma niezwykłego nosa do wyczuwania dziur w burtach. No dobra, Loszka, los przezornym sprzyja. Od tej chwili przez radio – żadnej zbędnej gadaniny. Wyłącznie służbowe rozmowy i komunikaty. Gdyby ktoś chciał nas podsłuchiwać – nic bardziej prostego. Kumasza? A ty co tu robiłeś beze mnie?

– Przyjmowałem wyrazy współczucia.

– Jaja sobie robisz? – Nie uwierzył Gusiew.

– W żadnym wypadku. Zbiegła się połowa oddziału. Daniłow powiedział, że w razie czego weźmie mnie do swojej grupy. Różnie bywa, powiedział.

– Czyli chcieli mnie pochować, dranie. – Gusiew westchnął ciężko i spochmurniał.

– Niby tak – zgodził się z nim Waluszek i nawet trochę się zmieszał.

– Brakarze... – Gusiew wyglądał na porządnie wkurzonego. – Cholerne tchórze. Swego czasu takich ministrów na kopach z gabinetów wyprowadzali. A teraz wystarczy tylko, że jeden normalny człowiek pokaże staremu capowi, gdzie jego miejsce, wszyscy pękają i czekają na egzekucję. Oj, coś się psuje w państwie duńskim. I dlatego rozmaite złodziejskie męty ocalałe z pogromu wracają do miasta. Ktoś już nawet widział tych łachmaniarzy na ulicy. A co potem? Cyganie przez granicę znów zaczną się złazić? Tfu!!! Wiesz ty, że byli u nas tacy ludzie – Cyganie?

– Mmm...

– Którym Bóg jakoby pozwolił kraść?

– Mmm...

– Więc oni sobie kradną jak przedtem. Tylko nie tutaj, bo ich stąd gnali, Loszka! To było jak jakaś pieśń! Agencja cały kraj postawiła na uszach. Cyganom stworzono tak niezdolne warunki, że poznikali, jakby ich krowa językiem zlizwała. Drobne złodziejaszki sami zwiali, a tych, co mieli wille warte po milionie dolarów, za ucho i na katorgę! Rozumiesz, Loszka, to przecież łatwe jak odebranie dziecku cukierka – kompletnie unicestwić jedną, wyraźnie zaznaczającą swoją odrębność, społeczną grupę. Idziesz do Ostankino<sup>22</sup> i oznajmiasz ludziom: tak i tak, od pojutrze ogłaszamy Cyganów wrogami narodu. Nie dość, że dranie kradną wszystko, co ćwiekami nie przybite i nie ucieka na drzewo, ale jeszcze wycwanili się i handlują narkotykami. A kto da Cyganowi pieniądze, nie chce, żeby w kraju było dobrze. I cześć!

– Owszem, tak mniej więcej się to odbyło – zgodził się Waluszek. – Pamiętam.

– Niczego nie możesz pamiętać – Gusiew pokręcił głową. – W rzeczywistości było inaczej. Cygańska diaspora zapuściła w kraju bardzo głębokie korzenie. Na jednym tylko Targu Kijowskim wybrakowaliśmy pięciu mentów, którym miejscowe Cyganki haracz płaciły. Wpadliśmy tam z obławą, a te gnoje, widzisz, ujęli się za swoimi podopiecznymi i postanowili je obronić przez ASB. A w całym kraju...

– Chcesz mi przez to coś powiedzieć?

– Nie inaczej. Wybrakówka nie ma takich korzeni, Loszka. I jeżeli jutro tego pierdołę Litwinowa skłonią, żeby wystąpił w telewizji i ogłosił mnie i ciebie wrogami narodu... Zobaczysz, co się zacznie wyrabiać.

Waluszek lekko się zjeżył. Przywykł już we wszystkim ufać Gusiewowi, ale jego przewodnik chyba przegiął tym razem pałę.

– Co mamy dziś w planie? – zapytał, usiłując skierować myśli Gusiewa na zwykłe, codzienne sprawy.

– Na razie nic. Teraz muszę złożyć szefowi meldunek – to co najmniej pół godziny. Potem – nie wiem. Dość już mam daremnych łażeń po trasie. Może przeniesiemy się jako wzmocnienie do grupy Daniłowa. Jemu jakby się jakaś strzelanina szykowała. Nie będziesz się sprzeciwiał?

– A czego ja...

– No właśnie – czego?

– Co?

– Pytam cię, czego ty chcesz, agencie specjalny?

Waluszek zrobił bardzo zabawnego zbieżnego zeza.

– Pe, nie wściekaj się – poprosił.

– Nie wściekam się, do cholery! – Gusiewowi nagle dziwnie zadrgał policzek. – Loszka, trzeba podjąć jakąś decyzję. Nie da się tego uniknąć.

– No to podejmij – zgodził się Waluszek.

---

22 - Siedziba moskiewskiej stacji telewizyjnej.



– A ty?

– Ja – za tobą. Zgodnie z instrukcją będę osłaniał plecy przewodnikowi.

Gusiew splunął pod nogi, odwrócił się nagle i odszedł. Waluszek pożegnał go pełnym urazy spojrzeniem.

– I co? – zapytał szef. – Odchodzisz?

– Dyrektor dzwonił?

– Przed chwilą przyszło przeniesienie.

Gusiew opadł ciężko na krzesło i zapalił. Szef poszedł za jego przykładem. Naczelnik oddziału miał nieszczególną minę.

– A jak nie odejdę? – podsunął Gusiew.

– Toś dureń.

– Ale jednak?

Szef dymił jak parowóz i patrzył ponuro gdzieś ponad ramieniem Gusiewa.

– Rozpierdalają nas – oznajmił po krótkim namyśle. – Nie dziś, to jutro. Po chuj masz zostawać z nami? Co, zachciało ci się dostać w łeb zbłąkaną kulą? Zmiataj, pókiś cały.

Gusiew zakrztusił się i wyprostował się w krześle.

– Nie dam rady nikogo wziąć ze sobą – wymamrotał. – Ani was, ani kogokolwiek innego. Nawet mojego Loszki.

– Dzięki choć za propozycję – parsknął szef. – Ja tu siedzę jak na szpilkach i czekam, kiedy mnie mój Gusiew zaprosi do siebie, do Komendy Głównej. Mógłbym u niego, kochaneczka, kierowcą zostać. Albo ordynansem.

– Zlituj się – poprosił Gusiew.

– Wiesz, że teraz, po dzisiejszej prowokacji, zrobiło mi się lżej na duszy... – przyznał szef. – A zwłaszcza od chwili, kiedy przysłali twoje przeniesienie. Wcześniej siedziałem jak kołek w dupie i cały czas myślałem – kiedy zaczną? A teraz wszystko jest jasne. Można wreszcie odetchnąć. Tak się naje...łem przy tej Wybrakówce, że nie da się powiedzieć. Trochę teraz odpocznę, dopóki... Dopóki nie przyjdą.

Gusiew rozduśił papierosa o popielniczkę i wyjął nowego. Okropnie chciało mu się palić. I wódki by się w tym stanie napił.

– Od ciebie też odetchnę – oznajmił szef. – Wyrwali mi wrzód z dupy i zabrali bezcennego Gusiewa!

Gusiew chciał się już obruszyć, ale zrezygnował. Nigdy jeszcze nie widział szefa w stanie takiego rozdrażnienia i wewnętrznego rozdarcia – i zwyczajnie go to zaciekawiło. Było to nawet zabawne.

– Stażystą się nie przejmuj, Daniłow go weźmie. Sam zresztą widzę, że się nie przejmujesz. Przecież jesteś naszym modelowym człowiekiem z żelaza, prawdziwym czekistą. Jak to szło? Długie ręce, zimne nogi...

– ...i wielkie niebieskie oczy – podpowiedział Gusiew. – Szefie, niech pan przestanie. Już powiedziałem – nigdzie nie pójdę.

– Coooo?! – ryknął szef, unosząc się z miejsca.

– Milczeć! – Gusiew cisnął weń rozkazem tak ostro i niespodziewanie, że szefa wbiło w krzesło, skąd wytrzeszczył zdumione bezbrzeżnie oczy.

Gusiew wstał. Wszedł do tego gabinetu przygnębiony i załamany, ale teraz każdy jego ruch tchnął niezłomną wolą i zdecydowaniem.

Szef nieco się już otrząsnął i teraz obserwował wszystko z najgłębszym zdumieniem i ciekawością. Przywykł do tego, że Gusiew wszystkich irytuje i wszystkiego się czepia. Do głowy mu nigdy nie przyszło, że ten człowiek nagle może zacząć wydawać rozkazy i polecenia.

Każdego innego szef natychmiast wyrzuciłby za drzwi. Gusiew jednak... nie, to była inna kategoria. Po pierwsze, byli niemal przyjaciółmi. A po drugie, miał przed sobą Gusiewa – człowieka, który należał do świata silnych i możnych, ale z jakiegoś sobie tylko znanego powodu zdecydował, że lepiej mu się żyje wśród zwykłych ludzi. Trudno było takiego nie szanować. I nie wziąć pod uwagę jego opinii, kiedy nadciągają nieszczęście i zguba.

– Od tej chwili – zaczął Gusiew ostrym, stanowczym tonem – wszystkie wysiłki skierować na obronę. Grupom wychodzącym na trasę postawić zadania: przede wszystkim mają się strzec i uważać na możliwe prowokacje. Każde zamówienie na operację specjalną trzeba traktować jak potencjalną pułapkę. Oczywiście, ten wariant jest mało prawdopodobny, powinni nas wybierać pojedynczo, ale mimo wszystko... Zewnętrzna obserwacja i wyszukiwanie obserwatorów nieprzyjaciela – zresztą znacie się na tym lepiej ode mnie. I wszystkim wydać naboje przeciwpancerne.

– A z magazynu wypisać kilka czołgów – nie wytrzymał szef.

– Oprócz tego... – Gusiew udał, że nie usłyszał podpuchy. – Na waszym miejscu zwołałbym nadzwyczajne zebranie przewodników i dowódców grup. Mamy dość specjalistów, żeby przewidzieć wszystkie możliwe warianty działań przeciwnika. Idealnie byłoby zatrzymać ludzi i nie rozpuszczać ich do domów. Idealnie – ale to byłaby już demonstracja.

– Don postanowił, że pora iść na materace? – zapytał szef.

– I podjąć próbę nawiązania łączności z innymi oddziałami. Wyjaśnić, jakie nastroje panują poza granicami Moskwy. Jeżeli w istocie zacznie się jakiś zamęt – to nie później, niż w ciągu najbliższego tygodnia. Myślę, że zdarzy się co najmniej jeszcze jedna prowokacja. Trzeba się przygotować. Ja oczywiście pozostanę do waszej dyspozycji i w razie czego mogę przycisnąć pozostałych. Więc nie pękajcie, tylko bierzcie się do roboty. I to szybko.

– Kto tak każe? – zapytał szef.

– Paweł Gusiew – stwierdził Gusiew i wyszedł za drzwi.

W westybulu zatrzymał Gusiewa głos dyżurnego:

– Pe, zejdź do zbrojowni. Instruktor mówi, że musi obejrzeć twoją pukawkę. Miałeś ostatnio jakieś zacięcie?

– Miałem. Niczego sobie... ostatnio.

– A on dopiero teraz się o nim dowiedział. Chyba jakiegoś pierdolca dostał. Wszystkiego się czepia. Przy okazji, gratuluję awansu!

– Uhm... – Gusiew skwitował gratulacje kiwnięciem głowy i skierował się do piwnicy. Rozległy się stamtąd niezbyt głośne trzaski i chrupanie – jakby ktoś gryzł pospiesznie chipsy „Moskiewskie” i dławił się ich nadmiarem. Gusiew przypomniał sobie, że jeszcze dziś niczego nie jadł i od razu poczuł się głodny.

Instruktor oczywiście nie zajadał się chipsami. Siedział na krześle w jednym ze strzeleckich boksów i położywszy nogi na stole przestrzeliwai jakiś nieznaną Gusiewowi automat o krótkiej lufie. Broń trzymał niedbale, w jednej ręce. A z tarczy tylko strzępy leciały.

Gusiew podszedł ostrożnie, zastanawiając się, jak by tu delikatnie powiadomić instruktora o swojej obecności, żeby nie nadzieć się na kulę. Ale instruktor wyczuł go, jakby miał czujniki w plecach. Odwrócił się, zdjął ochronne nauszники, położył automat na kolanach i wezwał Gusiewa, kiwając nań palcem. Gusiew spostrzegł stojący nieopodal obrotowy fotel na kółkach, przytoczył go bliżej i usiadł.

– No, ładnie – stwierdził instruktor. – Jakie wieści? Odchodzisz?

– I komuż ja was miałbym podrzucić? Oczywiście zostaję.

– Aha... – instruktor natychmiast poweselał. – Pamiętasz, niedawno rozmawialiśmy... Pamiętasz?

– O tym, żeby cichutko prysnąć do Afryki?

– Co ty z tą Afryką? Między nami mówiąc, białemu tam się zgubić jest znacznie trudniej, niż na przykład w Ameryce Łacińskiej.

– Wiesz, to pewnie kwestia romantyki z dzieciństwa. Zawsze marzyłem o tym, żeby zobaczyć śniegi Kilimandżaro.

– A inne śniegi ci nie wystarczą? Na przykład Montana?

– Nie lubię chłódów – przyznał szczerze Gusiew spinając się wewnętrznie. – Ostatnio trudno znoszę zimy. To chyba wiek...

– To będziesz z Florydy jeździć do Montany na narty. A potem znów wracasz na brzeg. Według mnie – piękne życie.

– Opowiadaj – poprosił Gusiew. – Dość reklamy. Mów o sprawie.

– Rozumiesz, jak bardzo jest to poważne? – instruktor znacząco pomachał automatem.

– Jak się z czymś wygamam, to mnie zabijesz – zgodził się beztróska Gusiew. Rzeczywiście było mu wszystko jedno, jaki układ zaproponuje mu były kontrwywiadowiec. Gusiew wiedział już, że odmówi. Ale posłuchać... o, to byłoby ciekawe. Nigdy jeszcze tak

otwarcie mu nie proponowano, żeby sprzedał ojczyznę w zamian za życie. Nie zamierzał też instruktora wydawać. Po co?

– Nie, mój drogi – stwierdził instruktor uprzejmie. – Zastrzelę cię, jak tylko poczuję, że w zasadzie możesz się wygadać. Najmniejsze podejrzenie – i koniec rozmowy.

– A przesłuchanie na psychotropach? – Uśmiechnął się Gusiew. – Sam wiesz, co się dzieje, kiedy jeden brakarz zabije drugiego.

– Nie zdążą. Będę już daleko stąd.

Gusiew parsknął.

– No dobra – powiedział. – Przy okazji – masz moją broń?

– Owszem. Potem zabierzesz..

– To zaczynaj.

Instruktor przez chwilę bawił się automatem.

– Na początek status uchodźcy politycznego. Pieniądze, mieszkanie, ochrona. Potem, jeżeli zechcesz, nowe dokumenty, nowa twarz i wszystko, czym dysponują w programie ochrony świadków.

– A przeciw komu mam świadczyć?

Instruktor rzucił nerwowe spojrzenie przez ramię – coś mu się pewnie przywidziało.

– Wiesz przecież, kto właściwie wymyślił Wybrakówkę – zaczął głuchym szeptem, nachylając się całym ciałem w stronę Gusiewa. – I wiesz, jak ten pomysł dotarł na Kreml, do tych bałwanów, co samodzielnie nawet rowerowi nie mogliby wymyślić. Z pewnością wiesz też doskonale, którym właściwie durniom ta idea wpadła w ręce. Kto pisał projekty zarządzeń – sto drugiego i sto szóstego. Kto popychał całe opracowanie do przodu. Przecież ty wiesz wszystko, Gusiew. Opowiedz o tym – i nikt nie będzie miał do ciebie żadnych pretensji, jeszcze bohaterem cię ogłoszą.

– Kto ogłosi, można wiedzieć? – zapytał Gusiew.

– A ty co, nie domyślasz się?

– Rząd Stanów Zjednoczonych?

– Ja tego nie powiedziałem.

– To znaczy, że chcą mieć solidne kompromitujące materiały przeciwko reżimowi Litwinowa... No cóż, nic w tym niezwykłego. Ale czy wystarczy do tego głos i oświadczenie jednego człowieka?

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak niewiele wystarczy. Tylko kilka słów prawdy. Ale ty to musisz powiedzieć, Pe, nikt inny. Nie jesteś przecież zwykłym brakarzem – ty jesteś Paweł Gusiew. Rozgłoś to – i wreszcie się stąd wyrwij. Nie powiesz mi, że tego nie chcesz.

– Przypuśćmy, że chcę. Zawsze chciałem. A ty jaki masz w tym interes?

– Uciekniemy razem. Możemy wiać teraz, możemy i trochę poczekać. Ale dobrze byłoby nie później, niż jutro rano. Rozumiesz, oni zamierzają pospiesznie kogoś ewakuować i gotowi są oddać nam ten korytarz.

– A beze mnie ty im nie jesteś potrzebny?

Twarz instruktora stężała na kamień i Gusiew zrozumiał, że trafił w sedno.

– Spróbuj wydostać się sam – powiedział łagodnie. – Bardzo ci dziękuję za starania, ale ja nigdzie stąd nie wyjadę. Nie mogę porzucić naszych w tak krytycznej chwili.

– Drugiej szansy nie będzie – syknął instruktor. – Łap okazję, Pe, nie bądź durniem. Przecież siedzisz w Związku jak w klatce. Niechby i była złota, jak w twoim przypadku, ale zawsze...

– Mylisz się. Moje życie to takie samo gówno, jak w przypadku pozostałych.

– Tym bardziej! – ożywił się instruktor. – Związek nie ma przed sobą żadnych perspektyw, wkrótce wszystko się zawali, sam dobrze wiesz. Faszystowskie reżimy są nietrwałe z natury rzeczy. A ty się już chyba dość gówna najadłeś! Choć resztę życia przeżyj jak wolny człowiek!

– Ależ ja jestem wolnym człowiekiem – oznajmił Gusiew zdecydowanym głosem, wstając jednocześnie z krzesła. – Raz jeszcze dziękuję za propozycje, ale to mi nie pasuje. Gdzie moje spluwy?

Instruktor warknął z rozczarowaniem, ale też wstał.

– Do rana czekam na twój telefon. Zastanów się. Bardzo liczę na to, że podejmiesz rozsądną decyzję. Do cholery, Gusiew! Z jakiej racji masz płacić za cudze grzechy?! Kim dla ciebie był ten Ptaszkin... Którego w istocie nie było... A może ty kochasz starego Gusiewa?! Dość, tylko mi tu nie pierdol! Przecież ty ich wszystkich nienawidzisz, tych ludojadów! Co, myślisz, że nikt się nie domyśla, po co poszedłeś do ASB?!

– No, po co? – zapytał Gusiew ze szczerym zainteresowaniem w głosie.

– Dlatego, że marzyłeś o tym, iż sam ich wybrakujesz! – wypalił instruktor. – Liczyłeś na to, że Agencja naprawdę wytlucze wszystkich skurwysynów w tym całym pierdolonym kraju! Co, może nie?!

– Boże! – Gusiew załamał ręce. – Czemu wszyscy się tak do mnie przyczepili? Na nic nie liczyłem i niczego się nie spodziewałem. Po prostu musiałem oddać stary dług.

– Jaki? – zapytał natychmiast instruktor.

– Oddaj moje spluwy, to ci powiem.

Gusiew sięgnął do wskazanego mu metalowego pojemnika, znalazł broń i obejrzawszy ją krytycznie powkładał w kabury. „Makarowa” przełożył do kieszeni.

Instruktor czekał z niecierpliwością. Wreszcie Gusiew podszedł do niego blisko i szepnął mu w same ucho:

– Wobec siebie miałem dług. I wobec nikogo innego. Wiesz, nie umiem żyć z nieczystym sumieniem. Tak, po prostu...

Odszedł, zostawiając instruktora z mieszanymi uczuciami.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Stosunek do pamięci o Drakuli w jego ojczyźnie jest inny od tego, jaki do niej mają mieszkańcy pozostałej Europy. Nie to, żeby go uważano za narodowego bohatera, niewątpliwie jednak darzą go szacunkiem i uważają Włada za jedną z głównych postaci historycznych okresu, w którym powstawał i szukał swojej tożsamości cały naród.

Gusiewa zwinęli o szesnastą dziesiątą, wprost z drogi. Akurat jechał na diagnostykę – nadmiernie forsowany silnik „dwudziestki siódemki” był kapryśny i należało nań uważać. Zatrzymawszy się na światłach Gusiew beztrąsko palił, kiedy z trzech stron zablokowały go ponure, czarne „Jeepy”. Gusiew jeszcze nie bardzo pojmował, co się stało, a jego dłoń już nacisnęła znajdujący się pod siedzeniem guzik awaryjnej radiolatami. Zwęszywszy niebezpieczeństwo i oceniwszy stosunek sił, brakarz zachował się w jedyny możliwy sposób – nie chwycił za broń i nie rzucił się pod grad kul, narażając swoje niezwykle dla siebie cenne życie, a po prostu wysłał w eter sygnał alarmowy i zdał się na łaskę zwycięzców. Którzy wywlekli go z wozu, wparli lufę w skroń, skuli mu z tyłu ręce i niedbale wrzucili go do bagażnika.

„Dziesięciu na jednego – co to za diabelstwa?!” – zdążył jeszcze pomyśleć Gusiew, zanim ktoś walnął go w kark i brakarz stracił przytomność.

„Jeepy” zawyły i włączyły koguty, a potem wściekle ruszyły ze skrzyżowania, prawie potrąciwszy wyjeżdżające z lewej wiśniowe „Porsche”. Jeden z napastników wskoczył do „dwudziestki siódemki”, rzucił na tylne siedzenie sporą walizkę i pobiegł za kolegami.

Oszołomiony Waluszek przetarł oczy – wydało mu się, że wariuje. Powinni byli spotkać się z Gusiewem w odległości stu metrów od tego miejsca, pod zagadkowym, ale dlatego właśnie charakterystycznym szyldem „Praworządne bractwo świętego męczennika Epidifora. Skład hurtowy”. Gusiew obiecał pogadać z technikami firmowej stacji obsługi technicznej wozów ASB, żeby Waluszkowi mechanicy fachowo zakleili pęknięty reflektor.

Gdyby porywaczom się tak nie spieszyło, Gusiew chyba z tego nie wyszedł cało.

Ocknął się w nieznanym mu pomieszczeniu, najwyraźniej piwnicznym, przywiązany do

krzesła – kompletnie niczego nie pojmując. W oczy bił mu snop oślepiającego światła, a wokół snuli się nieznanymi mu ludziami.

„To nie nasi – stwierdził, starając się z wysiłkiem przypomnieć sobie, skąd się tu wziął. – Nasze pokoje przesłuchań mają raczej medyczny charakter. Ojjoj... Pewnie będą bić”.

– Ocknąłeś się? – zapytał ktoś ukrywający się za źródłem światła. – No to witamy. Nazwisko?

– Gdzie jestem?

– Nazwisko!

– Spierdalaj! – odpowiedział Gusiew ze stosowną do treści wypowiedzi godnością. Nie, nie pamiętał, jak go wzięto. Pamiętał jak się obudził, jak się dzwonił z Waluszką, jak wsiadł do samochodu... Potem były już tylko niejasne fragmenty wydarzeń. „Z pewnością uderzenie po głowie. A dranie!”

Rozmówca się uśmiechnął i w tej chwili ktoś niewidzialny tak przywalił Gusiewowi w ucho, że ten nawet nie zdążył stęknąć. Jakby rąbnięto go pniem drzewa – ciężkie, potężne, tępe uderzenie. Uderzona strona twarzy odpowiedziała głęboką i nieprzyjemnie miękką na pozór ciszą.

Gusiew ostrożnie podniósł głowę z ramienia, na które rzucił ją cios. Nie pogubił się i nawet się nie zeźlił. Po prostu zrobiło mu się boleśnie przykro.

„Za co?! Powiedzcie choć gady, za co?!”

– Za co? – wydusił wreszcie.

– Nazwisko!

Mimo woli przypomniał sobie swoją niedawną rozmowę z nieboszczykiem o ksywie Pismak. I niespodziewanie dla samego siebie odparł w bardzo podobnym stylu:

– A może byś mi łaskę zrobił?

„W takich oto chwilach zaczynasz się czuć nosicielem i dziedzicem wielkiej rosyjskiej kultury”. Gusiew poczuł, że powoli wzbiera w nim nerwowy śmiech.

Tym razem nikt go nie uderzył – zgaszono mu papierosa na wierzchu dłoni. Okazało się, że jest to zupełnie znośne, tylko jeszcze bardziej obraźliwe i przykre niż przedtem. Gusiew zasyczał jak bardzo wielka gadzina w porze godowej i soczyście splunął w twarz oprawcy – roslęmu typowi w drogim, szytym na miarę kostiumie.

Oprawca poczuł się chyba urażony, bo dał Gusiewowi w oko. Pole widzenia błyskawicznie się zmniejszyło i brakarzowi zadzwoniło w głowie. A oprawca gdzieś przepadł – pewnie poszedł wytrzeć twarz.

– Nazwisko! – ryknął niewidzialny.

„Jakbyś tego nie wiedział! Cholera, trzeba było swego czasu uważniej słuchać szefa, opowiadał przecież, jak wygląda klasyczne przesłuchanie... no dobra, jakoś sobie poradzimy. Najważniejsze, żeby wciąż stawać okoniem. Jeśli teraz odpowiem mu uczciwie, łatwiej ulegnę naciskom w przyszłości. A, w dupę jeża, nie odpowiem i tyle. Gadać co ślina na język

przyniesie – mogę, proszę bardzo. Ale się nie poddam. Oczywiście, ciekawe, czego ode mnie chcą? Tyle że bardziej ciekawe jest, czy menty zdążyli im wsiąść na ogon. A jeżeli sami są mentami”?

– Odpowiadać! Nazwisko!!!

– *My name is Bond. James Bond.*

Nie zdjęto mu kombidresu, co wzmogło jego zuchwałość. Wydało mu się mimo wszystko, że nikt nie zamierza mu zgniatać jaj drzwiami, ani wycinać na piersi nieprzyzwoitego słowa. To znaczy – na razie nikt nie zamierza...

I rzeczywiście, dostał tylko w to samo, co przedtem oko, ale wyrwało to jednak zeń krótkie stęknienie. „Spiesz im się. Za kilka minut bolałoby znacznie bardziej. Skurwysyny, oślepnę, albo dostanę zeza. Ale że się spieszą – dobra nasza... Co to za jedni?”

– Posłuchaj, czemu się upierasz? – zapytał ukryty w ciemności. – Odpowiadaj, a być może cię nie zabijemy. Być może...

Gusiew plunął na chybił trafił w stronę głosu, ale raczej chybił, niż trafił.

– Ja go zaraz zastrzelę! – warknął oprawca i w usta Gusiewa, rozgniatając celowo wargi, wdarła się lufa pistoletu. Zaraz potem rozległo się szczęknięcie odwodzonego kurka. W ustach zrobiło się nieprzyjemnie słodko.

– Poczekaj – poprosił ukryty w mroku. – Przecież to niegłupi człowiek, będzie mówił. Prawda? Będiesz mówić i może cię puścimy.

– Takiego wała go puścimy!

– Spokojnie. Ja tu rozkazuję. Ej ty, powiedz mi cokolwiek! Na przykład imię, nazwisko, stopień.

– Starszy chorąży Chujew, wydzielony batalion desantowo-rabunkowy! – zameldował Gusiew. Coraz wyraźniej czuł zbliżanie się poważnego i nieodpartego ataku hysterii. „Tak pewnie będzie lepiej. Gówna ze mnie wydobędą, jak zaczną się miotać z wyciem i bryzgać śliną. Tyle, że to będzie jakoś takie niegodne...”

Kilka razy dali mu w mordę i chyba rozerwali policzek. Twarz traciła czucie, momentami miewał zaćmienia świadomości. Wił się i syczał – reakcja na poziomie hysterii, z tym nie mógł niczego zrobić – ale nie wydał z siebie ani jednego mającego jakieś znaczenie dźwięku. Tak samo z nim było, gdy w wojsku dręczyła go „rezerwa”. Czuł tak wściekłą moralną przewagę nad tymi sierotami, że po prostu nie mógł im okazywać strachu i bólu. Później nieraz jemu samemu przychodziło łamać klientów na kolanie, co tylko utwierdziło go w przekonaniu, że prawdziwie silny człowiek nigdy nie będzie dręczyć słabego i bezbronnego. On go po prostu zastraszy. Albo przechytry. Ale zniżyć się do tortur...

Bez przesłuchań psychotropowych, wykluczających z definicji przemoc i okrucieństwo, ASB przekształciłoby się w jeszcze jedną brudną organizację typu haitańskich *Totons-Macoutes*, albo rodzimego NKWD. Jednym z kluczowych punktów legendarnego już „Memorandum Ptaszkina” była poprawka do kodeksu karnego, dopuszczająca zeznanie



przeciwko sobie samemu jako dowód winy. Przy czym pod uwagę brano wyłącznie zeznania złożone pod wpływem środków psychotropowych, przetestowanych i zatwierdzonych przez Ministerstwo Zdrowia.

Rozległ się trzask i kolnęło go w nogę. Gusiew spojrział zdrowym okiem i zobaczył, że rozpruto mu nogawkę spodni. Zaraz potem z mroku wyłonił się i przysiadł w kucki, uśmiechając się krwiożerczo, pierwszy z oprawców. W jednej ręce trzymał szklanę, z której coś popijał, w drugiej – końcówkę kabla elektrycznego z dwoma pozbawionymi izolacji przewodami.

Gusiew nabrał powietrza w płuca i splunął sążnięcie krwią, ozdabiając twarz oprawcy tak, że sporą jej część pokryła lepka, czerwona mieszanka. Zaskoczony tym strzelistym aktem oprawca zwałił się na plecy, oblał wodą ze szklanki i niewiele brakło, a opuściłby przewód na siebie. Gusiew zachichotał z satysfakcją.

Znów dali mu po mordzie – tym razem bili zaciekle, klnąc i posapując. Powinien był pozwolić, żeby głowa opadła na ramię, neutralizując skutki uderzenia, ale przed kilkoma minutami coś mu nieprzyjemnie trzasnęło w karku i bał się przesunięcia kręgów szyjnych. I tak już dość się kiedyś nacierpiał, gdy zatrzymywany przezeń rozrabiaka Kumar usiłował skrócić mu kark. Od tamtej pory nie próbował nigdy brać klienta bez uprzedniego obezwładnienia i unieruchomienia – po prostu się bał. Co prawda w zupełnie nieszkodliwego rozpustnika Jurina niezręcznie było od razu strzelać. Ale jak się okazało, pociągnęło to za sobą kłopoty.

„Zdjęli mnie pewnie w samochodzie. Zdażyłem włączyć sygnał? Powinienem, to w końcu sprawa odruchu. Zauważyli, czy nie? – zastanawiał się, usiłując odpędzić myśli o tym, jakie są kolejne kroki w standardowej procedurze przesłuchań.

– Kto mnie pojmał? Na pewno nie bandyci. Kontrwywiad? Ochrona jakiegoś drania z rządu? Niewykluczone. Tak czy owak, wiedzą o radiopelengacji. Jak zneutralizować automatyczny sygnał namiernika? Ja bym wsadził do „dwudziestki siódemki” człowieka z nadajnikiem zakłóceń radioelektrycznych i wyprowadziłbym wóz, gdzie diabeł mówi dobranoc. Więc jak długo mam się trzymać? Pamiętam – kiedy sołncewiakom<sup>23</sup> odbiło i porwali Baranowa... Cholera, co mi się popieprzyło? To był Owczynnikow o ksywie Biała Owieczka. Bohater, który przypadkowo stał się świadkiem napadu na bank i sam jeden ruszył na sześciu. Tylko, że on świadomie podjął ryzyko, wiedział, na co się porywa. Nienormalny. Więc zanim Owieczkę – a raczej to, co z niego zostało – znaleziono, minęło półtorej godziny. A co ze mnie zostanie za półtorej godziny? A za dwie i pół?”.

– Co chcesz osiągnąć? – prawie łagodnie zapytał niewidzialny z mroku.

– A ty? – wycharczał Gusiew.

– Ja chcę tylko zadać ci kilka pytań. I chcę, żebyś nie udawał durnia, ale szczerze na nie odpowiedział. Słowo honoru, wcale nie jest mi przyjemnie patrzeć, jak cię kaleczą, ale sam

---

23 - *Solncewo pod Moskwą jest odpowiednikiem Pruszkowa pod Warszawą.*

mnie do tego zmuszasz. I nie rozumiem – po co?

– A ja nie rozumiem, po co mnie kaleczycie, skoro jest pentotal sodu. Jeden zastrzyk i wszystko, co mam we łbie, należy do ciebie.

– Za długo trzeba czekać, aż zadziała. Liczyliśmy na współpracę. Przyznam, że się nie spodziewałem, iż jesteś taki głupi.

– Jestem bardzo głupi – stwierdził Gusiew. – Kretyn i tyle.

– Czyli zmuszasz mnie do zastosowania poważnych środków. Uwierz, jest mi bardzo przykro.

– A mnie? – Gusiew ułożył wargi do splunięcia, ale szybko się zorientował, że niewidzialny stoi poza granicami „strefy rażenia”. Zamiast tego charknął pod nogi. Krwawej śliny miał w ustach tyle, że spluwając mógłby zawstydzić starego złośliwego wielbłąda.

I jak przedtem – nie bał się. Czuł tylko wstyd, poniżenie i obrzydzenie do całej sytuacji. Z niewiadomych przyczyn wcale mu się nie uśmiechało powitać w takim stanie tych, co przyjdą mu w sukurs.

O ile oczywiście przyjdą.

A jak nie... „Oczywiście, jak każdy, i ja mam swoje granice wytrzymałości. I już niedługo do nich dotrzemy. Ciekawe, czy wreszcie stanę się rozmowny, czy popadnę w szaleństwo. I tak mi już solidnie odbiło. Patrzcie go, jaki uparty! Ale w rzeczy samej – co oni mogą mi tak naprawdę zrobić? Gębę mi pokancerują – ale to nie moja gęba i wcale jej nie lubię. Zęby mi powybijają – i tak połowa to implanty po tamtej katastrofie. A tak naprawdę pokaleczyć mnie chyba im zabroniono. I w tym wasza słabość, skurwiele! Komuś jestem potrzebny żywy. Ciekawe tylko, czemu mnie nie wzięli z domu, kiedy spałem. No, powiedzmy zamek niełatwo otworzyć, a sygnalizacja ściągnęłaby mentów z najbliższego posterunku. Ale ci potrafią chyba gadać z milicją – pewnie łatwiej im to idzie, niż psu w kucki. Więc na co czekali? Niech to jasna cholera, zupełnie nie pamiętam, gdzie i kiedy mnie zdjęli”.

Na obnażone biodro wylano mu jakąś ciecz. Gusiew pochylił głowę i zobaczył krople wody, oraz te same co niedawno obnażone przewody. I zdążył się tylko wewnętrznie spać.

Było tak, jakby mu kto w duszę ognia nalał. Znów chrupnęło mu w karku. Wygiął się w jakiś nieprawdopodobny, niemożliwy sposób, niczego już nie czując i nie pojmując. Cisnęło go w taką przepaść, z której niełatwo się wydostać nawet po przejściu bólu.

Ból był prawdziwy. Aż za bardzo.

Tak prawdziwy, że nie zakrzyczał. Spodziewał się po sobie każdej reakcji, ale to, co nastąpiło, napełniło go przerażeniem.

Gusiew parsknął dzikim, niepowstrzymanym chichotem.

Przewody już odpadły od jego ciała, a Gusiew wciąż jeszcze miotał się razem z krzesłem, rzucał głową i rżał, bryzgając krwawą śliną. Potem zaczął łapać oddech.

A potem załzawionymi, wytrzeszczonymi oczami wpatrzył się w kierunku światła, które już nie oślepiało, bo prawie i tak niczego już nie widział, i wycharczał:

– Niezłe... to było!

– Chcesz jeszcze? – zapytał niewidzialny.

– A pewnie! – ryknął Gusiew. – Pewnie, że chcę! Ale czemu dwieście dwadzieścia?! Dawaj trzysta osiemdziesiąt!!!

Ponownie go przypieczono i wtedy się zesrał.

Przewrót, który później nazwano „Drugim puczem październikowym”, zaczął się o piątej wieczorem w sobotę. Pora nie była dobrana najlepiej pod kątem przeprowadzania większych operacji w całym mieście, ale puczyści mieli swoje bardzo konkretne powody. Godzina siedemnasta – to pora zmiany dyżurów w ASB, kiedy w oddziałach gromadzi się największa liczba brakarzy, można ich więc brać hurtowo. I to bez wysiłku – ludzie ze zmiany dziennej są już zmęczeni, a ci z nocnej jeszcze się nie rozkręcili.

Takiego układu nie spodziewał się nawet Gusiew ze swoim przechwalonym wyczuciem zagrożenia. W ogóle zresztą nie spodziewał się prawdziwego przewrotu pałacowego. Wydawało mu się, że „złych” pełnomocników zastąpi się „dobrymi”, i będzie po zawodach. Przyjdą z bronią, każą się położyć na podłodze. W głowie mu się nie mieściło, jak strasznym szkaradzieństwem stała się Wybrakówka w skali całego Związku i jak dobrze będzie zademonstrować siłę całemu krajowi, robiąc pogrom w siedliskach wszelkiego zła – oddziałach.

Napastnicy działali wedle najlepszych tradycji Agencji – wyłaniając się jakby spod ziemi. Krzepcy, młodzi chłopcy, nabuzowani do szturmowania budynków myślą o tym, że oczyszczają miejsce dla siebie samych, wpadali do biur, krzycząc od progu: „ASB! Jesteście aresztowani, oddajcie broń!”. Ku ich wielkiemu zdziwieniu odpowiedzią zwykle były kule, chwała Bogu nie przeciwpancerne, ale tak czy owak bolesne. Ale mimo to młodzi bez szczególnych przeszkód zajęli Wschodni, Południowo-Wschodni, Północno-Zachodni i Północno-Wschodni oddziały, zabijając niemal wszystkich weteranów. Na zachodzie napastnikom poszło gorzej – wracająca z trasy trójka spostrzegła podejrzaną autobusy i wszczęła ogólny alarm. Ale górę wzięła przewaga liczebna – oddział utrzymywał pozycje najwyżej przez dziesięć minut.

Południowy Zachód wyszedł na ulicę w pełnym składzie, zostawiając na dziedzińcu stos broni. Tych, co się poddali, wpakowano do autobusów, którymi zajechali szturmowcy i gdzieś ich wywieziono. Chłopaków z Południowo-Wschodniego, którzy siedzieli w osobnym budynku, otoczonym rozległym placem zapewniającym bardzo dobre pole ostrzału, trzeba było wykurzać z miejsca całe pół godziny, ale i z tego oddziału nikt nie ocalał.

I tylko w Centralnym napastnicy nadziali się na przykrą niespodziankę. W oknach paliły się światła, dziedziniec pełen był samochodów – wszystko wskazywało na to, że klientela w pełnym składzie jest na miejscu. Ale biura wewnętrzne było kompletnie puste. Tylko w westybulu siedziało kilku ludzi patrzących na ekran telewizora, na którym lektor czytał

odezwę do narodu.

– Dyżurny oddziału starszy pełnomocnik Korniejew – rzucił przez ramię jeden z siedzących, zwracając się do pobrzękującej bronią gromady napastników. – Nie hałasujcie tak, chłopaczki, za cholere nie słyszę, co ten typ pieprzy...

Jak wiadomo, prezydenckie pałace i inne twierdze będące siedzibą władz atakowane są tylko w dwóch wypadkach – albo na czołgach zjawia się cała armia, której znudziło się bezproduktywne siedzenie w koszarach, albo taranuje bramę samochód jakiegoś stukniętego terrorysty z pełnym trotylu bagażnikiem. Wszyscy pozostali buntownicy nie wiedzieć czemu uważają, że te obiekty zbyt dobrze są chronione, i dlatego w pierwszej kolejności zajmują banki, stacje radiowe i telewizyjne, oraz główne węzły systemu energetycznego, które ochrania się nieporównanie gorzej.

Podobne mniemanie żywią i osobnicy odpowiedzialni bezpośrednio za bezpieczeństwo kraju. Tradycyjnie więc ich wysiłki skierowane są głównie na wyławianie terrorystów i odkrywanie wewnętrznych spisków w resortach siłowych. Bezpośredniej obronie budynków rządowych uwagi udziela się znacznie mniej – po prostu systemy ochrony w ich wypadku uważa się za opracowane tak dobrze, że w zasadzie nie da się niczego poprawić i ulepszyć. W zasadzie.

Tymczasem tak naprawdę garnizon dowolnej twierdzy podświadomie uważa się za przyparty do ściany. W przypadku napaści z zewnątrz załoga garnizonu nie ma dokąd się cofać – może co najwyżej ustępować w głąb. Owszem, atakujących zwykle ginie trzech, albo i pięciu na jednego obrońcę. Ale jeżeli napastnikami są prawdziwi zawodowcy, sytuacja całkowicie się zmienia. Zdumiewające jest to, że w głowie żadnego oficjela nie odezwał się dzwonek ostrzegawczy nawet po tym, jak legendarna „Alfa” bez wysiłku rozpruła niedostępny jakoby pałac Idi Amina.

W Centralnym oddziale ASB miasta Moskwy specjalistów od operacji szturmowych oczywiście nie było. Większość pełnomocników miała co prawda niemałe doświadczenie bojowe, ale wojowali dość dawno i od tamtej pory zdążyli poobracać tłuszczem – w sensie dosłownym i przenośnym. Oddział bezpieczeństwa wewnętrznego ASB miał dokładne dane o każdym z tych ludzi i niedługo przed puczem przekazał na górę odpowiednią prognozę. W raporcie nie było ani słowa o tym, że jak się niektórych pracowników dobrze przyciśnie, to mogą zareagować nie gorzej od ućpanych nalewką na muchomorach wikingów. Tym bardziej nikt nie wziął pod uwagę znanego skądinąd faktu, że w krytycznej sytuacji, kiedy trzeba się rzucać na ziejące ogniem otwory strzelnicze bunkrów, psychole i nawiedzeni mogą się okazać nie gorsi od doskonale wyszkolonych fachowców.

Nie spodziewał się też ekscesów jeden z przywódców spisku – aktualny dyrektor ASB, który osobiście zatwierdzał prace dotyczące wybrakowania swoich podkomendnych należących do „starej gwardii”. Długotrwały zaplanowany nacisk na psychikę, realizowany

podczas całego minionego roku, powinien był przygotować starych brakarzy do tego, żeby zawczasu pogodzili się ze smutnym losem emerytów i odpowiednio załamać ich morale. Pełnomocnicy nie powinni się byli spodziewać, że wszyscy zostaną skoszeni siłą – tych zaś, co przeżyją, oskarży się o masowy terror i udział w genocydzie narodu rosyjskiego.

Dyrektor po prostu nie wiedział, co znaczy osobiście brakować współpracowników i jakie myśli płaczą się po czymś takim po głowie.

Puczyści nie przewidzieli więc tego, że stu pięćdziesięciu niemłodych już, palących i sporo pijących ludzi może zaatakować Kreml. Po prostu jakoś się to nie mieściło w ich schematach myślenia i w planie zagarnięcia władzy.

Członkowie gabinetu tymczasowego zebrali się w opustoszałym z powodu wolnych dni kremlo wskim „Pierwszym Korpusie” i nieco zdenerwowani, ale bardzo z siebie zadowoleni, uważnie wsłuchiwali się w przenikliwy i przekonujący głos lektora, który wyliczywszy już straszliwe zbrodnie starej władzy czytał teraz imienny skład nowego rządu, który wyrwie Związek ze skrwawionych łap łajdaków, łapowników, sadystów i zdrajców.

Wszystko szło jak po maśle.

I rzeczywiście – w mieście ruch został zamknięty, milicja była na posterunkach, armia gotowa stłumić wszelkie rozruchy, służby specjalne mają na wszystko baczenie, a Agencja ulega „samooczyszczeniu”. Wedle meldunków z prowincji i guberni skład ASB został już tam kompletnie wymieniony, regionalni przywódcy gotowi byli do złożenia przysięgi na wierność – sami mieli już dość nieustannie wiszącego im nad głowami miecza Damoklesa – a pracownicze kolektywy jeden za drugim siały wiernopoddańcze telegramy. Cóż jeszcze mogłoby się zdarzyć?

Dopiero, kiedy ochrona ze strachem zameldowała, że przez Borowicką Bramę wdzierają się jacyś wariaci, dyrektor raczył sobie przypomnieć, że siedziba Centralnego jest w odległości mniejszej niż kilometr i bez najmniejszego trudu można z niej dojść do Kremla piechotą, nie zwracając niczyjej uwagi.

Co też zostało zrobione. Kiedy do Centralnego dotarł alarmowy sygnał Gusiewa, a Waluszek rwącym się ze zdenerwowania głosem zameldował przez transiver, że jego przewodnika zwinęli z ulicy jacyś ludzie, chyba ze służb specjalnych, szefowi puściły nerwy. Doszedł do wniosku, że to już – zaczęła się przewidywana przez niego i Gusiewa rozpiarducha. Dlatego Centralny – choć nikt wtedy jeszcze tam niczego nie wiedział – wyprzedził puczystów o pół godziny. Za Waluszkim, który ostrożnie siadł porywaczom na ogonie, wysłano grupę Daniłowa. Na miejscu zostawiono Korniłowa i dziesięciu ludzi z zadaniem robienia, jak największego szumu i zamieszania”, żeby zająć czymś trzech obserwatorów, których spostrzeżono jeszcze rankiem. A pozostali członkowie oddziału ochoczo kopnęli się do piwnic i dawno przebadanymi przez Gusiewa kanałami sieci ciepłowniczej przeczołgali się aż do Kropotkińskiej. Niewiele brakowało, a ten diabelski

wysiłek wywólkłyby duszę z kilku bardziej „rozleniwionych”. Potargani i bardzo brudni, ale za to wkurwieni na maksa asbecy chyłkiem wydostali się na górę przez wewnętrzne podwórka, otrząsnęli się, pozbierali, i niewielkimi grupkami ruszyli do boju. Pokonawszy zakręt wyskoczyli spod mostu Wielkiego Kamiennego, wdeptali w ziemię milicjantów „bramkarzy”, wysadzili dynamitem okutą brązem furte<sup>24</sup>, po czym znaleźli się wewnątrz głównej i najważniejszej twierdzy kraju, gdzie od czasu pamiętnego „Puczu styczniowego” zasiadali członkowie wszystkich najważniejszych struktur władzy.

Na taki numer nie była przygotowana ani potężna i doskonale uzbrojona służba ochrony, ani kremłowski pułk MSW. Ochrona była w większości w rozsypce, warując przy podmiejskich willach i daczach zaliczonych do wrogów narodu deputowanych do Rady Najwyższej i ministrów. Wojskowi zaś – choć owszem, bardzo się starali – nie zdołali zatrzymać rozwścieczonych asbeków. Milicja, która obsadziła posterunki peryferyjne, zamiast ich bronić, musiała je porzucić i puścić się w pogoń za napastnikami.

Najważniejszym czynnikiem okazało się niezdecydowanie tych, którzy murem powinni byli stanąć na drodze brakarzy, a teraz nie bardzo wiedzieli, kto rządzi i czy stawianie oporu jest rzeczą rozsądną. Na przykład nowy komendant, który zjawił się, by przejąć sprawy od starego i jednocześnie go aresztować, przede wszystkim postawił na stole butelkę koniaku.

Tak czy inaczej, pod ogień trafiły tylko ostatnie szeregi tłumu, który wdarł się już do budynku rezydencji rządowej. Idący z tyłu, jak przystało na doświadczonych brakarzy, swoimi ciałami osłonili grupę uderzeniową, która po wdarciu się do pałacu zaczęła z dzikim entuzjazmem strzelać do wszystkich, na których się natknęli, nie zwracając uwagi na wiek czy płeć ofiar.

Pół setki oblanych krwią i spoconych rzezimieszków wdarło się do Sali Posiedzeń, gdzie rozwój wydarzeń śledzili puczyści, wpatrując się w ekran telewizora, z którego lektor kończył właśnie powiadamanie narodu o tym, jak to został uszczęśliwiony.

Twarze samych dobroczyńców nie wyrażały radości – właśnie dotarło do nich, jak idiotycznie sami się zamknęli w pułapce. A sądząc z tego, jacy goście się im objawili – pułapka była śmiertelną.

– O co chodzi?! – u szczytu stołu uniósł się niczym góra były regionalny baron i aktualny premier nowego rządu. – Co to ma znaczyć?

Doskonale już wiedział, co to ma znaczyć, ale przecież zwyczaj nakazywał, żeby w takich wypadkach przemawiać podniośle i patetycznie.

– Straż się zmęczyła! – warknął ktoś z głębi tłumu.

Szefa Centralnego do sali posiedzeń przywleczono – nie mógł już chodzić.

Myszkin uśmiechnął się szeroko i wymierzył w dyrektora ASB.

---

24 - W opisywanym czasie istotnie miał miejsce wybuch pod kremiowską Bramą Borowicką. Oficjalnie władze w żaden sposób go nie skomentowały, ale wedle zeznań kompetentnych świadków eksplodowały butle z acetylenem, przygotowane do rozpoczynających się tam prac remontowych. W tym samym momencie obok przechodziła kompania wartownicza. Śmierć dwudziestu sześciu ludzi i okaleczenia dalszych osiemnastu były przedmiotem dochodzenia, do wyników którego dotrzeć nam się nie udało - przypis OMEKS.

– Tego zostawić... – wystękał szef. – Jeszcze się przyda. Załatw kogoś innego.

Twarze puczystów, którzy w większości byli rówieśnikami brakarzy, zaczęły jak w dobrej komedii przybierać zieloną barwę.

– Kto tu jest, krótko mówiąc, najważniejszy, wy smutne wały?! – zapytał Myszkin.

– Jestem przewodniczącym Rządu Tymczasowego! – zaczął premier. – Nie pozwolę...

Myszkin nacisnął na spust. Mierzył w górną część tułowia, ale ze zmęczenia drgnęła mu ręka i kula bardzo efektownie rozniosła głowę samozwańca w drobne strzępy.

– A teraz, kto jest najważniejszy?! – zapytał Myszkin odczekawszy chwilę, aż w sali zapadła względna cisza. Słysząc było, jak gdzieś w głębi budynku odcinają się ze zdobycznych automatów członkowie przetrzebionej, ale jeszcze żwawej ariergardy. Gdyby puczyści nie wiedzieli, z kim mają honor, mogliby jeszcze grać na zwłokę i starać się zyskać na czasie. Ale przyszli po nich straceńcy, ludzie przez nich samych skazani na śmierć – a z takimi nie ma żartów. Starannie przemyślany plan przejęcia władzy w ogromnym kraju padł w starciu ze zwykłym ludzkim pragnieniem, żeby jeszcze trochę pożyć.

– Jakie są wasze warunki? – zapytał zimno szef ASB.

– Cała wstecz – wysapał szef Centralnego. – Oddajcie tych naszych, którzy jeszcze zostali przy życiu. I odwołajcie wszystko, co się jeszcze da... Możecie nawet powiedzieć ludziom, że przewrót się udał. Ale w rzeczywistości... – rozumiemy się, prawda? Jeżeli zdołacie się dogadać z poprzednimi władzami – niech tamci zadecydują, jak macie dalej żyć i czy w ogóle zostawić was przy życiu. A my teraz zorganizujemy osobistą ochronę każdemu z was. I nie daj Bóg, żeby... Jasne? A teraz natychmiast rozkażcie tym waszym baranom, żeby przerwali ogień!

– To nie będzie takie proste – odezwał się jeden z puczystów, ocierając z twarzy resztki mózgu swojego niedawnego przywódcy. Wszyscy unikali spojrzeń na szczyt stołu. Niektórych już nawet zemdliło.

– Myszkin! Wybrakuj jeszcze jednego durnia! – polecił szef.

– Którego?

– A który ci pasuje?

– Jedną sekundę! – poprosił szef ASB wyciągając rękę do telefonu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Można się tylko zdumiewać cierpliwością narodu, który przez niemal dziesięć lat znosił rządy takiego władcy. Ale dla zrozumienia „fenomenu Drakuli” trzeba uwzględnić istnienie stałego zagrożenia zewnętrznego, wiszącego nad całą Transylwanią i sąsiednimi krajami w XV wieku.

– Zadanie! – ryczał coraz głośniejszym głosem. – Twoje zadanie!

„Boże, ależ koszmar mi się przyśnił! To już koniec, trzeba mi na emeryturę! – myślał niemrawo Gusiew, usiłując ocknąć się z tępego, sennego oszołomienia. – Ale czemu mi tak chrupie w stawach? Co jest, pogoda się zmienia?”

– Twoje zadanie, złamasie jeden!

„Nie, to nie stawy... Wszystko mnie boli. Wszędzie. A może by tak otworzyć oczy? Gdzie ja jestem?”

– Dalej udajesz bohatera. No dobra...

Łup!

– A-aaa!!!

Łup!

– U-uuu!!!

„Chyba kogoś biją? Ciekawe, kogo i za co?”

– Loszka, nie zapomniłeś o płaskoszczypach?

– Szefie, proszę mnie nie obrażać. O, są...

Zachrzęściło.

– Aaargh!!!

– Przestańcie hałasować! – poprosił Gusiew. Wydało mu się, że powiedział to głośno i wyraźnie, a w rzeczywistości z trudem wystękał drętwe słowa. Język mu zeszywniał, a wargi poruszały się jakoś kiepsko i same z siebie.

– Co on mówi? Pe! Nic, nic, mój drogi, wszystko będzie dobrze. Chłopaki, dajcie mu wódki, tylko ostrożnie.

– Zaraz cię zabierzemy, Paszka.

Gusiew rozkleił jedno oko, otworzył je, ale niczego nie zrozumiał. Leżał na podłodze w



jakimś nieznanym mu pomieszczeniu, a nad nim pochylał się uśmiechnięty Waluszek. Na czole jego partnera tężał potężny guz.

– Cześć – powiedział towarzysz. – Wiesz, samochód rozbiłem. Wyobraź sobie, przed chwilą. Zajeżdżałem na parking, sięgnąłem do schowka po papierosy, cofnąłem się, a tu słup. Karoserię mi wyduło, reflektor w pizdu poszedł. A zderzak w ogóle się wygiął i odpadł. No i tak...

Tuż obok znów ktoś przeraźliwie zaryczał z bólu.

Gusiew z trudem odwrócił głowę. Pomieszczenie rozjaśniał potężny reflektor – w snopie jego światła widać było dwóch siedzących na krzesłach i starannie do nich przywiązanych nagich ludzi. Ten z lewej był cały zakrwawiony – i to on tak się darł. Prawy wyglądał na nietkniętego, ale kompletnie załamane. Trzęsły mu się wargi, w oczach miał łzy.

Przed jeńcami przechadzał się tam i z powrotem rozdrażniony Daniłow z uniwersalnymi kleszczami w dłoni. Też chyba w coś wjechał, bo miał zabandażowaną głowę.

– Żyjesz? – zapytał. Gusiew zdobył się na mizerne kiwnięcie głową.

– I bardzo dobrze. Wyluzuj, wyjdiesz z tego... Najważniejsze, że żyjesz. A drobiazgi zaraz sobie wyjaśnimy...

Powiedziawszy to wyjął z kabury swój ulubiony PSM i niemal nie patrząc strzelił zakrwawionemu w łeb. Ten tylko jęknął.

– No popatrz, chybiłem! – zdziwił się Daniłow. – Może spróbuję jeszcze raz? Co ty na to, jednouchy? A może i jednooki?

– Ty chuju! – charknął jednouchy.

– Nie, oko wyrwę ci potem. A na razie zostaniesz... monozygociarzem! Wiesz, co to takiego?

– Paszka – nad Gusiewem ponownie nachylił się Waluszek – Ty pewnie nie kumas, co się dzieje. To normalne, pozbądź się obaw. Chłopcy na górze zaraz uwiną się z robotą i wyciągniemy cię stąd. Z tobą wszystko w porządku, trochę ci tylko przyłożyli. No nic, do wesela się zagoi...

– Monozygociarz to jednojajeczny! – oznajmił z dumą Daniłow.

– Wszystko jedno, przyszła na was kryska, krwiopijcy! – wycharczał „monozygociarz”. – Ci, których nie zabiją, pójda na katorgę...

– Ej, przyjacielu, to ty na katorgę pójdziesz. Ale będą tam mieli z ciebie uciechę! Jedno ucho, jedno jajo, jedno oko – ty nie myśl, że zapomniałem! Będiesz, przyjacielu, ozdobą baraku dla inwalidów! A co się tyczy krwiopijców...

– A-aaa! A-aaa!!! U-uuu!

– To za Gusiewa, oprawco niedojebany!

– Aaaargh!!!

– A teraz powtórzę pytanie. Wasze zadanie. No?!

Rozległ się tupot, jakby ktoś zbiegał ze schodów. W polu widzenia pojawiło się kilku

ludzi z grupy Daniłowa. Ten się obejrzał i poruszył pytająco podbródkiem.

– Siemiecki<sup>25</sup> skonał – zameldowano mu. – W sumie poległo dziewięciu. A rannych mamy dziesięciu.

– Czemu mnie liczycie?

– Nie, bez ciebie. Okazało się, że Łopian ganiał z kulą w nodze. Dopiero teraz zauważył.

– No tak, zdarza się... Dobra. Rannych na samochód i do szpitala. Było coś od szefa?

– Ugrzązł na Kremlu na dłużej, nie wiadomo, kiedy się zdoła wyrwać. Powiedział, że na razie musimy sobie radzić sami. A, dzwonił Korniej. Wezwał wolną zmianę, ale nikt nie przyszedł.

– Co było do przewidzenia. Brali ich prosto z łóżeczek, z ciepłka domowego. Najważniejsze – żeby tylko brali. Wtedy oddadzą. Dobra, dość gadaniny, bierzcie Gusiewa. I wiesz co, Misza... Jak będziecie jechali, przebij się na „rządową”, znajdź kogoś, kto powiadomi jego starego...

Więcej Gusiew niczego już nie słyszał, bo się rozluźnił i chyba stracił przytomność – a może po prostu zasnął.

– No, ależ ty masz melodię do spania! – stwierdził Waluszek siadając obok łóżka, pełniącego rolę szpitalnego tapczanu. – Przespałeś rewolucję i kontrrewolucję. A przy okazji, miło mi rzec, że przedstawiono cię do orderu.

– Przyniosłeś moją „berette”? – zapytał Gusiew bez entuzjazmu w głosie. Minęły trzy dni i ogromna opuchlizna, w którą wysiłki piwnicznych oprawców przekształciły jego twarz, powoli zaczynała się cofać.

– Wybacz, nie znaleźliśmy jej – Waluszek rozłożył bezradnie ręce. – Może później się znajdzie.

– Akurat się znajdzie... Jakiś śledczy ją sobie przywłaszczy. Szkoda spluwy, zabiłem dla niej człowieka.

– Wiem, jak zabiłeś. Daniłow wszystko mi barwnie opowiedział.

– Zełgał pewnie.

– Być może. A wiesz, „browninga” sobie znalazłem. Wszystko jak należy, zdobycz wojenna. Wtedy, jak ciebie wyciągaliśmy.

– Gratuluję. Wóz naprawiłeś?

– Nie było kiedy. Jeszcze zdążę. Na razie jeżdżę „dwudziestką siódmką”. Wóz z charakterkiem i znaczny, cały postrzelany. Wiesz, jak krawężniki na jego widok drętwieją? Aż chęćka bierze, żeby przepisy przekraczać.

– Co w oddziale?

– Nie uwierzysz. Przysłali uzupełnienie – te same głąby, które przyszły, żeby nas pozabijać. I jacyś tacy zuchwali... Wiesz kto jest nowym szefem? Twój przyjaciel, Korniej.

---

25 - Siemiecki - jeden z najbardziej znanych i lubianych fanów Rosji. Rosyjscy pisarze postanowili unieśmiertelnić przyjaciela wszystkich, zabijając go na rozmaite sposoby w swoich utworach.

Szef dostał awans, chyba w dyrektorzy pójdzie.

Gusiew westchnął ciężko.

– Rzeczywiście, wszystko przespałem – powiedział. – Loszka, posłuchaj... ale to tak, między nami. Gdzie butelka, rekrucie?!

Waluszek parsknął szczerym, beztroskim śmiechem.

– Cały czas czekałem, jak długo wytrzymasz. Proszę bardzo. – Rozejrzał się niczym groszowy spiskowiec, jakby w pomieszczeniu był ktoś jeszcze, i wyjął zza pazuchy litrową butelkę „Jacka Danielsa”. – W porządku? A w paczce mam zgrzewkę „Coli”, jakbyś chciał rozrobić. Są jeszcze pomarańcze, czekolada...

– Dziękuję – westchnął Gusiew i przypiął się do butelki, jakby był w niej eliksir zdrowia i młodości.

– Nie ma za co. Długo jeszcze będą cię tu trzymali?

– Mogę się wypisać choćby dzisiaj. Po prostu, szczerze mówiąc, nie mam ochoty. Muszę położyć z tydzień, lub dwa. No i... starsi towarzysze tak mi radzą.

– Masz niesamowitą ochronę. Przed drzwiami siedzą takie byki... wyobraź sobie, obszukali mnie od stóp po czubek kaczana. Już myślałem – koniec, jaja mi zarekwirują. Ale oni tylko broń mi zabrali. Osły jedno. Jakbym nie był brakarzem.

– A jakże, Loszka, jesteś brakarzem – stwierdził Gusiew zupełnie poważnie. – Prawdziwy z ciebie agent specjalny z licencją na zabijanie. Gdyby nie ty... Ogólnie rzecz biorąc wszystko dzięki tobie...

– Daj spokój...

– Żadne tam „daj spokój”. Dziękuję.

– Mnie też order obiecali – oznajmił Waluszek bez żadnej skromności w głosie. Widać było, że jest dumny ze swoich wyczynów. – Wszyscy zresztą dostaną. Szef-Bohatera, pozostali po Czerwonej Gwieździe. Mówią, że nawet Korniejowi coś skapnie. Za okazane męstwo. A ja cały czas myślałem – jak to się nazywa, kiedy cię butem w pysk kopią!

– Nie obrażaj Kornieja. Nie jest takim łajnem, jak myślisz. Okazuje się, że ma chorą córkę, której grozi brak. Zbiera na operację, wypruwając z siebie flaki na służbie. I jak widzisz, dosłużył się...

– Aha. Wybacz, ale na mnie pora. Pod wieczór Daniłow tu zajrzy. Nie wyłłop całej butelki, wspominał, że chciałby się z tobą poważnie rozmówić.

– Mnie teraz wystarczy kilka łyków i po ścianach zacząć chodzić – stwierdził ponuro Gusiew. – Alkohol i środki znieczulające... Zabójcza mieszanka. A nie powiedział konkretniej, o co chodzi?

– Wydaje mi się, że on rozgryzł jednak tych perwersów, co cię przesłuchiwali. Miał dość zagadkową minę.

– A co to za przesłuchanie... Same poniżenia i drwiny. Wiesz, ja prawie nic nie pamiętam.

– A czy to źle? – zdziwił się Waluszek.

Daniłow przyjechał bardzo późno i zastał Gusiewa w mocno różowym humorku. Ale i on przywiózł butelkę, którą wetknął choremu pod łóżko.

– Ci twoi ochroniarze to pedryle – stwierdził. – Trzeba by takich rozstrzeliwać. Widzą, że idzie brakarz, ale mimo tego rozstawić nogi, ręce na ścianę... Gdzie oni byli, pytam ja się, kiedy cię zgarnięto.

– Gwizdać na nich!

– Dobrze choć, że wypitki nie zabrali. Tylko: „Nie za wiele będzie?” Dla was zostanie – mówię – jak się tu cały Centralny zwali. Na Kreml nas wystarczyło... Szlag by to trafił, strasznie mi żal, że mnie tam nie było.

– No, przepraszam.

– Głupstwo, zdarza się...

– Między nami mówiąc, mnie też tam nie było.

– Ha, ha, ha! Pe, gdyby nie ty... Ogólnie rzecz biorąc, przez ciebie to wszystko skończyło się tak dobrze.

– Nie przeze mnie – sprzeciwił się niemrawo Gusiew. – Waluszek się postarał. W porę znalazł się na miejscu i nie stracił śladu. Potrafi jeździć ten chłopak. Ale opowiadaj, co słyhać...

– Marnie. Wszędzie burdel. W całym kraju pod trawkę poszło siedemdziesiąt procent składu osobowego ASB. W Moskwie najmniejsze straty były w Południowo-Zachodnim, gdzie chłopaki od razu rączki do góry podnieśli... a my mamy drugie miejsce.

– A u nas ilu?

– Ponad połowa. Zabitych – stu osiemdziesięciu siedmiu. Z tego na Kremlu – dziewięćdziesięciu. Wszystkich pośmiertnie przedstawiono do orderu Bohatera. Nawet tych, których zastrzelono w domach.

– Dużo im z tego przyszło... A szczególnie rodzinom. No to co? Golniemy po jednym za pamięć niewinnie pomordowanych?

– Owszem – odpowiedział Daniłow, podnosząc literatkę ze stolika.

– Żyj, Daniła.

– Żyj, Pe.

Gusiew pił ostrożnie, ale mimo wszystko przypiekło mu pękniętą wargę i musiał się skrzywić.

– Morowo się stawiałeś na tym przesłuchaniu – zauważył Daniłow.

– Znaczy jak? – nie zrozumiał Gusiew.

– Godnie. Doprowadziłeś tych kutasów do białej gorączki.

– A ty skąd to wiesz?!

– Wszystko zapisali na wideo. Od samego początku.

– Do diabła! – Gusiew aż podskoczył na łóżku. – A gdzie jest ta kasetka?

– Zabrali. Przyjechał człowiek od niejakiego Gusiewa i zabrał. A co, trzeba było nie oddawać?

Gusiew zamyślił się na chwilę.

– Nie, dlaczego... – odezwał się wreszcie. – Może tak będzie nawet lepiej. Niech się zapozna. A ja tam niczego takiego... Puściłem farbę, czy nie?

– Nie, uspokój się.

– Widziałeś?

– Nie, tamci powiedzieli. Właściwie to jeden z nich. Robiłem wszystko naukowo – naciskałem tego, który był bardziej twardy. A drugi tymczasem się łamał... aż pękł. Co prawda nie wcześniej, aż zabiłem pierwszego. Wiesz, człowiek to zadziwiająca istota. Wie przecież, że to stara sztuczka wojskowych grup zwiadu, i że drugiego „języka” też się wykańcza! Ale mimo wszystko zaczyna mówić.

– Daniła – Gusiew położył się na boku i odwrócił do Daniłowa twarzą. Wbrew temu, czego się spodziewał, towarzysz się nie zachnął. Gusiew na jego miejscu chyba by nie wytrzymał – przed kilkoma godzinami zaszedł do łazienki i ze strachem popatrzył w lustro. A potem przyrzekł sobie, że ponownie zrobi to nie wcześniej, niż za miesiąc. – Powiedz mi, przyjacielu... Udało ci się wyjaśnić, czego oni ode mnie chcieli?

– Tak... Chyba tak. Dziwna sprawa, Pe. Weź tylko pod uwagę, że czegokolwiek bym się dowiedział, mój stosunek do ciebie się nie zmienił. I nigdy się nie zmieni. Kumasz?

– Ten „język” powiedział ci, że rankami piję krew chrześcijańskich niemowląt?

– Prawie trafiłeś.

– To znaczy? – najeżył się Gusiew.

– Wiesz... to dziwne... oni mieli dwa zadania. Pierwsze – solidnie cię pomęczyć. Chcieli chyba tę taśmę z przesłuchania dostarczyć potem tam, gdzie w rezultacie wszystkich działań trafiła. Żeby twój stary był bardziej skłonny do rozmów.

– A to bardzo dobrze – oznajmił Pe.

Daniłow pokręcił głową i mruknął coś niezbyt zrozumiałego.

– Co znowu? – zachnął się Gusiew. – Każda płotka będzie mnie uczyć, jak mam sobie układać sprawy rodzinne?

– Nigdy w życiu. Wybacz. Pomyślałem sobie tylko – żeby zawału nie dostał...

– Ten stary piernik jest z żelazobetonu. Prędzej ty sam dostaniesz zawału. A drugie zadanie tych przyjemniaczków?

– Drugie? Hmm... Kazano im wyjaśnić, kto jest prawdziwym autorem „Memorandum Ptaszkina”.

– A co ja niby miałbym z tym wspólnego? – zapytał niemal odruchowo Gusiew.

– No... Nie wiem – zmieszał się Daniłow.

– Nie, ale powiedz, co ja miałbym z tym wspólnego? Daniłow podniósł na Gusiewa spojrzenie swoich niewinnych jak u dziecka oczu i powiedział cicho:

- No właśnie, tak sobie myślę: co ty miałbyś z tym wspólnego, Gusiew?
- Co to znaczy „prawdziwy autor”? Przecież ci opowiadałem.
- Zamknij się, Pe – poprosił łagodnie Daniłow. – Myślisz, że ci nie wierzę?
- Podejrzewam.

– A ja chcę ci wierzyć – stwierdził Daniłow z naciskiem w głosie. – Dawniej wierzyłem i teraz chcę. I cokolwiek byś mi teraz powiedział – uwierzę.

- A ty bardzo chcesz poznać prawdę? – zapytał Gusiew agresywnie.

– Pewnie tak. Być może... mimo wszystko ciekawe, kto to wymyślił. Cokolwiek by mówiono, nie była to idea kolektywna. Coś takiego mógł wymyślić wyłącznie jeden człowiek.

Gusiew poczuł, że złość, która go chwyciła przed chwilą, powoli mu przechodzi.

- A według ciebie – zapytał łagodnie – jaki to był człowiek?

– Bardzo nieszczęśliwy – odpowiedział Daniłow stanowczo. – I wściekły na cały świat.

– Całkowicie niezdolny do pogodzenia się z istniejącą rzeczywistością... – podchwycił Gusiew.

- Nie inaczej. Właśnie tak. On chciał wszystko zmienić.

– Chciał uczynić świat czystym i sprawiedliwym. Choć w jednym kraju. Chciał stworzyć społeczeństwo bez podziałów, nie porozrywane jak zwykle na bandziorów i zwykłych ludzi, a zjednoczone. Chciał zniszczyć podstawę przestępczości – jej pierwotnych wykonawców. Jej bazę. Przecież zrozum, Daniła, rzecz nie w ekonomice, nie w poziomie życia...

- Wiadoma sprawa, nie tylko o nie chodzi...

– Nie tylko i nie aż tak. Kraść zaczyna się z głodu i niedostatku. Ale to wcale nie znaczy, że człowiek, który w kieszeniach unosił z pola kłosa pszenicy, obowiązkowo potem weźmie się za magazyny z chlebem. Kiedy bieda przycisnie, gdy życie weźmie za gardło, wielu jest gotowych gwizdnąć to, czego pozornie nikt nie pilnuje. I wcale z tego powodu nie zostają zatwardziały bandytami. Ale jeżeli cię od dziecka uczono, że pracują tylko durnie, że lepiej jest zabrać, ukraść... A kto tak uczy?

- Ten, który przez całe życie nie robił nic innego – podsunął Daniłow.

– Właśnie. Wiesz, całe życie przerażała mnie historia tak zwanych skurwionych bandytów, którzy podczas wojny poszli do karnych batalionów. I walczyli tak, że liczni z nich zostali w trakcie walk oficerami i wrócili do domów z orderami na piersi. Ale w cywilu okazało się, że ponieważ przed wojną niczego porządnego nie umieli, to potem też żyć uczciwie nie mogli. Nigdy nie brali w ręce żadnego przedmiotu cięższego od cudzej portmonetki. No, chyba że broń. I wszyscy bardzo szybko wrócili do dawnej profesji.

- Rzeczywiście. A... my z tobą czym się zajmujemy przez całe życie?

Zaskoczony bezpośredniością pytania Gusiew umilkł na chwilę.

– Nie zbijaj mnie z tropu – poprosił. – Choć oczywiście tak... masz rację. To właśnie jest najgorsze. Ale chłopcy, który widzą mnie i ciebie na ulicy, nie zechcą zostać brakarzami. I

nigdy nie zostaną złodziejami i bandytami. A wtedy smarkacze patrzyli na tamtych drani i myśleli – czemu ja w gównie żyję, a ferajna po restauracjach się rozbija? I tak się rodziło nowe bandyckie pokolenie. Nawet polityczni... a zresztą, nieważne. Przypomnij sobie teraz, co tu się działo w latach dziewięćdziesiątych. To samo. Kraj pełen nędzarzy, tłumy bezrobotnych – a obok przejeżdżają bandyci w „Mercach”. Trzeba było zatrzymać ten proces, rozumiesz? Przeciąć, wypalić, zrąbać, spalić do korzeni. I nie tylko jeden Ptaszkin myślał – jak tego dokonać? Wielu myślało. Ale to właśnie on stworzył plan działań. Surowych, okrutnych niemal, ale sprawiedliwych. Sytuacji daleko do ideału. Ale przecież jakoś wszystko zadziało, prawda?

– Prawda – odpowiedział Daniłow. – Zdziałało.

– I to my zrobiliśmy?

– Ależ oczywiście.

– Więc w czym problem?

– W niczym. Nie wściekaj się, Pe.

– Wcale się nie wściekam. – Gusiew wziął literatkę i łyknął. – Po prostu czasami bywa przykro. Niektórzy tak mówią, jakbyśmy starali się na darmo.

– Wcale nie na darmo! – oburzył się Daniłow za wszystkich brakarzy.

– Ale po cholere tym oprawcom było wiedzieć, kto był autorem notatek Ptaszkina?

– Pe, przecież to kontrwywiad. Diabli wiedzą, co sobie umyślili. Może chcieli wszystko zwalić na CIA? Znaleźć autora planu i pokazać wszystkim jako agenta światowego imperializmu. Wiesz, ja chciałbym poznać tego Ptaszkina. Choćby po to, żeby zobaczyć, jaki był – wymamrotał Daniłow patrząc w podłogę. – Szkoda, że to niemożliwe.

– Nazywał się Lebediew – powiedział Gusiew. – Paweł Leonidowicz Lebediew. I masz rację, Daniła. Tego człowieka już nie ma.

Odwrócił się na plecy i zamknął oczy.

– Zdarza się... – oznajmił Daniłow filozoficznie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

W niektórych kronikach zapisano, że umarł sam, bez widocznej przyczyny, w siodle. W innych epopeję kniazia przecina miecz lub włócznia. Kronikarze zgadzają się tylko w opisie tego, co nastąpiło potem. Po znalezieniu ciała Drakuli bojarzy porąbali je na kawałki, te zaś porzucali dookoła. Nieco później, pamiętający o hojności nieboszczyka, mnisi z klasztoru Sangowskiego zebrali te resztki i oddali je ziemi.

Rankami Irina pisała zwykle końcowe wnioski dotyczące badań, które prowadziła w dniu poprzednim. Za drzwiami gabinetu panowała głęboka, pochłaniająca niemal wszystko cisza, z rzadka tylko przerywana szelestem obleczonej w kaptcie stóp i poskrzypywaniem krzesel. Zwykły roboczy dzień, ogólny spokój i rozleniwienie. Tylko nieprzywykły do tej atmosfery człowiek mógłby spostrzec wiszące w powietrzu lekkie napięcie. Nie było w tym nic dziwnego – na oddziale neurologii nie leczą z grypy, pacjenci są tu szczególnie i promieniują od nich nie zawsze miłe fluidy. Sedno sprawy tkwiło też może w ledwo wyczuwalnym zapachu leków, całkowicie innym od tych, jakimi leczą w zwyczajnym szpitalu.

Irina pisała wnioski, od czasu do czasu odrywając się od nich, żeby pomyśleć. W jednej z takich chwil zrozumiała nagle, że coś jej przeszkadza. Na korytarzu, dosłownie pod drzwiami jej gabinetu, pojawiło się źródło niskiego, natrętnego szumu. Gdy Irina się weń wsłuchała, zrozumiała, że składają się nań głosy dwóch kobiet, które coś tam nieustannie omawiały. Im bardziej starała się ich nie słyszeć, tym bardziej jej te głosy przeszkadzały.

Wytrzymawszy jeszcze dziesięć minut Irina zrozumiała, że tak dalej pracować nie można i wyjrzała za drzwi.

No oczywiście. Po obu stronach drzwi do jej gabinetu stały dwa głębokie krzesła i w obu rozsiadły się babunie, którym starość rozmiękczyła już mózgi. Na domiar złego staruszki były jeszcze na poły głuche, więc rozmawiały podniesionymi głosami, nieustannie sobie przerywając pytaniami. Nieopodal była wygodna kanapa, ale babcie jakby jej nie widziały – po prostu nie przyszło im do głów, że można się na nią przesiąść, a te krzesła, pomiędzy którymi odległość wynosiła trzy metry...

Irina wróciła na miejsce, pokręciła głową i spróbowała ponownie zająć się pracą. Okazało



się jednak, że nie może nie słuchać rozmowy zza drzwi. Mowa obu starszek była pełna wieloznacznych intonacji i mogłaby przyciągnąć uwagę każdego człowieka – wyglądało na to, że babcie omawiają problemy wojny i pokoju na świecie. I na domiar wszystkiego czyniły to głośno i dobitnie.

Zmusiła się do stukania w klawisze, ale w pewnej chwili nie wytrzymała i zaczęła słuchać. W tej samej chwili do rozmowy włączyła się trzecia babcia. Która oczywiście usiadła w odpowiedniej odległości od dwu poprzednich, nieopodal cicho szemrzącego telewizora.

– A jak pani ma na imię?

– Lidia Iwanowa.

– Lidia... jakie piękne imię. Lidia... mam wnuczkę Lideczkę... Niechże pani sobie wyobrazi, jest zupełnie maleńka.

– Tak, a mój mąż, co prawda już nieżyjący... Aż żal, jak ciężką miał śmierć... A taki był dobry... Córka bardzo go kochała. Wspaniała dziewczyna! Kiedy dzwoniła do mnie do szpitala, zawsze pytała: co u taty, a ja mówiłam – z ojcem jest tak i tak, nie denerwuj się... A ona: sama do niego zadzwonię. Tak ojca kochała! Bała się, że ukryję przed nią, jak z nim źle. Niepokoiła się.

– Ja też mam wnuczkę, tylko, że już duża jest. Pewnie taka, jak pani córka.

– A ile ma pani lat?

– Ja? Siedemdziesiąt osiem.

– No, jest pani jeszcze młodą osobą. Jak będzie **pani** miała osiemdziesiąt pięć, jak ja, wtedy pani zrozumie, co znaczy starość.

„Klasyczny przykład salonowej demencji – pomyślała Irina. – Ale to jeszcze może trwać i trwać. Takie babunie potrafią podtrzymywać rozmowę w nieskończoność, dopóki im starczy krewnych i znajomych”.

I rzeczywiście – rozmowa rozwijała się płynnie według takiego właśnie scenariusza. A Irina w gabinecie wpatrywała się tępo w monitor, walcząc z chęcią walenia głową o stół, albo wyjścia i popełnienia wyrafinowanego morderstwa na starszkach.

Mniej więcej po upływie półtorej godziny starszki wreszcie umilkły, ponieważ zapomniały, o czym wiodły rozmowę. Albo nie mogły sobie przypominać, która ma jeszcze jakichś krewnych. Utknęły w martwym punkcie. Irinie zaczął wracać humor. I wtedy...

– A ten, popatrzcie tylko! Drugi raz dziś rano idzie zapalić. Ależ ci ludzie kopcą! A to szkodzi! Nie, Jelizawieto Markowna, nawet pani sobie nie wyobraża jak bardzo to szkodzi! Byłam w sanatorium, gdzie nam mówiono, jak palenie szkodzi zdrowiu człowieka. Nie ma pani o tym pojęcia! Tak-tak, cierpią i płuca i wątroba!

– Nie? Wątroba także?

– A jakże!

I babunie z niechęcią zapamiętały i satysfakcją zabrały się do kolejnego wdzięcznego tematu

– wyliczania wad i niedostatków dzisiejszej młodzieży, która szkodzi sobie paleniem, pijaństwem i innymi formami rozpusty. Irina jęknęła i opuściła głowę na ramiona. „Boże! Za co?! Dobrze, przez jakiś czas nie zwracałam na nie uwagi. Potem okazało się, że przeszkadza mi szum. Potem dociera do ciebie, że słyszysz tę kretyńską rozmowę ze wszystkimi szczegółami. A jak się zaczyna omawianie tego, jak bardzo źle się zachowuje współczesna młodzież... także i ten, co idzie dziś zapalić po raz drugi! I to wszystko idiotki z dziada pradziada, u których obecności mózgu nie wykryje nawet tomografia komputerowa! Oj, jak bardzo chcieliby się wyjść z dębową pałą i powiedzieć im: – Albo powsadzacie sobie swoje durne jęczory w tłuste dupska, albo... Ale tego akurat zrobić nie wolno.

Ale jakie piękne by to było!!!

Dobrze byłoby ustanowić prawo, wedle którego niektóre kategorie staruchów i staruch podlegałyby wybrakowaniu. Tylko że nic z tego nie wyjdzie – mający władzę bardzo się troszczą o stare piernictwo. Nie wiadomo dlaczego uważa się, że takie właśnie babunie są ostoją państwa”.

Irina postanowiła wziąć się w garść i jakoś uporać ze swoimi emocjami. „Są przecież stare, dręczą je rozmaite choroby, cierpią na salonową demencję. Brak im jakichkolwiek zajęć. Drzemać przez całą dobę nie mogą, nie wydano im jeszcze dostatecznej liczby tabletek. Biedne staruszki. Ale tak czy owak... żeby je wszystkie szlag trafił!!!

„Żeby tak wszystkie pozdychały!” – marzyła Irina, zapomniawszy o tym, że przed chwilą usiłowała wzbudzić w sobie współczucie i zrozumienie dla cudzych problemów. – „Żadna cholera nie mogłaby mi mówić o tym, co powinnam robić i co jest dla mnie szkodliwe. Moja przeklęta babunia na przykład, nogę stołową jej w odbył! Te cholery też przecież kiedyś robiły swoje, a teraz już nie mogą! Nie są już w stanie realizować swoich debilnych pomysłów dotyczących urządzania świata. Więc tylko siedzą i pieprzą jak potłuczone! Tylko do tego są zdolne! Bezmózgie stare krowy!

Dlaczego mnie tak irytują?! Dlatego, że są głupie! Z jakiej racji ludziom w takim stanie pozwala się żyć na świecie?!

A ja – Panie Boże, nie wódź mnie na pokuszenie! – muszę z nimi pracować, być uważną, uprzejmą, wykazywać zrozumienie...

I to właśnie robię, zamiast wyskoczyć do nich i pogonić je z wraskiem”.

Staruszki gędzily, a Irina coraz bardziej się wściekała. Potem nastąpiła przerwa na obiad, ale już o wpół do drugiej babki wróciły i ponownie zabrały się do marudzenia.

„Jak by się tu uspokoić? – myślała Irina. Powiedzmy, skoro takie żyją, to znaczy – wola boska. Może mają cierpieć. I może w istocie cierpią, znalazłszy się w takiej sytuacji”?

I wtedy pojawił się stuknięty Pietia, który zgłosił się na psychoterapię. Długo opowiadał Irinie, jak go prześladowuje despotyczny ojciec, który celowo go poniża i usiłuje uwieść. Wszystko szło dobrze. Ale w połowie swojego monologu Pietia nagle podskoczył na krześle jak kolnięty igłą i powiedział:

– Albo te stare ropuchy! Już trzecią dobę spać mi nie dają swoimi debilnymi rozmowami!  
„Och, jakże ja cię rozumiem! Jak dobrze cię rozumiem, biedny chłopcze!”

– Czemu nikt ich jeszcze nie pozabijał?! – pieklił się Pietia. – Gdzie jest Wybrakówka? Och, jakbym wyszedł, i dał im rurą po łbach, żeby się pozamykały i nigdy ryjów już nie otwierały!

– No, Pietia – stwierdziła Irina siląc się na uśmiech – nie tylko ty chciałbyś dać wielu ludziom po łbie. Ale przecież tego nie robimy.

– Ja też, ale bardzo bym chciał! Takie by było trzeba zabijać! Siadają daleko jedna od drugiej, niczego cholery nie słyszą...

Wysłuchawszy tyrady chorego młodzieńca Irina pomyślała, że ona chyba jednak jest mądrzejsza i z pewnością bardziej zdrowa. „Starsza też jestem. Więc jakoś trzeba będzie ten problem rozwiązać”.

Nastroiwszy się wewnętrznie na spokojną i konstruktywną rozmowę, wyszła z gabinetu przerywając rozmowę babuń, które bardzo zdziwiło pojawienie się lekarki.

– Wybaczcie panie – odezwała się Irina bardzo spokojnie – ale rzecz w tym, że bardzo was proszę o to, żebyście przeniosły się w tamten kąt i usiadły bliżej jedna drugiej. Będzie wam łatwiej rozmawiać ze sobą i nie będziecie musiały mówić tak głośno. W końcu to godziny ciszy.

Jedna z babuń zamyśliła się na chwilę, po czym oznajmiła radośnie:

– Przecież my to wiemy! I Pieti przeszkadzamy...

„Krwi, krwi!” – zwyła w myślach Irina.

– I przeszkadzacie Pieti. Zechciejcie też zrozumieć, że ja tu za tymi drzwiami pracuję.

– Tak? – zapytała babcia nie bez zdziwienia w głosie.

– Tak, a jeżeli siądziecie nieco dalej i bliżej siebie, to wszyscy będą zadowoleni.

Babcie ze skrzypieniem i chrzęstem zaczęły się wydobywać z krzeseł.

Irina wróciła do gabinetu ukrywając uśmiech. Nagle poczuła śmieszność całej sytuacji. Istotnie – przez długi czas nie mogła pracować, bo dręczyły ją te same myśli, które biednego Pietię prześladowają przez cały dzień!

I nie wiadomo jeszcze, kto pierwszy rzuciłby się na babunie z pięściami. Gdyby stuknięty chłopak w porę nie przypomniał lekarzowi, że ten jeszcze jest zdrowym człowiekiem i potrafi rozwiązywać takie problemy bez tracenia człowieczeństwa, to kto wie...

Eskalator był prawie pusty i Irina – spokojna kobieta w spokojnym mieście – weszła na pierwszy ruchomy stopień o niczym nie myśląc.

Kroki, które usłyszała za sobą, wcale nie wzbudziły w niej niepokoju, dopóki przechodzień nie zatrzymał się nieco wyżej i nie odwrócił ku niej twarzą. Był to młody, dość wysoki chłopak, o nieco zgarbionych ramionach i zbyt długim nosie, w bejsbolówce, spod której wysypywały się jasnorude włosy. Ogólnie rzecz biorąc, zwyczajny typ, tylko jakiś taki

niesympatyczny.

– Dziewczyno, jesteś piękna! – odezwał się nieco głuchym głosem.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się. A co miała zrobić?

– Dziewczyno, ty się krepujesz. Ja chcę tylko zawrzeć znajomość.

– A ja nie – ucięła Irina.

– Nie o tym mówię – znów się troszkę przysunął. – Wszystkie dziewczyny kochają romantykę, widzę to z twoich oczu. Jesteś Wenus z Milo. Wywiozę cię samochodem za miasto. Pokażę ci takie miejsca! Zobaczysz, jak diabły i wiedźmy tańczą tam na drutach!

„Mamo! – mimo woli cofnęła się o stopień w dół. – Boże, i nikogo wokół nie ma!” Po raz pierwszy w życiu nagle zapragnęła obecności innych ludzi.

– A wiedźmy są piękne jak ty, choć ty jesteś inna, masz inny rodzaj energii! I ja też. Pozwolisz mi się wykąpać w wannie i poczujesz wielki przyływ energii!

Tego już znieść nie mogła.

– W jakiej wannie! Nie chcę pana znać i nie chcę słuchać! – Irina spojrzała w oczy natręta i przeszył ją dreszcz. Oczy chłopaka były absolutnie czyste i zimne jak dwie bryłki lodu. Osobliwego wyglądu przydawały im źrenice. Idealnie czarne, budziły tylko jedno skojarzenie na poziomie pierwotnego strachu – były jak dwie czarne, zasysające wszystko dziury.

„Jak u naszych pacjentów! Ale dlaczego teraz, kiedy absolutnie nie jestem przygotowana? Czemu nie w klinice? I co mam teraz z nim zrobić?”

– Masz taką czystą duszę... wszystko widzę. Nie to, co u tamtych – kompletny mrok. – Podniósł głos i przysunął się bliżej.

– U kogo? – zapytała odruchowo.

– Jeszcze tego nie wiesz... – umilkł na chwilę, przechylając głowę na bok. I nagle jego twarz pojaśniała. – Ale ty... Jesteś czysta, moja piękna. Zawsze wiedziałem, że kiedyś spotkam tak cudowną dziewczynę! Jedyny cud na świecie, to człowiek o wzniosłej duszy i wzniosłym umyśle!

– Chyba tak... – Nie można się było z nim nie zgadzać. Za bardzo był podniecony. Ale Irina chciała się odsunąć, zerwać zbyt bliski już i natrętny kontakt z nieznanym człowiekiem. I zrozumiała – nie zdoła w tej sytuacji wykorzystać swoich zawodowych umiejętności, była po prostu na to nieprzygotowana. I bała się, okropnie się bała. „Niech mi ktoś pomoże!”

– Oczywiście wzniosłym, takim, jaki mają prawdziwi ludzie – nieznanemu nie przestawał tokować. – Budzącym pokorę u innych. Ale i tych sobie podporządkujemy. Później, znacznie później. Nie smuć się. Będę przy tobie. Zatoszczę się o ciebie i zajmę się tobą. Będę ci mył nogi i będę cię kąpał. Nigdy jeszcze w kąpielni nie czułaś takiego strumienia energii. Przekażę ci ją...

„O Boże! Znowu ta kąpiel!”

W jej głowie zrodziło się niejasne podejrzenie i nawet nie zdążywszy się sformułować,

wzbudziło jeszcze większy strach. Wbrew sobie ponownie spojrzała mu w oczy: nieruchome, patrzące bez jednego mrugnięcia w głąb siebie. Irina wyczytała w nich wyrok: „Wyprowadź mnie tylko na zewnątrz, uwolnij mnie – i śmierć!”

„Przecież on jest chory – szaleniec na wolności. I absolutnie już nad sobą nie panujący. Eskalator już się kończy. Co z takimi robi się na otwartej przestrzeni?” – myślała rozpaczliwie, jednocześnie kiwając głową i mówiąc:

– Tak, przejęcie potoku energii drugiego człowieka i oddanie mu części swojej – to przejaw najwyższego zjednoczenia... – nareszcie obudził się w niej zawodowy psychiatra.

Eskalator wyniósł ich już niemal na górę. Przed nimi pojawili się jacyś ludzie, ale wątpliwe było, czy potrafią jej pomóc. Irina wreszcie pojęła, z kim ją postawił twarzą w twarz złośliwy los. Najmniejszy niewłaściwy gest, drobny błąd w rozmowie – i psychol wybuchnie. A co ma w kieszeni, w której trzyma rękę? Nóż?

Nie zdążyła dokończyć tej myśli. Kątem oka spostrzegła tylko, że przed nią i nieco z lewej przy aptecznym kiosku stoi jakiś mężczyzna, który z uwagą przygląda się jej twarzy. Potem czas się jakoś skompresował i w ciągu kilku sekund zdarzyło się bardzo wiele naraz. Mężczyzna przy kiosku błyskawicznie poruszył dłonią, rozległ się dźwięczny trzask i psychol, wytrzeszczywszy puste oczy zaczął powoli padać na plecy. Dwaj młodzi chłopcy, którzy wyłonili się jakby znikąd, podskoczyli i dosłownie zerwali go z eskalatora. A ciemnowłosy mężczyzna znalazł się nagle tuz obok i podał jej rękę. Lewą. W prawej trzymał broń – wielki i jakoś tak śmiesznie wyglądający pistolet.

– Proszę – powiedział i Irina wreszcie zeszła na twardy grunt. Po raz pierwszy podczas tego całego męczącego dnia.

– Loszka! – mężczyzna odwrócił się do obu chłopaków. – Weźcie go w kąt, żeby tak nie leżał na widoku. Ustalcie jego dane personalne. Andriej. Połącz mnie szybko z tutejszymi mentami i załatw z nimi, co trzeba. Wezwij „karawan”. Tak... – schował pistolet.

– Wszystko w porządku – rzucił nadbiegającej, zaniepokojonej dyżurnej.

Odsunął klapę kurtki i na jego piersi mignęła złotymi blaskami jaskrawa oznaka.

„ASB! – pomyślała Irina. – No jasne, któżby inny. Chwała Bogu!” Nigdy wcześniej jeszcze nie widziała z bliska prawdziwego brakarza i znaczek nieznajomego błysnął przed nią jak symbol kompletnego i całkowitego wybawienia od wszelkich wyimaginowanych nieszczęść i opresji.

– Starszy pełnomocnik Agencji Społecznego Bezpieczeństwa, Gusiew – przedstawił się mężczyzna stojący nad drobnutką dyżurną niczym skała. – Oddział Centralny. Może pani wrócić do pracy, nie ma powodów do niepokoju. Teraz pani. Witam. Paweł Gusiew. Zdążyliśmy chyba w porę, prawda? No, niechże się pani uspokoi, nic już pani nie grozi. Jest pani pod ochroną ASB. Czy ten człowiek pani groził?

– Tak... jak się pan domyślił?

– Miała pani... eee... trochę przestraszoną minę. Co konkretnie się stało?

– Chryste! – odezwał się z kąta brakarz Losza.

– Przepraszam panią. – Jego szef odwrócił głowę ku partnerowi. Teraz Irina była już pewna, że ten Gusiew musi być szefem.

Losza pokazał coś błyszczącego, pochwyił wzrokiem pełne strachu spojrzenie Iriny i błyskawicznie wsunął znalezisko w kieszeń.

– Drobiazg – uspokoił Gusiew Irinę. – Proszę, niech pani mówi.

– To wariat – wyjaśniła Irina, czując, jak wraca jej spokój i pewność siebie. – Urojenia, brak kontroli, nie ma wyczucia dystansu. Więcej na razie nie mogę powiedzieć; trzeba by go zbadać, ale niewątpliwie jest niebezpieczny. Widzi pan, jestem... – wyjęła legitymację służbową.

– Ach tak... – brakarz zerknął na dokument i kiwnął głową z zadowoleniem. A Irina wreszcie dokładnie mu się przyjrzała. Niezwykle sympatyczny mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni, z początkami siwizny w ciemnych włosach. Bardzo miła twarz... można by rzec, że urodziwy mężczyzna. – No cóż, Irino... Georgiewa.

– Można bez patronimiku<sup>26</sup>.

– Bardzo chętnie. Po pierwsze, szczerze pani współczuję. Mnie też niekiedy trafiają się... eee... klienci w bardzo niedogodnych okolicznościach i czasie. Za każdym razem jest to jak grom z jasnego nieba. Dlatego doskonale panią rozumiem. Teraz, co po drugie? A tak, po drugie. Rozumie pani, miła Irino, skoro to niebezpieczny psychol, odpada cała masa niemiłych formalności. Po prostu grzecznie weźmiemy go za rączki i odstawimy na badania. Po czym zajmą się nim lekarze, którzy raz na zawsze oduczą go jeżdżenia metrem. Oczywiście – Gusiew podniósł wskazujący palec – o ile pani nie zechce przedstawić mu oskarżenia. Niech się pani zastanowi. Loszka, co u ciebie?

Długowłosa Losza usiadłszy na piętach pochylił się nad ekranikiem laptopa. Inny przyrząd przycisnął do ucha, podtrzymując go ramieniem. Wariat leżał zupełnie bez ruchu, jak nieboszczyk. Nieliczni schodzący z eskalatora pasażerowie zezowali ostrożnie w jego stronę. A niektórzy po prostu nie zwracali na niego uwagi.

– Załatwione! – oznajmił Losza patrząc na ekran. – A on też jest załatwiony. Trzy ostrzeżenia, wszystkie za molestowanie seksualne. Dwa badania psychiatryczne, ostatnie w tym roku. Ograniczenie praw obywatelskich w zdolności do pracy... No tak, przecież on się ukrywał! Nie zgłosił się na badania kontrolne! No, chłopie, doigrałeś się!

– Może pani zapomnieć o składaniu oskarżeń – zwrócił się brakarz do Iriny. – Ten orzeł jest już trupem, bez żadnych ekspertyz.

I uśmiechnął się zaraźliwie.

„Czyli zniknie – pomyślała Irina. – Zniknie i nigdy go już nie zobaczę. Co za ulga! Mogę o nim już nie myśleć, nie wspominać go i nie bać się. Niełatwo będzie przekonać siebie, że nic się nie stało, ale dam sobie radę, wiem, jak to robić”.

---

26 - Patronimik - druga część imienia Rosjan. Lew Nikolajewicz Tolstoj - Nikolajewicz to właśnie patronimik - Lew syn Nikolaja.

– Dziękuję – wyszeptała. – Dziękuję... Pawle.

Zaczęły nią targać dreszcze i odruchowo chwyciła Gusiewa za ramię.

– Nie ma za co – odezwał się brakarz uprzejmie. – ...Iro.

– Szefie! – podbiegł trzeci brakarz, Andriej, zupełnie jeszcze młody chłopak. – Wszystko załatwione, wóz już jedzie, milicję też powiadomiłem.

– Zrozumiałem. Zuch z ciebie. Losza, zwijaj się.

– Jasne – Loszka z kompletnym brakiem szacunku wyrwał przewody z gniazd z boku laptopa. – Ot, zwykły zakup aspiryny...

Gusiew parsknął śmiechem i rzucił Irinie wyraźnie ciepłe spojrzenie.

– Rozboliła mnie głowa – wyjaśnił. – I w samą porę, jak się okazało. W przeciwnym razie musiałaby pani znosić obecność tego psychola aż do wyjścia. Tam stoją menty, też by pomogli. A teraz... Pozwoli pani, że po cichu wyjdziemy na górę. Podjedzie nasz furgon, będzie w nim lekarz, który da pani coś uspokajającego. A potem odwiozę panią do domu. Mieszka pani gdzieś tutaj?

– Tak, dziękuję... – Irinie wydało się nagle, że odwożenie jej do domu to przesadna uprzejmość, na którą nie zasłużyła. Ale bardzo pragnęła, żeby Gusiew choć na krótko pobyl z nią razem. Czowała się przy nim dobrze i bezpiecznie. – Mieszkam niedaleko stąd, na Trzeciej Frunzego...

– Zechce pani wybaczyć nieskromne pytanie... Dawno pani tu mieszka?

– Przez całe życie. A czemu pan pyta?

– Bo jesteśmy sąsiadami – uśmiechnął się Gusiew. – Szkoda, żeśmy się wcześniej nie spotkali.

– Może się spotykaliśmy...

– Nie, z pewnością bym zapamiętał – stwierdził stanowczo Gusiew. – No to co, pójdziemy? Świetnie. Loszka, zostań tutaj. Andriej, za mną.

Przy wyjściu stała karetka pogotowia, z której jacyś barczyści młodzieńcy wyjmowali nosze.

– Andriej, pokaż drogę – polecił Gusiew. – Ej, doktorze. Niech pan obejrzy poszkodowaną. Trzyma się bohatersko, ale ja bym nie ryzykował.

Irina pozwoliła usadowić się w karetce. Gusiew został z papierosem na zewnątrz.

Lekarz otworzył drzwi po kilku minutach, wysiadł i wyciągnął rękę, żeby pomóc Irinie, ale Gusiew go uprzedził.

– Wszystko w porządku – powiedział mu doktor. – Całkowicie zdrowa młoda kobieta. Nieco podwyższone ciśnienie, ale w tych okolicznościach to nic niezwykłego. W sumie nic, z czym nie można się uporać odrobiną waleriany i mocnym snem.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał Gusiew Irinę.

– Tak – odpowiedziała z uśmiechem. – Chyba puściło. Wie pan, nie trzeba mnie nigdzie odwozić. Z chęcią się przejdę. Taka piękna pogoda...

Obok nich „sanitariusze” przenieśli leżące bezwładnie na noszach ciało. Irina nawet nie spojrzała na niedoszedłego napastnika. Przestał dla niej istnieć, został wybrakowany. Patrzyła na Gusiewa, jakby na coś czekała.

– Może ja panią odprowadzę? – zapytał Gusiew. Trochę się przy tym zmieszał – być może powodem było to, że dawno nie składał takiej propozycji żadnej kobiecie, a może mina doktora, który stał obok targany jawną zawiścią. A Gusiew pytał zupełnie szczerze i poważnie.

– A czy pan może... teraz?

– On wszystko może, jest szefem – burknął doktor. – No to do widzenia, zwijamy się.

– Dziękuję... żyj. Tak, Irino, ja mogę wszystko... o ile pani pozwoli.

– Oczywiście – odpowiedziała Irina. – Będę bardzo zadowolona.

– Powiem tylko dwa słowa chłopakom i jestem na pani rozkazy – Gusiew odszedł ku podwładnym, którzy z pełnej szacunku odległości stali i wywracali oczami, szczerząc radośnie kły. Szczególnie zabawnie wyglądał Losza, który z zachwytu niemal wzbijał się w powietrze. „Widać, że ci chłopcy go kochają – pomyślała Irina. – Świetne chłopaki, byle kogo nie obdarzą szacunkiem i miłością, znaczy – jest za co. Zresztą sama wiem, za co. To człowiek nie za bardzo szczęśliwy, ale bardzo dobry. Ze wszystkich sił tłumi w sobie tę dobroć i nic nie może z nią zrobić. Wstąpił do brakarzy pewnie dlatego, że bał się otaczającego go świata, okrutnego i nieprzyjaznego. Postanowił, że sam stanie się potworem i wtedy nie będzie mu tak ciężko żyć w tym świecie. Pewnie jakiś uraz z dzieciństwa. Głuptas. Czemuż ci wszyscy mężczyźni są tacy niemądrzy...”

– Żyćcie! – Gusiew odesłał prowadzonych krótkim machnięciem dłoni. Chłopcy z daleka pozdrowili Irinę ukłonami. A Gusiew wrócił do swej niedawnej rozmówczynie. Irina wzięła go pod rękę i stało się to tak naturalnie, jakby codziennie chodzili razem ze stacji metra do domu. „On pewnie jeździ samochodem. Ciekawe, który należy do niego?” Irina odprowadziła wzrokiem odjeżdżające od trotuaru samochody brakarzy – niski, wtulony jakby w ziemię wiśniowy samochód zagranicznej marki i jakiś osobliwie muskularny i krępy „Żiguli”.

– Długo pracuje pan w ASB? – zapytała Irina. Po prostu tak wypadło. Mogłaby milczeć, i bez tego czuła się z Gusiewem dobrze.

– Długo – westchnął w odpowiedzi. – Zbyt długo. Najwyższy czas zmienić zawód. Tylko jeszcze nie wiem, na jaki. Taki, który mógłby się przydać w Afryce.

– W Afryce?

– A czemu nie? Tu niedługo zrobi się zimno, a ja, wie pani, mam już dość mrozów. Przestałem kochać naszą wieczną zimę.

– Ja też – zgodziła się Irina. – Bez przerwy mam ochotę wyjechać gdzieś, gdzie jest ciepło. Niechby nawet było gorąco. Byleby dalej stąd.

– W obu przypadkach – pani i moim – przyczyną jest nasza praca – stwierdził Gusiew. – Pani widzi w pracy zbyt wielu chorych ludzi. A ja – złych. Mimo woli nastrajamy się wrogo i



zaczynamy nienawidzić kraju, w którym żyją tylko dranie, łajdaki, nienormalni i zbrodniarze. W zasadzie Związek to nie najgorszy kraj. Tylko bardzo chłodny.

– Bardzo chłodny – kiwnęła głową Irina.

Gusiew na chwilę oderwał myśli i wzrok od towarzyszy – naprzeciwko szła bardzo sympatyczna para. Niewysoki, krępy milicjant prowadził za rękę piękną, jasnowłosą sześcioletnią dziewczynkę. Dziewczynka szebiotała coś radośnie, a milicjant jak najbardziej poważnie jej potakiwał. Widać było, że rozpływa się z radości i nie wstydzi się pokazać tego całemu światu.

„Klasyczny przykład szczęśliwego ojca – pomyślał Gusiew. – No proszę, jak go radość rozpieszcza. Czemu ja zawsze bałem się mieć dzieci? Tchórzliwy dureń. Może jeszcze nie jest za późno? Oczywiście, że nie jest! Wyjechać stąd do diabła, ożenić się, postarać o dziecko... Trzeba tylko podjąć decyzję. Choć raz w życiu na coś się zdecydować. Postąpić wreszcie jak mężczyzna. Boże, jak dobrze jest iść obok kobiety, która ci się naprawdę podoba! Chwytaj ją, stary... i choćby do Afryki!”

– Jak pana głowa? – przypomniała sobie Irina.

– Zdażyłem już zapomnieć. Przeszło. Zupełnie. Po prostu jest mi dobrze. Z panią.

– Wie pan... mnie też.

– To wspaniale – stwierdził Gusiew.

Na chwilę się odwrócił, odprowadzając wzrokiem milicjanta i dziewczynkę.

Posterunkowy Muraszkin odwrócił się, posadził sobie Maszeńkę na ramieniu i delikatnie pocałował ją w policzek.

# KOMENTARZE

Fakty i liczby – Tło historyczne – Życie społeczne – „Memorandum Ptaszkina” – ASB od wewnątrz – Technika – Personalalia

## FAKTY I LICZBY

Zgodnie z danymi Archiwum Pamięci Zarządu Głównego Obozów i Kolonii Katorżniczych w okresie od 2001 do 2009 roku w systemie GUŁAK odbywało kary za przestępstwa przeciwko ekonomice kraju i przeciwko osobom indywidualnym 15 864 502 obywateli Związku Słowiańskiego. Nieco ponad półtora miliona katorżników doczekało złagodzenia kar i wróciło do domów, albo zostało przeniesionych „na odsiadkę” do obozów o zwykłym reżimie.

Czystkę w zasadzie przeprowadzono wśród mieszkańców dużych miast będących ośrodkami przemysłu i kultury. Wybrakówka dość mizernie przetrzepała niewielkie miasteczka, w których oddziały ASB pełniły rolę publicznych straszycieli, i prawie w ogóle nie tknęła ludności wiejskiej. Ale mimo to podczas pierwszych lat po uformowaniu ASB na terytorium całego kraju zaobserwowano lawinowy spadek liczby odnotowanych przestępstw, w tym także należących do kategorii niepodlegających kompetencjom Agencji.

Oczywiście liczba pozbawionych wolności w całym kraju była znacznie wyższa i wielu z tych, którzy trafili do „zwykajnych” rządowych zakładów karnych odsiadywało znacznie dłuższe wyroki – na przykład za kradzież samochodów, posiadanie broni, albo włamania do mieszkań. Jedna tylko przymusowa demilitaryzacja republik kaukaskich stworzyła gigantyczne „czarne strefy”. Należałoby też uwzględnić ogromną liczbę ludzi pozamykanych

w tak zwanych „obozach leczenia pracą”, do których kierowano alkoholików i narkomanów. Oprócz tego aktywnie zapełniano internaty dla bezdomnych dzieci i „kolonie profilaktyczne” dla osób niepełnoletnich, które w ten czy inny sposób naruszyły prawo. Praktycznie można uznać, że w wymienionym okresie co dziesiąty obywatel Związku wbrew swojej woli był osadzony w jakimś zakładzie o reżimie koszarowo-obozowym.

Mimo wszystko ludzie z tych obozów i kolonii wracali. Z katongi ASB – nie. Tam trafiano na zawsze i tylko bardzo nielicznym – jak już zaznaczyliśmy – udało się wrócić do normalnego życia. I co charakterystyczne – społeczeństwo przyjmowało ich bez szczególnego zachwytu. Piętno „wroga narodu”, noszone nawet przez człowieka złamanego fizycznie i psychicznie, okazało się trwałe i niezmywalne.

Polityka „silnej ręki”, poparta okrutnym naciskiem na społeczną świadomość, spowodowała też powstanie pewnych efektów ubocznych. Nawet w Moskwie, mieście tradycyjnie rześkim i rozwijającym się bardzo dynamicznie, złamano kardynalnie rytm życia. I podkreślone już w pierwszym rozdziale wszechobecne idylliczne leniwość i marazm były tylko powierzchowną oznaką tego, jak głęboko wtargnęły władze w codzienne życie przeciętnego obywatela.

## **TŁO HISTORYCZNE**

Liczne badania socjologiczne, przeprowadzone w Rosji pod koniec XX wieku, wykazały następującą prawidłowość. Praktycznie sto procent społeczeństwa gotowe było przychylnie powitać władzę, która zaprowadzi w kraju jakiś umowny PORZĄDEK. I jak zwykle ludzie rozumieli pod tym pojęciem nieskomplikowane w formie, ale trudne w realizacji ideały, które urzeczywistnić mógł tylko silny rząd, cieszący się ogólnonarodowym poparciem. Jednocześnie – paradoksalne, ale prawdziwe – ponad 70% badanych nie godziło się na ograniczenie swoich swobód obywatelskich dla osiągnięcia tego umownego PORZĄDKU. Ludzie chcieli, żeby w sklepach był dostatek towarów, a urlop można było spędzać w zagranicznych ośrodkach wypoczynkowych, i żeby nikt w jakikolwiek sposób nie ograniczał ich wolności. Te niewątpliwe osiągnięcia aktualnej władzy zdążyli ocenić jak należy i nie zamierzali się z nimi rozstawać. Po prostu wydało im się dziwne, że te zewnętrzne atrybuty demokracji w jakiś zagadkowy sposób wiążą się z rozwojem bandytyzmu, rosącym

bezrobociem, gwałtownymi kryzysami finansowymi i tym, że bogaci coraz bardziej się bogacą, a biedni coraz szybciej osuwają się w otchłań nędzy. Liczne ciosy w rodzącą się dopiero klasę średnią, która mogłaby się stać prawdziwym gwarantem stabilności społecznej, skomplikowały tylko stan rzeczy, uszczupliwszy „strefę lojalności” o najbardziej utalentowanych i pracowitych. W praktyce na przełomie wieków cała Rosja czekała na jedno – na CUD.

Cud ten powinien być zawierać trzy elementy. Po pierwsze – wyraźne określenie, kto jest winien fatalnego stanu rzeczy. Po drugie – wyraźne stwierdzenie, co trzeba zrobić, żeby z tego stanu rzeczy wydobyć się raz i na zawsze. I po trzecie – ZROBIĆ TO!

Samozwańczy Rząd Zaufania Narodowego, który zdobył władzę w rezultacie „puczu styczniowego”, zaczął od głoszenia wszystkich koniecznych w takim przypadku haseł. W odróżnieniu jednak od poprzednich ekip rządzących, RZN był klasycznajuntą – z tą tylko różnicą, że jego jądro składało się nie z wojskowych, a z wyższych oficerów służb specjalnych. Dlatego wszelkie swoje hasła RZN mógł poprzeć realną siłą. I siła ta była na tyle przekonująca, że poddali się jej z szacunkiem nie tylko Rosjanie, ale i światowa opinia publiczna, która w początkowym okresie zagroziła prawie Rosji interwencją.

Hasła RZN były zaskakująco proste i trafnie dobrane. Po pierwsze – zlikwidować przestępczość na poziomie podstawowym. Po drugie – zwrócić zagrabione mienie do skarbu państwa i stworzyć takie warunki, żeby pieniądze nigdy już nie wypływały za granicę w sposób niekontrolowany. Po trzecie – stanowczymi metodami przeprowadzić sanację narodu. I najważniejsze – RZN stanowczo oznajmił wszem i wobec: „Szczujemy każdego uczciwego obywatela i sprawimy, że nigdy już nie będzie się musiał niczego bać”.

Krótko mówiąc, było to wcielenie PORZĄDKU, o którym wszyscy marzyli.

Oczywiście, po ogłoszeniu swoich haseł RZN zetknął się, łagodnie mówiąc, z ogólnym sarkazmem. Pierwsza odezwa rządu do narodu przywołała na usta wszystkich dawno zapomnianą abrewiaturę (przypomnijmy, że RZN to Reaktywny Zespół Nerwicowy). Obywatele wtedy jednak nie wiedzieli jeszcze, że granice zostały zamknięte, a powołana na dniach specjalna agencja dokonuje masowych aresztowań tych, których nazywano „oligarchami”. Rosja nie uświadamiała sobie, że nazajutrz obudzi się w nowym państwie, nazwanym Związkiem Słowiańskim, a przed narodem tego Związku pojawią się liczni wrogowie, z których trzeba będzie oczyścić kraj – i dla których odnawiano już liczne łagry na Północy. I że codzienne życie Związku toczy się już wedle kolejn wyznaczonych „Zarządzeniem numer 102” RZN, a wkrótce zostaną ogłoszone następne dwa, które na najbliższe dziesięciolecie obejmą WSZYSTKO.

W zasadzie te zarządzenia nie mogłyby zostać wprowadzone w życie. Nie mogłyby – dlatego, że cały naród powinien powstać przeciwko władzy, która zapowiadała masowy terror. W żadnym kraju świata ludzie nie zgodziliby się żyć pod tak potwornym brzemieniem. Ale to, co działo się na całym terytorium Związku do tej pory było znacznie gorsze, a

najważniejsze – znacznie bardziej poniżające.

Sto drugie i sto szóste zarządzenia otwarcie przekupywały pokrzywdzonych dotychczas „szarych ludzi”. Gwarantowały przywrócenie im szacunku dla samych siebie. Wiary w to, że są prawdziwymi gospodarzami swojego kraju. A obywatele z radością pozwolili się kupić. I – jak pokazała dalsza praktyka – bardzo długo wcale tego nie żałowali.

„Zarządzenie numer 102” proklamowało tak zwany „dwustopniowy wymiar sprawiedliwości”. Z chwilą jego ogłoszenia spośród wszystkich przestępstw wymienianych w kodeksie karnym, wydzielono szczególną grupę przestępstw skierowanych przeciwko osobom prywatnym. Nie tylko zatem zabójstwa czy gwałty, ale rozboje, grabieże, wymuszenia, akty chuligaństwa, którym towarzyszyły uszkodzenia ciał ofiar i wiele innych, włączając w nie handel narkotykami – zostały zdefiniowane przez „Zarządzenie 102” jako akty ataku na główną wartość narodu i kraju: jej morale. Człowiek, który dopuszczał się tych aktów ogłaszany był wrogiem narodu, to znaczy osobnikiem, który świadomie sam postawił siebie poza granicami człowieczeństwa i nie zasługiwał na żadne współczucie. Takie przestępstwa karane były w jeden jedyny sposób – tych, którzy się ich dopuścili skazywano na dożywotnią katorgę.

Do drugiej grupy wliczono przestępstwa, które objęto obszernym terminem „podkopywanie ekonomiki kraju”. Sąsiadowały w niej uchylanie się od płacenia wysokich podatków z prymitywnymi kradzieżami mienia społecznego, handel towarem pochodzącym z przemytu i zajmowanie się tymże przemytem, bezprawne wywożenie kapitału za granicę i tak dalej. Popelnienie któregoś z tych przestępstw też było prostą i niedługą drogą na katorgę.

Do obrony społeczeństwa w ramach „Zarządzenia 102” powołano zupełnie nową strukturę, która podlegała bezpośrednio jednemu z członków RZN. Strukturę tę nazwano Agencją Społecznego Bezpieczeństwa.

„Zarządzenie 106” wprowadzało poważne zmiany i uzupełnienia do aktualnego kodeksu karnego. Przede wszystkim zarządzenie bardzo znacznie podnosiło poziom kar za naruszenia prawa, których do tej pory nie uznawano za poważne. Naruszenie prywatnej własności, takie jak kradzież samochodu, czy włamanie do mieszkania, pociągało za sobą wyrok co najmniej dziesięcioletni! Głównymi jednak pozycjami „sto szóstego” była metodyka postępowania z recydywistami i system uprzedzeń. Trzecie kolejne przestępstwo kryminalne – albo po prostu kolejne dla tych, którzy odsiedzieli już wyroki za dziesięć poprzednich, karane było tak czy owak dożywotnią katorgą. A jeżeli obywatel nie miał skłonności przestępczych, ale prowadził aspołeczny tryb życia – na przykład źle traktował dzieci, sprzedawał swoje ciało za pieniądze, albo lubił po pijanemu wdawać się w bójki – dwa razy go uprzedzano o tym, że źle się to wszystko skończy. Po trzecim razie wysyłano go, żeby „popracował nad sobą” w łagrze. Dla takich przypadków istniał cały system bardzo zróżnicowanych kar. Opisany w książce incydent z panem Jurinem jest dostatecznie charakterystycznym przykładem „uzupełniania ciężaru przestępstw lżejszych cięższymi”, kiedy w sprawy wtrącała się ASB. Gdyby Jurin po

prostu uderzył sekretarkę, lub gdyby seksualnemu molestowaniu nie towarzyszyła przemoc fizyczna, operacyjny Centralnego Oddziału Agencji mógłby po prostu przekazać wezwanie milicji.

Za tymi dwoma historycznymi zarządzeniami ukazał się jeszcze cały szereg aktów uzupełniających, określających najdrobniejsze detale wzajemnych stosunków państwa i pojedynczego obywatela. Ale w ludzkiej pamięci szczególnie wyraźnie zachowały się właśnie te dwa dokumenty, które legły u podwalin porządku społecznego kardynalnie się różniącego od poprzednich.

Owszem, w chwili uformowania się RZN i powstania Związku Słowiańskiego na świecie były jeszcze państwa, w których złodziejom obcinano ręce, a rozpustników kamienowano (liczne badania społeczne wykazywały, że większość Rosjan uważała te kary za surowe, ale sprawiedliwe). Mało kto jednak wiedział, że w tych samych państwach za akt homoseksualny pomiędzy mężczyznami uważano wyłącznie wprowadzenie główki penisa w wylot odbytu osoby płci męskiej i nic innego, tylko to. Każde, nawet najbardziej drakońskie prawo stwarzało możliwości interpretacji korzystnych w niektórych przypadkach dla oskarżonych. Prawa ustanowione przez RZN nie pozwalały na żadne takie manipulacje.

Co więcej, nie przewidywały też konieczności przedstawiania tradycyjnej bazy dokumentalnej jako niezbędnego warunku dla uznania oskarżonego winnym. Wychodząc z założenia, że w kraju, w którym corocznie rejestruje się miliony (!) przestępstw, a areszty śledcze są wszędzie przepelnione, nie trzeba latami przetrzymywać nowych podsądnych w obozach, RZN zdecydowało się na radykalne posunięcie. Ogłoszono, że dla przyspieszenia zaprowadzenia porządku i prawa w kraju za dowód winy uznaje się przyznanie podejrzanego. Włączając w to przyznanie się do winy złożone pod wpływem zastosowanych podczas przesłuchania środków psychotropowych.

Od tej chwili Wybrakówka ruszyła całą parą naprzód.

*S. Łucki*

## **ZYCIE SPOŁECZNE**

Fenomenu dziesięcioletnich rządów RZN nie sposób zrozumieć, jeżeli nie weźmie się pod

uwagę podstawowej idei propagandowej Rządu Zaufania Narodowego. W stosunku do obywateli RZN nigdy nie przekraczał bardzo wyraźnie nakreślonej granicy minimum praw obywatelskich.

Samo z siebie było zrozumiałe, że RZN proklamuje politykę izolacji i odetnie się od świata zewnętrznego. Oczywiście było też oczekiwanie recydywy ekonomiki izolacyjnej, której następstwem byłby głód, brak towarów na półkach i bunt. Racjonalne było przypuszczenie, że rozkręciwszy „polowania na czarownice” RZN wcześniej czy później od czystek socjalnych przejdzie do czystek etnicznych.

Ale w żaden sposób nie można się było spodziewać, że reżim w istocie narodowosocjalistyczny zdoła utrzymać się na cienkiej krawędzi pomiędzy „przykręcaniem śruby” a otwartym bolszewizmem.

Tym bardziej, że światowa opinia publiczna stworzyła RZN prawdziwe trudności. Świat nie zapomniał o tym, że Rosjanie to najwięksi w świecie oszuści i kłamcy, którzy w latach dwudziestych XX wieku zarazili komunizmem nie tylko połowę Europy, ale i Amerykę, gdzie wyrzuceni poza nawias prawa komunistyczni agitatorzy świadomie podstawiali się „copsom”, i zostawali przez nich bestialsko bici. To, że sami Rosjanie tymczasem ideę komunistyczną podkopywali, napychając najlepszymi obywatelami swoje gułagi stało się dla wszystkich przykładną lekcją. I choć RZN wychodził z siebie, żeby zapewnić wszystkim o tym, iż w Związku Słowiańskim wkrótce powstanie raj na ziemi i wszyscy będą szczęśliwi, podgrzewało to tylko ogólną „antysłowiańską” histerię.

Szczególnie ostro poczynali sobie Amerykanie – wpakowali mnóstwo pieniędzy w finansowanie rosyjskich komunistycznych odwetowców i objaśniali wszystkim (a w pierwszym rządzie samym Rosjanom), że dla Rosji walka z korupcją jest ważniejsza od wszelkich reform. W sumie otrzymali diabli wiedzą co, bez jednego choć komunistycznego hasła, ale za to z wyraźnymi barwami faszyzmu. I bardzo długo nie chcieli się przyznać do tego, że Rosjanie ich po prostu przechrzyli.

Tymczasem w rzeczywistości RZN doskonale wykorzystywał najlepsze zachodnie technologie PR. Bardzo zręcznie stworzono i sformułowano ideologię reżimu, która jednocześnie zadowalała jego rozliczne potrzeby i odpowiadała dążeniom politycznie aktywnej części rosyjskiego społeczeństwa. Czy tego chcemy czy nie, podczas swoich pierwszych sześciu, siedmiu lat sprawowania władzy RZN nie popełnił ani jednego z możliwych do popełnienia politycznych błędów, o których mówiliśmy na początku tego rozdziału. Po prostu żelazną dłońią „zakręcono śruby”. RZN stał się władzą, na którą wszyscy od dawna czekali – zdolną nie tylko do stworzenia pozorów panującej w kraju demokracji, ale i do przekonania obywatela, że tak jest w istocie. Władzą, która była gotowa dla istoty demokracji poświęcić niektóre demokratyczne wartości, osłaniając te działania jak najbardziej demokratycznymi hasłami.

Demokracja – to przecież władza ludu, czy nie tak? Kiedy narodowi wyjaśniono, że od tej

pory wszystko będzie się działo dla jego dobra i twierdzenie to zostało poparte zdecydowanym wytepieniem bandytów i złodziejów państwowych dóbr...

Nie da się powiedzieć, że ludzie powitali to z entuzjazmem. Powtórzmy jednak po raz kolejny, że wszystko to działo się na początku wieku, kiedy ogólne nastroje społeczne były jednoznaczne – żyje nam się tak źle, że gorzej być nie może. RZN zaproponował wyjście, które gorsze nie było. Ludzie postanowili zobaczyć, co z tego wyniknie i mimo woli dali się zwieść propagandowym hasłom.

Inteligencja dała się ogłupić, choć dziennikarze jednym głosem krzyczeli o objęciu władzy przez faszystów, a niektórzy nawet zdołali zbiec na Zachód i tam zachłystywali się apokaliptycznymi prognozami. Unia Europejska dość niemrawo napomykała o konieczności zastosowania embarga handlowego, a Stany Zjednoczone istotnie je ogłosiły. Wystarczyła sama rezygnacja z kontroli strumienia informacji, żeby RZN runął z traskiem – ale jednak trwał. I dość szybko okazało się, że w Związku jak dawniej istnieją prywatne firmy, a walka z korupcją, o której tak długo mówili Amerykanie, jest bezwzględnie realizowana. A to, że na każdym rogu stoją milicjanci z automatami ludzie odbierają pozytywnie, bo ci sami milicjanci nagle stali się bardzo przyjacielscy, a bandyci i złodzieje gdzieś poznikali.

Oprócz tego Związek nie wymawiał się wcale od płacenia rosyjskich i białoruskich długów, na co wszyscy z zapartym tchem czekali. Związek poprosił tylko o odroczenie terminów spłat.

Globalne wrzaski i biadania trwały jeszcze kilka miesięcy, a potem ustały. Wyjaśniło się, że Rosjanie tylko ZAPROWADZILI U SIEBIE PORZĄDEK, i można z nimi nadal robić interesy. A na to, jakimi metodami ów porządek zaprowadzono, można było bez wysiłku przymknąć oczy. Zaskakująco przyjazny klimat dla inwestycji i taniość siły roboczej zaczęły stopniowo przyciągać do kraju wielki kapitał. W 2005 roku Związek zbudował podwaliny swojego „ekonomicznego cudu” i zajął taką pozycję w świecie, o której nie mogły nawet marzyć poprzednie Rosja, a tym bardziej Białoruś.

Co ciekawe – akurat w tym okresie w Związku znikła już z rynku prawdziwie wolna prasa i zaczęły się prześladowania o czysto etnicznych zabarwieniach. Ale ogólnie rzecz biorąc „te drobiazgi” wcale zagranicznych partnerów Związku nie interesowały.

Powstała dość paradoksalna sytuacja, państwo, w którym otwarcie łamano prawa człowieka i któremu wszyscy to zarzucali, wrosło mocno w światową społeczność. Pozornie tylko demokratyczne wybory, bestialskie prawodawstwo, rodzące się oznaki narodowego szowinizmu... a jednak ze Związkiem handlowano i prowadzono wymianę kulturalno-naukową. Coś podobnego wydarzyło się w faszystowskich Niemczech i trwało, dopóki Niemcy nie rozpoczęły podbojów. Ze Związkiem Słowiańskim było podobnie.

Któż może powiedzieć, jak długo jeszcze trwałby ten paradoksalny raj, gdyby RZN nie psuł się od wewnątrz.



W powieści brak jest dokładnych dat, ale i bez tego wiadomo, że mamy rok 2007, rok nieudanej „drugiej Rewolucji Październikowej” i chyba ostatni „szczęśliwy rok” w historii Związku. Nie bez powodu książkę przesycą atmosfera nadciągającej katastrofy. RZN zaczął pokazywać kły już trzy, może cztery lata wcześniej – najpierw ni z tego, ni z owego rozprawiono się z Cyganami, potem nałożono kaganiec mass mediom, kolejnym posunięciem stało się podrabianie wyników wyborów, w których zresztą i tak żadnego wyboru w istocie nie było. Wszystko to działo się na tle akcji „Kupujemy tylko u Rosjan”, skierowanej przede wszystkim przeciwko obywatelom Związku mającym kaukaskie i środkowoazjatyckie pochodzenie. Uważa się, że w krytycznej sytuacji Rządowi Zaufania Narodowego zabrakło wrogów narodu. Nie bardzo jednak wiadomo, w jaki sposób wiązało się to z plotkami o bliskim już rozwiązaniu ASB i nadciągającej wielkimi krokami „wewnętrznej czystce” Agencji. Najbardziej prawdopodobne byłoby chyba przypuszczenie, że przybrały na sile charakterystyczne dla każdej junty tendencje autodestrukcyjne. Potwierdza to tylko niezręczna i absolutnie nie w porę rozpoczęta akcja denominacji rubla. RZN w katastroficznym tempie tracił zdolności manewru.

A jednak życie w Związku było jeszcze znośne.

Choć akcja „Wybrakówki” toczy się przed dziewięćdziesięciu laty, w tekście nieustannie pojawiają się cechy charakterystyczne i dla naszych czasów. Okazuje się, że współczesna Rosja wiele wzięła ze swojego „związkowego” okresu. Na przykład Służba Transportu jak wtedy rozwozi do domów obywateli, którzy nie są w stanie poruszać się o własnych siłach, przy czym tak jak w najwcześniejszych latach jej funkcjonowania, niektórzy wolą odpocząć w centrum odwykowym, niż trafić w ręce swoich krewnych czy powinowatych.

Wspomniana w książce akcja „Tytoń zabija” zrodziła niemal całe niepalące pokolenie, czego nie da się powiedzieć o przereklamowanym programie europejskim „No-smoking Generation”. Jeżeli któryś z czytelników tego tekstu dziś nie pali, najpewniej powinien podziękować twórcom tamtej strasznej siły i zasięgu oddziaływania agresji propagandowej. Niestety – a może na szczęście – akcja została szybko zamknięta wkrótce po rozpadzie Związku. Wyjaśniło się, że totalny dyskomfort psychologiczny, w który wpędziła z głową cały kraj, może mieć znacznie gorsze następstwa niż bezpośrednia szkoda, jaką palenie wyrządza zdrowiu narodu. Sama idea była bardzo widowiskowa – tak zresztą działo się niemal ze wszystkim w całym Związku. Akcję przeprowadzono szybko, bezwzględnie, nie oglądając się na możliwe efekty uboczne, ale głosząc stanowczo: obywatele, to dla waszego dobra, my się o was troszczymy.

Z rezultatami drugiej akcji, prawdziwie barbarzyńskiej – „Kupujemy tylko u Rosjan”, – o której wszyscy w Związku wiedzieli, że inspirował ją RZN, także stykamy się do dzisiaj. O tym, kiedyż wreszcie rozejdzie się opuchlizna sztucznie rozdętej ksenofobii i czemu rozwinęły się z niej tak straszne przerzuty, napisano dostatecznie wiele prac i nie będziemy w tym miejscu tykali tak bolesnego i wstydliwego dla każdego przyzwoitego człowieka tematu.

Tym, czego przed dziewięćdziesięciu laty nie było, są nieustanne rozmowy o korupcji i rzadkie bo rzadkie, ale wciąż się zdarzające strzelaniny na ulicach. Pozostaje się tylko zgodzić z Bolszakowem – Wybrakówka nie spełniła swojego zadania. Szybki odbój, który się rozpoczął po upadku RZN nie zepchnął nas ponownie na dno tej przepaści, z której wydobyli naród „kremłowski oprawcy”. Ale mimo wszystko otwartą kwestią pozostaje pytanie, czy wszystko, czego wtedy dokonano było bezwzględną pomyłką.

*S. Łucki.*

## **MEMORANDUM PTASZKINA**

Będzie to z pewnością najkrótszy i najbardziej konkretny rozdział komentarzy. Jeżeli ciekawi was historia „Wybrakówki” to z pewnością oglądaliście w internecie liczne odwołania do almanachu „Memorandum Ptaszkina i inne dokumenty”. Nie istnieją żadne realne podstawy do twierdzenia, że Paweł Ptaszkin był realnym człowiekiem. Ale po ukazaniu się komentowanej przez nas powieści nazwa ta przyłgnęła do względnie niewielkiego dziełka, które przypomina jednocześnie szkic kampanii reklamowej i raport hipotetycznego analityka.

Przeprowadzona w 2030 roku i powtarzana później przez niezależnych specjalistów analiza psycholingwistyczna nie pozwala na stanowcze stwierdzenie, że ten właśnie materiał legł u podstaw kreatywnych prac grupy analityków RZN. Po pierwsze – istnienie samej grupy analityków jest mitem. Po drugie, większość badaczy zgodna jest w stwierdzeniu, że „Memorandum” jest tylko dobrze wykonanym falsyfikatem. Jednocześnie nie sposób zaprzeczyć jednemu stwierdzeniu, które uznaje się za fakt. „Memorandum” zostało pierwotnie opracowane przez człowieka mniej więcej dwudziestoletniego, a następnie dopracowane i przerobione przez dorosłego, co najmniej czterdziestoletniego mężczyznę. Obu tajemniczymi autorami niewątpliwie byli Rosjanie, przy czym pierwszy pisał lekko i swobodnie, a drugi posługiwał się licznymi językowymi kalkami. To, że obaj nie byli całkowicie zdrowi psychicznie (co niejednokrotnie było przedmiotem rozmaitych publikacji), nie zostało jednoznacznie ustalone. Młodszy niewątpliwie był typem schizoidalnym, ale bez wyraźnie zaznaczającej się patologii. Psychikę starszego jeszcze trudniej ocenić właśnie z

powodu wykorzystywanych przezeń licznych językowych kalek i popularnych zwrotów. Oprócz tego budzi wątpliwość sama szczerłość autorów – przecież mimo wszystko „Memorandum” może być falsyfikatem, a wtedy wszelka psychologiczna analiza traci swój sens.

Ważne jest co innego – koncepcja pojawienia się „Memorandum” doskonale zgadza się z wewnętrzną logiką treści powieści. Stajemy zatem przed dwiema możliwościami: albo oba teksty pojawiły się w ramach jakiegoś nieznanego nam planu (dokładniej piszemy o tym niżej, w rozdziale „Personalia”), albo... Przypomnijmy, że „Memorandum” po raz pierwszy zostało opublikowane w roku 2029, a źródło publikacji do dziś pozostaje nieznanne.

Może przestańmy w tym miejscu snuć dywagacje i domysły, ponieważ możliwych wersji jest mnóstwo, a ustalenie prawdy przy obecnym stanie wiedzy nie jest możliwe.

*I. Korolenko*

## **ASB OD WEWNĄTRZ**

Najłatwiejsze dla wszystkich byłoby przyjęcie założenia, że wszyscy brakarze byli psychopatami i raz na zawsze przestać zadawać sobie pytanie, dlaczego struktura, w której pracowali wyłącznie wariaci, okazała się tak skuteczną i żywotną. W rzeczywistości sprawa była znacznie bardziej złożona. Owszem, w oddziałach ASB pracowali bynajmniej nie aniołowie i w charakterze każdego brakarza leżały takie lub inne odchyłki od normy. Wszyscy byli jednak ludźmi w pełni zasymilowanymi ze społeczeństwem – oczywiście na miarę swoich czasów. Patrząc na sprawę z dzisiejszych pozycji niełatwo uwierzyć, że właśnie tym ludziom dano władzę i broń do ręki. Zechciejcie jednak pamiętać o tym, że w Rosji na początku XXI wieku były miliony – powtarzamy – miliony przestępców i nie mniej liczna armia ludzi, którzy im się przeciwstawiali: milicjantów, prywatnych ochroniarzy i pracowników służb specjalnych. Dodajmy do tego niewinne ofiary mnóstwa lokalnych wojennych konfliktów, ludzi którzy ledwo osiągnęli dojrzałość, i wbrew swej woli dostawszy się pod ogień, zostali zmuszeni do odpowiadania ogniem.

W sumie otrzymujemy dziesiątki milionów ludzi, skłonnych do używania przemocy w ogóle i do stosowania przemocy jako metody rozwiązywania konfliktów w szczególności.

W takiej sytuacji dziwne byłoby, gdybyśmy uznali pojawienie się brakarzy za rzecz nadmiernie osobliwą. Przytłaczająca większość pełnomocników z pierwszego naboru, do których należeli tacy bohaterowie „Wybrakówki” jak Myszkini, Daniłow i wielu innych, mieli za sobą bojowe doświadczenia, z których wynieśli przekonanie, że najbardziej rozumną i skuteczną metodą postępowania z uzbrojonym przeciwnikiem jest otwarcie ognia, zanim on to uczyni. A jeszcze lepiej jest schwytać go, zanim zdąży sięgnąć po broń – i na zawsze pozbawić go możliwości noszenia broni.

Wydana w Nowym Jorku (2020 r.) książka „ASB od wewnątrz”, której tytułu użyliśmy jako nagłówka tego rozdziału, ukazuje nam właśnie taki wizerunek organizacji. Czy nam się podoba, czy nie, brakarze byli ni mniej ni więcej bohaterami swego czasu. Dokładnie takimi, jakich opisał ich autor: bezwzględnie i surowo rozprawiali się z wrogami narodu, choć z bólem wypełniali rozkazy przełożonych zabijając bezpańskie psy. Charakterystyczna cecha pełnomocników ASB – absolutny brak litości do osób bez określonego miejsca zamieszkania (a mówiąc prościej, wędrownych żebraków) – w późniejszym okresie u niektórych zupełnie zanikła, jeżeli BOMZą okazywało się dziecko, ale u innych nawet się wzmogła. I wszyscy jak jeden pełnomocnicy bardzo przeżywali polecenie wybrakowania patologicznie się rozwijających dzieci. Przejawia się w tym kluczowy moment Wybrakówki – bezwarunkowo i bez wyroku usuwano tylko osobników, którzy sami ŚWIADOMIE wybrali aspołeczny tryb życia, i sami postawili się poza granicami prawa.

Sądząc ze wszystkich oznak, u zarania działalności brakarzy nikt z jej wiernych żołnierzy nie podejrzewał, że rozkręciwszy politykę czystek władza nie będzie się mogła zatrzymać i pod kategorię braku zaczną podpadać ciągle nowe grupy społeczne, których wrogość i szkodliwość będzie budzić wątpliwości nawet u najbardziej zagorzałych zwolenników i adeptów modelu „dwustopniowego wymiaru sprawiedliwości”.

Z przykrością trzeba stwierdzić, że cała dokumentacja osobowa została zniszczona przez pracowników Agencji w ostatnich dniach jej nieodwołalnego upadku. Nie dysponujemy dziś danymi dotyczącymi dynamiki samobójstw wśród pełnomocników ASB – możemy tylko snuć przypuszczenia o jej dynamicznym wzroście. Nie ma danych dotyczących braków wewnętrznych – choć świadkowie utrzymują, że przymusowe zabójstwa swoich towarzyszy wśród brakarzy zdarzały się z roku na rok częściej. Mogłoby się wydawać, że było to oczywiste, że wszystkie te tendencje łatwo dało się przewidzieć, ale nie wiadomo dlaczego początkowo nie zostały uwzględnione przez najbardziej zainteresowaną w tym grupę – kierownictwo ASB i władze kraju.

Całe to niedowierzanie badaczy opiera się na jednej błędnej przesłance. Dlaczego, na przykład, socjologowie kategorycznie upierają się przy twierdzeniu, że rezultaty ankiet społecznych przeprowadzonych na początku wieku były retuszowane? Oczywiście – wydaje im się niemożliwe, żeby 70-80% respondentów popierało RZN w pierwszych sześciu latach jego istnienia. Nie mogą się oni pogodzić z tym, że do 60% młodych ludzi (a wśród

respondentów z wykształceniem niższym niż średnie nawet do 80%) marzyło o tym, żeby pracować w Wybrakówce. Czy nie wydaje się wam jednak, drodzy czytelnicy, że zbyt daleko odeszliśmy od tej społecznej konstrukcji, którą wydał na świat (nie mógł nie wydać!) Rząd Zaufania Narodowego z jego koncepcjami i jego metodami wprowadzania tych koncepcji w życie? Jesteśmy od niej tak mniej więcej daleko, jak od starożytnej Sparty.

Wynika z tego, że nie będzie nam dane poznać, jakimi motywami kierowali się ludzie przychodzący na rozmowy do biur werbunkowych ASB. Cokolwiek by twierdzili psychologowie o dziecięcych urazach i fenomenie „kombatantów”, patrzą na wszystko z pozycji dzisiejszego dnia i człowieka współczesnego. Przypomnijmy sobie surowe warunki, które zrodziły Spartę i przyznajmy uczciwie: w tamtych lat i wobec tamtego wszechobecnego w Rosji strachu ludzie ci byli całkowicie zwyczajni. Skoro tak, to należy ich uznać za całkowicie normalnych.

Bezwarunkowo trzeba w tym miejscu wspomnieć o pracy Kipnisa „ASB: tryumf niedojrzałej osobowości.” (Sankt Petersburg r. 2019). Do dzisiaj wniosek autora uważa się za bezbłędny. Ale jeżeli wziąć pod uwagę, że do umiarkowanie infantylnych można zaliczyć niemal 80% mieszkańców Rosji, pozostaje w sile poprzednie pytanie: co z tego?! Niektórzy milicjanci też muszą zabijać złych facetów, a jednak ci milicjanci mają żony i dzieci, które są nich dumne i uważają że ich mąż (ojciec) jest człowiekiem zupełnie normalnym (czego i wam życzymy). Nie jest istotne to, iż liczne problemy brakarzy nie pogłębiały się dlatego, że pełnomocnicy musieli zabijać wielu ludzi i to z zimną krwią. Co prawda ustalono, że współpracownicy Agencji z pierwszego naboru (tak zwani „weterani”) byli wszyscy głęboko nieszczęśliwi w życiu prywatnym, nie umiając (albo nie pragnąc) zatrzymać na dłużej partnerów i starać się o dzieci – ale należałoby jeszcze stwierdzić, co było skutkiem, a co przyczyną.

I argument ostatni: jeżeli wszyscy byliby tak nienormalni, jak się tu zwykło uważać, Wybrakówka unicestwiłaby samą siebie w czasie krótszym niż rok.

I wygląda na to, że od tego stwierdzenia zaczęliśmy nasze rozważania.

## **TECHNIKA**

Wyposażenie techniczne ASB – broń, środki obrony indywidualnej, transport i systemy

przekazywania informacji – było na poziomie właściwym dla danego czasu i nie przedstawiało sobą niczego rewolucyjnego.

Szeregowy pracownik ASB nosił lekki dwukompozytowy pancerz zakrywający ciało od gardła po pachwinę, obliczony na ochronę przed kulą z pistoletu 9 mm i odłamkami granatów. Ponieważ pełnomocnicy spędzali w swoich pancerzach znaczną część czasu, pod „kombidresy” wdziewano specjalną higroskopijną i przeciwpotną bieliznę.

Pneumatyczny igielnik, podobny do zabawki z powodu charakterystycznej, „plastkowej” barwy, trafiał skutecznie na pięćdziesiąt metrów. Mieszczący się w rękojeści magazynek ze zintegrowanym pojemnikiem sprężonego gazu krył w sobie dwadzieścia do trzydziestu igieł-strzałek naładowanych płynem paraliżującym, zapewniającym niemal natychmiastową blokadę funkcji ruchowych. Broń palna nie wchodziła w skład uzbrojenia brakarzy, ale jak zupełnie prawdziwie opisano to w książce, wielu z nich nosiło ją niemal otwarcie. Poza rzadkimi wyjątkami, była to broń, którą zdobywali w boju. Kodeks honorowy brakarzy głosił, że noszenie broni palnej zdobytej w inny sposób było rzeczą niegodną. Już w drugim, trzecim roku działalności w każdym oddziale ASB była porządna strzelnica z solidnym wyposażeniem i doświadczeni instruktorzy. Skąd się to wszystko brało, nie da się teraz ustalić, jasne jest tylko, że kierownictwo Agencji taki układ uważało za całkowicie normalny.

Komunikacyjne środki brakarzy też nie były specjalnie wymyślne i nie wyprzedzały swojego czasu – były to przyciężkawe prototypy tych przenośnych urządzeń nadawczo-odbiorczych, którymi teraz posługuje się każdy mieszkaniec planety. W Rosji tradycyjnie nazywa się je „telefonami”, za granicą bardziej popularny jest termin „CAM” (Communication Module). Oczywiście w latach Wybrakówki te urządzenia nie były jeszcze skomputeryzowane. Na wyposażeniu ASB był transiver – drogi jak na owe czasy aparat zapewniający pełną dwustronną łączność i wejście do sieci telefonicznej. Podłączając do transivera „książkę” – odporny na wstrząsy notebook – agent operacyjny otrzymywał możliwość wejścia do wewnętrznej sieci i bazy danych Agencji. Dla uniknięcia możliwości ataków hakerów z zewnątrz wyposażenie programowe „książek” nie dawało możliwości połączenia się z Internetem, same „książki” nie miały dysków pamięciowych, a ich obudowy były zaplombowane. „Książka” miała też dwa porty typu USB do połączenia z transiverem i czytnikiem odcisków palców. W czasach, w których toczyła się akcja „Wybrakówki” wszyscy obywatele Związku mieli już zdjęte i zarchiwizowane odciski palców, więc ustalenie tożsamości nie było żadnym problemem, choć oczywiście wymagało pewnego czasu.

Cały ten system miał jeden tylko, ale za to istotny niedostatek. Ponieważ taka łączność była w zasadzie zmodyfikowaną łącznością komórkową z modulacją częstotliwości, niezawodność odbioru zależała bezpośrednio od odległości pomiędzy transiverem i najbliższym przekaźnikiem. Transiver, który znalazł się na granicy dwóch stref, mógł zawieść. Oprócz tego w miejskiej strefie zawsze się trafiały „martwe obszary”, w których z rozmaitych przyczyn łączność radiowa zanika. Aby uniknąć takich sytuacji w każdej trójce

jeden z prowadzonych nosił na sobie retranslator – niewielki dwustronny wzmacniacz sygnału, co w praktyce przekształcało całą trójkę w ruchomą komórkę sieci. Zwykle ten właśnie prowadzony wyposażony był jeszcze w notebook – główne obciążenie przypadało wyznaczonemu członkowi zespołu, żeby dwóm pozostałym zapewnić jak największą mobilność.

„Karawany” i samochody osobowe Agencji były krajowej produkcji, zmiany w ich konstrukcji miały czysto użytkowy charakter, a niezawodność osiągano dzięki częstym przeglądom i natychmiastowemu usuwaniu zauważonych usterek. Podrasowane silniki i sportowe zawieszenie wozów ASB nie były raczej potrzebne – Agencja wolała ujmować z zasadzki, niż w wyniku pościgu. Oprócz tego, żeby niemal dwukrotnie zwiększyć szybkość poruszania się po mieście, pełnomocnikowi dość było włączyć „koguta”. Oczywiście nie mamy podstaw do wątplenia w prawdomówność autora książki i jest możliwe, że „dwudziestka siódemka” – samochód o nadzwyczajnych możliwościach i osiąгах istniał naprawdę. Tym bardziej, że według zapewnień wiarygodnych świadków, moskiewski park techniczny ASB wziął pod swoje skrzydła doskonałych specjalistów (niemal wszyscy byli niedawnymi przestępcami), a amatorów dokonania głębokiego tuningu krajowej maszyny nigdy w Rosji nie brakowało. Nic tak nie cieszy wieikorosyjskiego patrioty jak rodzima „Łada” wyprzedzająca „Mercedesa”.

*W. W. Aleks*

## PERSONALIA

Niełatwo jest odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu bohaterowie książki odpowiadają postaciom historycznym. Jak wiadomo, każdy utwór, który powstał na bazie realnych wydarzeń, nawet choćby niemal na gorąco, grzeszy subiektywnością ocen. Niekiedy ten subiektywizm jest zamierzony (jak w przypadku opowieści Stokera o Drakuli – prawdziwy Vlad „Drakula” Tepes podobny jest do swego literackiego brata tym tylko, że obaj działali w podobnym miejscu i czasach). Niekiedy jest pozorny, w rzeczy samej wrogi, choć jego źródłem są najszlachetniejsze pobudki

– wystarczy wspomnieć głośne prace pierwszego recenzenta „Wybrakówki” I.

Bolszakowa: „Kremlowskie Gwiazdy Syjonu”, czy „Epoka genocydu”. Klasyczny to przykład – autor nie mogąc pokonać swojej wrogości tak skondensował barwy, że z publikacji pierwszej z książek rosyjskie wydawnictwa w ogóle zrezygnowały, a drugiej nie da się czytać bez sarkazmu. Przypadkami celowego zafałszowania, albo braku elementarnej znajomości tematu w ogóle nie warto się zajmować. Jest jeszcze jeden wariant – autor uczciwie odmalowuje sytuację, ale wszystko przepuszcza przez pryzmat własnego widzenia osób i postaci. Do tej grupy utworów należy dokument „ASB od wewnątrz”, albo omawiana „Wybrakówka”.

Z jednej strony sami nie oczekiwaliśmy, że tak łatwo będzie można odnaleźć prawdziwe nazwiska całego szeregu prototypów postaci powieściowych. Ale autor „Wybrakówki” zostawił nam mnóstwo wyraźnych znaków, przy czym bynajmniej nie bawił się w subtelności. Najpewniej najbardziej prostą (zabawną? świetną? niegodną?) wydała mu się metoda elementarnego żonglowania nazwiskami. Nie na darmo daje nam przykład generowania nazwisk, zaczynając od swojego Pawła Gusiewa.

Nie wiadomo, czy dałoby się przeprowadzić efektywną rekonstrukcję, gdyby nie uprzejma pomoc Wszechświatowej Fundacji Weteranów Służb Operacyjnych. Pracownicy Fundacji, której mafijno-klanowy charakter do tej pory wywołuje mnóstwo nieprzychylnych komentarzy, przeprowadzili ogromną pracę ustalając tożsamość współpracowników najrozmaitszych (a w niektórych wypadkach zdumiewająco niezwykłych) tajnych agend rządowych. Podkreślamy, że oficjalne cele Fundacji są czysto badawczej, historycznej natury. Właśnie pracownikom Fundacji – czego zresztą należało się spodziewać – udało się dotrzeć do tych asbeków, którzy z wielorakich przyczyn pozostali przy życiu i można było z nimi porozmawiać w połowie naszego wieku. Niektórzy z nich okazali się dobrze poinformowani i z chęcią przekazali Fundacji wiadomości, których nie podajemy w wątpliwość, ponieważ nie mamy po temu żadnych podstaw.

Niestety, optymizm, którym karmiliśmy się na początku tych prac, szybko ustąpił miejsca rozczarowaniu. Owszem, jak się tego należało spodziewać, brakarz Daniłow okazał się kapitanem rezerwistą specnazu Danilinem, który dowodził jedną z grup Centralnego oddziału i sądząc ze świadectw kolegów, został wiernie odmalowany w „Wybrakówce”, ze wszystkimi swoimi charakterystycznymi powiedzonkami. Podobnie bezimienny w powieści instruktor strzelania pracował kiedyś w kontrwywiadzie i został nawet niedługo po drugim puczu październikowym zastrzelony przez współpracowników, którzy odkryli w nim amerykańskiego szpiega, co absolutnie potwierdza prawdziwość jego istnienia (wybaczcie nadmierną wyrazistość, najwidoczniej za bardzo zaangażowaliśmy się w badania).

Kalinin okazał się Kalininem. Korniejew – Kornieszowem. A Iwanow-Pietrow-Sidorow (w rzeczy samej Pietrow) dosłużył się stopnia generalskiego. Najwyraźniej autorowi zestawienie Pietrow z Pietrowki wydało się zbyt anegdotyczne, w przeciwnym razie zostawiłby wszystko, jak jest. Bo na przykład pułkownik milicji Łarionow w książce



przedstawiony jest wiernie, włącznie z nazwiskiem i miejscem pracy. Nawet „kremłowski chłopaczek” Wadim Czernow był człowiekiem z krwi i kości – który popełnił samobójstwo otwierając sobie żyły jesienią 2012 roku. A w Centralnym Szpitalu Klinicznym szefem Oddziału Neurologii Funkcjonalnej był nie kto inny jak profesor Mirzozewicz (który nawiasem mówiąc zostawił po sobie bardzo interesujące pamiętniki, zatytułowane „Moje życie w psychiatrii”).

W zasadzie można też ustalić, kim był starszy grupy Myszkin. Śledząc logikę autora i podążając tropem cech zewnętrznych byłby nim albo Aleksander Koszkin (o którym jeszcze napiszemy), albo Aleksiej Krysa<sup>27</sup>, który po upadku RZN i rozpadzie Związku Słowiańskiego powołał do życia osławiony „Front Odrodzenia Słowian” – niezwykle wybuchową mieszankę bandy Robin Hooda, totalitarnej sekty religijnej i podziemnej organizacji bolszewickiej. „Szczury” przez pewien czas szaleli w Rosji Środkowej, potem ich przegnano za Ural, gdzie organizacja poszła w rozsypkę, a sam Szczur przepadł bez śladu. Koszkin też uniknął kary za swoje grzechy i grzeszki, ale w roku 2021 niespodziewanie odnalazł się w USA, jako ni mniej, ni więcej tylko zalegalizowany współpracownik CIA i wydał bestseller znany w Rosji po tytule „ASB od wewnątrz” („*SSA inside: the True Story of Total Terror*”).

Prawdopodobnie nie on jednak stał się dla autora wzorcem dla postaci Myszkina – osobnika może niesympatycznego, ale takiego, którego towarzystwo dałoby się znieść. Poza wszystkim innym Szczur pracował w Saratowie, a autor uporczywie nie wychodzi w powieści za granicę Moskwy, nawet podczas opisu szczegółów wybuchu i tłumienia „Drugiej Rewolucji Październikowej”. Widać zresztą wyraźnie, że znacznie bardziej interesowały go osobowości, niż procesy historyczne. Ale jeżeli autor osobiście znał Koszkin (co ciekawe, człowiek ów mówił po rosyjsku barwnie, ale wyjątkowo często posługiwał się przekleństwami) – to w jakiś sposób mogłoby to rzucić światło i na tożsamość samego pisarza, oraz jego dalsze losy po likwidacji ASB. Niestety w tym względzie nasze możliwości na razie się wyczerpały. Sam Koszkin w swoich licznych wywiadach udzielanych rosyjskojęzycznej prasie autora „Wybrakówki” nazywał wyłącznie faszystą maniakem i zaprzeczał temu, jakoby miał z nim jakiegokolwiek kontakty. A nasi amerykańscy koledzy badacze, w tym także i mający dostęp do odtajnionych akt CIA uważają że „Wybrakówka” powstała jako dzieło kilku ludzi kryjących się pod wspólnym pseudonimem i po prostu nie zamierzają szukać śladów istnienia pojedynczego człowieka. Wedle ich opinii – „Wybrakówka” jest złożoną i wielostopniową konstrukcją propagandową, poprzez którą Rosjanie próbowali się odżegnać od swojej kanibalskiej przeszłości. Zagraniczni analitycy pojmują nasze zainteresowanie osobowością autora, ale go nie podzielają. Wydaje im się znacznie ważniejszym odnalezienie szerszych tendencji i ustalenie, komu na tym zależało, my zaś uważamy, że w danym wypadku nie da się operować grubym sitem. Ostatecznie większość członków grupy, którą zebrał OMEKS – to w pełni świadomi tego nosiciele

---

27 - Myszkin - od myszy, Koszkin - od kota, Krysa - to szczur.

rosyjskich tradycji kulturowych i my wiemy lepiej, z jakich powodów w Rosji pisze się książki.

Mimo wszystko nasze badania zawiodły nas niespodziewanie daleko. Wiemy, kim był szef Centralnego – człowiek ten istotnie pracował w prokuraturze, ale jego prawdziwe nazwisko nikomu już niczego nie powie. I nazwisko dyrektora ASB wielu pamięta, ale był to zupełnie nieciekawym osobnik. I mało kto zechciałby poznać bliżej przedstawiciela Rady Najwyższej, pełniącego jednocześnie obowiązki premiera, Litwinienkę (Litwinowa). Wyjaśniliśmy bardzo wiele. Udało nam się nawet odszukać ślady „Praworządne bractwa świętego męczennika Epidifora” (przypadkowo), gdzie w składzie hurtowym rozlewano po prostu naftę do cerkiewnych kaganków.

Nawet Owczynnikowa, o przydomku Biedna Owieczka, w istocie zamęczyli bandyci – fakt ów był znany nawet Iwanowi Bolszakowowi, nie wiadomo tylko dlaczego w swoim eseju „Oprawcy i szeryfowie” zapewnia, że i w tym wypadku nie obeszło się bez kłamstw. Choć najprawdopodobniej nie dysponował naszą bazą dokumentacyjną.

I brakarze Kupczenko i Bunin (pomyślcie tylko sami – jaką mimo wszystko autor opisuje się bezczelnością!!! Przecież to operacyjne pseudonimy Gusiewa i Waluszka) rzeczywiście ostrzelali pewnego razu służbowy samochód wysoko postawionego urzędnika państwowego (co prawda nie ministra informacji, tylko generalnego prokuratora). Na tym zresztą ich kariera się skończyła – obaj pełnomocnicy byli pijani w dym, coś im się pomieszało, strzelaninę zakwalifikowano jako ciężkie przestępstwo i obaj rewolwerowcy zostali jeszcze tego samego dnia wybrakowani.

Wszystko to jednak są drobiazgi. Bardzo dobrze zaobserwowane i trafnie osadzone w akcji powieści. Koloryt lokalny. Najciekawsze skryte jest za siedmioma pieczęciami.

Okazało się, że nasza grupa, pracująca nad tymi zbeletryzowanymi komentarzami – dziennikarz i konsultanci: psycholog, socjolog, historyk i pewien pracownik kontrwywiadu – została zmuszona do bardziej niż uważnego zapoznania się z tekstem „Wybrakówki”. I cokolwiek by każdy z nas sądził o pełnym potworności i wynaturzeń okresie w historii Rosji, któremu poświęcono tę powieść – sam przedmiot badań głęboko zapadł nam w duszę. Ani „ASB od wewnątrz”, ani liczne inne analogiczne utwory, włączając w to artystyczne, nie zbudziły w żadnym z nas tak silnej reakcji emocjonalnej. Nie bez zdziwienia odkryliśmy, że utożsamiliśmy się z książką tak, jakbyśmy ją sami napisali. A dwaj jej bohaterowie stali się nam zaskakująco bliskimi osobami.

Istniał, czy nie istniał stażysta pełnomocnik Waluszek? Żadnych śladów i żadnych wskazówek. Kierowani pragnieniem dotarcia do prawdy przekopaliśmy nawet milicyjne archiwa tamtych lat i prześledziliśmy losy wszystkich stu pięćdziesięciu jeżdżących po Moskwie samochodów Porsche, ale i to okazało się stratą czasu.

Istniał, czy nie istniał starszy pełnomocnik Gusiew? Na tak postawione pytanie trzeba odpowiedzieć twierdząco. Było nawet trzech Gusiewów – Paweł, Siergiej i Walentyn. Ale

Liebiedewych, Worobiowych, Utkinych, Kulikowych i Kulików znajdziemy w starannie zebranych i odtworzonych personalnych spisach Agencji jeszcze więcej.

I w tym miejscu musimy się z przykrością przyznać do całkowitej bezsilności. Ustalić prawdziwą tożsamość Pawła „Pe” Gusiewa jest wcale nie łatwiej, niż tegoż Pawła Ptaszkina. A najpewniej jest to w ogóle niemożliwe.

Przykre? My też tak uważamy.

*S. Łucki, W.W. Aleks*